

TOMASZ PACYŃSKI

WRZESIEŃ

„Szedł z bagnetem na czołgi żelazne. Ale przeszły, zdeptały na miazgę..”

Władysław Broniewski, Polski żołnierz

Za Ostrowią szosa opada z niewielkiego wzniesienia i wchodzi w sadzone równo jak pod sznurek sosnowe lasy, resztki Puszczy Białej, wyrastające z podlaskich piasków, naznaczone łąkami i jałowymi polami. Rozrzucone gdzieniegdzie wsie to w istocie chałupy stojące przy splechawkach uprawnej ziemi. Koślawe mostki i brody przecinają wąskie strugi, nadają się co najwyżej dla furmanki lub pędzonych jedna za drugą krów.

Wrzesień był suchy, nawet upalny. W ostatnie dni lata liście żółkły już i czerwieniały, a w coraz niżej świecącym słońcu srebrzyły się nitki babiego lata. Od tygodni nie spadła kropla deszczu. Leśna ściółka była sucha, a na łąkach stała wysoka, nieskoszona trawa.

Trawa wyschnie i poszarzeje do końca. Nie stanie w stogach, nikt nie zwiezie jej do stodół. Pochylą ją jesienne wiatry i słoty, a pierwsze śniegi przygną do ziemi.

Albo spłonie, jak na tej łące, aż do rowu melioracyjnego, gdzie płomienie musiały się zatrzymać, nie wspomagane wiatrem, który przerzuciłby je nad wąską przeszkodą. Nie pomogło nawet paliwo lotnicze, spalony wrak samolotu tkwił zbyt daleko. Z pobocza drogi ledwie można było dostrzec godło jednostki na nietkniętym przez ogień, połyskującym w słońcu metalem usterzeniu.

Płomienie pochłonęły kadłub maszyny. W zwęglonym kręgu wypalanej ziemi sterczały wręgi kadłuba i zaryty głęboko okopcony blok silnika. Nienaruszone wydawały się jedynie końcówka jednego skrzydła i oderwany w chwili uderzenia ogon.

Siedzący na krawędzi przydrożnego rowu znużony żołnierz opuścił dłoń, którą osłaniał oczy przed nisko stojącym na niebie słońcem. Ostatnio oglądał zbyt wiele takich widoków. Nie wytrzymał nawet wzroku, by przekonać się, czy maszyna należała do pułku w Mińsku Mazowieckim, czy może w Radomiu.

Spoczywała tu co najmniej od dwóch tygodni. Od samego początku wojny, kiedy szybko wykruszyła się słaba obrona powietrzna. To w sam raz, by zdążyć wystygnać rozpalony dural, a wiatr rozsypał popioły. W sam raz, by kolumny pancerne przełamały opór i opanowały cały kraj. W sam raz, by przegrać wojnę.

Trochę więcej niż dwa tygodnie. Dokładnie - osiemnaście dni.

Żołnierz schylił się, dociągnął sprzączki buta.

Za stary na to jestem, pomyślał. Czuł ciężar swoich prawie pięćdziesięciu lat. Fizyczne zmęczenie, głód, ból otartych stóp i stawów, odzywający się tępo po nocach pod gołym niebem, które dobre może były dla zająca w brudzie, ale nie kapitana rezerwy.

- Na co mi, kurwa, przyszło - mruknął, mocując się z oporną sprzączką.

Buty nie były najlepsze, jak wszystko, co fasowali rezerwiści i ochotnicy. Broń pamiętała czasy tuż po poprzedniej wojnie. Oporządzenie, któremu daleko było do regulaminowego, stanowiło dziwną, zbieraninę remanentów gromadzonych skrzętnie przez zapobiegliwych sierżantów. A buty, przechowywane latami w jakimś przepastnym magazynie, nie były przystosowane do kontaktu z kurzem i błotem.

Wyfasowanej broni już dawno nie miał. Gdy wystrzelał, zresztą Panu Bogu w okno, wszystko, co miał w ładownicach, okazało się, iż żadna z ocalałych służb logistycznych nie dysponuje nabojami tego kalibru. Z czystym sumieniem cisnął więc karabin do rowu, tym bardziej że w rekrutacyjnym bałaganie nikt nie wpisał do książeczki numeru broni. Wziął nowy, radomski karabinek, do którego amunicji było ile dusza zapagnie.

Trzeba się ruszyć, pomyślał niechętnie, przyglądając się popękanej podeszwie buta. Zejść z tej drogi, wygodnej wprawdzie, wiodącej prosto do celu, ale niezbyt bezpiecznej. Iść dalej lasem, oni unikają lasu, wolą wojować na drogach lepszej kategorii.

Trzeba ruszać... Z rozsądkiem walczyły ból i znużenie, które towarzyszyły mu we wszystkie dni samotnego przedzierania się spod Mławy, przez zajęty już obszar. Samotnego odwrotu, odkąd na wycofującą się w nieładzie, przemieszaną z wozami uchodźców kolumnę spadły z pustego nieba myśliwce.

Trzeba ruszać... Z wysiłkiem wstał i narzucił na ramiona ciężki, także pochodzący chyba z poprzedniej wojny szynel, urągliwie zwany szynszylem. W ciężkim płaszczu w tę pogodną jesień było potwornie gorąco. Ale przydawał się podczas zimnych nocy, srebrzących się nad ranem rosą, która wkrótce przemieni się w szron. A w lesie, gdy trzeba spać pod zwisającymi do samej ziemi łapami świerków, na pachnącym, sprężystym materacu z igliwia, był wręcz niezbędny. W lesie, który po raz kolejny w naszej popieprzonej historii stał się ostatnim schronieniem.

Nie zrolował płaszcza, nie przypiął do plecaka. Pod płaszczem można było ukryć karabinek, myśliwskim sposobem zawieszony na ramieniu lufą w dół. Ten sam, który na nic mu się nie przydał w ostatnim starciu, gdy wtulał się w ziemię przed sunącym nań potworem. Broń szarpała się wstrząsana podrzutem, pociski krzeszały na pancerzu iskry, a w głowie kołatał się ponury dowcip, krążący w kompanii od samego początku wojny. O tym, jak to kapral szkolił rekrutów w zwalczaniu czołgów. Ano, pchać bagnetem w te śpary...

„Śpary” nie było. Zamiast niej ujrzał połyskujące pancerne szkło peryskopu, widoczne doskonale, gdy czołg zatrzymał się kilka metrów przed płytkim okopem, na którego dnie się skulił. Chropawy pancerz pokryty plamami kamuflażu przypominał gadzią skórę, powyginane błotniki, błyszczące traki gąsienic, zawieszone tuż nad okopem, w każdej chwili mogły wgnieść w ziemię tę małą bryłkę mięsa i oporządzenia, w którą się zamienił.

Zobaczył błysk i cofającą się lufę działa, a potem poczuł miękkie uderzenie w twarz i zdziwienie, że nie słyszy huku. Ostatnie, co pamiętał, to pułk grenadierów pancernych przetaczający się przez ich pozycje.

Narzucił plecak i podskoczył w miejscu, by sprawdzić, czy nie brzęczy oporządzenie.. Uśmiechnął się krzywo. Nabrał nawyków, a przecież minęło zaledwie kilka dni. Szybko... Inna sprawa, że ci, co ich nie nabyli, już raczej nie będą mieli okazji.

O Jezu, panie kapitanie... Szybko awansował, zaledwie w tydzień z podporucznika rezerwy do stopnia kapitana, dowódcy batalionu. Całkiem nieźle jak na rezerwistę. Przed popadnięciem w dumę uchroniło go, iż z batalionu dałoby się wtedy łączyć niepełny pluton.

Dowodzenie nie trwało zresztą długo. Zdążył zorganizować obronę jakiejś bezimiennej wioski, bo mapnik diabli wzięli razem z poprzednikiem, po którym został tylko duży lej w ziemi i pasek, właśnie od owego mapnika, bo z samego dowódcy nie zostało nic, co dałoby się zidentyfikować. Beznadziejną walkę nakazał po trzeźwej uwadze sierżanta: „Kurwa, już nie ma dokąd spierdalać. A kapitulacja przed rozwijającymi się właśnie do natarcia nieprzyjacielskimi czołgami rokowała niewielkie nadzieje wobec stosowanej przez nie taktyki, która polegała najpierw na ostrzale wszelkich potencjalnych miejsc oporu, potem zaś na frontalnym ataku. Przeciwnik nauczył się tego szybko, nie napotykając obrony przeciwpancernej i po szybkiej eliminacji nielicznych przestarzałych czołgów.

Jedynym wyjściem było ukrycie się w możliwie najlepiej osłoniętych miejscach i przeczekanie ostrzału. Czołgi rozjechały w końcu wioskę, pozostawiając za sobą

rozrzucone, płonące belki chałup i rozwalone kominy. Potem ruszyły dalej, nie poświęcając uwagi pozycji, z której padły nieszkodliwe strzały. Nieprzyjaciel nie zwracał sobie głowy jeńcami, parł dalej na wschód, by zgodnie z założeniami uchwycić jak najwięcej terenu. Dopiero później mieli nadejść ci, którzy zajmą zdobyty obszar.

Nie pamiętał, jak w zasnutej dymami pożarów wiosce zebrała się resztką batalionu, z którego pozostała zaledwie drużyna, ani jak podniesiono go z rozrytego gąsienicami okopu. Ocknął się dopiero na skrzyni trzęsącej się ciężarówką, na wyboistej, wypełnionej uchodźcami drodze.

„O Jezu, panie kapitanie... Wykrzywiona grymasem twarz młodego żołnierza w przekrzywionym hełmie na tle ciemniejącego nieba, które zaraz rozпали się ogniem wybuchów... Jak zatrzymana w kadrze ciemna sylwetka samolotu...

Dość wspomnień. Pora zejść z drogi, pomyślał znowu.

Za Ostrowią droga opada w dół z niewielkiego wzniesienia. Biegnie prosto aż do zakrętu za samotną leśniczówką albo gajówką. Podszyty jałowcami las gęstnieje, znikają akacje i zdziczałe śliwy ałycze, porastające rowy w pobliżu miasta.

W prawo odchodzi porządny szutrowy trakt, wiodący przez Nagoszewo i Turkę aż do Broku, do mostu na Bugu. A właściwie do miejsca po nim, ponieważ podzielił los większości mostów, zniszczonych w pierwszych godzinach wojny, gdy bomby spadły na przeprawę.

Nieważne, pomyślał, maszerując po chrzęszczącym żwirze. Lato suche, Bug nie jest głęboki. W czasie wakacyjnych wypraw w zamierzchłych, przedwojennych czasach, poznał miejsca, gdzie rzekę można przejść w bród, zwłaszcza przy niskim stanie wody. Pamiętał też typowe podlaskie łódki. Wąskie puchówki z sosnowych, smołowanych desek, ukrywane w nadbrzeżnych zaroślach, przykute łańcuchami do pni rosnących nad brzegiem olch. Może jakąś znajdzie.

Słońce stało jeszcze wysoko. Miał nadzieję, że przed zmierzchem dotrze nad rzekę, do której pozostało tylko dwanaście kilometrów, nieco dalej niż wygodną, acz niebezpieczną szosą. Zamierzał zejść z szutrowej drogi i ruszyć skrajem lasu. Nie przypuszczał, by wróg obsadził tak nieistotne, leżące na uboczu miejscowości, ale należało się obawiać patroli zmotoryzowanych. Prawda, w Turce jest szkoła... Duża, znakomicie nadająca się na punkt łączności albo posterunek opl. Tym bardziej trzeba ją ominąć.

W lesie było chłodniej, ciężki płaszcz za bardzo nie dokuczał. Zbity i wilgotny żwir pod nogami już nie chrzęścił, droga biegła właśnie niższymi, bagnistymi partiami lasu, mokro tu było nawet w środku upalnego lata. Uśmiechnął się, przygryzając wargi,

przyjeżdżał tutaj na grzyby, albo po prostu mijał to miejsce, gdy udawał się do Ostrowii po zakupy.

Las tłumi odgłosy, a rozmyślania nie sprzyjają ostrożności. Gdy wspominał, jak kiedyś, właśnie w tym miejscu, oparł rower o drzewo i rozciągnięty na mchu spoglądał długo w snujące się po błękitnym niebie cumulusy, zachrząścił szuter pod oponami szybkiego pancernego wozu rozpoznawczego.

Zamarł na środku drogi, zdając sobie sprawę, że za późno, by uskoczyć i schronić się w lesie, jak na złość wysokim, z rzadko rozrzuconymi jałowcami. Wiedział, że daleko nie odbiegnie w ciężkich butach, które grzęzłyby w jagodowisku. W każdym razie nie na tyle, by nie dopędziły go pociski z MG.

Mógł tylko zejść na pobocze, powoli, nie robiąc gwałtownych ruchów. Patrzeć na zbliżający się wóz z nadzieją, że nie zmarnują amunicji na kolejny odpad pokonanej armii.

Nie odwrócił wzroku, gdy wielkie, żebrowane opony przetaczały się obok niego, pryskając kamykami. Wiedział, że to niezbyt rozsądne, ale popatrzył prosto w twarz wychylonego z „wieżyczki” żołnierza, tam gdzie za zakurzonymi goglami spodziewał się dostrzec oczy. Nie dostrzegł. Jedyne czarne oko lufy kaemu, prowadzone przez grenadiera, spozierało przez cały czas gdzieś na sprzączkę jego pasa.

Bezmyślnie rejestrował szczegóły, wciąż czekając, aż wyraźnie widoczna dłoń w czarnej rękawicy zaciśnie palec na spuście, karabin szarpnie zwisającą z boku taśmę, której koniec nikał w skrzynce amunicyjnej z przetłaczanej blachy.

Czarne oko lufy zniknęło. Grenadier nie chciał zadawać sobie trudu i obracać dalej broni. Nie uznał oficera w obszarpanym płaszczu i koślawych butach za wartego kilku naboí.

Wóz rozpoznawczy ryknął gwałtownie otwartą, przepustnicą i przyspieszył. Spod ośmiu kół trysnęły fontanny żwiru.

Nie poczuł ulgi, nie miał na to czasu. Zza zakrętu drogi z charakterystycznym niskim dudnieniem i szczękiem gąsienic wytoczyło się cielsko czołgu. Za nim drugie, i jeszcze następne. Plamy słońca przefiltrowane przez gałęzie pełgały po pancierzach znaczonych na wieżach czarnymi krzyżami.

Ludzie w otwartych włazach nie byli równie czujni, jak kaemista w wozie rozpoznawczym, nie mieli nawet hełmów, tylko czarne furażerki. Pokazywali palcami stojącą na poboczu samotną postać.

Oni unikają lasu, wolą dobre drogi, otwarte pola. Czołg w lesie jest ślepy. Tu jesteśmy bezpieczni, mamy przewagę. Kolejna utarta prawda, powtarzana do znudzenia ku

pokrzepieniu i tak dalej... Jak ta, niegdysiejsza, że ich czołgi są z tektury. Nie sforsują więc Wisły, bo się rozkleją.

Wytrzymał rozbawione spojrzenia, radosne okrzyki ginące w huku silników. Stał z podniesioną głową, zdając sobie sprawę, jak wygląda w obszarpanym płaszczu, przedpotopowej czapce, z kilkudniowym zarostem na zapadniętej twarzy. Spoglądał prosto na nich i widział, jak pod tym spojrzeniem zamierają szydercze uśmiechy, jak oczy pod furazerkami stają się stalowe i pozbawione wyrazu.

Kierowca szarpnęła dźwignię. Gąsienica na chwilę zamarła, - czołg zarzuciło na pobocze. Oficer pokonanej armii wpadł do płytkiego rowu, obsypany piachem i żwirem wyrzuconym spod gąsienic. Gdy podniósł głowę, kin ar i plując piaskiem, poprzez oddalający się odgłos silnika przebił się szyderczy, zadowolony gardłowy rechot.

Rzeczka nazywała się tak, jak miejscowość - Turka. Przypominała zwykłą, strugę zasilaną opadami z pól - płytką i wąską. W oddali jej bieg znaczyły tylko wysokie olchy, przecinające pasmem łąki.

Figurowała jednak na mapach, nawet tych mniej szczegółowych. Woda była taka jak niegdyś, zimna i czysta, wartko płynęła po zwirowym dnie. Przynosiła ulgę otartym, opuchniętym stopom.

Postanowił przenocować w jałowcach na skraju lasu i zjeść ostatnią konserwę, ostatnią z tych, które przed kilkoma dniami zabrał z rozbitej ciężarówki. Schweine Zungen, ozorki w galarecie. Wkrótce będzie musiał się rozejrzeć, zaryzykować nawet zajście do chałupy. Czeką go daleka droga, a trzeba: jeść.

Wyraźnie widoczne na horyzoncie zabudowania wyglądały na nietknięte wojną. Jakby nic się nie wydarzyło. Jedynym niepokojącym elementem była wznosząca się nad nimi cienka igła z ledwie widocznymi odciągami.

Masz antenowy, spostrzegł, wyteżając wzrok, gdyż lornetkę stracił już dawno. Domyślał się, że Turkę już zajęli, może założyli punkt łączności, może stanowisko opl. Położenie było dogodne, blisko szosy tranzytowej: pomiędzy Wyszkowem a Ostrowią Mazowiecką. W ciszy zmierzchu nawet z tak daleka słychać było dudnienie posuwających się nią transportów.

Spotkanie z pancernym patrolem w lesie wytrąciło go z chwiejnej równowagi, w której znajdował się od początku powrotu z przegranej: wojny. Ale gdy starał się spokojnie o tym myśleć, doszedł do dość pocieszającego wniosku. Wróg nie polował na poszczególnych nieuzbrojonych żołnierzy nie starał się ich wziąć do niewoli. Pewnie miał dość kłopotu z tymi, których już złapał..

Okazało się, że decyzja, by nie zrzucić munduru i nie szukać cywilnych łachów, była właściwa, A może inaczej, nie była z gruntu niewłaściwa. Nie wiedział, czy cywil jeden z rzeszy uchodźców nie poradziłby sobie lepiej. Ale nie chciał po prostu zginąć w gromadzącym się w miasteczkach i obozowiskach tłumie, który pod czujnym okiem zwycięzców tłoczył się wokół kotła z zupą.

To nie było świadome postanowienie wynikające z odmowy złożenia broni, kontynuacji walki, nie poddania się. Raczej; brak decyzji, logiczne następstwo ostatnich tygodni, podczas których czuł się porwany przez rozgrywające się wydarzenia. Kiedy o kolejnych posunięciach rozstrzygano najwyżej kwadrans wcześniej. A najczęściej decydowano za niego.

Chciał tylko wrócić. Przecież zawsze się wraca. Nawet jeśli nie ma do czego.

Przedwieczorna cisza usypiała, a obolałe nogi drętwiały w zimnej wodzie.

Podobno zawsze jest czas, gałązka trzaśnie pod butem skradającego się, zadźwięczy sprzączka oporządzenia. Wystarczy go, by sięgnąć pod płaszcz, chwycić karabinek i poderwać się w półobrocie. Wymierzyć, nacisnąć spust...

- O Jezu!

Zarośnięta gęba wykrzywiona strachem.

Cicho podszedł, sukinsyn, pomyślał, opuszczając broń.

Wstał, starając się nie spuszczać z oka przestraszonego chłopca. Syknął z bólu, gdy stanął bosą stopą na ostrym, ukrytym w trawie kamyku.

- O Jezu, to ja... - jęknął chłop, jakby to wszystko wyjaśniało. Oficer kiwnął głową, odkładając karabinek. Usiadł, wciągając skarpety na mokre, uwalane piaskiem stopy.

Chłop przykucnął obok, spoglądał z ukosa na wymykające się spod czapki siwe włosy. Wyciągnął zgniecioną paczkę papierosów.

- Pan kapitan z rezerwy... - mruknął.

Nie zabrzmiało to jak pytanie, toteż nie uzyskał odpowiedzi.

- Z rezerwy... - powtórzył chłop mrukliwie i smarknął. - Widać... - dodał zupełnie niepotrzebnie.

Wydłubał pękniętego papierosa, splunął na palec, starannie skleił bibułkę i wetknął do ust. Zmitygował się po chwili, ukazując w uśmiechu nieliczne zęby. Wyjął papierosa.

- Pan kapitan zapali... Tak z ręki, ale ostatni był...

Pan kapitan dociągał rzemyki kamaszy, czując, jak skręcają mu się wnętrzności. Ostatniego wypalił przed dwoma dniami, popękany, zaśliniony papieros przyciągał wzrok.

A żeby go, z ręki, pomyślał, O gębie nie powiedział... Darowanemu koniowi...

Spojrzał łaskawiej na zarośniętego mieszkańca Kurpiów i Podlasia. Papieros nie miał ustnika, dlatego mógł włożyć go w usta nie zaślinioną stroną. Niecierpliwie szczęknął pretensjonalną, benzynową zapalniczką, jedyną pamiątką po koledze, również rezerwiście, i zaciągnął się chciwie.

- A zostaw pan trochę popalić, to ostatni - przypomniał chłop.

Chłop szedł pierwszy, utyskując i zionąc przetrawioną wódką. Front, który niedawno przetoczył się przez okolicę, nie zmienił w niczym zwyczajów ludu. Zresztą z nieskładnych, przerywanych przekleństwami wynurzeń wynikało, że tutaj zapuszczały się tylko patrole. Główne uderzenie poszło bokiem, na Małkinię i Białystok.

Dotarli do opłotków z rozpadających się sztachet i zardzewiałego drutu kolczastego. Zapadł już zmierzch i zabudowania z ciemnymi oknami wyglądały na wymarłe.

Żołnierz włókł się za chłopem. Wymoczenie nóg w strudze niewiele pomogło; gdy włożył kamasze, stopy piekły jak przedtem. Ale w perspektywie miał nocleg, jeśli nie w chałupie, to przynajmniej na sianie w stodole. Może szklankę mleka, a nie tylko obiecywaną przez cały czas gorzałę.

- Psia... Przecie żem rozplatał, jak do was szłem... - Chłop mocował się z opornym drutem. - A, może to tamój, nie tutaj...

Przerdzewiały drut puścił. Zresztą można było sobie darować rozplątywanie, pojedyncze pasmo zwisało wystarczająco nisko nad pastwiskiem, by je bez trudu przekroczyć.

- To się chłopaki ucieszą, oficer z bronią...

Gdy do rezerwisty dotarła treść mamrotania zarośniętego przewodnika, stanął jak wryty i szarpnął chłopca za ramię.

- Zaraz! - Opadło zmęczenie, znów był czujny i nieufny. - Jakie chłopaki?

- Nasze! - W mętnych oczach błysnęło zdziwienie. - Nasze chłopaki, wojsko przecie, nasze... Nie mówiłem?

- Nie mówiliście, dobry człowieku... - Rezerwista zgrzytnął zębami, nie hamując złości.

Chłop zamarł z otwartą gębą. Wprawdzie nie wyglądał na bystrego, a i stan permanentnego nasączenia bimbrem, w którym znajdował się co najmniej od kilkudziesięciu lat, nie sprzyjał dodatkowo orientacji. Ale nawet on wychwycił nutę gniewu w głosie kapitana.

W rozbieganych oczach błysnęła podejrzliwość. Stracił dłoń żołnierza.

- A co to, panie kapitanie? - spytał wolno. - Co wy tak?

Rezerwista mruknął coś pod nosem i odwrócił się. Nie miał zamiaru tłumaczyć wszystkiego, co sam wiedział i widział. W pojedynkę miał znacznie większą szansę. Byli już tacy, co próbowali tworzyć grupy, licząc na to, że będzie łatwiej zdobyć żywność i się obronić.

Tak to wyglądało w teorii.

W praktyce było zgoła inaczej. O ile najeźdźcy lekceważyli pojedynczych, nawet umundurowanych żołnierzy pokonanej armii, o tyle na grupki, - choćby najmniejsze, zawzięcie polowali. W najlepszym wypadku kończyło się to za drutami tymczasowych obozów jenieckich.. Ale bywało gorzej.

- Może wyście dezerter albo i co... - Chłop splunął soczyście.

Rezerwista, mimo złości, roześmiał się tylko, zbijając chłopca z pantałyku.

Dezerter, pomyślał rezerwista, patrząc na chłopca, który zsunął na tył głowy beret z antenką i drapał się stropiony po skudlonych włosach. Ciekawe, skąd tu można zdezerterować. I ewentualnie dokąd.

- Bo wie pan, panie kapitanie...

Już lepiej, znowu jestem kapitanem, pomyślał.

- Wie pan, różni się tu kręca...

- Jacy różni? - zapytał ostro.

Chłop zdecydowanym ruchem nasunął beret na czoło.

- Ano, różni... Dezerterzy... I tacy, no...

Nie ma pojęcia, z kim ma do czynienia, zrozumiał żołnierz. Zobaczył mundur i dystynkcje. A teraz nie wie, czy nie zabrnął w coś z czego się nie wypłacie.

Kątem oka dostrzegł błysk nieufnego spojrzenia. Cholera by go...

- Posłuchajcie, gospodarzu - zaczął. - Ja chcę tylko przenocować, rano sobie pójdę. Wracam do domu, wojna się skończyła...

To nie była cała prawda. Owszem, wojna się skończyła. Lecz domu nie miał, zanim wyruszył na tę wojnę. Potrzęsął bezradnie głową, nie potrafił z siebie wydusić nic więcej.

O dziwo, to przekonało nieufnego chłopca. Gdzieś w głębi zamroczonego umysłu błysnęło zrozumienie. I coś na kształt współczucia.

Zarośnięty chłop już wiedział, że nie stoi przed nim dezerter ani wysłannik kryjącej się w lesie bandy maruderów. Ponownie poskrobał się po czuprynie, zsunawszy beret na ucho.

- Nic to... - mruknął z zakłopotaniem. W twarzy skrytej w ciemniejszym mroku błyskały tylko przekrwione białka.

- Nic... - dodał po chwili, niezdecydowanie przestępując z nogi na nogę. - Chodźmy, czekają...

Rezerwista się otrząsnął. Nieważne, pomyślał. Pewnie jakieś niedobitki, uznali, że w kupie bezpieczniej, a przynajmniej raźniej. Przenocuje i rano wyruszy. Jeśli uda starego pierdołę, nie będą nalegać, żeby się przyłączył. Uśmiechnął się zdawkowo. Tak po prawdzie nie trzeba nawet udawać.

Chłop jego uśmiech potraktował opacznie.

- Widzi pan kapitan! Nie ma to jak na swojaków trafić. Żołnierz pokiwał głową, ruszając w kierunku ciemniejących niedaleko budynków. Nie miał ochoty na sprzeczkę.

To nie była grupka rozbitków z frontu ani banda maruderów, którzy korzystając z walającej się w każdym rowie broni, postanowili zadbać o własne interesy.

Gdy przekroczyli następne ogrodzenie z zardzewiałego drutu kolczastego, obejście wyglądało na wymarłe. Nie przywitało ich szczekanie psa, z pustego otworu budy zwiślał tylko łańcuch. Wiejskie kundły też padły ofiarą wojny. Patrole strzelały do wałęsających się psów. Obawiano się epidemii, zbyt wiele ciał pogrzebano płytko na polach i w lasach. Albo w ogóle nie pogrzebano. Reszty dokonywali sami chłopcy, aby szczekanie nie zdradzało zamieszkaną sadybę.

Okna niskiej chałupy z belek na zrąb były ciemne. Dopiero gdy wyteżył wzrok, dojrzał w jednym z nich słaby czerwony odblask żaru bijący spod kuchennej płyty.

Gdy znajdowali się w połowie podwórza, skrzypnęły drzwi.

- Stój, kto idzie? - padło z ciemnej sieni, poparte wyraźnie słyszalnym w ciszy wieczoru trzaskiem zamka.

Rezerwista zamarł, zatrzymał się w pół kroku, omal nie wpadając na leżące w trawie zardzewiałe, niezidentyfikowane narzędzie rolnicze. Chyba bronę. Chłop nie stracił rezonu.

- Swój... - iMie był specjalnie oryginalny.

Ciekawe, za którym razem jego zwykła odzywka nie wystarczy, pomyślał mimochodem oficer.

- Pan tak nie stoi, panie kapitanie. - Chłop się odwrócił. - Do chałupy proszę...

Z ciemnej czeluści sieni błysnęło światło z osłoniętej dłonią latarki. Oświetliła na moment oficera i prześlizgnęła się po twarzy chłopca, aż oślepiony zakrył dłonią oczy.

- Przecie mówię, swój! - zdenerwował się chłop. - Zagaś to! Zobaczą i... Skryty za snopem światła wartownik zarechotał.

- Zagaś te baterijkę, psiamać! Wszystkich nas przez to...

- A nie bój się, gospodarzu. - Wartownik zaśmiał się jeszcze głośno; niej. - Oni jak mysz pod miotłą siedzą, po zmierzchu ani wyjrzą. Tu nie przyjdą, nie bójcie się, dopiero my do nich...

- Zamknij pysk! - rozległ się głos kogoś starszego. - Przestań dziobem kłapać i zgaś to! Wartownik mruknął coś pod nosem. Ale wyłączył latarkę.

- Wchodzić! - rzucił krótko i ostro, chcąc tym tonem pokryć zakłopotanie.

- Pan kapitan pierwszy. - Gospodarz nieoczekiwanie wykazał się dobrymi manierami, wykonując słabo widoczny w mroku zapraszający gest.

Rezerwista zawahał się. Mrugał przez chwilę, czekając, aż oczy przywykną do ciemności. Wprawdzie światło ominęło jego twarz, ale odruchowo spojrzał w stronę latarki.. Nie chciał wchodzić pierwszy, nie, chciał potknąć się o coś w ciemnej sieni, rozbić głowę o powałę. Poza i tym coś tu nie pasowało. To nie było regularne wojsko.;

Otwór sieni rozjaśnił chwiejny blask. Ktoś osłaniał dłonią pęlgający; płomyk. Błysnęła oksydowana lufa karabinka zawieszzonego na szyi wartownika. Rezerwista zmrużył oczy, dostrzegał już szczegóły. Zaklął pod nosem...

Nie było na co czekać, ruszył do przodu. Wszedł do sieni, wartownik odsunął się, salutując do gołej głowy, co wywołało skrzywienie na twarzy tego ze świeczka. Rezerwista wprawił go w jeszcze większe zakłopotanie, niedbale oddając salut. Stał i rozejrzał się.

Niedobrze.

Wartownik, na oko najwyżej siedemnastoletni, miał nowiutki, jak spod igły, mundur Strzelca. Ten ze świeczką był starszy, ale niewiele. Osłaniany dłonią płomyk oświetlał młodą twarz i galony podchorążego na wyjściowej kurtce mundurowej.

To nie przekradający się do domów rozbitkowie ani maruderzy, tylko ci, co spóźnili się na barykady.

Przez chwilę na twarzy podchorążego malowała się konfuzja. Z kłopotu wybawił go chłop, który mruczając coś pod nosem, wziął świeczkę i zaklął głośno, gdy gorąca stearyna spłynęła mu na dłoń. Podchorąży wyprężył się na baczność.

- Panie kapitanie! Szeregowy podchorąży Mazioł melduje oddział w gotowości do działań!

- Kapitan Wagner. - Chwilę taksował wzrokiem wyprężonego podchorążaka. Podchorąży bezbłędnie rozpoznał rezerwistę, przez chwilę w jego oczach błysnęła wyższość, którą zawodowi tak lubili okazywać. Jednak widoczny pod rozpiętym

płaszczem, zwisający lufą w dół krótki karabinek budził mimowolny szacunek. Polski oficer z bronią to ostatnio rzadki widok.

- Spocznij - rzucił po chwili Wagner. Wzrok podchorążego zdradzał ulgę. Wagner domyślał się, o co chodzi. Wreszcie znalazł się ktoś, kto przejmie dowodzenie. A przynajmniej tak się podchorążemu wydawało.

Nie jest najgorzej, pomyślał rezerwista. Może nie będą się spierać, może się podporządkują. Zaklął pod nosem. I tak tylko problem.

- Słucham, panie kapitanie?

Wagner pokręcił głową zupełnie po cywilnemu. Podchorąży nie zwrócił na to uwagi.

- Jaki oddział? - spytał rezerwista niedbale. Nie był specjalnie ciekaw, odpowiedź nie mogła być sensowna.

- Oddział wydzielony Wojska Polskiego!

Ładna nazwa, pomyślał Wagner, dobra jak każda inna. Co dalej? Zdecydował gospodarz. -

- A co tak w sieni stać? - zapytał retorycznie. - Do izby prosimy, do izby. Napić się czego, ziąb taki...

- Pan poprowadzi, panie podchorąży. - Wagner skinął głową. Reszta oddziału wydzielonego kwaterowała za następnymi skrzypiącymi drzwiami, w dużej izbie. Kolejny siedemnastolatek w mundurze.

Strzelca i dwóch jeszcze młodszych, w harcerskim khaki. Mieli co najwyżej po piętnaście lat. Poderwali się natychmiast bezładnie, nie bardzo wiedząc, jak witać oficera wchodzącego do izby, Wagner skinął im głową, nie chcąc prowokować do bardziej desperackich czynów.

Za towarzystwo w rozświetlonej naftową lampą izbie oddział wydzielony miał młodą dziewczynę, która trzymała na kolanach śpiące niemowlę, oraz dwa spore wieprzki w kojcu zbitym z desek, Wagner popatrzył na okno zaciemnione kocem wojskowym, przybitym starannie do futryny.

Spojrzenie dziewczyny, której nijaką urodę psuły jeszcze bardziej grube, jakby opuchnięte rysy, prześlizgnęło się po Wagnerze. Po chwili opuściła wzrok.

- Synowa nie tego trochę... - wyjaśnił chłop, który wpakował się za nimi do izby. - Odkąd powiastkę dostała... My już odżałowali, dwóch mamy jeszcze, w niewoli, ale ona czegoś nie może.

Musiał zginąć na samym początku, kiedy jeszcze zawiadamiali, zrozumiał rezerwista. Spojrzał na śpiące niemowlę, które już nie zobaczy ojca.

- Tak było pisane, - Chłop najwyraźniej wierzył w przeznaczenie, - A starszych Najświętsza Paniienka ochroni, jako i nas.

Wagner tylko się skrzywił. Miał dość sceptyczne zdanie na temat zamiarów i możliwości Najświętszej Paniienki, Co gorsza, wielowiekowe doświadczenia to potwierdzały.

- Kobita strawę warzy. - Chłop nie dawał nikomu dojść do słowa, nie zwracał uwagi na podchorążego, który najwyraźniej chciał przejąć inicjatywę. - Długo, bo po ciemku, ale kiszka będzie. Kaszanka. I świeżyzna.

Po raz pierwszy tego wieczora Wagner poweselał, mimo skurczu, który poczuł nagle w żołądku, pozbawionym od dawna ciepłej stawy. Popatrzył na kojec, który niedawno miał jeszcze jednego lokatora. Pozostałe dwa wieprzki pochrząkiwały, nie zdając sobie sprawy z nieuchronnego losu.

- Panie kapitanie...

- Dajcie spocznij, panie podchorąży. - Wagner spostrzegł, że cały oddział wydzielony wciąż stoi na baczność.

- Panie kapitanie...

- Jutro, panie podchorąży, jutro. Na dzisiaj miał dość.

- Panie kapitanie.

Przez resztki snu przebijał się natarczywy głos, Wagner naciągnął koc na głowę, nie bacząc na łaskoczące w twarz źdźbła. Nie pomogło. Do głosu doszło potrząsanie za ramię.

- Panie kapitanie.

Odrzucił koc, powiódł chwilę dokoła nieprzytomnym wzrokiem, usiłując uświadomić sobie, gdzie się znajduje, Kości bolały od niewygodnej pozycji na zbyt miękkim sianie.

Z wysiłkiem skoncentrował się na pochylającej się nad nim zarośniętej twarzy. Zanim ją rozpoznał, znajomy zapach przetrawionej gorzały przypomniał mu wczorajszy wieczór.

- Pan kapitan kazał świtem się budzić - usprawiedliwiał się gospodarz, - To i budzę.

- Aha... - mruknął oficer, rozpaczliwie usiłując nie stoczyć się z powrotem w sen. Wiedział, że jeśli zamknie oczy, to znów zaśnie. Z trudem usiadł.

Przez tę wyzerkę, pomyślał. Pierwszy gorący posiłek od... Mniejsza z tym. Dobrze, że udało się wykręcić od samogonu. Podchorążemu wprawdzie podejrzanie błyszcząły oczy, ale w obecności oficera nie śmiał pić bez pozwolenia, A pozwolenia nie dostał.

Już wtedy Wagner wiedział, że wpadł w większe kłopoty, niż przypuszczał. Podchorąży Mazioł nie wyglądał na orła. Smarkacz, z którego wojsko zrobiło automat

nieskażony myśleniem. Jeden z tych młodych, ogłupionych propagandą patriotów i nacjonalistów, I jeszcze ten błysk w oczach na widok gorzały.

Cicho zaklął, przypominając sobie o czekającym go zadaniu, Maziół to młot, kandydat na trepa w najgorszym wydaniu. Pozostałe chłopaki młode i głupie, za to pełne zapału. I mnóstwo broni, z której można postrzelać, - -

Nie próbował nawet przekonywać, wiedział, że nie odniesie to skutku, a sam straci tylko przysługujący z racji wieku i stopnia autorytet. Przeciwno jego słowom świadczyła tradycja beznadziejnych powstań, cała patriotyczna, narodowa i religijna propaganda, wbijane przez lata hasła o narodzie wybrańców. Zdawał sobie sprawę, że nie przekonają ich argumenty o represjach i losie podobnych grup. Nie byli przecież pierwsi, pewnie nie będą ostatni.

Jedyną szansą był krótki rozkaz złożenia broni, okraszony na pociechę opowieścią o czekaniu na odpowiednią chwilę, Musiał sobie tylko poradzić z podchorążym.

Wciągnął buty, mozoląc się przez chwilę ze sprzączkami, Wstał ociężale, pchnął prześwitujące szparami w deskach wrota stodoły, Stanął na chwilę, oślepiiony wysoko już stojącym jesiennym słońcem.

Wysoko stojącym słońcem, zrozumiał, nagle zupełnie rozbudzony, To na pewno nie był świt.

Zarośnięty autochton stał obok, wykrzywiając zarośniętą gębę w uśmiechu, który spelzł nagle, gdy Wagner ze złością szarpnął go za ramię.

- To jest świt?! Miałeś o świcie budzić.

Chłop był wyraźnie urażony, Przecież chciał dobrze.

- A co szkodzi się wyspać? Przecie widziałem, że pan kapitan na ostatnich nogach.

Wagnerowi opadły ręce, Nie zrozumie, pomyślał, widząc zdziwienie i urazę na twarzy chłopca, Powiniennem być mądrzejszy, Swoją drogą ciekawe, przemknęło mu przez głowę, jak on to robi, że wciąż ma taki sam siwy zarost, ani dłuższy, ani krótszy, Nieważne.

- Podchorąży w izbie? - spytał, rozglądając się dookoła. Nie dostrzegł żadnego ruchu. Obora pusta, podobnie jak psia buda, nawet kury nie kręciły się po obejściu. Pewnie wyłapali, swoi, obcy, co za różnica.

- A! - potwierdził chłop, zakręcił się w miejscu, - Już idę, meldować kazał, kiedy się pan kapitan obudzą.

Podążył do chałupy, zniknął w ciemnej sieni. Wzrok Wagnera przyciągnął jakiś ruch. W małym bajorku, otoczonym wierzbami, pływało stado kaczek, Tafelka wody lśniła

pośrodku podmokłej łąki, nieopodal zabudowań. Dziwne, pomyślał, kur nie ma, a kaczki ocalały.

Przeniósł spojrzenie dalej, aż zatrzymał je na lśniącym w słońcu, wyraźnie widocznym maszcie radiostacji, niedaleko, ze trzy, cztery kilometry. Zesztywniał na chwilę, po czym wsunął się w cień stodoły, pod samą ścianę z poczerniałych, rozeschniętych desek.

Trzeba uważać, skarcił się w myśli, a nie łązić po otwartym terenie. Przewiesił karabinek przez ramię, sprawdził magazynek. Miał niejasne przeczucie, że lepiej być przygotowanym. Na co, nie wiedział i wołał się nad tym nie zastanawiać.

Na podwórku pojawił się podchorąży Mazioł, W odprasowanym wyjściowym mundurze, w lśniących oficerkach wyglądał zupełnie nie na miejscu, Wrażenie psuł tylko blaszany hełm starego wzoru, jego wypolerowana zielona farba chwytła odbłaski słońca. Jeśli Wagner miał jeszcze wątpliwości, pozbył się ich zupełnie.

Głupi pozer, pomyślał, w sam raz, by imponować gówniarzom, Typowy produkt armii, dla której sztandary i kapelani byli ważniejsi od uzbrojenia.

Maziołowi należało jednak oddać sprawiedliwość. Oprócz dyndającego na piersi ryngrafu miał broń, W kaburze na biodrze zwiślał wielki pistolet, podtrzymywany pasem z koalicijką, co w przypadku podchorążego było jawnym pogwałceniem przepisów mundurowych.

Trzeba ostro, pomyślał po raz któryś z rzędu Wagner, gdy podchorąży stanął przed nim na baczność, Przez chwilę mierzył go wzrokiem.

Tę sztuczkę podejrział u starego pułkownika, swojego pierwszego polowego dowódcy. Pułkownik też był rezerwistą, musiał przejść w stan spoczynku, gdy armia pozbywała się takich jak on, niesłusznych politycznie i światopoglądowo. Dopiero gdy trzeba było sięgnąć do wszystkich rezerw, przypomniano sobie o nim.

Pułkownik zawsze przed wydaniem rozkazu patrzył chwilę w milczeniu, aż podwładny zaczynał się zastanawiać i tracić rezon. Zdradził swój sekret Wagnerowi, jakby przeczuwając, że wkrótce właśnie Wagner przejmie po nim dowodzenie, Kolejka do dowództwa skróciła się bowiem nadspodziewanie, brakowało już zawodowców. Zanim jeszcze następnego dnia sztabowy łązik nadział się na dwa transportery rozpoznawcze, pułkownik zdążył pouczyć Wagnera, że im marniejszy podwładny, tym lepiej to skutkuje.

- Zbierzcie oddział, podchorąży - wydał rozkaz. Mazioł nie ruszył się z miejsca.

- No co jest, nie słyszeliście, podchorąży? - świadomie użył formy „wy”.

- Sły... - Mazioł był wyraźnie zaskoczony. - To jest... Tak jest, panie kapitanie, Melduję, oddział jest na patrolu.

Wagner był raczej wściekły na siebie niż zaskoczony. Mógł to przecież przewidzieć, Zbliżył się do podchorążego, Słaby, choć wyczuwalny zapach samogonu zirytował go jeszcze bardziej.

- Rozkazałem wczoraj przygotować oddział do przeglądu! - syknął podchorążemu prosto w twarz. Podchorąży się cofnął.

Na dodatek nie jest zbyt odważny, spostrzegł Wagner, taki typ drobnego krętacza. Domyślał się tego już wczoraj. Mazioł dziwnie mętnie opowiadał o sobie i o dotychczasowej służbie. Na rękawie miał naszywki czwartego rocznika, które najwyraźniej zapomniał odpruć, Czwarty rocznik i wciąż szeregowy?

Mazioł zebrał się w sobie, otrząsnął.

- Panie kapitanie! - szczechnął służbiście, jego poczerwieniała twarz świadczyła o niedawnym zmieszaniu, - Panie kapitanie, melduję, że sam pan kazał stanąć do przeglądu, jak tylko pan wstanie. Nie wstawał pan, to wysłałem ludzi...

- Sam pan podchoronży budzić zakazali! - obruszył się zarośnięty gospodarz.

Nie zauważył, kiedy podszedł i zaczął się przysłuchiwać, płonąc świętym oburzeniem.

- Sam pan podchoronży! - powtórzył. - Pan podchoronży mówili, że pan kapitan strudzony, budzić nie trza, bo i zły będzie...

- Zamknij się, chamie! - Mazioł nie wytrzymał. - Zamknij się, bo...

- Bo co? Tera pan kapitan komenderuje.

- Gospodarzu! - rzucił ostro Wagner, Nadal nie odrywał wzroku od poczerwieniałej twarzy podchorążego.

Chłop nie odszedł, tylko już się nie odzywał, jedynie popatrywał z ukosa. Mrużył przekrwione oczy, a na zarośniętej gębie widniał wyraz szyderstwa. Widać odsłużył kiedyś swoje, miał wpojony odruchowy szacunek dla szarży.

Cisza się przedłużała, wypełniało ją tylko dobiegające z dala pokwakiwanie taplających się w bajorku kaczek. Mazioł tracił pewność siebie.

Wagner pomyślał, że nawet dobrze się składa. Podchorąży sam się podłożył. Nie trzeba będzie szukać pretekstu, I dobrze, że nie ma przy tym młodziaków. Potem wyda im rozkaz, ostatni rozkaz w tej ich wojnie. Okraszony wielkimi słowami o powinności, o cierpliwym oczekiwaniu. Powinno poskutkować, jeśli... Właśnie, jeżeli Mazioł nie będzie stawał okoniem. To on trzymał cały oddział. Bez niego będą gromadą przestraszonych, zdezorientowanych smarkaczy.

Tylko to mogę zrobić, doszedł do wniosku Wagner, obserwując, jak twarz podchorążego coraz bardziej czerwienieje. Tylko to.

Nieprawda. Mogłem odejść z samego rana albo jeszcze, wczoraj, pozostawiając smarkaczy własnemu losowi, niewątpliwie marnemu.

Jeszcze wczoraj Mazioł sprawiał wrażenie kandydata na żywą torpedę. Dziś Wagner nie był już tego pewien, Podchorąży raczej wyglądał na tchórzliwego i leniwego watażkę, kryjącego się za plecami chłopaków, odważnych młodzieńczą odwagą, która opierała się na niewiedzy i przekonaniu o własnej nieśmiertelności.

Nie mógł odejść, wykraść się jak złodziej, pozostawiając smarkaczy pod rozkazami Mazioła. Zbyt wiele widział po drodze, podczas krótkiej wojny i zaraz po klęsce.

Przypomniawszy sobie smarkaczy w harcerskich mundurkach, z przedpotopowymi, pięciostrzałowymi mosinami, wyciągniętymi z arsenału szkolnego kółka strzeleckiego, i starszego człowieka, który im towarzyszył, księdza o płonących fanatyzmem oczach.

Nie skończyło się najgorzej. Kapelan nie zdążył poprowadzić wyrostków do ataku na niemieckie linie. Nie okrył się nieśmiertelną chwałą jak jego poprzednik, który przed laty wygubił podobnych gówniarzy w bezsensownej szarży na bolszewickie maximy.

Dowódca batalionu, którego stan osobowy wynosił trochę ponad pluton, nawet nie wysłuchał natarczywych żądań, by skierować ochotniczy oddział do boju, w imię Boga, Honoru i Ojczyzny. Popukał się w głowę, uznając propozycję za ponury żart. Nie zwrócił też uwagi na wykrzykiwane obelgi o zdrajcach, zapijaczonych Żydach i tchórzach, kiedy żołnierze odbierali karabiny nieletniemu wojsku. Przyglądał się spokojnie miotającemu się fanatykowi, pociągając jednocześnie z manierki, co dawało podstawy do niektórych wyzwisk. Dopiero gdy harcerzy odprowadzono pod eskortą na tyły, a niedoszły bohater narodowy siedział w chlewiku, służącym za tymczasowy areszt, pozwolił sobie na skwitowanie całej sytuacji. Zwięźle, krótko i niecenzuralnie.

Wagner przyglądał się temu z boku, zadowolony, że nie musi podejmować decyzji. Sam zastrzeliłby takiego sukinkota na miejscu. Jak ktoś chce popełnić samobójstwo, wbrew własnej religii, to niech sam idzie na czołgi nawet z kropidłem. Ale niech nie ciągnie nikogo za sobą.

Niedoszły bohater miotał się, grożąc na przemian sądem Bożym i polowym, zapewniając o gotowości do wszelkich poświęceń, ze śmiercią w obronie prawdziwej wiary na czele, Dobry Bóg wysłuchał jego prośb dość szybko, następna salwa z ciężkich haubic trafiła w polskie pozycje, a jeden z pocisków rozbił chlewik. Stwórca jak zwykle walił nieco na oślep, pozostałe pociski trafiły w punkt opatrunkowy, rozwiązując przy okazji problem rannych, dla których nie można było znaleźć transportu, Niezbadane są wyroki boskie.

Wspomnienia przelatywały przez umysł Wagnera, chłodno rejestrujący narastającą niepewność podchorążego Mazioła.

Za chwilę nie wytrzyma, ocenił.

Skrzypnęły drzwi chałupy, do odległego kwakania dołączył płacz niemowlęcia. Na podwórko wyszła dziewczyna o pozbawionych wyrazu oczach. Stała w słońcu, kołyszając zawiniątkiem, Poruszała ustami, ale nie słyhać było śpiewu, Ani modlitwy.

- Panie kapitanie... - Mazioł miał już dosyć, Obliznął spierzchnięte wargi.

Wagner mimo ulgi nie pozwolił sobie na uśmiech. Miał wątpliwości, czy oficer rezerwy w poplamionym mundurze i koślawych kamaszach piechoty, o siwych, wymykających się spod czapki włosach będzie dla podchorążego wystarczającym autorytetem. Nie wiedział, ile znaczą jeszcze kapitańskie gwiazdki widniejące na naramiennikach przekradającego się lasami uciekiniera, Mazioł jeszcze wczoraj pozwolił sobie na kilka niby przypadkowych, uszczypliwych uwag. Wyraźnie chciał sprawdzić, na ile może sobie pozwolić, gdy zagrożone nagle zostało jego niekwestionowane przywództwo nad grupką wyrostków. Najwidoczniej denerwował go podziw jaki „jego chłopcy” okazali oficerowi frontowemu, choćby rezerwiście. Smarkaczom imponowało, że Wagner nie porzucił broni jak inni, których zdążyli spotkać wcześniej po drodze. Od razu uznali go za jednego z nich, niezłomnych, którzy przysięgli wobec Boga i Ojczyzny kontynuować walkę. Wobec Boga i Ojczyzny, w tej właśnie kolejności. Należał do tych, którzy, jak przez wieki bywało, skrzykną drużynę i pójda w las.

Wagner osadził podchorążego. Tresura z podchorążówki działała, Mazioł szybko zrozumiał, że nie tędy droga. Zaczął kombinować, nadszedł czas, by go ustawić.

- Panie kapitanie... - spróbował znowu.

- Zamknijcie pysk, podchorąży, - Wagner się dziwił, jak łatwo zupacki ton przychodzi cywilowi, którym był do niedawna. To przez te filmy wojenne, przemknęło mu przez myśl.

- Zamknijcie pysk - powtórzył, - Nie wykonaliście rozkazu!

To wystarczyło. Lata koszarowego drylu przeważały. Bóg wojny w błyszczącym hełmie i wyprasowanym mundurku załamał się.

- P, panie kapitanie! - zająknął się. - Ja myślałem. To rutynowe.

- Gówno tam myślałeś - uznał Wagner - Chciałeś pokazać, kto tu rządzi. Udowodniłeś smarkaczom, że mimo wszystko mają cię słuchać.

Uśmiechnął się zimno, potęgując zdenerwowanie podchorążego.

- To rutynowe działanie - Mazioł wyrzucał z siebie słowa, pryskając kropelkami śliny,
- Patrol rozpoznawczy, zabezpieczenie empe.

- Milczeć! - Z twarzy Wagnera znikł uśmiech, - Co ty mi tu pierdolisz? Jakie zabezpieczenie? Jakie miejsce postoju?

- Według regulaminu...

- Zamknij ten głupi ryj!

No proszę, coraz lepiej mi idzie. Powinienem jeszcze dodać „kurwa”. Natychmiast się poprawił.

- Co wy mi tu, kurwa, pierdolicie! Jaki regulamin! Wysłałeś gówniarzy, a sam dupę w chałupie grzałeś!

Maziół był teraz blady jak ściana, zaciskał szczęki, aż mu zadrgały mięśnie na policzkach.

- Maziół, ty kutasie - Wagner kontynuował ze zjadliwym spokojem. - Jesteście tu od przedwczoraj, więc nie pierdolicie mi o rutynie. Nosa z chałupy nie wyściubiłeś, tylko żarłeś i wodę chlaleś...

Swoją drogą po raz pierwszy zdarzyło mu się trafić na takiego sukinsyna. Na wojnie nie spotkał nikogo podobnego, dopiero teraz wyłazili w wymuskanych mundurkach, wietrząc okazję. Nie miał złudzeń i wątpliwości. Maziół doprowadziłby wkrótce podwładnych do zguby. A sam niechybnie skończyłby jako rabuś i bandyta.

- Dokąd ich, kurwa, posłałeś? Nieokreślony ruch ręką.

- Tam...

- Gdzie, kurwa, tam?

- No, tam...

Podchorąży trzęsącą się ręką pokazywał w stronę Nagoszewa, gdzie ponad zabudowaniami sterczała cienka igła masztu. Wagner poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Dźgnął Maziola palcem w pierś, powstrzymując się w ostatniej chwili przed zrobieniem tego samego lufą karabinka.

- Tam - zakrztusił się z bezsilnej złości. - A możesz powiedzieć po chuj?

Maziół zaczął się cofać.

- No... - wydusił wreszcie. - Tam posterunek. Tego, rozpoznać.

- Maziół, ty idioto! Mówiłem wczoraj, że w lesie.

Wagner urwał, poczuł chłód na plecach. Zmełł pod nosem przekleństwo pod własnym adresem. Ty też jesteś kutas, nie dowódca, pomyślał mętnie. Potrząsnął głową.

- Ściągnij ich zaraz - powiedział cicho i spokojnie, Zaskoczony zmianą tonu podchorąży zamarł bez ruchu.

- J... jak? - jęknął bezradnie.

- Nie masz łączności? - zapytał rezerwista, znając odpowiedź, Mazioł nie mógł mieć łączności. Nie wyglądał na takiego, co o tym pomyśli. Wagner chwycił go za kołnierz munduru i przyciągnął do siebie.

- To zapierdalaj po nich! - syknął mu prosto w twarz, - Zapierdalaj, i to zaraz, tylko zdejmij ze łba ten świecący garnek, bo cię, kurwa za szybko zabiją... I lepiej, żebyś ich przyprowadził, bo ja cię sam, osobiście, kurwa, tu na miejscu zastrzelę...

Urwał, w ciszy słysząc było ich świszczące oddechy. Kwakanie kaczek i płacz dziecka.

Do Wagnera zaczęły znów docierać szczegóły otoczenia. Zarośnięty chłop, nucąca coś bezgłośnie dziewczyna w pobliżu studziennego żurawia, kołysząca w ramionach dziecko. Dobiegające przez otwarte drzwi chałupy pochrząkiwanie wieprzków. Spojrzał na podchorążego, który drżącymi rękoma odpinał sprzączkę błyszczącego hełmu.

- Idź po nich, Mazioł - powiedział Wagner już spokojniej. - Pewnie zdążysz, smarkacze bawią się w wojnę, nie idą szybko i pewnie się kryją. Zresztą, pójdziemy razem...

Podchorąży kiwał głową w przekrzywionym hełmie, oporna sprzączka nie ustępowała.

- Przyprowadź ich - ciągnął rezerwista, - To wszystko na nic, muszą wrócić do domów, wojna się skończyła, A dla nich nie powinna się nawet zacząć.

Popelnił błąd. Podchorąży przestał mocować się ze sprzączką. Opuścił ręce, rozszerzyły mu się oczy...

- Ty... - syknął, - Ty... tchórze.

Wagner zeszywniał, zdając sobie sprawę, że wszystko spieprzył, Znów pomylił się w ocenie, Mazioł nie był cwaniakiem, tylko zakutym łbem.

- Ty zdrajco. To przez takich jak ty... Spieprzaj do domu, stara pierdoło.

Ręka podchorążego gmerała przy zapięciu kabury, Wagner poczuł zalewającą go wściekłość.

Pchnął Mazioła otwartą ręką w pierś. Podchorąży usiadł z rozmachem, rozmazując tyłkiem po trawie kacze gówna. Chciał się poderwać, ale powstrzymał go szczęk zamka. Spojrzał prosto w lufę karabinka.

- Łapy z daleka! - ostrzegł Wagner, widząc odpiętą kaburę i palce podchorążego obejmujące kolbę.

Przez chwilę myślał, że przegrał, ale Mazioł powoli cofnął rękę. Po twarzy spływały mu łzy złości.

- To przez takich jak ty... - mamrotał niewyraźnie, - Tchórz! Dezerter!

- Panowie, panowie - nieoczekiwanie wmieszał się gospodarz. - Co wy, panowie...

Lufa karabinka zatoczyła półkole.

- Ja tak tylko... - Chłop odskoczył jak oparzony. - Może nic się nie stanie, tam, na posterunku ino kilku...

Strzał padł nieoczekiwanie, odbił się echem od ściany lasu. Po nim następne. Wreszcie seria z MG, przypominająca monstrualnie wyolbrzymiony odgłos dartego płótna. Zamarli w miejscu.

Niedaleko, półtora kilometra, może dwa, ocenił machinalnie Wagner. Głucho huknął granat. Potem następny. I cisza. Jeszcze tylko jeden, pojedynczy strzał, cichszy, jakby z pistoletu.

Rezerwista opuścił broń.

- Już nie musisz, Mazioł - mruknął, - Już po wszystkim. Rozejrzył się.

- Do chałupy! - wrzasnął ze złością, widząc dziewczynę z dzieckiem stojącą nadal przy studni. - Ty też! - krzyknął do chłopca tkwiącego jak słup na środku podwórza. Przysłoniwszy dłonią przekrwione oczy, wpatrywał się w horyzont.

Podchorąży zbierał się z ziemi, unikając wzroku Wagnera. Łzy pozostawiły na jego twarzy brudne ślady. Rezerwista chwycił go za ramię i pociągnął pod ścianę stodoły. Mazioł zatoczył się, uderzając o poczerniałe deski.

- Zabierz ją stąd! - krzyknął Wagner do chłopca. - Zabierz i uciekajcie!

- Ale dokąd, panie... - Chłop zakręcił się bezradnie. - Dokąd?

- Ty idioto - mruknął rezerwista pod adresem podchorążego, który opierał się o ścianę stodoły i wpatrywał się pustym wzrokiem przed siebie. - Ty durniu...

Zdawał sobie sprawę z bezsensowności swoich słów, ale nie mógł przerwać.

- Wojaczki ci się zachciało - wyrzucał z siebie słowa z goryczą, sam nie wiedząc, czy pod adresem niewydarzonego podchorążego, czy swoim. - Módl się teraz, żeby ich od razu... Od razu załatwili, w najlepszym przypadku wzięli do niewoli. Bo jak nie, jak któryś się wymknął, to zaraz ich tu sprowadzi...

Jakby na potwierdzenie znów huknęły strzały. Tym razem bliżej;

- O Jezu!

Chłop odskoczył pod ścianę.

- O Jezu, idą!

Wagner chciał wyrzeć zza węgła stodoły, nie zdążył. Od głośnego wybuchu w pobliżu aż zadzwoniło w uszach. Gdy ostrożnie spojrzył, zobaczył chlustające z bajorka

błoto i kłęb pierza, Kolejny pocisk z granatnika wyrwał z pastwiska płaty darni. Odłamki zasyczały w górze, z trzaskiem uderzyły w deski stodoły.

- Zabierz ją, kurwa! - wrzasną podchorąży.

Poderwał się, nie bacząc na kolejny wybuch, gdzieś dalej. Chwycił zmartwiałą dziewczynę, pociągnął do chałupy.

- O Jezu... - Chłopu szczękały zęby.

Pociski cięły powietrze wysoko nad ich głowami, słychać było charakterystyczny trzask. Rezerwista padł płasko na ziemię, podczołgał się do węgła stodoły, wyjrzał tuż nad samą ziemią. Ostrzał z granatników urwał się już, padły tylko trzy pociski, może cztery, Wagner nie był pewien. Domyślił się dlaczego, a to, co zobaczył, potwierdziło jego przypuszczenia.

Przygięte w biegu sylwetki były tak blisko, że atakujący przerwali ogień, by nie razić własnych ludzi.

Rezerwista cofnął głowę, Leżał chwilę z przymkniętymi oczyma, Wszystko na nic, czuł pustkę i chłód. Na nic długotrwała wędrówka po lasach. Skończy się za drutami, Oby, pomyślał dziwnie spokojnie, jakby dotyczyło to kogoś innego.

Wiedział, że już nie zdoła się wrócić. Poczł nagłe ukłucie, chociaż zdawał sobie sprawę, że nie ma do czego wracać.

Podczołgał się do opartego bez ruchu o ścianę chłopa, W deski po drugiej stronie stuknęła pocisk, zaraz potem drugi, Słychać już było warkot silnika wozu rozpoznawczego, który sunął się za piechotą.

- Zjeżdżaj do chałupy! - Wagner stuknęła gospodarza w ramię. - Już za późno, żeby uciekać.

Popatrzył na rozległe i puste pola po drugiej stronie, opadające ku niewidocznej stąd strudze. Nie mieli szans, ktokolwiek tamtędy by uciekał, byłby widoczny jak na dłoni.

Chłop otworzył zaciśnięte powieki, zgarnął z głowy beret z antenką i przycisnął go do piersi.

- O Jezu - jęczał, - Panienko Najświętsza - Wagner potrząsnął nim.

- Uciekaj do chałupy, tam belki grube!

- Najświętsza Panienska w obronę weźmie! Nie pozwoli! Nas niewinnych, wiary dochowujących...

Rezerwista z rezygnacją potrząsnął głową. Odbiło mu, pomyślał, Znow odezwał się MG. Seria uderzyła w ścianę stodoły, przestębnowała cienkie deski. Nad ich głowami w poczeriałym drewnie wykwitły otwory, otoczone jasnymi drzazgami. Na szczęście

pociski poszły wysoko, tuż pod okapem krytego papą dachu. Przypadłszy do ziemi, Wagner widział, jak schylony gospodarz chwiejnie biegnie w stronę zbawczych drzwi. Nagle chłop potknął się, zamarł w nieprawdopodobnej pozycji, jakby wpadł na niewidzialną przeszkodę. Po chwili wyrzucił ręce do góry i osunął się w półobrocie. Przez ułamek sekundy Wagner widział jego twarz, szeroko otwarte, martwe już oczy. Ciemną plamę otworu wlotowego na czole, tuż pod beretem. Krew nie płynęła, nie zdążyła, zanim twarz padającego uderzyła o ziemię. Najświętsza Paniienka nie stanęła na wysokości zadania, Albo po prostu nie lubiła zalatujących bimbrem zarośniętych chłopów, Wagner wpił palce w piach, zacisnął powieki, Tak bez sensu, pomyślał tylko.

Na podwórzu rozszczękał się erkaem. Krzyk wściekłości. Rezerwista otworzył oczy.

Podchorąży nie uciekł, nie schował się z głową pod pierzynę, jak podejrzewał Wagner. Po raz kolejny źle go ocenił. Mazioł stał wyprostowany na środku podwórza. Adrenalina dodała mu siłę, gdyż trzymał erkaem na biodrze, bez pasa, z taśmą luźno przewieszoną przez lewą rękę. Obracał się powoli z palcem na spuście, z wykrzywioną twarzą pod hełmem i z szaleństwem w oczach. Wykrzykiwał coś, nie wiadomo klątwy czy modlitwy, podczas gdy podajnik szarpał rytmicznie przewieszoną przez rękę taśmą, broń pluła poczwórnymi płomieniami z tłumika odrzutu. Łuski i rozsypujące się ogniwa taśmy jak na zwolnionym filmie spadały wokół wyglansowanych oficerek.

Mazioł postanowił zostać bohaterem. Zgodnie z narodową tradycją - martwym.

W wolniejsze staccato erkaemu wdarł się odgłos serii z MG. Chlasnęła po belkach chałupy, znacząc je ospą drzazg, wgryzła się w węgiel, w łączone na zakładkę belki, odłupując wióry i spore szczapy, które wzlatywały wysoko. Kolejna seria z hukiem uderzyła w cembrowinę, wyszczerbiła betonowy krąg, miotając kawałkami gruzu wielkości pięści.

Trzecia wiązka, wystrzelona z szybkostrzelnością teoretyczną tysiąca dwustu pocisków na sekundę, była celna. Wagner zamknął oczy, zachowując pod powiekami widok pleców podchorążego eksplodujących fontanną krwi i odłamków kości.

Poderwał się do biegu na oślep. Z pustką w głowie, nie myśląc o niczym.

Zdążył zrobić cztery kroki, podrzucając jednocześnie przewieszony na piersi karabinek. Pierwsze trafienie, w ramię, obróciło nim, wyraźnie zobaczył ciemne, przygięte sylwetki, błyskające jasnymi ognikami wystrzałów. Ramię odmówiło posłuszeństwa, lufa opadła, strzał trafił w ziemię, Wciąż naciskał spust, próbując dźwignąć broń. Przy drugim uderzeniu, w biodro, też nie poczuł bólu. Horyzont z poziomego stał się nagle pionowy,

ziemia z rozmachem uderzyła go w twarz, Mógł już tylko leżeć i patrzeć, zwrócony tyłem do nacierających.

Widział wciąż nowe, jasne odpryski na ścianie chałupy, przekrzywiony płot, pustą psią budę ze zwisającym, przerzuconym przez daszek łańcuchem. Słyszał trzask przechodzących górą pocisków, ostre odgłosy, gdy wcinały się w belki, i głuche, mlaszczące, gdy trafiały w ziemię. Jeden i drugi brzęk, kiedy przeszły zwisające ze studziennego żurawia zardzewiałe wiadro.

I jeszcze jeden odgłos, z drugiej strony. Wysoki wizg i szczęk gąsienic. Nie mógł bardziej odwrócić głowy, ciało go nie słuchało. Tylko palce wyrzuconej do przodu ręki drapały trawę, usiłując sięgnąć odrzucony przy upadku karabinek. Widział przecięty pociskiem parciany pas.

Strzelanina przycichała, rozległ się jeszcze jeden, potem drugi spóźniony strzał, Narastający hałas gdzieś z boku. Z trzaskiem pękły deski płotu.

Coraz bardziej doniosły stawał się świst turbiny. Na podwórko, druzgocąc gąsienicami koryto i niezidentyfikowany sprzęt rolniczy, wtoczył się czołg, main battle tank M6A1 Schwartzkopf.

OSTATNI BRZEG

Fatalna sprawa. Ale nikogo nie potępiajmy. To nie mocarstwa wywołały to wszystko. To te małe państewka, te nieodpowiedzialne.

Neyil Shute, Ostatni brzeg

Pchnął ciężkie metalowe drzwi, z płatem brudnej dytky w miejscu wybitej szyby. W twarz uderzyła fala ciepła, smród pośledniego tytoniu, kiszzonej kapusty i samogonu. Wewnątrz było ciemno, zaledwie strużki światła przedostawały się przez nieliczne pozostałe szyby. Wielkie okna, typowe dla pawilonów stylu wczesnego GS-u. Jak u Kelusa - nowa, jasna, przeszklona knajpa na tysiąclecie...

Teraz te ogromne okna, chronione przemyślnie zespawanymi z karbowanych prętów zbrojeniowych kratami, w większości były przesłonięte bielmem zbitych niedbale desek, postrzępionych kartonów i kawałków porwanej papy. Ocalałe szyby zaparowały od wewnątrz, wentylacja kuchni stanowiła już tylko wspomnienie minionej epoki.

Wszedł na salę, stukot butów na zabłoconej posadzce, nie sprzątej chyba od przejścia frontu, ginął w gwarze rozmów, brzęku szkła i nieskładnej pijackiej pieśni. Śpiewano po rosyjsku, polskim akcentem kalecząc słowa.

Przystanął, Mimo wczesnej pory brakowało miejsc.

W pijackim spojrzeniu kogoś przy najbliższym stoliku błysnęła czujność. Jego kompan, tracony w bok, omal nie spadł z pogiętego metalowego krzeselka, Przez chwilę wpatrywał się mętnie w twarz przybyłego, usiłując skupić wzrok. Wreszcie chyba się udało, bo w przekrwionych oczach błysnęło coś na kształt strachu. Trzeźwiejszy, już podrywał się z miejsca, wodząc rozbieganym spojrzeniem wszędzie, tylko nie tam, gdzie patrzył wcześniej. Jedną ręką próbował zabrać ze stołu opróżnioną w dwóch trzecich flaszkę, drugą szarpał kompana za ramię. Udałoby się, gdyby nie usiłował tego dokonać jednocześnie. Butelka przewróciła się, mętna struga samogonu popłynęła po gołym blacie.

Pijak, nieodbiegający strojem od anonimowego i obszarpanego tłumu, przelewającego się ulicami pogranicznego miasta, chciał wytrzeć blat rękawem.

Przemytnik, pomyślał Wagner. Nowy, nie widziałem jeszcze tej gęby.

Nie zwiodła go obszarpana wojskowa rosyjska kurtka, Jałcie nosiła większość mężczyzn w tej strefie. Stać go było na... Przyjrzał się resztkom na obtłuczonym talerzu.

Schabowe z kapustą podawano tylko za dolary. Świnie, jak każdy zagrożony wyginięciem gatunek, doczekały się wreszcie należnego uznania.

Za złotówki lub - jak je nazywano - okupacyjne bony, był tylko chleb i kasza. Czasem jarzyny. Za ruble, zgodnie z jednym z pierwszych zarządzeń, były trzy lata, Minimum trzy. Nowe władze jak ognia bały się wszelkich skojarzeń z aneksją czy okupacją, której symbolem mogła stać się rosyjska waluta, Oficjalnie nadal twierdzono, że to operacja pokojowa, Przywracanie spokoju po agresywnej wojnie, ochrona mniejszości przed ksenofobicznymi Polakami.

Nie miało znaczenia, że w rosyjskiej strefie już dawno zapomniano o miejscowej administracji. W miastach komendy wojskowe obrastały cywilami, którzy przestawali być mniejszością w strefie przygranicznej, Coraz więcej gospodarstw, nawet tu, w widłach Bugu i Narwi, przechodziło w litewskie ręce. Naturalnie w ramach odszkodowali, a przy okazji suwerenna ponoć Litwa coraz bardziej zapełniała się Rosjanami.

Nie miało też znaczenia, że Ślązacy ochoczo zajęli miejsce byłych enerdoców i korzystali z hojnej pomocy federalnego rządu dla landów opóźnionych w rozwoju gospodarczym. Wszystko zostało załatwione, opinię międzynarodową przekonały wyniki plebiscytu.

Operacja pokojowa. Śląsk powrócił do Vaterlandu, wraz z dużą częścią. Wielkopolski i Pomorza, W Wielkopolsce nie przeprowadzono plebiscytu, była rekompensatą za Prusy Wschodnie, W ten sposób na miarę dwudziestego pierwszego wieku rozwiązano problem eksterytorialnego korytarza. A Wielkopolanie, zgodnie z wielowiekowym doświadczeniem, mogli spokojnie sadzić swoje Kartoffeln, robić z nich chipsy i piwo Lech.

Reszta pozostała polska. Strefa amerykańska, od Bydgoszczy do Krakowa, z polską administracją i policją, Z czterogwiazdkowym amerykańskim generałem, który decydował o wszystkim, z wciąż pełnymi obozami internowanych, I strefa tymczasowego stacjonowania rosyjskich sił pokojowych.

To nie wojska okupacyjne ani aneksją. W żadnym razie więc nie można wprowadzać własnej waluty, aby ktoś nie pomyślał... Jakby wszystko nie było jasne.

Tak doszło do największego w dziejach matuszki Rosji cudu ekonomicznego. Rubel kosztował na czarnym rynku cztery dolary.

Bo rubel był podstawową walutą w handlu z Rosjanami, wojskowymi i cywilami. W nękanej ciągłym kryzysem Rosji już dawno zakazano posiadania obcych walut, nie pierwszy raz w historii. Bywały już precedensy. A od Rosjan kupowało się wszystko. Mundury, amunicję, konserwy i kaszę, granatniki ppanc i przydziały na drewno z lasu, Te ostatnie należały się wprawdzie wszystkim zarejestrowanym mieszkańcom, odkąd bezpowrotnie wyschły inne źródła energii. Szkopuł w tym, że w strefie przygranicznej

większość ludzi przebywała nielegalnie, A legalni, ci nieobyci, srodze się dziwili, próbując otrzymać upragniony kwit na drzewo bez rubelków, Po jakimś czasie nabierali zresztą obycia albo przepawali się przez Bug w poszukiwaniu American Dream. Ponieważ w drugą stronę pokonanie rzeki było trudniejsze, wracali rzadko i na dodatek dziwnie małowówni.

Pijany przemytnik skończył wreszcie pucować zalany blat i trzęsącą się ręką ustawił flaszkę, Popchnął kamrata, który zdążył tymczasem chwiejnie wstać, Wycofali się, wbijając wzrok w brudną posadzkę.

- Dzięki - mruknął Wagner pod nosem.

Pieczołowicie postawił w kącie ciężki, podługowaty pakunek i przysiadł na krzeselku, Tym mniej pogiętym.

W kącie przy oknie przez stosunkowo mało zaparowaną szybę mógł spoglądać na ulicę, niegdyś, jak pamiętał, ruchliwą, międzynarodową drogę na Augustów i Białystok, Gdy przed laty siadywał w tym samym miejscu, widział niekończący się sznur TIR-ów, stojących pod światłami na skrzyżowaniu, murami knajpy wstrząsały drgania przetaczających się samochodów, dzwoniły szyby, wprawiane w wibrację niskim warkotem diesli. Teraz asfalt ziejący powyrywany przez gąsienice dziurami był pusty, tylko z rzadka przemykał UAZ lub ciężarówka wojskowa. Czasem po jezdni zaklekotały kopyta konia ciągnącego wóz zaprzężony w jeden dyszel lub ze stukotem podków przemknął patrol kawaleryjski.

Dwa małe, otoczone siateczką pęknięć otworki w szybie dawały nadzieję na odrobinę świeżego powietrza. Gdy wyprostował się, znalazły się dokładnie na wysokości klatki piersiowej. Małe dziurki, 5,45 albo 5,56, z kałacha lub beryla.

Ciekawe, pomyślał beznamiętnie, czy wtedy ktoś tu siedział. Pewnie tak, inaczej po co marnować naboje.

Gwar powrócił do pierwotnego natężenia. Rozmowy, które przycichły, gdy wchodził, znowu rozgorzały, o ile pijackie mamrotania, śpiewy i kłótnie można nazwać rozmowami.

Zamyślony, nie spostrzegł, kiedy z kłębow dymu i pary, buchającej z pozbawionej drzwi kuchni, wyłoniła się kelnerka.

- Coś na ciepło? - spytała bez uśmiechu, lekko kiwając głową. Za to on uśmiechnął się szeroko. Specjalne traktowanie, Wiedział, iż innych gości zwykła pytać krótko i grzecznie - „Czego?”

- Jeść? - zdziwił się obłudnie - Na czczo?

Mógł sobie darować, dziewczyna odeszła bez słowa, Po chwili wróciła, postawiła przed nim szklanę ze złocistą ciecżą.

Bez słowa wyjął pomiętą pięciodolarówkę. Dolar napiwku, może wreszcie się uśmiechnie. Kelnerka nawet się nie poruszyła, nie sięgnęła po banknot.

- Osiem - rzuciła oschle, drapiąc się pod lewą piersią, - To prawdziwy.

Ostrożnie pociągnął ze szklanki, kpiąco wpatrując się w obojętną twarz dziewczyny. Drapała się coraz mocniej, Wszawica nie wybiera, pomyślał obojętnie.

Pociągnął jeszcze łyk i skinął głową, Dorzucił drugą piątkę. Istotnie, nie przypominał samogonu barwionego łupinami cebuli. Wszystko zależy od tego, jak pojmujemy znaczenie słowa „prawdziwy”.

Dziewczyna odeszła. Podniósł szklanę, popatrzył pod światło, jak bursztynowy płyn spływa oleście po ściankach, Cholera, pomyślał, może rzeczywiście armeński albo gruziński. Zapomniał już smak.

Szklanka mogła stanowić interesujący materiał dla każdej pracowni daktyloskopii. Na brzegu pozostały ledwie widoczne ślady szminki. Pociągnęła, skubana, w drodze od baru, domyślił się. Ciekawe, czy ma tylko wszawicę. A co tam, alkohol dezynfekuje...

Łyknął jeszcze raz, starając się przykładać usta po przeciwnej stronie tłustych karminowych śladów. Czując, jak koniak zaczyna go wreszcie rozgrzewać, popatrywał przez zaporowaną szybę na trawnik przed ratuszem z utraconą wieżyczką i na BTR-a, który wrósł oponami w rozmiękły, bury, zimowy trawnik. Drgnął mimo woli, gdy zorientował się, że opuszczona lufa nkmu - celuje prosto w okno.

Transporter stał w tym miejscu od zawsze. Co najmniej od trzech, nie, prawie od czterech lat. Już nigdzie nie pojedzie, w każdym razie o własnych siłach, choć przez cały ten czas tkwi przy nim wartownik, okutany dziś w sięgający kostek szynel, BTR miał budzić respekt, wymuszać posłuszeństwo, ale wywoływał tylko litość, jeśli ktoś w ogóle go zauważał, tak wrósł w pejzaż. Poznaczony rdzawymi zaciekami, widocznymi najbardziej na wielkiej, wymalowanej na burcie trójkolorowej fladze, i wyjątkowo niegustownym, jaskrawym godle któregoś z pułków gwardyjskich. Pewnie na wiosnę go pomalują, jak przed dwoma laty.

Na zgrzyt drzwi momentalnie otrząsnął się z zamyślenia. Cofnął się z krzesłem jeszcze bardziej w kąt, kryjąc twarz w cieniu, nierozpraszanym mętnym światłem zimowego dnia, które sączyło się przez szyby, i migotliwym, sinym blaskiem nielicznych świetlówek.

Jeszcze nie teraz. Na salę weszło dwóch facetów w całkiem nowych waciakach. Starszy miał siwe wąsy na czerstwej, nalanej twarzy, drugi był młody, z wyglądu nieco ociężały umysłowo.

Wagner przeklął pod nosem. Nie mieli, kurwa, kiedy. Będą kłopoty.

Gwar ucichł, jak ucięty nożem. Od kontuaru odwrócili się bywalcy, prezentując światu twarze przypominające żywo fizjonomie klientów baru z pierwszej części „Gwiezdných wojen”.

W nagłej ciszy brzęknął odkładany widelec. Drugie szczęknięcie, które rozległo się po chwili, nieprzyjemnie przypominało odgłos otwieranego noża sprężynowego.

Z kuchni dobiegały przekleństwa nietłumione przez gwar.

- Skąd ja temu skurwysynowi świeżego masła wezmę? - irytował się kucharz, I słuszenie, masło, zwłaszcza świeże, było czymś zgoła mitycznym.

Przybysze bezmyślnie rozglądali się wokół. Po chwili starszy pociągnął młodszego do stolika, przy którym stały dwa wolne krzesła. Wagner aż zgrzytnął zębami. Nowi albo pozbawieni jednej istotnej cechy - instynktu samozachowawczego.

Towarzystwo przy stole, składające się z dwóch zarośniętych typów, którzy niczym nie przypominali członków Tymczasowej Rady Miejskiej, oraz pijanego w dym lejtnanta gwardii, zaczęło powoli wstawać. Nie tylko oni. Litewscy osadnicy, na mocy niepisanego, bezwzględnie egzekwowanego prawa, nie mieli tu wstępu.

Litwini zawahali się, przystanęli. Starszy zaczynał coś pojmovać, bo chłopskim gestem zgarnął z głowy czapkę, przywołując na twarz nieszczerzy uśmiech.

- Pozwolicie? - spytał przymilnie we wspólnym języku nowego imperium.

Szacowny radny miejski wyszczerzył nieliczne zęby, celnie spluwając osadnikowi na buty.

- Spierdalaj, boćwino - wybełkotał z naciskiem.

- Ale już! - poparł go wyraźniej kolega. Lejtnant opadł na stół, nie mogąc utrzymać pozycji pionowej. Złożył policzek na niedojedzonym kotlecie.

Osadnik poczerwieniał, zaczął wrzeszczeć, nie bacząc, że młodszy pociąga go rozpaczliwie za rękaw.

- My obywatele jesteśmy - zaciągnął śpiewnie i z oburzeniem, nagle przypomniawszy sobie polski, - My w prawie...

Urwał, słysząc gromki śmiech i przekleństwa.

- Job waszu mat! - znów wrócił do rosyjskiego.

Spojrzał na lejtnanta, podskoczył ku niemu i szarpnął go za ramię.

- Towaryszcz lejtnant! - krzyknął - Pomogicie, radi Boga! Lejtnant się ocknął.

- Chuj тебе towarzyszcz! - Potoczył wkoło przekrwionym, nieprzytomnym wzrokiem, Zaczął grzebać w zanadrzu, pod rozpiętą kurtką, odsłaniając pasiasty podkoszulek.

Litwin, zamiast odwrócić się i uciekać, na co miał jeszcze pewne, choć niewielkie szansę, skamieniał, Młodszy również przestał zachowywać się rozsądnie, wściekłość ściągnęła mu twarz. Pochylił się, sięgając do cholewy, W dłoni radnego zmaterializował się nagle nóż sprężynowy.

- No, boćwino, no. - Radny nie sprawiał wrażenia pijanego. Teraz wyglądał na kogoś, kim w istocie był - lumpa i bandytę, wyniesionego przez wydarzenia do władzy.

Lejtnant dogrzebał się wreszcie. Szczęknął repetowany makarow, lejtnant wolną ręką uczepił się ramienia radnego.

- Ostawcie, pan! - ryknął, - Ja, ja ubiju, błąd!

Huknął strzał, z sufitu posypały się śmieci. Osadnik padł na kolana, osłaniając głowę rękoma, Makarow nie jest zbyt celny, ale lejtnant dysponował jeszcze pięcioma nabojami.

Wagner chwycił leżącą wciąż przed nim na blacie przewróconą butelkę. Błysnęła w świetle jarzeniówek, rozprysnęła się przy spotkaniu ze spoconym czołem dzielnego rosyjskiego oficera. Kolejny strzał trafił nieszkodliwie w podłogę, a lejtnant ponownie złożył głowę na niedojezdzonym kotlecie, plamiąc krwią przypaloną panierkę.

- Co jest, kur... - Radny ze sprężynowcem odwrócił się gwałtownie, gotów do ataku, Gdy dostrzegł, kto wstaje w kącie, rozluźnił się i wprawnym ruchem zamknął nóż.

- Kurwa, - mruknął z żalem, spoglądając na skulonego osadnika, który w bezsensownym odruchu wciąż osłaniał głowę, Drugi Litwin cofnął się o krok.

- Raganis... - szepnął pobladłymi wargami. Wypuszczony z dłoni paskudny kozik stuknął o posadzkę, Chłopak wyglądał na ociążałego umysłowo, ale nie był całkiem głupi, Przynajmniej coś wiedział.

- Nie było sprawy - obwieścił gromko radny, nie patrząc nikomu w oczy, - No co jest, kurwa?! Mówię, nie było!

Wagner z aprobatą skinął głową, Goście powracali do swoich schabowych, bigosu, a przede wszystkim samogonu i płynu o barwie końskiego moczu, niesłusznie zwanego piwem.

Spojrzał na osadników, na podnoszącego się z podłogi chłopaka i nieporadnie gramolącego się starego, Widział trzęsące się ręce, grymas na twarzy młodego. Pewnie syn, pomyślał, Poczul ukłucie, znajome, lecz słabnące w miarę upływu lat. Wstrząsnął się jak od nagłego chłodu.

Stary stał, podtrzymywany przez chłopaka. Ocierając krew z przygryzionej wargi, spoglądał spode łba.

- Spierdalajcie, boćwinkowie - rzekł Wagner łagodnie, - Nic tu po was, sami widzicie - dodał po chwili.

Litwin z siwym wąsem zamamrotał coś pod nosem. Wycofywali się tyłem, nieufnie spoglądając na salę, jednak pozostali goście wydawali się pochłonięci pić. W kącie kilka ochrypłych głosów podjęło refren rosyjskiej piosenki.

Gdy znikali w drzwiach, młodszy spojrzał Wagnerowi w twarz i bezgłośnie poruszył wargami. Wagner bezbłędnie odczytał wypowiedziane po polsku „dziękuję”.

Wrócił do stolika, na dnie szklanki pozostało jeszcze trochę koniaku. Przypatrywał się, jak kelnerka dyryguje dwoma barczystymi drabami, których zwano tu szatniarzami. Robili porządki, polegające na wywleczeniu za nogi nieprzytomnego lejtnanta. Wagner spostrzegł, jak jeden z nich niepostrzeżenie odpina oficerowi zegarek. Uśmiechnął się, Lejtnant był sam sobie winien. Naruszył prawo.

A praw pogranicze znało niewiele, Był „wojennyj zakon”, rozplakatowany na wypełzłych od słońca i deszczu obwieszczeniach, których nikt nie czytał. Prawo strefy działań wojennych zawierało zaledwie kilka paragrafów, z których jeszcze mniej przestrzegano. Trudno się dziwić, skoro pierwsza zaczęła go łamać rosyjska administracja. A przepisy, których nie zdołano złamać, były skwapliwie obchodzone. Istniały również prawa niepisane, milcząca umowa najeźdźców i najechanych, z których większość wyznawała zasadę, że jakoś trzeba żyć. Wśród nich to, które właśnie złamał nieszczęsny lejtnant. Knajpy z wyszynkiem stanowiły miejsca rozejmu, na wzór kościołów w średniowieczu.

Etyka od tego czasu nieco upadła i w knajpie nikt nie był nietykalny, Jednak wnosić do niej można było jedynie broń białą, inną pozostawiało się w szatni. Nie zdarzyło się ponoć, by komuś coś zginęło, choć nierzadko na hakach wisiały zgodnie obok siebie kałachy znienawidzonej przez wszystkich ochotniczej milicji, i M-16 narodowej partyzantki, tępiącej kacapów, kałakutasów, Żydów, masonów i wszelkiej maści komuchów.

Miało to głęboki sens, co potwierdzała dawna historyjka, podobno nawet prawdziwa. Pewnego razu w Łomży pewnemu włościaninowi z Sił Zbrojnych Samoobrony nie podobała się jakość podawanego piwa. Oświadczył, że to ostatnie piwo, które wypił w tym lokalu, co poparł odpaleniem w barmana z rgppanc.

Dla wszystkich gości, personelu i sprawcy było to w istocie ostatnie piwo. A lokal już nigdy nie wrócił do dawnej świetności..

Od tej pory zezwalano tylko na broń białą. Noże, pały, łańcuchy rowerowe. Pozwalała spersonalizować stosunki międzyludzkie, bez szkody dla osób postronnych.

W tanim cyfrowym casio przeskoczyły szare cyferki. Wagner zaklął. Kędzior miał jeszcze czas, zresztą zazwyczaj był punktualny. Irytowała go raczej szarość cyferek. Baterie się kończą, psiakrew, pomyślał. A nowe można dostać tylko po tamtej stronie. I to najbliższej w Wołominie.

Omiótl wzrokiem sąsiadów Nic specjalnie się nie zmieniło, wymieszani przy stolikach okupanci, przemytnicy, partyzanci narodowi, ekologiczni i lewicowi pili zgodnie i zawzięcie, jakby koniec świata miał nastąpić już jutro, i w pierwszej kolejności położyć kres wyszynkowi. Nic nie usprawiedliwiała takiego pośpiechu, Kres cywilizacji, który był już przesądzony, nie miał nastąpić jutro ani pojutrze. Nawet nie w tym tygodniu, miesiącu czy roku. Choć kolejny rok mógł być ostatnim.

Okupanci, przemytnicy i partyzanci pili zgodnie, nie przejawiali nadmiernej agresji, poza werbalną. Bełkotliwe wyzwiska przeplatały się z toastami, zagłuszane niekiedy nieskładnie śpiewanymi zwrotkami co sprośniejszych piosenek. Nie ma zagrożenia, ocenił machinalnie Wagner.

W Ostrowii był praktycznie nietykalny, jak wszędzie po tej stronie granicy, Skrzywił się ironicznie, Linii rozgraniczenia, a nie granicy. Wbrew pozorom różnica była istotna, nie sprowadzała się wyłącznie do nazwy.

Jeszcze, jedno spojrzenie. To nie strefa amerykańska, nie nadbużańskie łoża lub wypalone ruiny Wyszkowa czy Tłuszcz. Ale nawet tu trzeba uważać na zwykłych bandziorów, znęconych cennym ekwipunkiem, na pijaków, którym zamroczony umysł nie pozwalał zorientować się, kogo zaczepiają.

Należało strzec się rumuńskich dzieci, których zajęcie tylko z przyzwyczajenia określano mianem żebractwa. Okazało się, że nawet dziś jest to dla nich atrakcyjniejszy teren niż ojczyzna. Wobec braku samochodów, w których można myć szyby, i obojętności na los kalek, smarkacze wypracowali znacznie skuteczniejsze metody zarabkowania. Atakowali hordami, choć najmłodszy z nich ledwie potrafił chodzić. Wybierali samotnych, niekoniecznie nawet pijanych, bardziej zajadli i bezwzględni niż sfera dzikich psów. Wypadali z ruin i z zarośli, pozostawiając na ogół nagie zwłoki, a czasem nawet kilku pobratymców, których nie zabierali, by choćby pogrzebać.

Nikt nie mógł sobie dać rady z dziecięcymi bandami. Obławy nie skutkowały, zresztą Rosjanie nie mieli co robić ze schwytanymi. Deportować? Nie było dokąd. Resocjalizować? Wolne żarty, do resocjalizacji mieli dosyć własnych obywateli, a obecnie wszelkie inwestycje na Syberii okazały się chybione i pozbawione perspektyw rozwoju.

A na poparcie natarczywych i ustawicznych próśb miejscowej ludności Rosjanie nie potrafili się zdecydować. Nawet dzisiaj trudno było wydać rozkaz strzelania do dzieci jak do bezpańskich psów.

Wagner wstrząsnął się, Wiedział, jak rozwiązywano ten problem w strefie amerykańskiej. Nie orientował się tylko, kto go rozwiązuje, wojsko czy może polska policja. Nawet nie chciał się domyślać.

Dość tego. Sięgając po szklankę, rozejrzał się wokół. I zamarł bez ruchu.

Parka zwisająca z oparcia krzesła. Typowa amerykańska parka, jaką wciąż jeszcze nosili żołnierze zza oceanu stacjonujący w Polsce, trzeci sort armii, dla której nie starczyło nowych mundurów z nomeksu, Naszywka na piersi, kawałek zielonej tasiemki z czarnym napisem. Reszta liter schowana w fałdach, widoczny tylko inicjał nazwiska, Duże, czarne V.

Odstawił szklankę, wstał, zdając sobie doskonale sprawę, że to bez sensu. Osobiście zamknął ten rozdział. To niemożliwe. Mimo to wstał.

Nie zwrócił uwagi, że gwar przycichł i śledzą go spojrzenia, nagle czujne i trzeźwe. Podszedł, sięgnął do obszytego sztucznym futrem kaptura i zacisnął palce. Stał tak chwilę, nie zwracając uwagi, iż siedzący na krześle człowiek spręży się, schyla i sięga do cholewy.

Szarpnął parkę. Przez moment wpatrywał się w naszytą na piersi taśmę z nadrukiem Velasquez.

Właściciel parki zdążył poderwać się z krzesła, Nie był zbyt pijany. Zdołał wyjąć nóż: mały, pozbawiony rękojeści boot knife, matowo połyskujący czarną, parkeryzowaną stalą, jeśli nie liczyć wąskiej, srebrzystej powierzchni ostrza, W skośnych, ginących w szerokiej, płaskiej twarzy oczach czaiło się zaskoczenie i zdziwienie, niepozbawione drapieżnej czujności - Na pewno nie był Velasquezem. W niczym nie przypominał Latynosa, Prawdopodobnie naszywka była epitafium, jedynym śladem, jaki pozostawił na ziemi chłopak z amerykańskich slumsów, którego los rzucił na linię rozgraniczenia.

Kradzione z transportów i magazynów parki nie miały nazwisk właścicieli. A amerykańscy chłopcy nie handlowali wyposażeniem. Sami mieli go zbyt mało, stacjonujące w Europie oddziały znajdowały się na końcu list zaopatrzenia. Velasquez utratę parki przyplacił życiem.

Ktoś chwycił za rękę trzymającą boot knife' a. Kompan obecnego właściciela parki próbował zapobiec ewentualnej bójce, W skośnych oczach Wagner dojrzał ulgę.

Nie znał tego człowieka, Kazach, Kałmuk, nie wyglądał na dezertera, pewnie jeden z mafiosów, którzy rozmnożyli się na krańcach dawnego imperium, rozzuchwaleni przez lata rosyjskiej słabości.

Ciekawe, czy długo tu zabawi, pomyślał Wagner, odwieszając parkę na oparcie. Być może jeszcze się spotkamy.

Odwrócił się, ignorując ostrze nadal trzymane przez skośnookiego. Gwar ponownie się nasilił, ktoś ochryplym głosem zaintonował nieśmiertelną pieśń o powinnościach i dokonaniach radzieckiego dyplomaty, Wagner usiadł, jednym haustem wychylił pół szklaneczki płynu udającego koniak. Przymknął oczy. I znów zobaczył zieloną tasiemkę, Z dużą, czarną literą V na początku. Ale pozostałe znaki nie układały się w nazwisko Velasquez.

Yossler. Krew spływająca z rozbitego łuku brwiowego zalewa jedno oko, ale drugie widzi wciąż ostro i wyraźnie. Widzi i rejestruje, bez udziału umysłu, jak kamera, obrazy zapadają w pamięć, można je w każdej chwili wywołać. Czasem wywołują się same. Młodą twarz wykrzywia szyderstwo, szaleństwo płonie w jasnyniebieskich oczach.

Na tle nieba wysokim łukiem leci przedmiot. Czarny, choć naprawdę zielony, cylindryczny, z białymi napisem, którego nie widać, ale Wagner wie, że tam jest. Brzęk szyby, śmiech. Biały błysk i krzyk. Nic poza tym.

Willy Pete. Granat fosforowy. Ogień, którego nie da się ugasić, przepalający ubranie i ciało aż do kości. Można tylko krzyczeć. Długo, bardzo długo.

Nie myśli. Rejestruje obrazy, zdając sobie sprawę, że gdy umilknie krzyk, a belki chałupy ogarną płomienie, kiedy biały obłok płonącego fosforu zastąpi czarny, ciężki dym, cuchnący smołą z dachu i spalonym mięsem, nadejdzie jego kolej. Wtedy młody, czarnoskóry chłopak o dziecinnej, wykrzywionej napięciem twarzy, naciśnie spust M-16, trzymanego w dygocących dłoniach.

Lufa karabinka zatacza kręgi, to zaglądnąc wprost w oczy, to celując gdzieś w pierś. Czarny chłopak też słyszy krzyk. Może sam zacznie wrzeszczeć. Może rzuci się na swojego dowódcę, lecz niewykłuczone, że ciśnie broń i popędzi przed siebie. Albo naciśnie spust, stanie po właściwej stronie, zagłuszając sumienie.

Rozciągnięte ciała leżą w miejscu, gdzie ścierała je seria, Krew plami panterki chłopaków ze Strzelca i granatowy niegdyś waciak zarośniętego gospodarza, Oczy

żołnierzy w aramidowych hełmach są rozszerzone, stężałe twarze jaśniej od rozbłysku fosforowego żaru w oknie poczerńiałej chałupy.

Widać najdrobniejsze szczegóły. Beżowy pancerz schwartzkopfa, Niebieskawo połyskujące optyczne szkło wzmacniacza obrazu z malutką wycieraczką. Numer seryjny na błotniku, Wgnieciony pojemnik narzędziowy. Błyszczące ogniwa gaśnic.

Czas stanął wypełniony krzykiem.

Dostrzega sylwetkę we włazie. Zarys nad płaską wieżą, Prawie czarny, nieprzenikniony na tle jasnego nieba, rejestrowany zresztą jednym okiem. Ale blask płonącego fosforu ujawnia szczegóły.

Zielona, baseballowa idiotyczna czapka. Parka zamiast czołgowego kombinezonu. To nie czołgista, raczej dowódca posterunku w Turce, który postanowił zdobyć laury, walcząc z partyzantami. Dłoń w czarnej rękawicy trzyma krawędź włazu, ochlapaną niedbale beżową, pustynną farbą.

Nie zdążyli przemalować, z ostatnich uzupełnień. I zdziwienie. Kiedy mam czas na myślenie? Czas stanął. Krzyk.

Lustrzane gogle na twarzy wychylonego z włazu kierowcy litościwie osłaniają oczy. Odbijają biały żar. Coś błyszczy poniżej, spływa po twarzy, żłobiąc w kurzu jaśniejsze bruzdy. Łzy, A może pot. Z przygryzionej wargi płynie strużka krwi.

Krzyk. I śmiech. Wyszczерzone starannie utrzymane zęby. Zielona taśma z nazwiskiem Yossler.

Krzyk wreszcie cichnie, przygasa upiornie biały blask, płomienie ciemnieją, nabierają pomarańczowej barwy. Przegryzają poszycie dachu, z okapu spadają krople płonącego lepiku. W niebo bucha kolumna czarnego, tłustego dymu.

Trzask płonących belek, huk rozpalającego się pożaru, wizg turbiny schwartzkopfa na jałowym biegu, I śmiech.

Lufa M-16 nieruchomieje, Jeszcze chwila. Ostatnie spojrzenie. Sylwetka nad włazem czołgu, nierozjaśniana blaskiem płonącego fosforu. Ledwie widoczna wstążka z nazwiskiem. Yossler.

Czas jeszcze nie przyspiesza, Cień na twarzy przesłania jedyne oko. Widać wyraźnie łopaty wirnika schodzącego do lądowania blackhawka, wirującą w powietrzu sadzę i wessane przez ogień śmieci;

W oczach czarnego chłopaka nie ma przerażenia. Jest decyzja, Bieleje zaciskający się na spuście palec.

Pora zamknąć oko. Śmiech, Jęk turbiny, Trzask płonących belek i powolny łoskot łopat wirnika.

Uderzenie. Czerwony rozbłysk pod czaszką i ostatnia myśl, Nazwisko, które chce zabrać ze sobą do piekła.

Yossler.

Odetchnął głęboko, wciągając w płuca zaduch kapusty, tytoniowy dym i smród zatłoczonej knajpy. Resztki tlenu wystarczyły, by znikły natarczywe wizje.

Pociągnął kolejny łyk, Na szczęście od dawna zaprzestano bezsensownego zwyczaju sprzedawania alkoholu w dawkach pięćdziesięciogramowych. Ale nie pomogło.

Zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie tak reagował, budził się z bijącym sercem, wpatrując się szeroko rozwartymi oczami W ciemność, nie mogąc uciec od rozbrzmiewającego pod czaszką krzyku palących się żywcem kobiet. Jak teraz, gdy na widok parki spoglądał najpierw na wstążkę z nazwiskiem.

Dlaczego w snach nigdy nie widzi tego, co działo się później. Kiedy po raz drugi zobaczył zieloną naszywkę. Litery układające się w nazwisko Yossler, przekreślone czarnymi nitkami z podziałką.

Na tę chwilę czekał ponad rok. Przeszło sześć miesięcy pochłonęły przygotowania, podjął je zaraz po tym, kiedy odcięto go od stryczka.

Uśmiechnął się mimo woli; No, może niezupełnie odcięto, ale na jedno wychodzi.

Błoto, zacinający mokry śnieg, Oliwkowe namioty z czerwonym krzyżem, rozjeżdżone kołami ciężarówek kolejiny, Można mieć wrażenie, że za chwilę uniesie płachtę namiotu Sokole Oko, że na środku placu apelowego w damskiej, gustownej sukience pojawi się szeregowiec Klinger.

Obraz psuł przysadzisty blackhawk, ciemny, prawie czarny w świetle jesiennego poranka, stojący na skraju lądowiska z ciężko zwisającymi tuż nad ziemią łopatami wirnika. Narośle i guzy czujników oraz wystająca sonda paliwowa nadawały mu wygląd przyczajonego smoka. Nie pasowały do tego talerze anten satelitarnych na dachu malowanego w maskujące plamy kontenera. Nie pasował hummer ze sterczącym nad skrzynią ładunkową półcalowym kaemem.

To nie Korea, Tu nie nadlecą lekkie ważki z pleksyglasową bańką kabiny, pierwsze śmigłowce Bella z dwułopatowym wirnikiem, ze śmiesznym prętem żyroskopowego stabilizatora ponad głowicą, które - jak wymarzył sobie Igor Sikorski - ratowały życie rannym.

149 MASH. Gdzieś w połowie drogi między Wyszkowem a Ostrowią. Kilkadziesiąt lat później.

Niewygodnie gramolić się na hummera ze skutymi na plecach rękoma. Potrzebował pomocy i ją otrzymał. Szarpnięcie za kołnierz amerykańskiej lotniczej kurtki pozbawionej dystynkcji, pchnięcie mocne, choć łagodne, bez złości. Na latynoskiej twarzy żołnierza nie malowały się żadne uczucia. Inaczej było z żandarmami. Młody irlandzki byczek aż kipiał chęcią zastrzelenia kogokolwiek podczas próby ucieczki, bez sensu i potrzeby wymachiwał swoim ingramem. Mimo zimna miał na sobie tylko kamizelkę przeciwpalną nałożoną na oliwkowy podkoszulek z krótkimi rękawami. W ogrzewanej kabinie hummera to nie przeszkadzało, ale teraz, przy zacinającym mokrym śniegu, nagie ramiona pokryła gęsia skórka, niezbyt pasująca do obrazu nieustraszonego Rambo, za którego niewątpliwie żandarm chciał uchodzić. Budził tym niezbyt skrywane politowanie żołnierzy z plutonu ochrony szpitala.

Wprawdzie dwaj żandarmi prowadzący skutego Wagnera mieli kamienne i nieprzeniknione twarze, ale inni, stojący dalej, pozwalali sobie na splunięcia i ciche komentarze. Dzielny irlandzki wojak nie znał hiszpańskiego, ale z tonu mógł się domyślić, że nie są to wyrazy podziwu.

Ale nie reagował. Był tylko sierżantem, a najgłośniejsze uwagi wygłaszał meks, na którego pagonach widniały dystynkcje kapitana.

Mimo iż żandarm nie cierpiał meksów, czarnuchów, bambusów, portorykańców i innej swołoczy, która zalewała jego ukochany Midwest, nie zdecydował się na protesty. Odbił to sobie na więźniu, wałąc go kolbą ingrama w plecy.

Ciemnolicy kapitan splunął pod nogi i mruknął coś, co zabrzmiało wyjątkowo obraźliwie. Po czym zrobił rzecz niespodziewaną. Nie bacząc na oniemiałego żandarma, podszedł do hummera, wyprostował się i starannie zaszalutował, patrząc więźniowi prosto w oczy.

Żandarm poczerwieniał, co przyszło mu łatwo, gdyż wygląd miał świeżo wyszorowanego, różowego wieprzka. Warknął coś do kierowcy. Hummer gwałtownie ruszył, wzbijając spod kół fontanny błota. Gdy mijał żołnierzy, ci także wyprężyli się na baczność, Wagner nie mógł odsalutować. Skinął tylko głową, mając wciąż w pamięci spojrzenie ciemnych, nieprzenikniętych oczu kapitana.

Za pierwszym wozem ruszyły dwa następne, z kaemami na skrzyniach. Jeden wysforował się do przodu, drugi zajął pozycję z tyłu.

Więzień widział przed sobą zaczerwieniony tłusty kark sierżanta, czuł lufę wpijającą się w żebra. Siedzący obok żandarm prawdopodobnie też pochodził z Irlandii. W żandarmerii zwykle tak bywało, jak zdążył się zorientować podczas dotychczasowych przejść z amerykańskim wojskowym wymiarem sprawiedliwości. Same białasy, co w dzisiejszej US Army stanowiło ewenement.

Na każdym wyboju lufa podskakiwała, dżgając boleśnie w bok. Broń została odbezpieczona, a smarkaty żandarm trzymał rękę na spuście. Ciekawe, po którym wyboju zaciśnie palec.

Wagnera nie przygnębiła nawet perspektywa, że w najbliższym lasku sierżant zatrzyma konwój, wykopie go z pojazdu, a potem strzeli mu w plecy. Na jedno wychodzi, parę dni wcześniej czy później.

Nie mylił się. Sierżant całkiem serio rozważał taki plan, zastanawiał się właśnie, na ilu ludzi może liczyć, że nie sypną. Wydawało się, że na wszystkich, same swojaki, irlandzcy katolicy, żądni chwały i przykopia heretyckim Polaczkom. A zły los, zwykle ciężko dotykający żandarmów w każdej armii, nie dał im dotąd okazji. Ryzyko w zasadzie nie istniało, raczej czekał ich awans i uznanie. Konwojowali przecież nie byle kogo, bądź co bądź to zbrodniarz wojenny, który zadawał zdradzieckie ciosy, chroniąc się za plecami ludności cywilnej. Sierżant podjął już decyzję, czekał tylko na odpowiednie miejsce. Jeszcze za blisko.

Mimo wszystko Wagner nie mógł powstrzymać się od spoglądania na zbieleły, zaciśnięty na spuście palec i w puste oczy najbliższego żołnierza, bezmyślne i czujne. Od początku nie miał szans. Amerykańska armia nie morduje ludności cywilnej, Wszystkiemu winni są ci, którzy złamali zawieszenie broni, Winni zwłaszcza nielicznym, pożałowania godnym wypadkom, kiedy to na skutek działań przywracających porządek zginęli cywile.

Czarnoskóry chłopak o wykrzywionej napięciem twarzy nie nacisnął spustu. Uprzedził go zachowujący resztki człowieczeństwa sierżant, uderzając leżącego kolbą w głowę. Ale też nic nie zmienił. Wszystko zostało już przesądzone.

Wszystko zostało przesądzone. Głośniejsze przekleństwo, wybijające się ponad jednostajny gwar wypełniający knajpę, wyrwało Wagnera z zamyślenia. Potoczył wzrokiem po otoczeniu. Nic się nie zmieniło. Powróciły wielokrotnie przeżywane obrazy.

Tylko sierżantowi adrenalina nie wypaliła mózgu. Zdawał sobie sprawę, w czym uczestniczy, widział zginający się na spuście palec. Zrobił jedyną rzecz, którą mógł zrobić.

Wagner uśmiechnął się mimo woli. Spotkali się kiedyś, dużo później, gdy sierżant podziękował już za służbę, przeszedł do rosyjskiej strefy i zajął się tym, co lubił najbardziej - handlem prochami.

Bodaj dwa tygodnie później sierżant już nie żył, zginął jako jedyny z grupy przemytników, która nadzieiała się na patrol cyborgów, kiedy było ich jeszcze na granicy od nagłej cholery. Biedak, nie pomogło mu, iż starał wtapiać się w otoczenie, że przy swych zdolnościach już po paru miesiącach mówił po polsku i rosyjsku prawie bez akcentu, a i po litewsku potrafił się dogadać. Ubierał się jak miejscowy, w rosyjskie, plamiste sorty Specnazu, nawet kałacha używał. Wszystko na nic. Może dlatego, że był czarny.

Karceni. Tak chyba brzmiało jego imię. Oni wszyscy mieli ostatnio pierdolca na punkcie islamu. Chłopak z czarnego getta, który przy trzeciej wpadce miał do wyboru - obligatoryjne dożywocie albo zaszczytna służba. Też dożyłotnia, Tyle że w dzisiejszych czasach trwała zazwyczaj krócej.

Na obesranym przez kaczki podwórzu, w przeraźliwym blasku płonącego fosforu, w chwili wypełnionej krzykiem, jedynie sierżant Kareem do końca nie stracił świadomości, Widział już w życiu wiele okrucieństwa; jak każdy czarnuch, który dożył pełnoletności, musiał zabijać, żeby przeżyć, Choć czarne getto należało do miejsc twardych i okrutnych, nikt tam nie wrzucał do mieszkań granatów fosforowych. Nie śmiał się, słysząc krzyk palonych żywcem ludzi.

Kareem zbyt często zabijał, ale nie tak.

Uderzył instynktownie, widząc zginający się na spuście palec. Nie zamierzał kogokolwiek ratować, Wiedział tylko, że ten smarkacz, czarny brat, za chwilę przyłączy się do szalu zabijania, rozpiętanego przez pomyłonego biaława.

Wagner machinalnie potarł potylicę, wyczuł gruby szew blizny, Kareem uderzył mocno, a kompozytowa kolba M-16 okazała się twarda.

To nie była świadoma decyzja, ale Kareem postanowił wtedy, że skurwysyny pokroju kapitana Yosslera nie powinny chodzić po świecie. Był zbyt naćpany, kiedy kilka tygodni później wrzucił granat do latryny. Nie udało się, Yossler siedział na innej dziurze, a gówno stłumiło wybuch, wychwytyjąc odłamki. Kareem nie mógł próbować po raz drugi, zbyt wielu osobom zdążył się pochwalić swym zamiarem. Zanim Yossler się domył, prysnął do lasu.

Blizna wciąż swędziała, jak zawsze, gdy wspominał Kareema i jego ciężką rękę. Ocknął się dopiero po wielu dniach. Kiedy zaczął kojarzyć, zobaczył siedzącego przy polowym łóżku uzbrojonego żołnierza i wartowników za uchyloną płachtą namiotu.

Wszystko się zgadzało. Nie był jeńcem, tylko zbrodniarzem wojennym.

Szybko dochodził do zdrowia, miał niezłą opiekę, ale organizm nie chciał pogodzić się z nieuniknionym, zrozumieć, że leczony jest, tylko po to, by zdrowy zbrodniarz mógł otpymać ostatni zastrzyk, Rozstrzelanie mu nie przysługiwało, jak oznajmił prokurator z twarzą wybladłego onanisty, mający przy przesłuchaniach nieprzyjemny i niewątpliwe rozprasający zwyczaj trzymania ręki w kieszeni i zabawiania się własnymi jajami.

Wagner nie próbował się bronić, wszystko od początku zakrawało na farsę, Gdy przeczytał akta, a w nich zeznania głównego świadka, zrozumiał, że i tak nie ma szans. Obciążające zeznania złożył bowiem kapitan Yossler, teraz już major, awansowany za zasługi w zwalczaniu dywersji na tyłach, który obecnie zajmował się koordynowaniem pomocy humanitarnej dla głodującej ludności. Nie pomógł obrońca, przerażony latynoski poruczniczyna. Był najniższy stopniem, stawiali go na baczność nawet adiutanci prokuratora, obaj w stopniu kapitana, Jedyłą nadzieję Wagner mógł wiązać z niemieckim majorem, biorącym początkowo udział w śledztwie. Niemiec czytał akta, kręcąc z niedowierzaniem głową i powtarzając swoje ulubione unmöglich i Q.tiatsch, czasami wtrącając Scheisse. Domagał się często dostępu do sieci łączności, przekazywał coś swym przełożonym ku niekłamanej wściekłości Amerykanów. Cóż z tego, w tym czasie podpisano układ o strefach wpływów i major pojechał nach Pommern, by zaprowadzać prawo i porządek w nowym landzie. A wraz z nim zniknęła ostatnia nadzieja.

I tak, leczony usilnie przez lekarza, rzucającego czasem niewyraźne przekleństwa w farsy pod adresem przełożonych i Wuja Sama, Wagner doczekał chwili wyjazdu ze skutymi rękoma w kierunku mostu na Bugu, do Wołomina, gdzie mieściło się już regularne amerykańskie więzienie, sąd wojskowy, a co najważniejsze, szczytowe osiągnięcie zachodniego humanitaryzmu. Maszynaria do wykonywania śmierciU nych zastrzyków...:

A może znacznie bliżej, do najbliższego lasu.

Kark żandarma zbladł, Irlandczyk uważnie się rozglądał. Prowadzący hummera zwolnił, żołnierz za kaemem wodził lufą po lesie. Wciąż za duży tłok, minęli już kilka UAZów, Rosjanie przejmowali właśnie strefę za Bugiem, który miał zostać rzeką graniczną, Albo, jeśli ktoś woli, linią rozgraniczenia.

Ponownie spojrzął na szare cyferki, Jak ten czas się wlecze, pomyślał z niechęcią. Zwłaszcza gdy najdą go wspomnienia...

Przed Bugiem nie mieli okazji. Minęli Porębę i wjechali w lasy ciągnące się aż do Broku. Znakomite miejsce, Niestety, żandarm musiał jeszcze poczekać, po rozrytym gąsienicami asfalcie ciągnęła kolumna BTR-ów z trójkolorowymi flagami na burtach. To

oznakowanie było ważne, największe straty wśród Rosjan spowodowało lotnictwo sprzymierzonych. Tak się bowiem pechowo składało, że polski sprzęt był identyczny, z wyjątkiem merkay, które stanowiły owoc krótkiego flirtu wojskowego z Izraelem, tuż przed wybuchem wojny.

Ale flagi wiele nie pomogły. Przydatne okazywały się tylko wtedy, gdy piloci mieli czas na wzrokową identyfikację celu, dla inteligentnej amunicji sygnatury magnetyczne i w podczerwieni takiego transportera były identyczne, niezależnie od tego, co wymalowano na bokach. Stąd, ku nieklamanej irytacji sprzymierzonych, dowództwo rosyjskie wymogło ograniczenie ataków lotniczych, co znacznie zwiększyło straty w końcowej fazie operacji.

Wagner machinalnie przyglądał się mijanym kolumnom. Na dziurawym asfalcie hummer nie trzął już tak bardzo jak na drodze gruntowej, szturchnięcia lufą były rzadsze i mniej bolesne, Rosjanie, którzy obsiedli pancerze stojących na poboczu transporterów, spoglądali na przejeżdżające hummery nieruchomym wzrokiem. Kilku poprowadziło pojazdy lufami karabinków. Kończyło się przymierze, dzielono ochłapy. Nie byli już sprzymierzeńcami, choć jeszcze nie stali się wrogami, teraz uważnie przypatrują się sobie z obu stron granicy. Już tylko z nazwy będącej linią rozgraniczenia.

Dojeżdżali do Broku, dotarli do ostatniej prostej przed miasteczkiem, lekko opadającej w dół. Skręcili w stronę rzeki, minęli spalony pawilon handlowy, zjeżdżając obok nasypu prowadzącego na most.

Długie przęsło, przerwane w połowie, spoczywało w nurcie od pierwszych godzin wojny, gdy trafiła je naprowadzana laserem bomba Payeway. Jak większość mostów w Polsce, za potrząskaną konstrukcją woda tworzyła wiry, wypłukując głębokie dołki ku uciesze licznych sandaczy.

Obok saperzy wybudowali prowizoryczną przeprawę. Wykorzystali jeden z mostów polskiej rezerwy strategicznej, składowany zresztą tuż obok, zaraz za spalonym pawilonem handlowym, Wagner pamiętał szare, pokryte łuszczącą się farbą elementy, z zamierzchłych czasów, gdy przychodził nad Bug na ryby. Wtedy nie spodziewał się, że te góry żelastwa kiedykolwiek się przydadzą.

Szerokie opony hummerów zachręściły po prowizorycznej drewnianej nawierzchni. Po tej stronie panował swojski, rosyjski bałagan, ale na amerykańskim brzegu ustawiono regularny posterunek graniczny. Pomalowany w maskujące barwy kontener mieszkalny, błyszcząca świeżą bielą i czerwienią szlaban, obok, w wiklinach, okopany bradley. Stanowisko kaemu, obłożone workami z piaskiem.

Z prowadzącego hummera wychylił się żandarm, machnął wartownikowi przed nosem przepustką. Żołnierz ani drgnął, ponuro popatrując spod okapu hełmu.

Konwój przyspieszył. Irlandzki sierżant poczuł się pewniej, odwrócił się nawet, mierząc więźnia wzrokiem, z którego bez trudu dawało się wyczytać mściwy triumf, Wagner nie opuścił wzroku, jedynie zaklął, Żandarm zmrużył oczy.

Jechali szybciej. Po tej stronie Bugu droga była pusta, Amerykanie nie podciągali wojsk tak blisko granicy. Mieli znacznie większy teren do kontrolowania, a główne siły przerzucali właśnie na Bliski Wschód, Według oficjalnych informacji mogli też liczyć na wsparcie marionetkowego rządu. Tu wciąż była Polska, żałośnie okrojona z jednej strony przez przyłączone do Republiki Federalnej landy, z drugiej - przez strefę rosyjską. Ale Amerykanie stanowili tylko siły pokojowe, mające ustrzec mniejszości przed czystkami etnicznymi. Chyba murzyńskie, bo innych mniejszości nie było. Nawet Wietnamczycy gromadnie przenieśli się do Wielkopolski, dzisiejszego Warthelandu.

Kaemy celowały nieszkodliwie w niebo. Żołnierz w prowadzącym hummerze zniknął z pola widzenia, kryjąc się przed zimnym wiatrem za osłoną wysokiej burty. Żandarm ponownie odwrócił się i zmierzył więźnia wzrokiem. Niedługo lasek, znał tę drogę.

Pierwszy wóz zwolnił. Dojechali do rozwalonego mostku nad niewielkim, zarośniętym rzęsą i grązelami starorzeczem, które można było bez trudu objechać. Ale most to most, sztuka się liczy, ten też trafił do rejestru celów, dostał swoją naprowadzaną laserem bombę. Zważywszy na jego wartość i znaczenie, był to niewątpliwie kiepski interes dla US Air Force.

Hummer zakołysał się, zjeżdżając z nasypu na usypany przez buldożery objazd. Lufa boleśnie szturchnęła w żebra, Biorąc pod uwagę przewidywaną długość życia, Wagner rozważał przez chwilę możliwość dzielenia siedzącego obok żandarma łbem, skoro ręce miał skute, Nie zdążył.

Prowadzący hummyee zamienił się w kulę ognia. Jak na zwolnionym filmie z pęczniejącej kuli wystrzelił długi jęzor kumulacyjnego strumienia. Granatnik przeciwpancerny, zdążył pomyśleć Wagner, i to duży kaliber, nie RPG, raczej Carl Gustav, Widocznie trochę zostało, nie wszystkie zrobiły dziury w pancerzach abramsów, schwartzkopfów i leopardów.

Dopiero teraz dotarła fala wybuchu, wdusiła przednią szybę, zasypując wszystkich gradem szklanych odłamków, Hummer zahamował gwałtownie, kierowca wyprostował się, podrygując w takt trafień. Skulony sierżant zniknął za oparciem siedzenia w nadziei, że przed ogniem z przodu osłoni go blok silnika, Nie bacząc na wciskającą się pod żebra lufę,

Wagner rzucił się z całej siły na drzwi, modląc się, by nie były zablokowane. I żeby ten gnojek nie zdążył nacisnąć na spust.

Nie były. Wypadając na zewnątrz, zrozumiał, że nie musi obawiać się wciśniętej pod zebra szesnastki. W ułamku sekundy dostrzegł martwiejące oczy młodego żandarma, czarną dziurkę tuż pod daszkiem czapki. Miał szczęście. Po trafieniu w mózg człowiek nie naciska spustu w ostatnim skurczu, takie trafienie wyłącza układ nerwowy.

Upadł źle, przeszkodziły skute z tyłu ręce. Uderzył mocno głową o ziemię, na szczęście miękką, nieubitą jeszcze oponami. Zobaczył, jak drugi hummer staje w płomieniach, a żołnierz przy kaemie wypuszcza ostatnią serię w niebo.

Poczuł tępe uderzenie w bark, które go podrzuciło, padł twarzą w piach, pod powiekami miał obraz przygiętych sylwetek, biegnących od strony starorzecza, z wierzbowych zarośli.

Wiedział, że oberwał, nie czuł jednak bólu. Czas przyspieszył, słyszał trzaski eksplodującej w płonących wozach amunicji, coś wryło się w grunt tuż przy jego głowie. Wreszcie kanonada zaczęła przycichać.

Leżał na wpeł uduszony, z ustami i nosem pełnymi wilgotnego piachu. Poczuł wreszcie, jak ktoś kopie go w biodro, szarpie za ramię, odwraca na plecy. Krzyknął, plując piaskiem. Zabolalo.

Otworzył oczy, i natychmiast je zamknął, gdy tuż przed nimi ujrzał lufę, z charakterystyczną rurą gazową. Kałach.

- Zostawi - usłyszał dziewczęcy głos, Znów otworzył oczy.

Stojący nad nim człowiek odziany był w plamisty kombinezon Specnazu. Nie był jednak Rosjaninem, Na głowie miał polski hełm aramidowy, z przypiętym do płóciennego pokrowca skrawkiem powiewającego luźno rudego futerka. Oporządzenie miał amerykańskie, ale ładownice rosyjskie.

Spod hełmu opadały na ramiona długie włosy.

- Przecież widzę - mruknął niechętnie tajemniczy osobnik, młody chłopak, jak zauważył Wagner, Mruknął dosyć głośno, ponieważ słyszał go przez huk dogasających już płomieni.

- Ma szczęście - dodał. - Jakby nie leżał na pysku, nie zobaczyłbym tych skutych łap. A tak...

- Skoro podpadł empikom, może być w porządku - Dziewczyna podeszła bliżej, rozglądając się czujnie.

- A może podpieprzył forszę koledze? Albo zastrzelił kogoś, nieostrożnie, przy świadkach, i trzeba było go zamknąć? Pies go trącał, niech z nim robią, co chcą... Hej ty, motherfucker! Umiesz mówić? Can you speak?

Dziewczyna pochyliła się nad nim tak nisko, że poczuł na twarzy nanizane na rzemyk, drewniane paciorki jej naszyjnika. Nie miała hełmu, tylko furazerkę niemieckiego czołgisty z przyczepionym... To wiewiórczy ogon, zauważył Wagner ze zdumieniem. Gdy się pochyliła, opadł jej na twarz. Odgarnęła go niecierpliwym ruchem.

- Stary już - stwierdziła. - Pewnie kradł zaopatrzenie, wygląda na pierdołę tyłową, Motherfucker! - dorzuciła..

Wypluł resztki piasku, obracając w ustach przygryziony język.

- Odpierdol się od mojej mamusi, laseczko - powiedział niewyraźnie, patrząc, jak oczy dziewczyny rozszerzają się ze zdziwienia.

Jej kompan pochylił się, pomógł mu wstać, Wagner skrzywił się z bólu.

- A ty zawsze strzelasz jak dupa, Korin, - Kolejny dziewczęcy głos. Nie, raczej kobiecy, była starsza. Trzymała szesnastkę z podwieszonym granatnikiem, na piersi taśmę z nabojami 40 mm, I naturalnie wiewiórczy ogon, który powiewał dumnie z boku hełmu, tym razem niemieckiego.

- Z pięciu metrów nie trafiłeś, widziałam, - Zwróciła się do skutego więźnia; - Ale pan chyba nie ma pretensji.

- Nie... - zaczął Wagner, nadal nie rozumiejąc, co się wokół niego dzieje, Przerwał mu wrzask.

Z rozbitego hummera, jedyne, który nie płonął, wywlekano właśnie irlandzkiego sierżanta, jakimś cudem nawet niedraśniętego. Jak kot czepiał się drzwi i karoserii, rozcinając dłonie na poszarpanej pociskami blasze, Nie miał szans, wywlekających było czterech, i chociaż sobie wzajemnie przeszkadzali, szybko dali mu radę. Uderzenie kolbą powaliło Irlandczyka na kolana, w dogasającej łunie pożaru widać było jego pobladłą, spoconą twarz i przepelnione obłądnym strachem oczy. Ci, którzy wywlekli go z samochodu, odstępili o kilka kroków i unieśli broń. Żandarm coś krzyczał, po twarzy spływały mu łzy, Wagner chciał do niego podejść, ale ktoś chwycił go za przestrzelone ramię.

Pociemniało mu w oczach, Zanim odzyskał wzrok, spodziewał się w każdej chwili trzasku salwy. Nie chciał go usłyszeć. Sierżant był niewątpliwie sukinsynem, ale coś wzdragało się w nim przed mordowaniem bezbronnych.

Nie usłyszał strzałów. Gdy wróciła mu zdolność widzenia, sierżant MP, ciągle jeszcze klęczał. Nie krzyczał już, nie błagał, tylko oczy błyszczały, mu przerażeniem.

Jedna z sylwetek wykonała szybki, niemal taneczny ruch. Błysnęła zakrzywiona klinga, odbijając blask ognia. Coś potoczyło się po ziemi, bezgłowy korpus osunął się, chlustając krwią z przeciętych arterii, zakrzywione palce przez chwilę darły ziemię. Krótko, zaraz znieruchomiały.

- Tak trzeba - usłyszał Wagner, czując skurcz ściągający mu twarz.

Popatrzył w bok. Starsza dziewczyna wpatrywała się w znieruchomiałe ciało pozbawionym wyrazu wzrokiem, w jej oczach odbijały się pełgające płomienie.

- Tak trzeba - powtórzyła po chwili. - Wkrótce zrozumiesz. Poczul, że zaraz upadnie. Podtrzymał go pechowy strzelec.

- Przepraszam, stary - mruknął mu do ucha. - Po raz pierwszy ciesz się, że nie trafiłem.

Wagner zebrał się w sobie, Popatrzył po otaczających go żołnierzach? Nie wyglądali na żołnierzy.

Podszedł ten, który ściał jeńca, Wysoki, dużo starszy od innych. Chyba w moim wieku, pomyślał Wagner, Pewnie dowódca.

Rzeczywiście, Stojący obok wyprężyli się ledwo dostrzegalnie.

- No, co jest? Nie gapić się, spierdalamy stąd.

Mimo zimna miał rozpiętą polską kurtkę mundurową, nałożoną na czarną koszulkę z trupa czaszką i napisem Black Sabbath - European Tour 2002, Ostrze zakrzywionego miecza wycierał białą szmatką.

To katana, spostrzegł Wagner, autentyczna katana. Pewnie podpieprzył z jakiegoś muzeum, żadna podróbka. Dopiero teraz uświadomił sobie, że pozostali także są uzbrojeni w broń białą. Młoda dziewczyna w furazerce miała na plecach przytroczoną kawaleryjską szablę, Korin, pechowy strzelec, miał saperską, amerykańską maczetę.

Jeden z tych, co dopiero podeszli, oprócz kałacha niósł kuszę. Morderczą machinę, przeznaczoną do polowania, z kompozytowym łuczyskiem i laserowym wskaźnikiem celu.

- Nie gapić się! - przerwał dowódca, - I tak nie ma co zbierać, wszystko się spaliło. Nie trzeba było strzelać do tego drugiego, przecież by nie zwiął.

Te słowa skierowane były pod adresem chłopaka dźwigającego rurę granatnika. Rzeczywiście, był to Carl Gustav.

- Zbieramy się! Hej, Iskierko...

Młodsza dziewczyna skinęła głową...

- Unieś ręce, - Stała za więźniem. Poczul dotyk zimnego metalu, coś szcęknięło, uwolnione ręce opadły.

- Dziękuję - powiedział do dziewczyny, chowającej do plecaka nożyce saperskie.

Nawet nie skinęła głową.

- Możesz iść? - spytał dowódca, wsuwając miecz do pochwy wystudiowanym, nonszalanckim ruchem, który musiał podpatrzeć na jakimś filmie samurajskim.

Wagner rozcierał nadgarstki, na których zostały gustowne bransoletki, dar amerykańskiego podatnika. Kiwnął głową bez słowa, nawet nie pytał dokąd. Wszystko jedno.

- Owszem - powiedział po chwili. - Ale nie wiem, czy szybko. Wcisnął właśnie opatrunek osobisty pod rozerwany rękaw kurtki mundurowej.

- Nie musimy się spieszyć, - Dowódca błysnął zębami, - Nie bój się, nie będziesz nas opóźniał, Zresztą to niedaleko.

- Nie musimy? - zdziwił się Wagner, Znow mógł logicznie myśleć.

- Wiem, o czym myślisz, - Dowódca roześmiał się już szerzej, pozostali zawtórowali, - Nic z tych rzeczy. Widzisz, jaki straszny burdel, Mało ich. Dzisiaj martwiliśmy się jedynie tym, czy ktoś nadjedzie, Bo szkoda tak piękny dzień zmarnować, w krzakach przesiedzieć na próżno. Ruszamy! Korin, pomożesz mu, to ostatecznie twoja zasługa...

Sprawnie sformowali kolumienkę i wtopili się w gęstniejący mrok, Szli czujni, ale rozluźnieni, widać było, że teren znają znakomicie, Idący przed Wagnerem dowódca wyjaśniał półgłosem:

- Ci przy moście schowali się już w swoim bradleyu, do rana nosa nie wychylą. Usmażymy ich innym razem, jest ich tylko pięciu. Wzywają wsparcia, ale to na nic. Najbliższa placówka jest w Łochowie, tylko piechota, wiedzą, że nie zdążą. Za to nie wiedzą, czy wrócą. Śmigłowce mają dopiero w Wyszkwowie, ale to hueye, nie wiadomo, czy w ogóle wystartują. A jak wystartują, to proszę bardzo...

Wagner nie był zaskoczony. Zauważył dwie wyrzutnie Grom, dużo lepsze od stingerów..

- A Rosjanie? - spytał tylko. Odpowiedział mu śmiech.

- Właśnie do nich idziemy. Prosto za Bug, już niedaleko...

- Powiedz mi jeszcze jedno... - Postanowił nie dziwić się niczemu. Ostatecznie dość długo był odcięty od świata, który, jak widać, zdążył bardzo się zmienić.

- Powiedz, kim, do diabła, jesteście? Partyzantami? Oddziałem regularnej armii? Ruchem oporu?

Roześmiali się wszyscy, którzy usłyszeli pytanie.

- Gdzieś ty był? - To głos tej starszej, trochę zdyszany od marszu. Amunicja do granatnika swoje waży.

- Gdzieś ty był? - powtórzyła. - Nie wiesz? To komando. Wolne elfy. Inaczej Wiewiórki. A on, to Wilk. Słynny wilk, jak mawiają niektórzy...

Może i słynny, Wagner zaczynał się już męczyć, stracił sporo krwi, więcej, niż z początku przypuszczał. A i nie doszedł jeszcze do siebie po poprzednich zranieniach.

Wilk, powiadasz, pomyślał, Komando, CNN, które czasami pozwalano mu oglądać, nic o tym nie mówiło.

Prawie cztery lata, Wagner wpatrywał się uważnie w szklankę pokrytą niezliczonymi odciskami palców. Nie ma już Wilka ani Iskierki, tej młodszej. Dopadł ją cyborg, niewiele zostało. Tylko furażerka niemieckiego czołgisty z wiewiórczym ogonem. Dwudziestomilimetrowe pociski nie pozostawiały wiele do pochówku.

Wolne elfy. W tej wojnie nie było partyzantów, Kmiciców, Ponurych, Borów, Nie istniał ruch oporu. Dwadzieścia lat wolności, globalizacji i macdonaldyzacji zabiło dawne wzorce. Lata nachalnej, narodowej propagandy, krzewienia ksenofobii, ogłupienia nowym kultem.

Nie powstały podziemne organizacje, W amerykańskiej strefie można było przebierać wśród kolaborantów. Ci, którzy nie chcieli się z tym pogodzić, zostali przestępcami, przemytnikami, wreszcie zwykłymi bandytami. W ten sposób, żyjąc poza systemem, zyskiwali namiastkę wolności. Dekady filmów karate przeplatanych pielgrzymkami przyniosły swoje żniwo. Nikt nie zakopywał broni, nie szedł do lasu w celach innych niż przestępcze. Wszyscy mieli wszystko w dupie. Prawie wszyscy. Poza Wiewiórkami.

Nie walczyli o niepodległość ani wolność. Wiedzieli, że już nigdy jej nie odzyskają, czas Europy, przynajmniej północnej, dobiegł końca. Nic tego nie odwróci, a wojna, która przyniosła koniec sporemu europejskiemu państwu, jest nic nieznaczącym epizodem, niezmienną faktą nadciągającej nieubłaganej zagłady.

Ale poszli do lasu, plując na dawne wzorce, zohydzone i zafałszowane. Poszli, bo wydawało im się, że tak trzeba, że tego wymaga... Przyzwoitość?

Wagner uśmiechnął się krzywo, wciąż wpatrując się w płataninę linii papilarnych. Nigdy nie usłyszał od nich tego słowa. Tak trzeba, to jedyne, co potrafili powiedzieć.

Poszli do lasu, biorąc za wzór skazany na zagładę lud z nieistniejącego świata. Lud, którego dni też były policzone, niezależnie od tego, co by zrobił i jak uparcie walczył.

Poszli, bo był to jedyny wzór wciąż jeszcze prawdziwy, niepodszyty tandetną dumą narodową i ksenofobią. Walczyli z wrogiem, dla którego zagłada państwa była tylko niewiele znaczącym epizodem gry o znacznie większą stawkę.

Wielu zginęło, W istocie za nic i bez sensu.

Wagner wymruczał przekleństwo. Sam, kurwa, nie jesteś lepszy, pomyślał.

Kędzior jak zwykle był punktualny. Skrzypnęły głośno zewnętrzne drzwi, z metalicznym łomotem stuknęły o framugę, Najpierw wpadło dwóch byczków o twarzach zdeklarowanych debili, w baseballowych czapeczkach nasadzonych na wygolone łby. Gdy rozglądali się czujnie, bystrym spojrzeniem, ich niskie czółka i rozrośnięte karki przypominały żywo rekonstrukcje ludzi kopalnych, gdzieś pomiędzy Homo ergaster a Homo erectus. Wrażenie potęgowały luźno opuszczone ręce.

Lustracja wypadła pomyślnie, obaj prehominidzi usiedli przy pospiesznie opuszczonym stoliku. Jeden nadal się rozglądał, drugi podniósł z talerza ledwo nadgryzione gęsie udo. Jak nic za pięćdziesiąt dolców.

W wejściu sali stanął Kędzior, który całkowicie polegał na swych gwardzistach.

Kiedyś go to zgubi, pomyślał Wagner.

Kędzior ruszył prosto do stolika. Wiedział, gdzie Wagner zwykł siadywać.

Bez słowa ciężko opadł na krzesło.

- Kuuurwa... - stęknął po chwili z ulgą. - Co za pogoda... Kelnerka z przyklejonym o dziwo do twarzy uśmiechem pojawiła się natychmiast. Król przemytników nie zaszczylił jej nawet spojrzeniem.

- To samo, dwa razy - warknął, - Tylko, kurwa, szybko... Zdjął szykowną futrzaną papachę z rzadkiego syberyjskiego zwierza. W spotniałej łysinie, której zawdzięczał swój przydomek, odbiło się światło jarzeniówek.

Nie miał również brwi i rzęs, ani jednego włoska na całym ciele. Znaczyło to, że przed czterema laty przebywał na obrzeżu kręgu, którego środek wyznaczało lotnisko w Mińsku, Co najmniej cztery kilometry od tego środka.

Nikt nigdy nie dowiedział się, kto odpalił głowicę pocisku, nazywanego w NATOwskiej nomenklaturze Kelt. Jednego z tych, które polski wywiad po latach starań odkupił od rosyjskiej mafii, by uczynić z nich ostateczny argument w przewidywanej wojnie. Prawdopodobnie zrobił to jeden z niezłomnych, którzy po Wilnie chcieli maszerować na Charków i Kijów, nawet wtedy, gdy Warszawa znajdowała się już w zasięgu ognia niemieckich Panzerhaubitze. Kiedy wszystkie MiG-i i F-16 gryzły już ziemię, a rakiety na Berlin można było zanieść tylko na własnych plecach.

W alianckim łańcuchu dowodzenia panował już niezły burdel, toteż nikt do dziś nie wie, kto wydał rozkaz, by bateria tychże Panzerhaubitze odpaliła pełną jednostkę ognia pocisków taktycznych, o mocy regulowanej od 0,5 do 10 kilo ton. I kto nastawił zapalniki na maksimum. Zresztą teraz to nieważne. Nie będzie Polski od morza do morza. Nie będzie nawet do jednego. Kędzior otarł spoconą łysinę.

- Tylko, kurwa, w czystej szklance! - krzyknął za kelnerką. Wagner przyglądał się przemytnikowi bez słowa. Kędzior był jak zwykle czyściutki, wymuskany i pachnący zarówno markowym alkoholem, jak i dezodorantem. Jego oficerska panterka wyglądała, jakby niedawno podpieprzono ją z magazynu dla wyższej kadry dowódczej, Co zresztą pewnie było prawdą, przemytnik nie zawracał sobie głowy oddawaniem odzieży do piana.

Zamiast kelnerki pojawił się sam właściciel.

- Który z panów zamawiał czystą szklankę? - spytał.

- A jak myślisz, sukinsynu? - Kędzior się skrzywił.

Właściciel, niezręcznie żonglując tacą, postawił przed nim koniak, podobno prawdziwy. Ręce mu się trochę trzęsły, o mało nie rozlał.

- Prawidłowo! Widzi, zem delikatny, wygod zwyczajny, nie to, co ty...

Wagner zdjął z tacy swoją szklankę, nie czekając, aż właściciel ochłapie mu spodnie. Przyjrzał się jej krytycznie, nie dostrzegł tym razem nic poza kolekcją odcisków palców. Szminki nie było, Albo nikt nie odpiął, albo właściciel nie malował ust.

Nie odwracając się do zgiętego w przymilnym ukłonie właściciela, Kędzior uniósł rękę obciążoną grubą złotą bransoletką, strzelił palcami. Jeden z łysych hominidów wstał, odliczył kilka banknotów z grubej parowy, ściągniętej recepturką. Właściciel skłonił się jeszcze bardziej, drapieżnym ruchem chwytając pieniądze. Mamrotał pod nosem niewyraźne podziękowania.

- No już, już, spierdalaj - głos ochroniarza był nieoczekiwanie łagodny i kulturalny, choć sądząc po jego wyglądzie, można się było raczej spodziewać nieartykułowanego ryku.

- Hojny jesteś - mruknął Wagner kpiąco, - Dla mnie też będziesz?

- A co tam, kurwa, stać mnie, - Kędzior lekceważąco machnął ręką, - Zastanawiałem się kiedyś, czy nie kupić całej tej budy...

- I co?

- Zrezygnowałem, jak widzisz. Za dużo kłopotów ze sprząaniem. Pierdolę taki interes.

- Stać cię, mówisz? - z zastanowieniem powtórzył Wagner. - To może przejdźmy do interesów.

- Nie pali się - mruknął przemytnik, - Chyba ci się, kurwa, nie spieszy? Posiedzimy, pogadamy”.

Spojrzał przez zaparowaną, przestrzeloną szybę. Wagner podążył za jego wzrokiem; Na samym środku zrytej gąsienicami pustej ulicy dwóch litewskich osadników kopało rosyjskiego lejtnanta. Oficer pełził po asfalcie, starając się ochronić zakrwawioną głowę. Obaj Litwini kopali starannie, z niespieszną chłopską zawziętością.

Po kolejnym celnym kopniaku w żebra lejtnant skulił się i przewrócił na bok. Widać było otwarte do krzyku usta, zlepione krwią jasne włosy. Zęby zgubił już wcześniej, obaj boćwinkowie mieli solidne wojskowe buty.

Gwar w knajpie zagłuszał krzyk. Całej scenie z milczącą aprobatą przyglądał się okutany szynem wartownik, który pilnował zardzewiałego BTR-a.

- Zmęczą się zaraz... - mruknął przemytnik, coś dziwnego zadrżało w jego głosie.

Wagner spojrzał zdziwiony. Kędzior i litość? Sam mógł bez drgnienia powieki patrzeć na podobne sceny. Teraz już mógł.

Kolejny kopniak trafił dokładnie w odsłonięte jądra, Oficer zwinął się na podobieństwo embrionu, zadrgał spazmatycznie.

- Kurwa! - wybuchnął swym ulubionym przerywnikiem Kędzior. Podniósł rękę, wskazał okno. Jeden z przybocznych troglodytów poderwał się i wybiegł bez słowa.

Osadnicy nie czekali. Łysy pochylił się nad skatowanym człowiekiem, uspokajająco machnął w stronę okna.

- Niepotrzebny mi tu trup, zwłaszcza oficera - mruknął Kędzior, tonem usprawiedliwienia. - To tylko psuje interesy...

- Nie musisz się tłumaczyć - prychnął Wagner kpiąco, bardziej, niż zamierzał, Żeby zatuszować niezręczność, stuknął szklanką o szklankę Kędziora.

Zapadło milczenie. Przerwał je po chwili przemytnik.

- A, co tam... - Urwał, - Kurwa... - dodał zaraz, jakby przypominając sobie, że tak wypada.

Sięgnął w zanadrze, wyjął elegancką białą kopertę. Dosyć grubą. Położył na stole.

Wagner przez chwilę ważył ją dłoni, po czym niedbałym gestem wsunął do kieszeni.

- Nie przeliczysz? - zdziwił się Kędzior. - Nie boisz się, że cię wyrucham?

Przeczący ruch głowy, kpiarskie zmrużenie oczu.

- Zrób mi przyjemność, Kędzior - w uprzejmym głosie Wagnera drgała nutka wesołości - wyrażaj się, kurde, jak człowiek. Nie kluj bez przerwy, nie rozmawiasz ze

swoimi gorylami ani z kmiotami we wsi. A poza tym, takie przeklinanie to grzech jak skurwysyn.

Kędzior skrzywił się i przypominał teraz nieznacznie podstarzałego łysego amorka.

- Przecież wiesz, że muszę. A poza tym, kurwa, lubię. Jestem bandyta i przemytnik, to jak mam mówić? Zresztą może masz i rację...

Zamyślił się.

- Nie przeliczysz? - ponowił pytanie.

- Nie - odparł Wagner. - Tak samo jak ty nie spytasz, czy na nie zapracowałem.

W szerokim uśmiechu błysnęły plomby w zadbanych trzonowcach przemytnika.

- Z czego się śmiejesz?

- Bo nie muszę pytać. Wiedziałem już, zanim dupa ci wyschła po przejściu Bugu, A ty, z czego rżysz?

- Bo nie wiesz wszystkiego. Przepląnąłem łódką, jak człowiekowi w moim wieku przystoi.

Wagner spowaźniał.

- Ale na serio, problem masz z głową. Co najmniej na miesiąc, może sześć tygodni. Zanim ściągną nowy sprzęt, zanim się pozbierają.

Przemytnik pokiwał głową. Niezwyciężona armia amerykańska goniła resztkami sił. Słuszna wojna o ropę w Zatoce pochłaniała wszystkie rezerwy, a garnizon w Polsce wisi u ostatniego cycka, jak się kiedyś wyraził pewien amerykański major. Powiedział to i jeszcze kilka rzeczy, tkwiąc w błędnym przekonaniu, że wzięli go do niewoli partyzanci przestrzegający konwencji, Iracka i kuwejcka pustynia okazała się workiem bez dna, pochłaniającym coraz to nowe kontyngenty wojska i sprzętu, które ginęły pod naporem połączonej armii iracko-irańskiej z jednej strony, a izraelsko-egipsko-syryjskiej z drugiej. Siły pokojowe w Polsce skazane były na stare - pamiętające jeszcze Wietnam - M-60 i wypożyczone od Angoli challengery, zamiast abramsów i schwartzkopFów, tak potrzebnych na Bliskim Wschodzie i granicy meksykańskiej. Cóż, ropa ważniejsza, czołgi trzeba przecież czymś napędzać. Zwłaszcza w tych zwariowanych czasach, kiedy norweskich pól naftowych strzegły okręty klasy Antiej, obsadzone rosyjskimi najemnikami, a na drugim brzegu Rio Grandę śpiewano coraz częściej ludową piosenkę o podrzynaniu gardeł.

Strata jedyne go challenger a w łochowskiej placówce oznaczała trochę spokoju, otwarcie dla grup przemytników szlaku przez Lochów do Tłuszcza i Wołomina, dopóki

przerzedzona załoga posterunku będzie siedzieć jak mysz pod miotłą, zamiast patrolować podległy jej odcinek linii rozgraniczenia, jak wciąż eufemistycznie określano granicę.

To znaczy coś jeszcze, pomyślał Wagner. Coś ważniejszego niż ciemne, aczkolwiek niewątpliwie ożywiające ekonomię wyniszczonego wojną kraju interesy Kędziora, Wiadomość, że rozstrzelywanie nieletnich, nawet za wykroczenia przeciw prawu wojennemu, nie zawsze jest bezkarne.

- Cóż, miło się z tobą pracuje... wiedźminie.

- Przestań pieprzyć, Kędzior! - zachnął się Wagner, Przemysłnik wykrzywił dziecięcą twarz w uśmiechu.

- Skoro to cię wkurwia. Dobra, co dalej?

Wagner przetarł czoło, odgarniając opadające długie siwe włosy.

- Niech zgadnę... - powiedział powoli, - Masz coś jeszcze? Ale na razie nic z tego... Muszę odpocząć.

- Najpierw posłuchaj.

- Nic z tego - powtórzył Wagner cicho, lecz z naciskiem.

- Kurwa, przestaniesz przerywać! - zdenerwował się Kędzior, - Co ci szkodzi posłuchać? Potem możesz powiedzieć, żebym cię w dupę pocałował, Nie ty, to kto inny, Sporo was ostatnio, odmieńców.

Wyszczерzył się szyderczo.

- Zgoda - mruknął po chwili Wagner, - Posłucham, A potem pójdę odpocząć, pogadamy za. A niech ci będzie, za dwa tygodnie. Ale.

Widząc, że przemysłnik chce coś wtrącić, powstrzymał go gestem dłoni, Kędzior zamarł z rozchylonymi ustami, co nadawało mu osobliwy wygląd.

- Ale będziesz się wyrażał, jak człowiek kulturalny. Męczą mnie twoje bluzgi.

Kędzior kiwnął głową. Odczekał chwilę, aż Wagner zacznie się niecierpliwić.

- Blackhawk.

Słowo zawisło nad blatem poplamionym samogonem i resztkami ketchupu.

Wagner głośno sapnął.

- Mów, kurwa - warknął, patrząc na zadowoloną gębę podstarzałego cherubina.

- O, proszę, i kto się wyraża? - zdziwił się przemysłnik obłudnie. - No dobrze, już mówię - pospieszył, widząc na twarzy rozmówcy grymas gniewu.

- Polowe lądowisko, parę kilometrów od Wyszkowa. Przebazowali go niedawno, jakieś trzy dni temu.

Wagner w zamyśleniu kiwał głową. Używano niewiele blackhawków, granicę patrolowały przedpotopowe LjH-1. A raczej miały patrolować, ponieważ były zbyt wrażliwe na ogień z ziemi. Nie to, co dwudziestkiczwórki używane przez Rosjan, w większości też zresztą uziemione z braku części zamiennych.

- Duży skur... O, przepraszam, duży helikopter, w wersji MH-60 Night Stallcer, z FLIR-em, opancerzeniem i wszystkimi bajerami. Narobi kłopotów, wszystkim narobi. Nam, twoim. A i tobie osobiście.

Bawiąc się sprzączką stojącego przy krześle futerału, Wagner mimo woli podziwiał wywiad Kędziora, Nowiny przemytnika zawsze okazywały się prawdziwe. Zwłaszcza te złe.

- Planujesz coś teraz? - spytał, chcąc zyskać na czasie. Kędzior roześmiał się.

- Ja zawsze planuję. Bardzo mi psuje szyki. Tak naprawdę. Zawahał się.

- Tale naprawdę, to pewnie nie powinienem nic mówić. Ale trudno, znamy się tyle czasu, nie podniesiesz chyba ceny...

Zaniepokoił się całkiem serio.

- Nie podniesiesz? - popatrzył w zneruchomiałe i czujne oczy rozmówcy.

- Nie pieprz, Kędzior... - mruknął Wagner.

- No dobrze. On nie pomiesza mi szyków, tylko całkiem rozpieprzy cały interes. Koniec zabawy, za duże ryzyko. Dopóki skurwysyn będzie latał, wypadam z gry...

Wagner pokiwał głową. Zdawał sobie z tego sprawę. Przy tak słabym przeciwdziałaniu interesy Kędziora dawno przerosły wszelkie rozsądne granice. Znający teren, znakomicie uzbrojeni przemytnicy nic sobie nie robili ze słabych, powolnych UH-1. Piechota też była nieprzydatna, przemytnicy wciąż się wymykali, Wprawdzie w odwrocie potrafili się boleśnie odgryźć, ale walka nie była ich celem. Normalne metody nie skutkowały.

Groźne były cyborgi. Lecz było ich mało, zbyt wiele kosztowały, a poza tym bardziej ich potrzebowano na granicy meksykańskiej. Lepiej sprawdzały się też w lasach deszczowych Ameryki Środkowej, gdzie Amerykanie uwikłali się w tuzin lokalnych wojenek.

Ale nawet jeden blackhawk mógł przewrócić wszystko do góry nogami. Przy jego wsparciu nawet przedpotopowe hueye stawały się groźne.

- Jesteś pewien? - spytał wreszcie Wagner po dłuższym milczeniu.

- Czego? - wybuchnął przemytnik, - Swoich informacji!? Niestety, kurwa, jestem. Ty zresztą też.

- Owszem, nigdy się nie myliłeś. - Wagner skinął głową. - Nigdy dotąd, Ale coś mi tu nie pasuje. Ostatnio cienko przędli, nic dziwnego, wciąż dostają w dupę, w Iraku i w Kuwejcie, Redukowali garnizony. Niech to szlag, podobno radomski całkowicie zlikwidowali, jest tylko MP i policja. Wprawdzie po ostatniej epidemii nie mają czego pilnować, ale zawsze. A tu, proszę, blackhawk, i to taki za kilkanaście milionów dolców. Do tego zaplecze, mechanicy i tak dalej. Niewiarygodne.

Kędzior chwilę sapał ze złością.

- Niewiarygodne, powiadasz? - warknął. - No dobrze, pomyśl tylko, Popatrz, ilu tu, kurwa, nagle zjechało Kazachów, ilu Czeczeńców. Zwłaszcza Czeczeńców, oni przecież potrafili z całej republiki zrobić rodzinny bandycki interes. Ruskie sobie z nimi do dziś nie poradzi. Jak myślisz, po co tu przyjeżdżają?

Wagner zrozumiał. Ale nie do końca był przekonany.

- A nie prościej cię po prostu odstrzelić? - spytał z powątpiewaniem.

- Nie prościej - zaprzeczył przemytnik. - Chociaż to także biorę pod uwagę, nie martw się... Ale nie tylko ja, popatrz na tych...

Wskazał swoich prehominidów.

- Ten z lewej ma doktorat z informatyki, chociaż nie wygląda. Po prostu lubi swoją robotę, ale w każdej chwili może przejść po mnie interes. Zbyt wielu musieliby wystrzelać, to się może nie udać. A są jeszcze Ruscy, nie cierpią Czeczeńców jak zarazy, czekają tylko na pretekst. Mnie znają, od lat, za wiele wspólnych interesów. Co innego, gdy mnie zabraknie.

Wagner zaklął pod nosem. Wszystko zaczynało się układać.

- Myślisz, że nie stać ich na blackhawka? Może nawet kupili go w Fort Worth i płacą za paliwo. Zresztą Amerykanom to też na rękę, ja im niespecjalnie przeszkadzam, ale za czeczeński szmal dobiorą się do Wiewiórek.

Kędzior zamilkł, pociągnął tęgi łyk koniaku, nie krzywiąc się nawet. Odstawił pustą szklankę. Momentalnie pojawił się właściciel, niosąc tacę z następną.

- A dla mojego przyjaciela to co? - wrzasnął przemytnik.

Po chwili również Wagner mógł delektować się alkoholem. O dziwo, w czystej szklance. Ale nie rozproszyło to ponurego nastroju, w który zaczynał popadać.

- W porządku, stuknę sukinsyna. Trudno będzie, ale stuknę... I co potem?

- Jak to co? - Kędzior sprawiał wrażenie, że nie rozumie.

- Co im przeszkodzi sprowadzić następnego? Jak mówiłeś, szmalu mają pod dostatkiem, a gra idzie o dużą stawkę. Albo od razu dwa? Oni też się uczą.

- Wtedy ty stukniesz ich. - Kędzior wybałuszył oczy. Jak ktoś może nie rozumieć tak prostych rzeczy.

Wagner pokręcił głową.

- Nie martw się, już ich rozpracowuję, - Przemutnik opacznie pojął przeczenie, - Dostaniesz ich na talerzu, nie bój się.

Urwał, wibując niechętnie skrzywienie.

- Co, nie chcesz sobie rączek brudzić? - syknął ze złością, - Załatwiasz tylko najeźdźców i okupantów? Zbrodniarzy? Nic, kurwa, osobistego?

Wagner przymknął oczy. Nie chciał na ten temat rozmawiać.

- Popatrz na mnie, pierdolony hipokryto! - wrzasnął przemutnik, - Nic osobistego? A kto, kurwa, polował na człowieka przez pół roku? Mpże ja? I dlaczego? Bo był ludobójcą, zbrodniarzem wojennym? Bo mordował cywilów? No powiedz!

Wagner milczał, patrząc w brudny blat.

- Nic osobistego? Powiem ci głośno, co i tak sam wiesz. Jak stałeś się wiedźminem, choćbyś nie wiem jak wściekał się na to słowo! Dlaczego zabiłeś po raz pierwszy, na zimno, tylko dla własnej satysfakcji. Bo już nikogo nie ratowałeś i nikomu nie mogłeś pomóc. Zabiłeś go nie za to, co zrobił, tylko dlatego, że cię upokorzył, że kazał ci patrzeć, a ty byłeś bezradny. Nieprawda, mogłeś wybrać śmierć. Ale chciałeś żyć...

Zazwyczaj to zadanie dla dwóch ludzi. On musiał poradzić sobie sam, Podczołgać się nocą i rozstawić czujniki meteorologiczne jak najdalej na przedpolu. Pogoda jest dobra, muszą, wystarczyć dwa, więcej i tak nie miał, Były drogie i cholernie trudne do zdobycia. Cały czas myślał o tym, gdy rozsuwał teleskopowe pręty zakończone receptorami i uruchamiał radiolinie transmisyjne.

Wiedział, że jeśli spieprzy robotę i spudłuje, straci szansę na odzyskanie czujników, Wszystko diabli wezmą, nawet gdy zdoła się wycofać.

Co nie było takie oczywiste, Zginęło już wielu snajperów, którzy starali się odnieść łatwy sukces, ostrzeliwując posterunki, Zbyt wielu, żeby teraz była to bezpieczna zabawa. Placówki na zagrożonych terenach stosowały odpowiednie procedury, patrole ze specjalnym wyposażeniem przeszukiwały okolicę, I to nie cyborgi, było ich zbyt mało, by dać ochronę wszystkim. Ale nawet nieusprawiony żołnierz, który dysponował ekwipunkiem Land Warrior, miał w lesie przewagę nad zwykłym człowiekiem, Słyszał i widział więcej, nie wspominając już o miazdzącej przewodze ognia.

Na szczęście załogi posterunków szybko popadły w rutynę. Patrole nie przekraczały podręcznikowej granicy sześciuset metrów, ponad którą skuteczność strzelców wyborowych znacznie spadała.

Zazwyczaj było to zadanie dla dwóch ludzi, zwłaszcza z taką bronią. Półtora kilometra to nie byle co, nawet dla takiego karabinu, oficjalnie zwanego przeciwprętowym. Snajper tylko celuje i naciska spust, kto inny ustawia czujniki, mierzy odległość do celu, obsługuje komputer balistyczny. Wagner musiał wszystko zrobić sam.

Niósł wyłącznie niezbędny sprzęt. Nie miał nawet maty izolacyjnej, na której mógłby się położyć. Czuł, jak chłód wilgotnej ziemi przenika ciało, a w stawach odzywa się znajomy ból. Byle zdążyć, zanim zupełnie zeszywnieje.

Komputer analizował dane z czujników meteorologicznych, wyświetlany w okularze krzyż celownika przesuwiał się lekko, przyjmując kolejne poprawki na wiatr, wilgotność i temperaturę. Za mało tych czujników, instrukcja zaleca minimum trzy. Musi wystarczyć, pomyślał po raz kolejny tego poranka.

Karabin dało się kupić. Rosyjski OT-450, 12,7 milimetra. Naboje też, choć z większymi problemami. Nie chciał używać standardowej amunicji od wukaemów, miała zbyt duży rozrzut parametrów. Specnaz jej wprawdzie używał, ale dawała zadowalającą celność do kilometra. Rosjanie zresztą wykorzystywali tę broń do zwalczania lekko opancerzonych wozów bojowych i rakiet taktycznych. Rzadko strzelano z niej na większe odległości, a jeszcze rzadziej do ludzi.

Postarał się o amunicję Nammo, Nie zależało mu na jej zdolności penetracji i zapalających właściwościach cyrkonowego rdzenia. Ale norweska fabryka miała dużo ostrzejsze normy, zwłaszcza przy selekcionowanych nabojach Grade A, produkowanych specjalnie do karabinów wyborowych.

Na szczęście rosyjski program uwzględniał norweską amunicję, I funkcjonował bez problemów na polowym amerykańskim laptopie, Rosyjskie komputery, amerykańskie komputery, i tak wszystkie z Tajwanu.

Oprogramowanie i czujniki można było kupić, komputer należało ukraść, Albo zdobyć. Ten kosztował życie dwóch gówniarzy z amerykańskich służb zaopatrzenia.

Poruszył się, czując, że drętwieje, Zupełnie niepotrzebnie spojrzął na uchyloną pokrywę laptopa, raz uruchomiony program działał sam, przesyłając szyną Mil-Std dane do modułu celowniczego, Kryjówka pod gałęziami była mroczna, dobrze zamaskowana. Gdy spojrzął ponownie w okular, zobaczył w polu widzenia ciemne plamki. Podświetlany

cieklokryształiczny ekran trochę oślepił. Zaklął, zły na swoją głupotę i niecierpliwość. Zamrugał, po chwili plamki zniknęły, Odetchnął z ulgą.

Nie chciał spoglądać na zegarek. Ale to już chyba niedługo. Obserwował placówkę od dawna, wiedział, że cel rzadko narusza rutynę. O tej porze zwykle przybywał szwedzki TIR z darami, eskortowany przez dwa opancerzone hummery. Szwedzi, jakby nie zdając sobie sprawy z wiszących nad nimi samymi kłopotów, wciąż przysyłali pomoc humanitarną - żywność, odzież, lekarstwa, które można będzie wkrótce kupić na bazarze po paskarskich cenach. -

Pogładził kciukiem włącznik laserowego dalmierza, walcząc z pokusą dokonania kolejnego pomiaru odległości. Dystans z grubsza miał zmierzony, ostatecznego pomiaru dokona tuż przed strzałem, nacisk na spust automatycznie uruchamiał dalmierz. Teraz to niepotrzebne ryzyko, w zaparkowanym pod namiotami bradleyu mógł być włączony czujnik oświetlenia laserem. A wiązka, przy tej wilgotności powietrza, może mieć przy celu całkiem sporą średnicę.

Już niedługo. Głęboko odetchnął, rozluźnił się. Cel zaraz wyjdzie z namiotu i jak co dzień stanie na zabłoconym placyku, czekając na kolejną dostawę, aby wybrać co najlepsze dla siebie i kumpli. Wspaniała fucha.

Wreszcie ruch. Półtora kilometra od kryjówki cel odrzucił płachtę namiotu. Wagner poczuł przyływ adrenaliny.

Drgający lekko, pływający w polu widzenia w takt napływu aktualnych danych krzyż przesłonił zieloną tasiemkę z czarnymi literami, układającymi się w nazwisko Yossler.

Krzyżujące się nitki znieruchomiały na chwilę, widać ucichł słaby wiaterek, rejestrowany przez wysunięte do przodu czujniki, Teraz!

Palec naciskający spust znieruchomiał. Yossler sięgnął do kieszeni na piersi, wyjął paczkę papierosów. Nawet stąd Wagner mógł dostrzec, że to camele, Yossler włożył jednego do ust, szczerknął szpanerską benzynową zapalniczką Zippo.

Wagner poczuł współczucie. Ten sukinsyn był jednym z niewielu nonkonformistów w amerykańskim społeczeństwie, zidiociałym do cna z dobrobytu. Nie poddał się owczemu pędowi, który nakazywał gnębić palaczy równie zajadle, jak niegdyś McCarthy tępił komunistów.

Wie, co dobre, pomyślał Wagner, skupiając się na nitkach z podziałką. Twarz wroga przesłonił obłoczek dymu. Zanim się rozwiął, palec pokonał pierwszy opór. Wiązka laserowego dalmierza przebiegła półtorakilometrową odległość, jej odbicie powróciło do

receptora pod lufą. Punkt celowania przesunął się, bardzo nieznacznie. Poprzedni pomiar był dokładny, cel stał w dobrym miejscu.

Yossler nie mógł dostrzec wiązki lasera. Była niewidoczna dla ludzkiego wzroku. Ale Wagner mógłby przysiąc, że jego twarz stężała. Wydawało się, że przez chwilę spoglądał mu prosto w oczy. Palec pokonał drugi opór.

Gdy cyrkonowy rdzeń fragmentował wewnątrz czaszki, a głowa Yosslera rozpryskiwała się w obłoku krwi, w umyśle Wagnera kołatała się jedna bezsensowna myśl. Dobre te ruskie hamulce wylotowe, prawie nie poczułem odrzutu...

- Nic osobistego? Odstrzeliłeś mu łeb z półtora kilometra! Nawet nie wiedział, co go dopadło! Zrobiłeś to, kurwa, wyłącznie dla siebie! Bo nie pieprz, że dla tej usmażonej fosforem dziewczyny i dzieciaków...

Wagner potrząsnął głową, Słyszał natarczywy głos Kędziora, wybijający się ponad gwar, ale nie rozpoznawał poszczególnych słów, Ostatecznie, cóż takiego mógł usłyszeć? Nic, o czym by sam nie wiedział. Popatrzył na przemytnika.

- Dość - powiedział cicho.

- Nie przyjacielu, nie dość - odparł Kędzior spokojnie, - Nie dzisiaj, Wreszcie ci powiem, kim jesteś, Wytlumaczę to na własnym przykładzie, A ty mnie wysłuchasz...

Sięgnął po szklankę.

- Najpierw się napijmy, - Prychnął z irytacją.

Wagner machinalnie ujął swoją szklankę. Przemytnik spojrzał w jego ściągniętą twarz. I dobrze, pomyślał, może coś do niego wreszcie dotrze.

Wypił, wstrząsnął się. Splunął na brudną posadzkę.

- Byłem, jak zapewne wiesz, pieprzonym japiszonem... - Obracał w dłoni pustą szklankę, wpatrywał się w dno, jakby tam dostrzegał co najmniej karalucha, Albo coś równie ciekawego.

- Pieprzonym japiszonem - podjął spokojnym, cichym głosem. - Z tych, co to do roboty przychodzą rano, a wychodzą wieczorem. Łażą w garniturze i nie palą, bo to niemodne. Tak, byłem jednym z tych ogłupionych reklamami, nowoczesnych niewolników, marzących o awansie na starszego niewolnika, z nadzieją na wrzody żołądka albo zawał. Żarłem fast foody, bo na nic innego nie było czasu. Nie dostrzegałem, co się dokoła dzieje. Do jakiego zidiocenia doszliśmy. Do jakiego zidiocenia nas doprowadzono...

Spokój prysł. Ale Kędzior wciąż sprawiał wrażenie kulturalnego, gładkiego człowieka, a nie króla przemytników, rzucającego kurwą co drugie słowo.

- Kiedy rozpoczęła się wojna, byłem w szoku. Wszystko się urwało, zginął świat, jaki znałem. Firmę diabli wzięli, a moi amerykańscy szefowie spieprzyli przed faktem, ponieważ mieli dobry wywiad. Pewnie poszli wciskać swoje gówno buszmenom. Patrzyłem na to jakby z zewnątrz, na bezrobotnych, którzy ochoczo zaciągali się do wojska, na rozkaz rządu i z ambony ruszali wyzwalać Wilno, Tego samego rządu, który ich zrobił bezrobotnymi, który majątek rozpierdolił na kapliczki i wizyty, który wydał wszystko, by zrobić z nas pośmiewisko świata, Stałem z boku i myślałem, że to mnie nie dotyczy, Przyjdą Amerykanie i zrobią z oszołomami porządek, Ja wierzyłem w American Dream. Patrzyłem na hołotę tłoczącą się w marketach, w końcu z niej żyłem, Sprzedawałem chłam, którego nikt rozsądny by nie kupił. Patrzyłem na kolejne pomniki, pielgrzymki i pogromy innowierców. Zwłaszcza tych najgorszych, katolików starego obrządku, jak to się oficjalnie nazywało. Patrzyłem z boku...

Wagner nawet się nie poruszył. Słuchał z pozornie nieobecny wyrazem twarzy.

- Miałem nadzieję, że oszołomy dostaną po dupie, i ten kraj wreszcie wróci do normalności. Bardziej zajadłych wytluką, skoro chcą szarżować w imię Polski od morza do morza. Ale pieprznięło, W moim przypadku dosłownie. Cudem przeżyłem, I wiesz co? Okazało się, że to wszystko przedtem było gówno warte. W przenośni i dosłownie. Nie będzie Polski od morza do morza, nie będzie żadnej. W ogóle nic nie będzie, tylko morena denna, tu właśnie, a pod Tatrami - czołowa. Będzie pieprzony lodowiec, w całej Europie. Wszyscy wiedzieli, tylko nie nasi debile, obrażeni na cały świat, że ich nie rozumie. Zapatrzeni w wartości, które chcieli nieść światu, zdziwieni, że świat reaguje na nie alergicznie. Ze ma je głęboko w dupie, bo nadchodzą naprawdę poważne zmartwienia, przynajmniej dla zachodniej cywilizacji. Nie potrafili zrozumieć, że nikogo nie obchodzi już tropienie komuchów i życie poczęte.

Przestał być gładkim dyrektorem handlowym, przed Wagnerem siedział znowu król pogranicza. Zniknęło złudzenie garnituru i krawata, znów była elegancka panterka i lśniąca łysina.

- Bo, kurwa, nie o to chodziło. Nikt nie chciał przywracać swobód, bronić biednej, demokratycznej Litwy przed teokracją, która załęgła się w środku Europy, Chodziło o przyczółek, o miejsce, w którym można się na chwilę zatrzymać, by spieprzać dalej. Bo nie ma już przyszłości, przynajmniej dla tego kawałka świata, na wiele, wiele lat. Dla nas na zawsze, A ci głupcy dali tylko pretekst, Niepotrzebny zresztą, dla nas i tak nikt nie przewidział miejsca. Tak jak dla talibów. Po co ja ci to, kurwa, mówię? Inteligentny jesteś, też oglądałeś Discovery. A reszty dowiedziałaś się, kiedy znikły wszystkie tajemnice.

Rzeczywiście, Wagner wyrwał się z ponurego zamyślenia. Ciepłe zimy były złudzeniem, okrutną igraszką efektu cieplarnianego. Polscy rolnicy za kilkadziesiąt lat nie będą uprawiać gajów pomarańczowych, jak sądzili naiwni, Ocieplenie zwiastowało lodowiec. Lub, jak kto woli, białe zimno. To samo, ale ładniej brzmi.

Topnienie lodów tylko chwilowo podniesie poziom oceanów, Holandia nie zniknie pod powierzchnią morza. Nadmiar słodkiej wody z zanikających czap polarnych wstrzyma cyrkulację prądów oceanicznych, Golsztrum przestanie ogrzewać Europę, Woda zostanie uwięziona w lodowcu, który według ostrożnych prognoz dotrze do Warszawy, Znikną Rosja, Kanada, a także północne Stany, Zniknie również Polska, ale tym akurat nikt się nie przejmował. Polska już nie istniała, na swą własną prośbę.

- Pretekst nie był potrzebny - podjął Kędzior, nie zwracając uwagi, że Wagner go nie słucha, - Sam wiesz. Czesi i Słowacy pretekstu nie dali, cackali się z mniejszością węgierską. A i tak Węgrów przyszła bronić fińska armia. Stacjonuje do dziś, niedługo w jej skład wejdą wszyscy Finowie, Ech, po co ja to mówię...

Wagner pokiwał głową. Jednak słuchał.

- Pieprzono i zostałem tym, kim jestem, Przeżyłem, co mnie samego dziwi. A potem odkryłem w sobie talent. Prawdziwe powołanie. Trochę jak ty. Tylko że ja nie udaję. Lubię być tym, kim jestem, a nie uśmiechającym się kutasem w krawaciku, który się płaszczy przed każdym. Już nie wciskam ludziom gówna, nie muszę. Zapłaciłem za to dużo, choćby własnymi jajami, które zamieniły się w pomarszczone rodzyнки, Ruscy nigdy nie robili czystych głowic. Ale, kurwa, nie żałuję. I wiesz co? Chociaż to śmiesznie brzmi, jestem, kurwa, uczciwy.

Popatrzył z ukosa na rozmówcę. Wagner się nie roześmiał. Słuchał.

- A poza tym... nie ma żadnej perspektywy. Wykreślił się sami z mapy przyszłego świata. Wiem, nie przyłożyłem do tego ręki... A może jednak? Oni szykowali się na Wilno, na Lwów, ogłupiali smarkaczy, jak już wiele razy w historii, a ja... Ja sprzedawałem nikomu niepotrzebny syf, i było mi z tym dobrze. Nigdy się nie dowiem... Ty jesteś taki sam, robisz to, co uważasz za słuszne. Nie pozwalasz, żeby skurwysyny do końca wygrały. Ale przegrasz, skurwysynów jest więcej. Kryjesz się za swoją hipokryzją, zasadami, które sam wymyśliłeś, A przecież chodzi ci o to samo, żeby skurwysyny nie były górą, I lubisz siebie takiego, jaki jesteś...

Odkaszlnął, Zaschło mu w gardle.

- Hej, co jest! - wrzasnął ochryple, wskazując wymownie pustą szklanekę.

Zanim wystraszony właściciel pojawił się z tacą, milczeli chwilę, nie patrząc sobie w oczy, Wreszcie Kędzior pociągnął łyk.

- A to palant. - mruknął, krzywiąc się niemiłosiernie.

Wagner nie wiedział, o co chodzi, dopóki sam nie spróbował. Samogon zabarwiony łupinami cebuli.

- Myślał, że już nie pocujemy - Przemutnik pokręcił głową. - A co tam, człowiek też chce żyć.

Machnął ręką z rezygnacją.

- Niech się cieszy, że nas załadował...

Wagner nie odpowiedział. Po trzeciej szklance było mu to obojętne. Złościło go tylko, że ostatnio coraz trudniej się upijał, A od dawna nie pragnął tego tak bardzo, jak właśnie dziś.

Kędzior skinął ręką na ochroniarza.

- Skombinuj no ogóra... - polecił krótko. - A jeszcze lepiej, dwa... Ogóry przyniósł sam właściciel, lekko rozdygotany. Nawet trzy.

- Widziałeś? - spytał Kędzior, gdy zniknął. - On już wie, że my wiemy. I boi się...

Zachichotał.

- O czym to ja. A, już wierni Ty, wielki obrońca uciśnionych do wynajęcia, co robisz z taką masą szmalu? Wydajesz na sprzęt? Przecież nie tyle... Pijesz mało, na dziwki nie chodzisz, chociaż możesz. Ja nie mogę... Więc po co ci ten cały szmal? Jako usprawiedliwienie tego, co robisz? Tego, co lubisz robić... Nie, przepraszam, naprawdę przepraszam... Ty nie lubisz, ty robisz, bo tak trzeba... Po to, żeby skurwysyny nie były górą, przynajmniej nie za darmo... Bo nie sądzisz chyba, że coś zmienia to, co robisz ty i wszyscy tobie podobni, których namnożyło się ostatnimi czasy, ci wszyscy w panterkach, z długimi włosami, ponurym wejrzeniem i karabinami na plecach. To twoi uczniowie, przyjacielu, a przynajmniej naśladowcy, Nie wyprzesz się tego, Ani Wiewiórek, ostatnich romantyków na świecie... Oczka przemynika załśniły złośliwie.

- Bo na tym pojebanym świecie tylko to jest ważne. Niszczyć skurwysynów, gdzie się da. Wszystko się już rozstrzygnęło bez ciebie. Nie zatrzymasz lodowca, nie podeprzesz kołkami, ale może kogoś obronisz, nie pozwolisz na zupełne kurestwo. Przecież o to ci właśnie chodzi, a nie o przyszłość, przyszłości nie ma. Nie zasłaniaj się więc zasadami, Nie bądź, kurwa, taki Geralt.

Zaśmiał się urągliwie.

- Widzisz, ja też czytałem co nieco. Powiedz, jak wpadłeś na to, żeby zostać wiedźminem? Sam wpadłeś czy ktoś cię tak nazwał? No powiedz, nie wstydz się...

Wagner popatrzył prosto w oczy przyjacielowi? Jednemu z nielicznych, którzy chodzili jeszcze, po pojebanym świecie.

- Nie sam.

Nie mógł skłamać.

Ostatni rzut oka przez celownik. Bezgłowe ciało, wychylony przez okno kabiny, rzygający jak kot kierowca szwedzkiego TIR-a, Bezlądna bieranina, serie z wieżyczki bradleya Panu Bogu w okno. A w każdym razie w całkiem niewłaściwym kierunku.

Skończyło się, Skończyło się coś, dzięki czemu żył ostatnie pół roku. Pozostała pustka.

Machinalnie składał oporządzenie. Ciężka lufa ze szczękiem oddzieliła się od łoża, spoczęła w wyściełanym pokrowcu. Starannie zamknął system operacyjny laptopa, rozłączył przewody. Nie musiał się spieszyć, bezładna bieranina i strzelanina w odległej o półtora kilometra placówce nie wskazywała na skuteczny pościg. Zaczął zwijać naszywaną brązowymi i zgniłozielonymi szmatkami siatkę maskującą. Wprawdzie nie sądził żeby przydała się jeszcze kiedykolwiek... Nie ma przyszłości, skończyła się przed chwilą. Ale to porządna siatka, szmatki w podczerwieni dawały taki sam obraz jak żywe zarośla...

Machinalne, wielokrotnie ćwiczone czynności pozwalały wypełnić pustkę, nie myśleć, o przyszłości? Nie ma przyszłości, nie będzie...

Spojrzał jeszcze raz na odległą placówkę, przesłaniając dłonią oczy przed wznoszącym się coraz wyżej słońcem. Unoszący się tuman pyłu świadczył, że bradley wreszcie ruszył.

Zarzucił na plecy ciężki pokrowiec. Nie mógł się zdobyć na pozostawienie broni, Powoli ruszył przed siebie, wyprostowany, nie kryjąc się. Właściwie mógłby nawet zabrać czujniki. Nie warto.

Wiedział już, co zrobi, Pójdzie do Wiewiórek, Przecież nikt go nie tropi. Zostawi im broń, a potem. Odpędził tę myśl. Będzie na to czas później. Teraz jest tylko pustka.

Szedł, nie myśląc o niczym, Dotarł do leśnej drogi, nie przejmując się perspektywą natknięcia się na patrol. Zresztą po amerykańskiej stronie patrole spotykało się rzadko, już nauczyły się unikać lasów. Poruszały się szosami, w sile nie mniejszej niż pluton pancerny.

Wyliczył, że las niedługo się skończy, niedługo wyjdzie na nadbużańskie łęgi, akurat wtedy, gdy zacznie się ściemniać, Bug będzie mógł przejść brodem, gdzieś w połowie drogi między Brokiem a Małkinią, Rano powinien dotrzeć do leśnego obozu.

Wszystkich tych kalkulacji dokonywał machinalnie, siłą przyzwyczajenia, nawyków nabytych przez ostatnie kilka miesięcy.

Zagapił się. Wszedł wprost na dwóch policjantów w mundurach amerykańskich, ale z biało-czerwonymi opaskami, Słyszał o nich, ale jeszcze nigdy nie widział.

Obaj funkcjonariusze kolaborującej z siłami pokojowymi policji wcale go nie zauważyli. Zbyt zajęci byli kopaniem chłopaka, który leżał, osłaniając głowę ramionami, i nawet już nie jęczał. Staroświeckie M-14 stały oparte o drzewo, obok służbowych rowerów, jedyne środki transportu polskiej policji.

- Nie wiesz, gnoju, że do lasu nie wolno? - powtarzał monotennie, policjant, akcentując sylaby kopniakami. Widać już nieraz wypowiadał swoją kwestię. Drugi kopał w milczeniu, był mniej elokwentny.

Zajęci zabawą nie usłyszeli kroków, spostrzegli Wagnera dopiero wtedy, gdy stanął tuż przed nimi. Odskoczyli, zezując w stronę garandów.

- Nawet nie próbujcie - ostrzegł zimno. Stał tylko, z opuszczonymi rękoma.

Widział, jak usilnie myślą, jak kalkulują.

Nie trzyma wycelowanej broni. Może nie jest sam? Czy zdążymy?

Niemal słyszał ich myśli, czuł, jak zalewa go zimna wściekłość. Po raz pierwszy od długiego czasu jakieś uczucie. Uświadomił sobie, że polowanie na Vosslera było tylko obsesją, że nic nie rozwiązało. Dopiero teraz czuł nienawiść, do tych skurwysynów, swoich rodaków.

Oni widzieli sylwetkę oświetloną z tyłu słońcem, nisko już stojącym, przefiltrowanym przez gałęzie, sterczący znad ramienia pokrowiec skrywający lufę karabinu, siwe, prawie białe włosy, związane w koński ogon. Ujrzeni paskudny uśmiech, spojrzenie, w którym tliła się nienawiść i siła.

Elokwentny był także odczytany. Już nie zezował na karabiny. Z jego twarzy zniknęła buta, zastąpił ją strach, Już nie miał wątpliwości, że nie zdąży.

- Wiedzmin. - wyszeptał.

Jego kompan nie miał pojęcia, o co chodzi, Ale też się bał, ten strach emanował z niego, gęsty, cuchnący.

- Spierdalać! - rzucił Wagner.

Nie czekał na rezultat, pochylił się nad chłopakiem. Był dziwnie pewien, że posłuchają. Istotnie, posłuchali, Po chwili zostały tylko dwa garandy.

Chłopak w zasadzie wszedł z opresji obronną ręką. Stróże okupacyjnego ładu szykowali się na dłuższą zabawę, początkowo nie kopali zbyt brutalnie.

Usiadł, pojękując i rozmazując łzy na umorusanej twarzy. Popatrzył spod oka na Wagnera. Jeszcze mógł, twarz dopiero zaczynała puchnąć.. - Je... - odkaslnął, mówienie sprawiało mu ból, Nic dziwnego, pomyślał Wagner, kopali po żebrach. Z niepokojem popatrzył na rękę, którą chłopak odjął od ust. Odetchnął z ulgą, nie widać było krwi.

- Nic nie mów - mruknął bardziej szorstko, niż zamierzał. Chłopak pokręcił z wysiłkiem głową.

- Jest... - spróbował jeszcze raz. - Jest pan wiedźminem? Oczy trzynastolatka zabłyśły. Wagner nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Jest pan wiedźminem? - Chłopak natarczywie usiłował zajrzeć mu w oczy, jakby spodziewał się ujrzeć pionowe szparki źrenic. -.Dlaczego ich pan nie zabił?

No właśnie, dlaczego? Wagner sam nie wiedział.

- Skąd jesteś? - spytał łagodniej.

- Z War, - chłopak urwał. - Z Sądowego, Teraz, z Sądowego... Spuścił znowu głowę.

- Byłem w Urlach, wtedy... Tata zawiózł nas na działkę, mnie, siostrę i mamę. Sam wrócił, mówił, że musi...

Plecami chłopca wstrząsnął hamowany szloch.

- Daj spokój, - Wagner niezręcznie dotknął jego ramienia. Chłopiec nie podniósł wzroku.

- W domu ciężko - ciągnął cicho, ze spuszczoną głową, - Po grzyby poszedłem, Bo mamę w zeszłym tygodniu pobili. Ci sami, oni z Sądowego, z posterunku... Pan jest wiedźminem. Dlaczego ich pan puścił. Wszyscy się ich boją, nikomu nie przepuszczą. Życ ciężko...

Niech to szlag, pomyślał Wagner.

- Posłuchaj, możesz chodzić? - spytał szorstko, chcąc pokryć zakłopotanie. Czy może zwykły wstyd.

- Jeśli tak, to poczekaj do zmierzchu, Chyba trafisz, Oni dziś nosa nie wychylą...

A jutro, pomyślał, Ochłoną i skatują chłopaka.

- A jutro... - Już wiedział, co powinien zrobić. - Jutro problem już zniknie...

Chłopak podniósł rozjaśnioną twarz.

- Pan jest wiedźminem... - powiedział cicho.

- Hej, przyjacielu. - Głos Kędziora przesycony był ironią. - Wspominamy sobie? Nie kłam, i tak wiem. Wszyscy wiedzą..

Wagner podniósł głowę. Uśmiechnął się.

- Nie pieprz, stary - powiedział. - I zamów jeszcze tego bimbru.

Bimber, jak to zwykle bywa, z każdą szklanką stawał się coraz lepszy. Wagner z nieufnością konstatawał, że całkiem gładko przechodzi przez gardło, z obrzydzeniem myślał o jutrzejszym kacu. Gdyż jeśli chodzi o wywoływanie kaca, miejscowy bimber miał moc broni chemicznej, Przegryzł ogórem, jak nic po dwa dolce sztuka.

- Dobrze - mruknął wreszcie, zirytowany spojrzeniem Kędziora. - Ale nie wcześniej niż za tydzień. Mówię o blackhawku. O reszcie jeszcze pogadamy.

Przemytnik pokiwał głową. Osiągnął, co zamierzał.

- Z tego? - Wskazał na stojący w kącie płamisty pokrowiec. Wagner zaprzeczył z ponurym uśmiechem.

- Ten jest na ludzi.

Otworzyły się drzwi, ktoś ruszył w kierunku ich stolika. Przemytnik uśmiechnął się szeroko.

- Cześć, Frodo - powiedział, - Siadaj.

Frodo usiadł. Ledwo wyglądał znad blatu. Stąd wziął się zresztą jego przydomek, Niektórzy zastanawiali się, czy ma owłosione pięty. Nikt nie wiedział, Frodo rzadko zdejmował adidasy. Musiał je nosić nawet w zimie, nikt nie produkował wojskowych butów ani gumofilców w takich wymiarach, a zimy ostatnio były łagodne.

- Cześć, Kędzior - mruknął przybysz o posturze hobbita. - Załatwiamy, interesy czy tylko chlejemy?

Wziął szklankę i powąchał, krzywiąc się z niesmakiem.

- Jak wy to możecie pić? - spytał ze szczerym zdumieniem.

- Nie każdy ma taki pedalski gust! - obruszył się przemytnik. Frodo przeszył go wzrokiem.

- Zamiast „pedalski” wolę określenie „wyrafinowany” - oświadczył zimno, - Ty łysa pało. - dodał po chwili.

- No, nie pozwalaj sobie, bo jak...

- Bo co? - przerwał Frodo.

- Bo jak palnę w ten kudłaty łeb...

- Tylko nie kudłaty. - obruszył się Frodo. - To, co ludzie mają na głowie, nazywa się włosami. Choć ty może już o tym zapomniałeś...

- Mów, co chcesz, facet, który pija tylko wino, jest pedałem - Kędzior bystrze zmienił temat. - Dobrze o tym wiesz...

Wagner postanowił przerwać tę wymianę uprzejmości.

- Przejdźmy do interesów - mruknął. - Albo palnę w łeb was obu.

Kędzior i Frodo roześmieli się zgodnie, Choć nigdy nie potrafili sobie darować powitalnego rytuału, byli serdecznymi przyjaciółmi.

- Gadaj, Frodo, ciemno się robi. - zniecierpliwiał się Wagner.

- Nie chłaj więcej tego metylu, od razu wzrok ci się poprawi. No dobrze, już mówię - zreflektował się Frodo. - Załatwione.

Wagner pociągnął potężny łyk. To już dzisiaj ostatni, postanowił. Biorąc pod uwagę smak bimbru, przyszło mu to bez trudu, Przegryzł ogórkiem.

- A ty co, na obiad przyszedłeś? - obruszył się Kędzior - Te ogórki muszą wystarczyć do następnego litra!

Wagner stanowczo pokręcił głową.

- Nie, to nie - filozoficznie odparł przemytnik, Sam też nie miał już ochoty.

- No, Frodo, gadaj wreszcie - zniecierpliwiał się na dobre Wagner.

- Więcej szczegółów, jeśli łaska.

Przemytnik podniósł się ociężale, Skinął na ochroniarzy, którzy poderwali się od swojego stolika.

- To ja już szanownych panów pożegnam, nie będę przeszkadzał - Skłonił się przesadnie, - Dogadaliśmy się?

- Ale nie wcześniej niż za tydzień, - Wagner z roztargnieniem kiwnął głową.

- Dobrze, dobrze, Wiem, najpierw musisz wpaść do lasu, do swojej. Wagner popatrzył mu prosto w twarz zimnym wzrokiem. Przemytnik się zmieszał.

- Ja tylko...

- Nie przeciągaj struny, Kędzior. Bo jeszcze się rozmyślę.

Jaki, kurwa, delikatny, pomyślał przemytnik, dyskretny, A przecież wszyscy wiedzą.

- Bywaj, Wagner, - Spojrzał na małego w adidasach, - Pieprz się Frodo... -.

- Tobie też - usłyszał. - I kawałek szkła... Kędzior wyszedł przed knajpy, zaczerpnął powietrza i przeciągnął się. Popatrzył na ledwie już widocznego w gęstniejącym mroku wartownika pilnującego BTR-a. Wykonał obelżywy gest.

Otulony w szynel wartownik nawet nie drgnął. Miał wszystko w dupie.

Frodo jeździł rowerem, góralem marki Wheeler, Niegdyś czerwonym, ale teraz piękny metaliczny lakier pokrywała niedbale położona farba maskująca, którą kupił za kanister samogonu w rosyjskim parku maszynowym.

Zapłacił dużo. Była to jednak droga farba o własnościach antyradarowych, wprowadzona niedawno jako standardowy kamuflaż rosyjskich wozów bojowych. Według słów podoficera zachwalającego oferowany produkt zmniejszała również w znaczący

sposób sygnaturę obiektu w podczerwieni, O innych zaletach podoficer wspominał marginalnie, wpatrzony w kanister plółł coś jeszcze o myleniu wskazań laserowych dalmierzy.

Ale Frodo nabył ją z istotniejszego powodu - miała piękny, obowiązujący obecnie w armii zielony kolor, wpadający z lekka w szarokawaty, na ów kolor były atesty kilku instytutów. Po nałożeniu pędzlem wyglądała wyjątkowo obskurnie.

A pojazd musiał wyglądać obskurnie, inaczej jego żywotność byłaby krótka. Większość rowerów, nawet markowych, produkowano na Tajwanie. Tajwan zaś stanowił jedynie wspomnienie, ku ucieście geografów narzekających w dobie satelitów na brak białych plam na mapach. Teraz mieli masę zabawy z wymyślaniem nazw dla archipelagu małych wulkanicznych wysepek na Morzu Południowochińskim.

Frodo pomalował ramę, pociął szczyrykiem siodełko i zadał sobie wiele trudu, by wszystkie części chromowane doprowadzić do stanu kwitnącej korozji. Teraz mógł rower zostawić nawet pod knajpą, przykuwając go jedynie łańcuchem.

Wielokrotnie dziwiono się, dlaczego używa tak niewygodnego pojazdu zamiast konia. Koń przecież ma same zalety, w tym najważniejszą - kradziony potrafi co najmniej kopnąć złodzieja, a rower nawet pod nowym właścicielem nie wierzga. Frodo udzielał różnych odpowiedzi, najczęściej, że nie lubi pojazdów, które mają własne zdanie. Albo, że typowy koń z przodu gryzie, z tyłu kopie, a w środku trzęsie.

Podejrzanie, że Frodo boi się koni, było niesłuszne. Po prostu się wstydził, ponieważ z powodu swej postury i wzrostu wyglądał na koniu trochę śmiesznie.

Kiedy jedynym źródłem zaopatrzenia w ropę pozostały norweskie pola naftowe, każdy, kto mógł, kombinował jakąś chabetę, Norwegowie postanowili sprzedać, ile się da, Na Bliskim Wschodzie wszystkie strony konfliktu, Amerykanie, Izrael, Arabia Saudyjska, Iran i tak dalej zgodnie twierdziły, że w pełni kontrolują złoża, Informacjom tym przeczyły widoczne nawet z orbity kolumny dymu unoszące się nad płonącymi szybami i rafineriami oraz całkowity brak dostaw.

Złoża norweskie pokrywały zaledwie ułamek zapotrzebowania. Armie miały wprawdzie zapasy strategiczne, zachowywano je jednak na ostateczną rozgrywkę, Powszechnie wprowadzano oszczędności. Rosyjskie dywizje zmechanizowane przesiadły się na taczanki, co nie zrobiło wielkiej różnicy, przedtem transportery też miały tylko w oficjalnych wykazach. Większość jednostek kultywowała wzorce Budionnego, co prawda głównie w chlaniu wody, Praktyczni Niemcy ostatni model volkswagena na Holzgas uczynili przebojem eksportowym, W przypadku kawalerii powietrznej Stanów

Zjednoczonych historia zatoczyła koło, większość oddziałów zmieniono w tradycyjną kawalerię.

Japończycy, naród wyrafinowany i przywiązany do tradycji, z korzeni sosny destylowali paliwo zwane A-Go, Jak pod koniec poprzedniej wojny, z podobnym zresztą efektem.

Jedyny w okolicy rower klasy stealth niemiłosiernie trząsł na wybojach rozjechanej gąsienicami, nienaprawianej od lat drogi, Frodo przygryzał co chwila język, mimo teleskopowego przedniego zawieszenia. Jazda przez las nie byłaby tak uciążliwa, gdyż ścieżki znajdowały się w o wiele lepszym stanie niż szosa łącząca Ostrów z Brokiem, ale Frodo się spieszył, nie mógł sobie pozwolić na objazdy. Tym bardziej że w lesie nie było zbyt bezpiecznie.

Na domiar złego wieść niosła, iż w okolicy pojawiła się znów narodowa partyzantka. Zwykli bandyci, znajdujący upodobanie w sadystycznym mordowaniu litewskich osadników, samotnych żołnierzy i kolaborantów, pod którym to określeniem rozumieli dawnych wrogów czy wierzycieli. Utrzymywali się z rabunków, nazywanych eufemistycznie „ściągnięciem kontyngentu na rzecz Narodowej Armii Wyzwoleńczej. Pojawiali się denerwująco regularnie, jak wiosenna powódź lub epidemia czerwonki, grasowali kilka tygodni, dopóki zniecierpliwieni Rosjanie nie ściągnęli plutonu Specnazu, który wystarczał do przepędzenia całej hałastry.

W spotkaniu z nimi Frodo miał małe szansę. Był nie tylko kurduplem i cyklistą, ale także Żydem.

Żywił nadzieję, że wieści o narodowcach to tylko plotki, ponieważ przy poprzedniej pladze partyzantów chłopci wzięli sprawy w swoje ręce. I to nie osadnicy, lecz pozostali jeszcze na gospodarstwach nieliczni autochtoni. Mieli dość dostarczania „kontyngentu”, poza tym owo dostarczanie było nie na rękę partyzantom lewackim, którzy pojawiali się jednak rzadziej i byli mniej dokuczliwi z powodu niezbyt pryncypialnych zasad doktrynalnych, a także większego zamiłowania do samogonu.

Po przejściu frontu chłopskie ręce rzadko pozostają puste, więc przewaga ogniowa była miażdżąca, tym bardziej iż partyzanci na ogół miewają wyłącznie broń lekką, czego nie można powiedzieć o chłopach. Bitwę rozstrzygnął sołtys wsi Laskowizna, właściciel rotacyjnego działka systemu Gatling z zestrzelonej cobry. Ta posadowiona prowizorycznie na roztrząsaczu do obornika broń samobieżna przechyliła szalę zwycięstwa, tym razem obeszło się bez Specnazu. Bandyci poszli w rozsypkę, a ich dowódca pseudonim Grzmisław dostał się do, niewoli. Sołtys zamierzał dostarczyć go Rosjanom, by ci go

przykładnie ukarali, lecz okazało się, że pod czarną kominiarką ukrywa się przedwojenny komornik izby skarbowej z Ostrowi, Zginął zakłuty widłami podczas próby ucieczki, co było do przewidzenia. Ale także bez partyzantów las nie był bezpieczny. Pod koniec ofensywy klucz myśliwców Tornado opróżnił zasobniki Pandora nad kompleksem Puszczy Białej. Nie wiadomo po co, front przewalił się już dawno, nie istniał żaden strategiczny ani taktyczny powód minowania lasu..Niemieckie samoloty rozrzucały małe amerykańskie miny motylkowe, niezgodne z konwencjami, których Stany przecież nie uznały. Miny pozbawione były mechanizmów samolikwidacji, za to pomalowano je w wesołe, żywe, atrakcyjne dla dzieci kolory.

Frodo oszacował kiedyś liczbę rozrzuconych min na dwadzieścia cztery tysiące. Do tej pory eksplodowała mniej więcej połowa, powodując poważne straty wśród zwierzyny, zwłaszcza srok mających słabość do kolorowych błyskotek. Uzasadniało to utrzymywanie w Ostrowi stałej ekspozytury szwajcarskiej Fundacji na rzecz Zakazu Stosowania Min Przeciwpiechotnych imienia księżnej Diany.

Problem stanowiło też kłusownictwo, Już na początku wieku, kiedy krowy w Europie wyjęto spod prawa, szerzyło się zastraszająco. Trudno się dziwić, zaopatrzenie w mięso było żalosne, Krowy traktowano jak wilki, wprowadzając obowiązek odstrzału, likwidując punkty nielegalnego uboju, stosując drakońskie kary za handel wołowiną. Problem rozwiązano oficjalnie tuż przed samą wojną, kiedy Unia Europejska ogłosiła, że cały kontynent uwolniono od krowiego zagrożenia, Już wtedy kłusownicy, przynajmniej w Polsce, przejęli połowę dostaw mięsa na rynek.

Dziś było jeszcze gorzej, Zawód leśniczego, dzięki systemowi deputatów drzewnych, stawiano na równi z pracą saperską. Z braku chętnych lasy pozbawione zostały ochrony i dozoru, A kłusownicy coraz powszechniej stosowali skaczące miny i samopały, łatwiej dostępne niż drut i linki hamulcowe na wnyki.

Choć nie wypadało zastawiać pułapek na ogólnie dostępnych traktach, zawsze mógł się trafić jakiś indywidualista.

Bezpieczna droga się kończyła. Należało skręcić w las, w wąską przecinkę prowadzącą do małego przysiółka, kilku chałup i zabudowań gospodarskich, które dawniej wchodziły w skład nadleśnictwa. Frodo zwolnił i zaczął się uważnie rozglądać. Wprawdzie ścieżka prowadząca do obozowiska Wiewiórek była wielokrotnie sprawdzana, ale kto wie? Wolne elfy kwaterowały w przysiółku. Tylko pierwszą zimę komando spędziło w lesie w prowizorycznych szałasach i namiotach. Bez sensu. Rosjanie przymykali oko na obecność Wiewiórek, do zatargów z ludnością miejscową nie dochodziło, a Amerykanie niechętnie

przekraczali linię graniczną, nawet na głębokość zaledwie paru kilometrów. Owszem, kiedyś próbowali. Jednak wkrótce zrezygnowali, w miarę wykuszania się ich sił powietrznych w Polsce i wzmacniania rosyjskiej obrony przeciwlotniczej...

Rosjanie alergicznie reagowali na naruszenie swej przestrzeni powietrznej, Tak samo zresztą, jak na próby ostrzału zza granicy przez haubice Palladin. Kilka incydentów przerodziło się w regularne potyczki, raz nawet w pościgu za baterią samobieżną Rosjanie wdarli się kilkadziesiąt kilometrów w głąb amerykańskiej strefy.

Przed prawie dwoma laty incydenty ustały, Rosjanie wzmacniali obronę, Amerykanie wyraźnie mieli coraz mniej środków. Podejmowali tylko próby przerzucania oddziałów specjalnych, na szczęście dla rebeliantów coraz rzadziej.

Ostatnio działania ograniczały się do wymiany kolejnych not i poważnych ostrzeżeń, na które rosyjskie dowództwo odpowiadało nieodmiennie, iż dla nich rebelianci stanowią równie poważny problem, który jako wewnętrzny Rosja rozwiąże własnymi siłami, nie tolerując żadnej ingerencji naruszającej jej suwerenność. Gdy tylko bazy rebeliantów zostaną zlokalizowane, Specnaz natychmiast przystąpi do ich likwidacji.

Z wykryciem baz rosyjski wywiad sobie nie radził. Najlepiej świadczy o tym fakt, że komando przez kilka miesięcy kwaterowało w kamienicy obok ratusza w Łomży. Najciemniej bywa pod latarnią.

Frodo skręcił z leśnej przecinki w wąską, zarośniętą drogę wiodącą do przysiółka. Gdy mógł już dostrzec kryte omszałym eternitem dachy, przezornie zsiadł z roweru.

Wypatrywał potykaczy z drutu kolczastego ukrytych w wysokich turzycach. Zawsze go irytowały, ich przydatność była znikoma, a już dwa razy przedziurawił tu nich dętę.

Frodo nie wiedział, jaki był sens utrzymywania potykaczy przy jednoczesnym stosowaniu laserowych czujników i minowaniu podejść. Złościł się zawsze, tym bardziej że montowanie laserów zajęło mu przed rokiem tydzień; nie mówiąc już o problemach ze zdobyciem podzespołów, rosyjscy podoficerowie stawali się coraz bardziej pazerni. Na szczęście rebelianci, z racji swej działalności, mieli zawsze zapas cameli.

Mijając duży dąb, Frodo wykonał obelżywy gest w kierunku czerniejącego otworu dziupli. Nie miał zamiaru obrazić dzięcioła czy innego zwierzaka, dziupla skrywała kamerę. Ciekawe, czy wartownik patrzy na monitor. Musi patrzeć, czujniki zbliżeniowe już go na pewno obudziły.

Wszedł na coś, co niegdyś było typowym gospodarskim podwórkiem. Teraz, niedeptane przez inwentarz, niewyskubywane przez kaczkę ani nieobsrywane przez kury zamieniło się w porośniętą wysoką trawą ugór.

Rozejrzał się.

- Cześć, Frodo - dobiegł z tyłu przyjazny okrzyk. Odwrócił się. Zza zrujnowanej obory, straszącej sterczącymi żebrami więźby dachowej, wyszedł Annakeen.

Frodo popatrzył z niesmakiem.

- Tak od razu „cześć”? - burknął, - A „stój, kto idzie” to nie łaska? A hasło? Na warcie stoisz, synku, chyba się nie mylę?

Annakeen spojrział ze zdziwieniem.

- Przecież widziałem cię. Te twoje czujniki, jeszcze mi we łbie trzaska.

Frodo zeżlił się całkiem serio.

- Widziałeś, widziałeś. A gdybym to nie był ja, ale przebrany rangers? Annakeen zmierzył rozmówcę wzrokiem, jakby widział go po raz pierwszy.

- Bez obrazy, Frodo - mruknął po chwili, - Niziołków do rangersów nie biorą... Zwłaszcza jwrejskich...

Jwrejski niziołek machnął tylko ręką, Z Wiewiórkami był wciąż ten sam problem, brakowało im dyscypliny. Waleczni po drugiej stronie granicy, tu stawali się żalną cywilbandą, Nie trafiały do nich argumenty o rozprężeniu i płynących z niego zagrożeniach. Pod rosyjskim parasolem czuli się bezpiecznie, Do czasu, pomyślał Frodo, dopóki są potrzebni.

Poczuł zapach konopi, wartownik zaciągał się skrętem, Frodo nieraz słyszał, jak Annakeen powtarzał, iż jedynym pozytywnym efektem globalnego ocieplenia jest to, że trawa udaje się lepiej.

Nie miał nic przeciwko trawie, ale przecież nie na posterunku... Pokręcił głową z dezaprobatą.

Annakeen opacznie pojął jego skrzywienie. Wyciągnął rękę.

- Chcesz? - spytał serdecznie.

Frodo z rezygnacją przyjął skręta, Rzeczywiście, trawa udawała się coraz lepiej.

Zaciągnął się jeszcze raz, przytrzymał dym w płucach. Wkrótce świat będzie wyglądał lepiej, w każdym razie weselej.

- Czerwona, afgańska - mruknął Annakeen. - Nasionka prosto z Holandii.

Odebrał skręta, sam się solidnie sztachnął.

- To Holandia jeszcze istnieje? - Frodo się roześmiał.

- W zeszłym tygodniu jeszcze była, Tylko trochę mniejsza. Ale podobno Afganistanu już nie ma.

- Zaraz, zostaw trochę - zdenerwował się Frodo, - Dzięki.

- A co jest? - spytał po chwili.

- Podobno Pakistan...

Frodo odetchnął z ulgą, wypuszczając dym.

- E, to w porządku, Pakistańce też z czegoś muszą żyć, A z czego mają, jak nie z trawy? I z opium? Szmaciane łby tylko do tego się nadają...

Annakeen ponuro pokręcił głową.

- Tak naprawdę to już tylko pustynia.

- Pustynia była tam zawsze. - zdziwił się niziołek.

- Ale nie radioaktywna.

Milczeli przez chwilę. Trawa zaczynała działać, lecz wcale nie zrobiło się śmieszniej.

Annakeen powrócił na posterunek, Frodo został sam z niewesołymi myślami. Miał dużo czasu, Korin jeszcze nie wrócił, a reszta odsypiała nocną wyprawę za rzekę. Nic specjalnego, ot tak, żeby się pokazać, ostrzelać posterunek graniczny. Wielkiego sensu to nie miało, solidne betonowe bunkry wymagały czegoś więcej niż lekkiej broni. Ale Korin twierdził, że trzeba o sobie przypominać.

Trochę w tym racji, uznał Frodo, zmusza się przeciwnika do stałej czujności, wyczerpuje psychicznie.

Usiadł oparty o poczerńnięte belki dawnej gajówki. Nie ma Afganistanu, pomyślał. Tajwan, potem Bejrut, Mozambik, na początku Warszawa. Afganistan i rakiety Ghauri... Nie, Ghauri to chyba indyjskie, a zresztą... Nieważne. Małe, brudne głowice, jak wszystkie z Trzeciego Świata, podniecone bliskim już awansem na świat pierwszy i jedyny. Nie to, co porządne wielogłowicowe czy taktyczne, z regulowaną mocą. Takie, że po dwóch dniach można pozamiatać i zajmować teren.

Popatrzył w chmurne niebo, słysząc niemal natrętne terkotanie licznika. Kiedy to było? Przedwczoraj?

Trzeba zrezygnować z grzybów, z bulwiastych warzyw, które kumulują metale ciężkie. Niedługo szparagów nie da się sprzedawać w pęczkach, z obawy przed masą krytyczną, trzeba będzie ołówkami przekładać.

Pokręcił głową, Ech, co mi się we łbie pieprzy. Niezła trawka. Wierzył w to, co powiedział Annakeen, Osobiście podłączał bazę do armijnej sieci łączności, na co zresztą Rosjanie patrzyli przez palce, Można to tak nazwać, zwłaszcza że dwa kilometry światło wodutpoło żyła rosyjska jednostka inżynieryjna. Dociągnęli do szosy, twierdzili, że dalej to już przesada. Dalej z braku światłowodu szło przez transeiyer i skrętkę czteroparową,

co odbijało się na szybkości transferu, Do dupy to wszystko. Kto jeszcze ma głowice? Odpowiedź była prosta, Wszyscy.

Widocznie talibowie za bardzo wkurzyli swoich braci w wierze. Cóż, każdy pretekst jest dobry. Dotąd najbardziej sensowny był powód zbombardowania Urugwaju przez Peru, Poszło przynajmniej o konkret, nie o przyszłe strefy wpływów, nie o granice palcem na lodzie pisane, tylko o przegrany mecz Peru-Argentyna w panamerykańskich mistrzostwach futbolowych. Pochodzący z Urugwaju sędzia zbyt szafował czerwonymi kartkami.

Frodo popatrzył melancholijnie na misę anteny satelitarnej. Antena odbierała dane z satelity Zatia, jedyne, którego orbita przebiegała nad Polską i któremu pozostało jeszcze paliwo.

Korin pojawił się dopiero pod wieczór. Był wyraźnie wściekły. Frodo sposepniał jeszcze bardziej. Uważał Korina za zarozumiałego dupka, niezasługującego na przewodzenie oddziałowi. Po śmierci Wilka przez ponad rok dowodziła Wilga, bystra i okrutna dziewczyna. Długo nie opuszczało jej szczęście, pod jej dowództwem komando odnosiło sukcesy i wychodziło cało z najgorszych opresji. To wtedy zorganizowano największą i najślawniejszą operację, podczas której połączone komando, mszcząc posterunki kolaborującej policji, zapędziły się aż na przedmieścia Warszawy, Oddziały Wiewiórek wymykały się obławom, angażując niespotykane wręcz na okupowanych obszarach siły przeciwnika. Tego sukcesu nigdy nie udało się powtórzyć.

Wilga zginęła nazajutrz po swoich dziewiętnastych urodzinach. Bezsensownie, zabita strzałem w plecy przez kłusownika, którego napotkała kilkaset metrów od obozu.

Oprócz wrodzonego talentu strategicznego i taktycznego miała również inną ceną zaletę. Potrafiła współpracować z dowódcami innych komand, z natury indywidualistami, nieskorymi do współdziałania. Po jej śmierci wszystko diabli wzięli, Nie organizowano już wielkich operacji, pozostało szarpanie wroga, błyskawiczne ataki i odskoki. Niewiele to co prawda zmieniało w ogólnym bilansie.

Korin był dupkiem, tchórzliwym, nieudolnym i niezbyt inteligentnym. Ale ambitnym. Nawet według starszeństwa był drugi w kolejce, Jednak ten pierwszy wlaź na minę, i to rzeczywiście przypadkiem.

Szczęśliwy traf dla Korina, Choć dowodził już prawie dwa lata i słuchano go, nie był szanowany, W walce nieraz popełniał błędy, ale na szczęście miał dobrych ludzi, którzy potrafili wydobyć oddział z opresji, nie naruszając zbyt jego autorytetu. Jedyne jego atutem były znakomite kontakty z Rosjanami, Musiał je mieć, dowodził przecież

najważniejszym komandem w newralgicznym punkcie u zbiegu, tras przemytniczych, na szlaku przerzutowym grup dywersyjnych. W miejscu, gdzie krzyżowały się wszystkie nici.

Trasa przez Ostrów i Brok, na Urle i Stanisławów była wprost wymarzona. Rozległe obszary leśne, trudny teren pozwalający na skryte podejście aż do Warszawy. I dalej, do Garwolina i Krakowa. Współczesny Bursztynowy Szlak, od Kaliningradu aż do tatrzańskich przełęczy.-

Rosjanie liczyli się z Korinem. Miał wspaniałych ludzi. Annakeena, sprawiającego wrażenie stale najaranego abnegata, który jednak był zadziwiająco inteligentnym i sprawnym żołnierzem, mającym ten niespotykany instynkt, który zawsze pozwalał mu przewidzieć zamiary przeciwnika. Stokrotkę, najstarszą z nich wszystkich, spokojną, cichą, zawsze pozostającą w cieniu. Ale to właśnie ona przeczekala, aż Abrams przejedzie nad rowem, w którym była ukryta, po czym radziecką metodą wskoczyła na pancierz i wrzuciła granat do otwartego włazu.

Miał Hound Doga, najbardziej niesamowitego żołnierza komanda, A sam jest zarozumiałym dupkiem, powtórzył w myśli Frodo, jednocześnie serdecznie potrząsając jego ręką na powitanie, Posępny Korin uściśnił dłoń Froda, - Wiesza się - powiedział bez żadnych wstępów, Frodo ledwo powstrzymał się, by nie splunąć. Ani „cześć” czy nawet „pocałuj mnie w dupę. Od razu „wiesza się”! A co ma, kurwa, robić! Komputer istotnie odmówił współpracy. Na niebieskim tle widniał jadowicie żółty tekst „UNDEFINED ERROR”.

- Najlepsze życzenia od Billa - mruknął pod nosem niziołek, pochylając się nad klawiaturą. Zero reakcji, nawet na trzy klawisze, Twardy reset.

Dysk zachrobotał, przeleciały pliki startowe. System odpalił.

- No i co? - spytał z naciskiem Korin.

- No i nic, przeinstalować. A co byś chciał?

- Nie da się. tego...?

Znajomość informatyki dorównywała talentom taktycznym Korina.

- Nie da się... tego - odpowiedział Frodo z przekąsem, - Ten model tak ma, od dziewięćdziesiątego piątego roku, jeśli nie pamiętasz, Nie pamiętasz, rznąłeś wtedy w pampersy...

Przesadzał, ale niewiele.

- Mówiłem ci, zostaw XP, działa już tyle lat, mieli czas błędy poprawić. Ale nie, ty musisz mieć najnowszy, w dodatku ruskiego pirata w polskiej wersji.

Frodo naprawdę był wkurzony.

- W polskiej wersji, kurwa! Robią je z rozpędu, nie zauważyli, że Polski już nie ma. Od paru lat!

System ponownie się zwiesił. Tym razem był uprzejmiejszy, z polskim komunikatem. Błąd ochrony systemu Windows.

Nie przejmując się już niczym Frodo trzasnął wyłącznikiem.

- Przeinstalować - powtórzył zdecydowanie. Popatrzył na Korina, który nagle poczerwieniał..

- Wersję instalacyjną oczywiście masz? - spytał Frodo podejrzliwie.

- Nie masz - to nie było pytanie, tylko stwierdzenie. - Wobec tego jest problem...

- Jaki problem? - bąknął Korin niepewnie.

- Twój problem - twardo rzucił Frodo, nie powstrzymując się tym razem od splunięcia.

- Bo na pewno nie mój. Zgrałem wszystko... Niech cię cholera...

- Potrzebowałem czystych płyt. - Korin zawsze, gdy nie miał racji, robił się agresywny.

- Na co, kurwa? - rozdarł się Frodo. - Na te pornosy, które ściągasz z sieci, bez nich nie potrafisz się brandzlować? Popatrz w lustro, to zobaczysz wielką dupę.

Korin poczerwieniał po same uszy.

- Licz się ze słowami, kurdupu pieprzony. Licz się, bo jak.

- Bo co? - Pieprzony kurdupel czasem zatracił instynkt samozachowawczy. - Bo co mi zrobisz?

Nie zdążył się przekonać, od drzwi dobiegły ciche oklaski, Korin puścił Froda, który opadł tyłkiem na klawiaturę i odwrócił się, kipiąc wściekłością.

W drzwiach stał Annakeen, powoli, ironicznie klaszcząc w dłonie, Zza jego ramienia wyglądała paskudna gęba Hound Doga. Kilka innych postaci tłoczyło się w ciemnej sieni.

- Zostaw małego - powiedział spokojnie Annakeen. - Ma rację. Brawo, Frodo.

- Licz się ze słowami! - syknął Korin, postępując krok ku niemu. - Licz się, kurwa...

Na Annakeenie nie zrobiło to wrażenia.

- Wyluzuj się, stary - wycedził. - Tu nie kompania reprezentacyjna, nie będę stawał na baczność. Przypomnij sobie zasady. A mały ma rację...

Uśmiechnął się do Froda, który ze ściągniętą twarzą obserwował błysk w oczach Korina, pokryty natychmiast nieszczerym uśmiechem.

- No co ty, na żartach się nie znasz? Żartowaliśmy tylko, no nie, mały? - zwrócił się do Froda.

Frodo zniósł poklepywanie po plecach, postanawiając jednocześnie solennie, że musi pogadać o tym ze Stokrotką.

Korin najwyraźniej przekroczył granicę utraty autorytetu, chciał już tylko za wszelką cenę się utrzymać, sprawiał wrażenie kogoś, komu władza wymyka się z rąk. W komandach Wiewiórek nie mianowano dowódców. Każdy mógł dowodzić, musiał tylko, być najlepszy.

Korinowi się po prostu udało dzięki układom z Rosjanami.

On staje się niebezpieczny, pomyślał Frodo, Idą trudne czasy, W następnej potyczce jego nieudolność może doprowadzić oddział do zguby. I nie podobał mu się błysk w oczach dowódcy, gdy patrzył na Annakeena.

Korin wyszedł, nie spoglądając na nikogo, tylko mrużąc pod coś nosem o niecierpiących zwłoki sprawach.

- Chyba w kiblu - mruknął Annakeen, Uważnie skręcał kolejnego jointa. - Chcesz, Doggy? - zapytał.

Przerażająca twarz Hound Doga wykrzywiła się. Zaprzeczył ruchem głowy. Zakołysał się kikut bioelektronicznego przewodu.

- Co w kiblu) - Frodo nie załapał.

- Ważne sprawy - wyjaśnił Annakeen, - Właśnie w tamtym kierunku poszedł.

Uśmiechnął się do Hound Doga, który próbował odwzajemnić gest.

Nigdy mu to nie wychodziło.

Annakeen zdjął kurtkę, został tylko w koszulce, na której widniała sprana podobizna Ozzy Osbourne, dziwnie przypominająca Hound Doga. Z jedną różnicą, Ozzy miał włosy.

Frodo nigdy nie mógł zrozumieć uwielbienia Wiewiórek dla hard rocka. Wolał Santanę.

Koszulka była całkiem nowa. Pod facjatą Ozzy' ego nadruk reklamował zeszłoroczny koncert w Berlinie. Jest coś stałego na tym świecie, pomyślał Frodo. Epidemie, wojny, klęski żywiołowe. I Black Sabbath. A kiedy już wszystko pieprznie, przyjdzie lodowiec i wyrówna, na wierzchu stanie Ozzy i zaśpiewa. No more tears.

- A tak w ogóle - spytał Frodo, przerywając rozważania nad klasyką heavy metalu. - To tylko po to mnie ściągnęliście? Do zasranego komputera?

Annakeen zaciągnął się głęboko, zakaszłał. Pochylił się, aż Ozzy na koszulce zmarszczył się groźnie.

- Mocna, cholera - wykrztusił. - Chodzi o zdjęcia. Jedynie na tym zasranym komputerze chodził program interpretujący, na innych nie chce, nie wiedzieć czemu...

- Wiedzieć... - zaprzeczył Frodo, - Wiedzieć czemu... Kody na płytach głównych, na chipsetach. Intel zmienił, a już nie ma żółtków, którzy by rozgryźli.

- A ty nie możesz? - zdziwił się Annakeen. - Taki masz łeb...

- Nie żartuj. Nie te możliwości, nie to zaplecze.

Annakeen rzucił skręta na podłogę. We łbach im się przewraca, zauważył Frodo mimochodem, tyle palenia wyrzucać.

Starannie zdeptując żar na brudnych deskach, Annakeen skonstatował ponuro:

- No, to mamy przejebane...

To głęboka prawda, aczkolwiek oparta na błędnych przesłankach. To nie kwestia kompatybilności, tylko problem z wersją instalacyjną. A raczej z jej brakiem, Frodo pluł sobie w brodę, że nie zrobił swojej kopii. Nie miał dostępu do satelity, a nie przypuszczał, że oprogramowanie będzie potrzebne. Jak samokrytycznie teraz przyznawał, nie docenił też głupoty i krótkowzroczności Korina.

- Miesiąc - mruknął zamyślony. - Miesiąc potrwa, zanim zrealizują zamówienie, Wypada się tylko modlić, żeby mieli odpowiednią wersję. Bo nowsza nie pójdzie na tym złomie, trzeba będzie sprowadzać nowy komputer. Będzie kosztować...

Annakeen pokiwał głową, Hound Dog jak zwykle milczał.

- Dosyć! - warknął Annakeen ze złością. - Już ja się postaram, żeby w następnej akcji wyszedł na idiotę! Koniec...

Uważaj, chciał powiedzieć Frodo, ale tylko machnął ręką.

Główny powód wezwania Froda leżał w stodole, z której dawno zniknął zapach siana. Pod drewnianymi ścianami, ziejącymi szparami porożychanych, Wypaczonych desek ułożono skrzynki, różnych kształtów i rozmiarów, wszystkie malowane przepisową wojskową zielenią, groszkową rosyjską i amerykańską khaki. Frodo nieraz się złościł na to składowisko, twierdząc, że przetrzymywanie ponad tony amunicji tuż obok kwatery jest głupotą. Zwłaszcza tej inteligentnej, która czasami przejawiała spontaniczność działania. Nic nie wskórał, lenistwo i zamiłowanie do wygod było silniejsze od rozsądku.

Hound Dog odrzucił brezentową płachtę i odsłonił spoczywające na skrzynkach wyrzutni LAW nagie ludzkie zwłoki.

Prawie ludzkie.

Trup przypominał brata Hound Doga. Był cyborgiem, Tak samo jak ponury Indianin, będący jak dotąd jedynym potwierdzeniem teorii, że cyborg może przeżyć odcięcie interfejsu.

- Od Rosjan? - spytał Frodo.

Zdarzało się, że Rosjanie podrzucali różne zagadki do rozwiązania, które ich niezbyt interesowały albo których badanie mogło okazać się niebezpieczne. Czasami był to nowy model inteligentnej miny, czasem nowa amunicja. Tym razem martwy cyborg.

- Nie - usłyszał z tyłu lekko zachrypnięty głos Stokrotki.

- Nie? Nie powiesz chyba, że to wy.

Nie mógł uwierzyć. Cyborgi były niezniszczalne, stanowiły rozwinięcie systemu Land Warrior, wprowadzanego już u schyłku wieku, Superżołnierze, wyposażeni w nowe zmysły, dysponujący wielką siłą ognia, działający w zespołach, jak mrówki lub termyty. Broń konwencjonalna w ich przypadku się nie sprawdzała. Można było próbować przed nimi uciekać, ale rzadko się to udawało.

System Land Warrior z początku polegał na wspomaganie piechura, na zapewnieniu mu równie komfortowych warunków walki, jak czołgistom czy pilotom. Miał wyostrzać zmysły żołnierza, zwiększyć siłę ognia, ale przede wszystkim przejąć część podejmowania decyzji. Składał się z kamery termowizyjnej, rzutującej przetworzony komputerowo obraz na półprzezroczysty okular, obrazującej istotne elementy pola walki. Czułych mikrofonów, wychwytyjących niesłyszalne dla ludzkiego ucha dźwięki. Indywidualnej broni, połączenia karabinu szturmowego z granatnikiem, a raczej dwudziestomilimetrowym działkiem, komputerem balistycznym, dalmierzem, strzelającej inteligentną i programowaną amunicją. Systemu GPS, lokalizującego pozycje wszystkich członków oddziału i wroga.

Tak to wyglądało na początku. Do momentu gdy okazało się, że w tak zbudowanym systemie istnieje jedno słabe ogniwo, które koniecznie trzeba zastąpić lub przynajmniej zmodyfikować. Człowiek.

Rozwiązaniem były obecne cyborgi, poddane genetycznym modyfikacjom, niezdolne do autonomicznego istnienia, bez wspomagania.

Ostateczni wojownicy. Na szczęście dla wszystkich straszliwie drodzy. W produkcji, jakkolwiek to brzmiało, i w eksploatacji.

Zależne od źródeł zasilania i zapasów pożywki. Nie można ich było puścić po służbie na przepustkę ani normalnie skoszarować. Wymagały olbrzymiego zaplecza logistycznego, samobieżnych kontenerów-przechowalni, wsparcia wykwalifikowanych techników i bioelektroników.

Było ich niewiele. Ale pluton cyborgów potrafił zastąpić batalion.

Hound Dog był jedynym, któremu udało się na powrót stać człowiekiem. No, może nie do końca, pomyślał po raz któryś Frodo, spoglądając z ukosa na twarz Indianina, na widoczne pod skórą czaszki guzy elektrod, na zwisający kikut wszczepu interfejsu.

Frodo znał tajne rosyjskie raporty. Jak to zwykle bywa, znalazły się w Internecie, uzupełnione później o fragmentaryczne wprawdzie i niezbyt wiarygodne strzępy amerykańskiej dokumentacji.

- Znaleźliśmy go. - Stokrotka wyrwała go z zamyślenia - Był.

- He was damaged.

Frodo drgnął. Jak zwykle, gdy słyszał głos Hound Doga, Wszczępione laryngofony na zawsze zepsuły mu dykcję.

- He was damaged... Zepsuty... Software error...

- Zaraz, po kolei, - Oszołomiony Frodo potrząsał głową. - Gdzie, kiedy? Przecież nie byliście... Wiedziałbym...

Stokrotka podeszła do skrzyń, przez chwilę bezmyślnie spoglądała na ciało. Frodo ją znał, zestresowana stawała się zimna i bezwzględna. Jak to odreagowywała, nie wiedział.

- Niedaleko, po tej stronie...

Już to było dziwne. Cyborgi nie zapuszczały się na drugi brzeg. Przynajmniej do tej pory. I zawsze działały w grupach.

Przypomniawszy sobie tajne rosyjskie raporty i płynące z nich wnioski, których wprawdzie nie było wiele i które bliższe były domysłom niż rzetelnej analizie.

Rosjanie zbadali kilka egzemplarzy, ale tylko dwa żywe. Martwe dostali z Nikaragui czy Gwatemali, gdzie wykorzystywano cyborgi na największą skalę. W dżungli okazały się niezastąpione. Dwa żywe prawdopodobnie kupiono. Nic w tym dziwnego, polski wywiad jeszcze za komuny potrafił kupić abramsa.

Stwierdzono jedno, cyborga nie można wziąć do niewoli. Odseparowane od oddziału ginęły, podobnie jak odcięte od interfejsu. Egzemplarze przekazane do badań miały tę funkcję zablokowaną. Jak? Nie wiadomo.

Pewne były również wyniki sekcji. Odkryto wszczep bioelektroniczny, będący interfejsem komputera. Elektrody przekazywały dane bezpośrednio do nerwów wzrokowych i słuchowych, inne znajdowały się w ośrodkach bólu i rozkoszy, z czego w ostateczności korzystało dor wództwo. Podłączony do krwioobiegu dozownik pompował w żyły odżywkę i hormony, morfinę lub potężne dawki amfetaminy, w zależności od sytuacji bojowej.

Tylko Hound Dog przeżył odcięcie bioelektronicznego wszczepu. W dodatku zrobił to sam, pomogły mu duchy przodków. Frodo nie widział żadnych powodów, by w to nie wierzyć. Inne wytłumaczenie po prostu nie istniało.

Odciął się, a potem wystrzelał pozostałych i przeszedł rzekę, jak nakazali przodkowie.

Później wracał, mszcząc się na wszystkim, co przypominało mu Stars and Stripes. Stracił wprawdzie wiele ze swych szczególnych zdolności, jednak wciąż był czymś więcej niż człowiekiem. Przekonał się o tym oddział amerykańskiej kawalerii, któremu już w pierwszym wypadzie z Wiewiórkami urządził nowe Little Big Horn.

To Stokrotka spowodowała przyjecie go do komanda. Ona jedna się go nie bała, jak inni z początku. Nie potrafiła wyjaśnić dlaczego.

Frodo uważnie oglądał ciało, popatrując co chwila na stojącego obok Indianina. Bezskutecznie próbował dostrzec różnice. Takie same guzy na czaszce i napompowane sterydami mięśnie. Były potrzebne, ekwipunek sporo ważył. Identyczny przewód interfejsu.

Przyjrzał się uważnie przewodowi zwisającemu z czaszki Hound Doga. Odcięty koniec nie był zainfekowany, jak się często zdarzało.

Wszczep był żywy, prócz światłowodów zawierał żywe neurony pijawek, jak pamiętał z raportów Frodo. Były to jedyne robale mające neurony, które w dodatku ochoczo łączyły się krzemowymi elementami, przekazując impulsy elektryczne, zgodnie z teorią i badaniami prowadzonymi co najmniej od dwóch dziesiątków lat. Problem stanowiło co innego - wbrew wszelkim teoriom neurony się regenerowały, tkanka się rozrastała, wywołując uciążliwe infekcje.

Tym razem antybiotyki pomogły. Do czasu, aż znów trzeba będzie odciąć szarą substancję wylewającą się z przewodu na podobieństwo nowotworu.

Kilka razy, powodowany niezdrową ciekawością, Frodo proponował Indianinowi odtworzenie interfejsu. Z elektroniką by sobie poradził, trochę światłowodów i nic więcej. Neurony uległy regeneracji i Indianin znów mógłby się podłączyć do systemów uzbrojenia, odzyskując dawną skuteczność. Ale Doggy stanowczo odmawiał, a Frodo nie nalegał.

Wyprostował się, zdjął z trzaskiem gumowe rękawice, Przetarł spocone czoło, pokręcił głową z rezygnacją. Górujący nad nim jak masywna skała Hound Dog spoglądał wyczekująco.

Milczenie przerwała Stokrotka.

- I jak, znalazłeś coś? - spytała, głosem bardziej zachrypłym niż zwykle.

- Nic - Frodo niechętnie przyznał się do porażki. - Nic a nic. Jest standardowy.

- Skąd wiesz? - w głosie Stokrotki przebijała irytacja. - A ilu ich widziałeś? Taki z ciebie ekspert? Wiem, jedyny w okolicy, ale czy na pewno taki znakomity? I skąd wiesz, co ma w środku?

Niziołek bezradnie rozłożył ręce.

- Nie wiem - przyznał. - A widziałem dotąd tylko jednego, ale nie wiem, czy pozwoli zajrzeć sobie do środka...

Uśmiechnął się ponuro.

- Nie wyzywaj się na mnie - dodał. - Ja naprawdę nic nie potrafię znaleźć. Jeśli mi wszystko opowiesz, może będę wiedział, czego szukać...

Zapadło milczenie. Oczy Stokrotki wciąż były chłodne i czujne. Po chwili podeszła jednak bliżej, musnęła dłonią kędzierzawe włosy Froda.

- Przepraszam - szepnęła. - Nie mam pojęcia, co się ze mną dzieje. Frodo skinął głową. Ale ja wiem, dziewczyno, pomyślał, wiem doskonale. To długa wojna, która nigdy się nie skończy...

- Nie ma sprawy... Tylko ja naprawdę nie wiem, on niczym się nie różni...

- Next generation - przerwał mu chrypliwy głos. Frodo drgnął, spojrział na Hound Doga.

- Next generation, I' m sure. - Indianin nawet po angielsku wyrażał się jak karykatura starego wodza z westernu, - Not hardware, soft only...

Ma rację, pomyślał Frodo, na to nie wpadłem. A swoją drogą jest coś niesamowitego w nazywaniu ludzkiego ciała hardware...

Knajpa pustoszała. Ci, co mieli spać pod stoły, leżeli pod nimi, ci, których miano wykopać za drzwi, wyrzucono. Zostało tylko kilku gości w stanie rozpaczliwego niedopicia, Mogli próbować do rana.

Obszarpana kobiecina ze szmatą na kiju kręciła się pomiędzy stolikami, pozorując zmywanie podłogi, Sądząc z koloru szmaty i wody w kubie, czynność ta z góry skazana była na niepowodzenie, Sprzączka wprawnie lawirowała między leżącymi, omijając tych bardziej przejawiających oznaki życia.

Wagner rozejrzył się po sali. Niebawem ochroniarze wyniosą kolejnych nieprzytomnych, ułożą równo i porządnie na chodniku, nie przejmując się padającym mokrym śniegiem. Ponoć nie ma lepszego sposobu na szybkie wytrzeźwienie. A globalne ocieplenie miało ten jeden pozytywny skutek, że mało kto zamarzał po pijanemu.

- Znaleźli go niedaleko bazy - Frodo kończył relację, - W stanie nieaktywnym, Inactiye and disabled, jak wyraził się Pę...

Wagner wiedział, jak nazywano Hound Doga, nawiązując do licznych żartów z indiańskich imion. Nie śmieszyło go to.

- Tak... - stropił się Frodo, szczerze zmieszany. Lubił Hound Doga, ale czasem mu się wyrwało. - No więc... Problem w tym, że to rzeczywiście nowy model, jeszcze

niedopracowany, ale z oprogramowaniem zawsze tak jest. To świństwo zawsze się sypie, błędy wyłażą na końcu, kiedy nikt się nie spodziewa.

Wagner sięgnął machinalnie po napełnioną jeszcze w połowie szklankę. Albo w połowie pustą, jak powiedziałby Frodo, wieczny pesymista. Jednak nie podniósł jej, tylko odsunął zdecydowanie.

- Chcesz? - spytał. Frodo odmówił.

- Dobrze - powiedział Wagner po chwili. - Wnioski?

- Przecież sam wiesz... Wagner pokiwał głową.

- Wiem, Inteligentny, psiamać, jestem. Dlatego jeszcze żyję, Ale chcę to usłyszeć od ciebie. To ty jesteś specjalista, ja potrafię tylko strzelać.

Specjalista podrapał się po skołtunionej głowie.

- W porządku - zaczął wreszcie, bawiąc się opróżnioną do połowy szklanką i obserwując, jak samogon spływa po ściankach, W niczym nie przypominał koniaku.

- W porządku - powtórzył, - Wnioski są proste, Zrobili autonomicznego cyborga, którego można samotnie wysłać z dowolną misją. Zgoda, spieprzyli sprawę, spsuł się. Ale poprawią to, bądź pewien. Będą mogli tu przenikać, kiedy zechcą. Wystarczy jeden, by dzięki przewodze w rozpoznaniu, szybkości reakcji i sile ognia rozpieprzyć każde komando. Ba, cały pierdolony niski garnizon. Wagner kiwał głową w zamyśleniu. Zgadzał się.

- W lesie będzie miał przewagę. On widzi zawsze, w nocy, we mgle, ty tylko wtedy, kiedy masz noktowizor. Może cię zobaczyć i usłyszeć, zanim się zorientujesz. Będzie sam, bez tego całego ogona, który dotąd ciągnął za sobą. Powiem więcej, jego oprogramowanie jest specjalnie dostosowane do tutejszych warunków. Zrobili już tyle, to mogli i więcej, już nie będą takie jak dotąd, optymalizowane na dżunglę, mniej sprawne w niższych temperaturach.

Nadal bawił się szklanką, obracając ją coraz szybciej w palcach.

- Poprawią błędy i zyskają przewagę. Pomyśl, on nie musi wrócić. On się nie boi, musi tylko wykonać zadanie, reszta zwisa mu giętym kablem...

Nagle zdecydowanym ruchem podniósł szklankę i wychylił śmierdzący płyn. W oczach stanęły mu łzy.

- Mamy przesrane, panie wiedźmin - powiedział zduszonym głosem. - Równo i wszyscy.

To przekonało ostatecznie Wagnera.- I co? - Niziołek wycierał załzawione oczy.

- I gównu. - Wagner wzruszył ramionami, przyglądając się uważnie rozmówcy. Swoją drogą, twardy kurdupel, pomyślał nie po raz pierwszy. Przychodzi z takimi wieściami i żartuje z Kędziorem, jak gdyby nigdy nic. Ciekawe, czy sam bym tak potrafił.

- Posłuchaj, a co było...

Frodo nie pozwolił mu skończyć.

- Co było przyczyną awarii? - spytał ironicznie, - Chcesz pocieszyć mnie czy siebie? Masz nadzieję, że będą się psuły? Nie licz na to.

- Nie potrzebuję pocieszenia, tylko informacji.- To proste, tak proste, aż się dziwiłem, że sam na to od razu nie wpadłem. I nie chcę cię martwić, łatwe do usunięcia. Nie przeprowadzili kompletnych prób, zaoszczędzili na badaniach poligonowych. Nie sprawdzili warunków granicznych... Zamów jeszcze jedną.

Wagner popatrzył uważnie.

- Nie przesadzasz?

- Nie, kurwa, nie przesadam. Nie dziś.

Zabrzmiało śmiertelnie poważnie. Wagner sięgnął w zanadrze, wyjął płaską metalową flaszkę. Frodo prawie wyrwał mu ją z ręki.

- Dobrze - mruknął po chwili.

- Pewnie, że dobre. - Wagner kiwnął głową. - Ballantine. Tylko się za bardzo nie przyzwyczajaj...

- A Kędziorowi nie dałeś?

- On ma więcej ode mnie. - Lekceważąco wzruszył ramionami.

- W porządku. - Frodo głęboko odetchnął. - Jak go znaleźli, był unieruchomiony i zdezaktywowany. Ale to nie znaczy, że się nie ruszał. Ruszał się, i to jak. Każdą kończyną próbował iść, tyle że w różne strony. Miotał się coraz bardziej. Miejsce, w którym go znaleźli, było całkiem skotłowane, do żywej ziemi. Okoliczne drzewa odarte z kory. Miotał się, a potem zamierał, i tak w koło Macieju. W psychiatrii się to nazywa, o ile pamiętam, burzą ruchową. Na przemian pobudzenie, nieskoordynowane ruchy i katatonie. Długo nie wiedziałem, co to było... Aż nagle mnie olśniło... Rozchwianie rezonansowe.

- Co? - Wagner nie rozumiał.

- Rozchwianie rezonansowe. Stare pojęcie, z czasów kiedy w lotnictwie wprowadzano systemy fly-by-wire i obiekty niestateczne aerodynamicznie. Taki samolot sam nie polecie, nie da się nim sterować bez wspomaganie komputera, A komputer wie swoje, czasem aż za dużo. Pamiętasz katastrofę pierwszego grippena?

- Pamiętam - przerwał zimno Wagner. - Choć jestem stary, to Alzheimer jeszcze mnie nie dopadł. Ale nadal nie rozumiem.

- Komputer koryguje ruchy pilota - kontynuował Frodo niezrażony, - Nie pozwala przekroczyć warunków brzegowych, na przykład przeciągnąć samolotu. Nadążasz?

- Jak dotąd tak, Wiem, co to samolot...

- Więc komputer koryguje błędy, wychylając płaszczyzny sterowe. Ale czasem sam wprowadzi maszynę w stan niedozwolony, na przykład, jeżeli podmuch wiatru silniej przechyli ją na skrzydło. Od tego się zaczyna, Im większe wychylenie, tym silniejsza kontra. Tymczasem podmuch wiatru się nie powtarza i komputer głupiej, Kontruje silniej, I silniej. Aż do skutku, Tu było to samo. Coś, czego nie przewidzieli programiści, wytrąciło układ z równowagi. Komputer skontrolował, dowalił amfy. Ale nie o to chodziło, układ wyskoczył ze stanu równowagi, więc podał z kolei endorfinę czy co tam... Tylko więcej. Pobudzenie skończyło się, więc znowu amfa... Nie wiem zresztą, czy tak dokładnie było, może raczej elektrostymulacja. To nieważne, To łatwo poprawić, wystarczy inaczej określić warunki brzegowe.

Pociągnął kolejny łyk z piersiówki, Wagner nie protestował.

- No tak... - powiedział wreszcie w zamyśleniu. - Tak... Rzeczywiście, być może mamy przesrane. Trzeba się z tym przespać, przemyśleć.

Lepiej spieprzać, pomyślał Frodo. Jak najdalej. I jak najszybciej.

- Dobrze - mruknął Wagner. - A...

Urwał, widząc jak Frodo kręci głową w odpowiedzi na niezadane jeszcze pytanie. Spodziewał się tego. Tylko twarz drgnęła mu ledwie dostrzegalnie.

- Poczekaj - powiedział Frodo ze znużeniem. - To nie tak, jak myślisz. Zaraz ci powiem...

Oczy Wagnera pozostały poważne i zgaszone.- Nie dziś. Poczekamy do jutra, nikogo to nie zbawi. Spadaj, Frodo, idź się przespać, bo ci rower podpieprzą...

Niziołek spojrział niezdecydowanie.

- A ty?

- Jeszcze trochę posiedzę, pomyślę, Zjeżdżaj.Frodo podniósł się posłusznie, ale niechętnie. Wolałby mieć to już za sobą. Widział, że z takiego siedzenia nic dobrego nie wyniknie, Ani tym bardziej z myślenia.

Zostawił Wagnera wpatrującego się w dwie małe dziurki w brudnej szybie.

Z nieba spadały coraz rzadsze płatki mokrego śniegu, Wagner przystanął, zaczerpnął głęboko powietrza. Czuł ból głowy, a w zasadzie uporczywy ucisk w skroniach.

To od tego smrodu, pomyślał, od smrodu i dymu, Ostatecznie przesiedział w knajpie ładnych kilka godzin.

Choć sporo wypił, nie czuł nawet lekkiego rauszu. Zawsze tak było, kiedy pił w interesach, Od ostatnich nowin każdy by oprzytomniał.

To może być koniec, pomyślał któryś raz w ciągu ostatnich godzin. Wreszcie znaleźli tani i efektywny sposób. Przedtem cyborgi były drogie w eksploatacji, operowały w większych grupach, z całym zapleczem, A pojedynczy cyborg... Prawdopodobnie kosztował mniej od pocisku Tomahawk.

Paradoks współczesnej wojny. Pocisk był czasem wielokrotnie droższy od celu, który miał zniszczyć. Wygrywał ten, kogo było na to stać.

A przeciwnika wciąż było stać, jakby nie nadszarpnięto całej jego potęgi.

Roześmiał się głośno, aż oddalony o kilkadziesiąt metrów wartownik przy nieruchomym transporterze poruszył się niespokojnie.

To śmieszne. Znów myślał o Stanach Zjednoczonych w kategorii przeciwnika...

Wartownik w długim szynelu rozglądał się niespokojnie. Widać było, że się boi, bezsensowna warta w obcym, zrujnowanym mieście nie należy do jego ulubionych zajęć. Zapewne nasłuchiwał się od kolegów o tym, co tu się nocami dzieje. Ilu jego poprzedników rozprawdzający znalazł z poderżniętym gardłem. O bandytach, przemytnikach, partyzantach, o wszystkich, którzy tylko czekają, by dać mu w łeb i ukraść zardzewiałego BTR-a. Wagner spojrzał uważniej. Młody chłopak, z północy albo z Syberii, Przydzielano tu zazwyczaj świeżo wcielonych, doborowe jednostki potrzebne były nad Ussuri.

Żołnierz ścisnął kurczowo kałasznikowa, wodząc lufą na wszystkie strony. Zainteresowani i tak wiedzieli, że ma pusty magazynek. Tak było od czasu, gdy zastrzelono kolejnego pijanego oficera. Śledztwo nigdy nie wykazało, czy padł ofiarą porachunków, czy tylko pomyłki, o którą łatwo, gdy zalany oficer przypomina sobie nagle o obowiązkach i zaczyna sprawdzać posterunki. Strach wartownika był nieuzasadniony. Nawet hordy rumuńskich dzieci nie napadały na wojskowych, nie było czego rabować. Wagner pamiętał zaledwie dwa wypadki, w których zginęli żołnierze na warcie, Znacznie łatwiej było o śmierć w koszarach, w bójce lub wskutek śmiertelnego zatrucia metanolem. No tak, ale on o tym nie wie, pomyślał Wagner, Jest sam, we wrogim mieście, w obcym kraju.

Ruszył powoli w kierunku drogi wylotowej na Wyszaków. Chciał spokojnie pomyśleć.

Siłą nawyku rozglądał się czujnie, gotów w każdej chwili uskoczyć, Machinalnie śledził najmniejszy ruch w ciemnych zaułkach i wypalonych ruinach, których nikt nie

rozbierał. Starał się omijać wzrokiem nieliczne, oświetlone słabymi, pełgającymi płomykami okna, odwracając wzrok, by nie osłabiać adaptacji oczu do ciemności.

W mieście było w miarę bezpiecznie. Zresztą znajdował się u siebie. Wszyscy go tu znali, szanowali lub po prostu schodzili mu z drogi. Poza tym jak na obecne standardy Ostrów była spokojnym miastem. W przedwojennej szkole podchorążych mieściła się teraz placówka rosyjskiego wywiadu, chroniona przez batalion piechoty. Na peryferiach miasta stacjonowały dwie jednostki pancerne; wprawdzie ciągle brakowało im paliwa, ale przynajmniej patrolowały najbliższą okolicę.

Tak było w całej rosyjskiej strefie. Małe wysepki otoczone ziemią niczyją. Rosjanie nigdy nie zamierzali kontrolować całego terenu, przeczesywać lasów, pacyfikować wsi. Być może wyciągnęli wnioski z ciągnących się przez dziesięciolecia wojen na Kaukazie.

W wypalonym szkielecie bloku coś się poruszyło. Nie zwolnił, spojrzął tylko w ciemne, czarniejsze od nocy, pozbawione ram otwory okienne, Czuł, że z mroku śledzą go czyjeś uważne oczy. Zapewne rumuńskie dzieci, które upodobały sobie wypalone bloki, najwyższe budynki Ostrowi, postawione jeszcze za Gierka, kiedy miasteczka starały się upodobnić do metropolii. Dzieci wołały żyć w zrujnowanych ścianach bez drzwi i okien, spać w barłogach z pustych kartonów i szmat. Czuły się bezpiecznie, gdy istniała droga ucieczki i zakamarki, w których mogły się kryć, A latem przenosiły się pod gołe niebo, w nadbużańskie wikliny.

Kiedys zasiedlały wałące się, opuszczone drewniaki, Wyniosły się” kiedy zniecierpliwieni obywatele powodowani chęcią oczyszczenia miasta z elementów niepożądanych spalili kilka drewniaków wraz z zawartością, uznając, że jedno więcej pogorzelnisko i tak nie robi wielkiej różnicy, To właśnie wtedy dzieci przestały żebrać. Zaczęły zabijać.

Coś zaszurało, coś jęknęło, Odgłos przypominał miauknięcie, ale to nie mógł być kot. Koty stały się wielką rzadkością z racji swych walorów smakowych.

Zarys budynku został z tyłu. Cokolwiek go zamieszkiwało, ucichło już uspokojone. Małe kamieniczki po obu stronach ulicy były bezpieczne. Zostały z nich najczęściej tylko ściany, pożary strawiły drewniane stropy i konstrukcje dachów. Paradoksalnie, w całym mieście najwięcej zachowało się starych, wrośniętych w ziemię drewniaków. Ocalały podczas przejścia frontu przez miasto, na ogół nie było w nich punktów oporu. Oszczędziły je kolejne przemarsze wojsk i przewalające się przez Ostrów masy uchodźców, a także stacjonujących żołnierzy, którzy wyszli z założenia, że nie ma w nich czego rabować.

Pomiędzy szczytami domostw przemknął pojedynczy cień. Samotny, zatem niegroźny.

Wszystko, co niebezpieczne, działało w grupach. Poczynając od hord zdziczałych psów najskuteczniej regulujących liczebność rumuńskich żebraków. W grupy łączyły się też dzieci, zbyt słabe, by przetrwać samotnie. W oddziały łączyli się partyzanci i przemytnicy. Tylko tak można było przeżyć, wygrać z innymi.

Część umysłu Wagnera śledziła przemykający się cień, oceniając zagrożenie. Garb plecaka, ledwie słyszalny szcęk metalu. Zwyczajny szabrownik, przeszukujący ruiny w poszukiwaniu resztek kabli elektrycznych, puszek po piwie i innych cennych odpadków. Działali w nocy, ponieważ w dzień draby o nalanych, przekrwionych twarzach, z opaskami na rękawach, uzbrojone w kije baseballowe i napełnione ołowiem rurki były dotkliwie. Czasem do śmierci. Nazywało się to pilnowaniem porządku przez straż miejską i cieszyło się poparciem ogółu społeczeństwa.

Pojedyncze cienie nie stanowiły zagrożenia. Wagner uśmiechnął się do własnych myśli. Samotni i groźni byli tylko tacy jak on. Spowaźniał, Teraz nie tylko.

Autonomiczne cyborgi, Jak Terminator realizujące misję zniszczenia. Groźne, bo trudne do zlokalizowania.

Przeciwnik się uczył. Wagner potrząsnął głową. Przeciwnik. Znowu były dwie strony. Jak wtedy, kiedy ruszył na nie swoją wojnę, której nie chciał i którą pogardał.

Nigdy nie miał złudzeń, że cokolwiek zmienia. Straty, które zadawał, niewiele znaczyły dla kraju, codziennie wysyłającego nowe siły do bliskowschodniego kotła, gdzie toczyła się gra o wysoką stawkę. Tu było tylko zaplecze, spacyfikowane niewielkimi kosztami, utrzymywane, by zyskać na czasie.

Cóż znaczyły pojedyncze czołgi i helikoptery? Ameryka to duży kraj, skurwysynów w niej pod dostatkiem, przyjdą nowi. A po nich następni.

Spalone posterunki, rozbite oddziały Border Guard, potyczki, które dla Wiewiórek było poważnymi bitwami, w istocie niczemu nie służyły. Z tej iskry nie rozgorzeje płomień, nie przywróci niepodległości. Wszystko pokryje lodowiec. Wkrótce zmiele ruiny, domy i lasy. Nie ma ucieczki, nie ma przyszłości.

Można ograniczać straty i zmniejszać cierpienia. Do tej pory miało to sens, Przynajmniej dla niego..

Teraz miało się to zmienić. Ukłucia, jakimi były ich działania, kogoś zdenerwowały. Na tyle, że postanowił położyć im kres. Zaprowadzić nowe porządki. Odebrać to, co jeszcze pozostało.

W innych okolicznościach miałyby pewnie powód do dumy, bo nikt nie wątpił, do jakich zadań - przeznaczone zostaną autonomiczne cyborgi. Do zwalczania takich jak on.

Uśmiechnął się krzywo. Wiedźmin yersus Terminator, Brzmiało to jak tytuł kiepskiego komiksu.

Nawet nie zauważył, kiedy minął ostatnie zabudowania. Tylko podświadomość, wciąż czujna, nakazała zejście z szosy, z asfaltu na pobocze.

Wiedźmin versus Terminator. Ciekawe, co z tego wyniknie. Nie miał złudzeń.

Szosa opadała lekko w dół. Nikt już nie zamieszkiwał peryferiów, mógł się odprężyć, otaczał go las, a w lesie był u siebie, Jeszcze u siebie, pomyślał, wkrótce to się może zmienić.

Osiem kilometrów marszu do Broku. Półtorej godziny, może dwie. Nie musi się spieszyć. Na kolejnym zakręcie obok zrujnowanego siedliska, prawie naprzeciw szutrowej drogi do Nagoszewa i Turki, postanowił przysiąść na chwilę i zapalić. Gdy wyjmował ze zgniecionej paczki ostatniego camela, zauważył, że kiedyś już w tym miejscu siedział. Był wówczas kimś zupełnie innym, rozbitkiem bez domu i nadziei, oficerem pokonanej armii.

Nadziei wciąż nie było. Ani domu.

Trzasnęła zapalniczka gazowa, osłonił płomień połą kurtki. Przymknął oczy, by nie oślepił go bladoniebieski płomyk. Zaciągając się głęboko, popatrzył w ciemność, przed siebie. Wrak myśliwca dawno zniknął, elektronowo-magnezowy blok silnika był zbyt cenny, by mógł tu pozostać. Pogorzelnisko przez lata porosło trawą, tylko osmalone pnie olch nad rowem mogły przypomnieć tamte czasy.

Żar papierosa rozbłysnął w ciemności. Ile to już razy tak siedział, w zimną noc, chowając ognik w dłoni? Ile już było nocy w ciemnym, milczącym lesie, w ruinach, w nadbrzeżnych łozach?

Przypomniał sobie, kim był owego wrześnieowego dnia i co mu dało siłę do przeżycia tych wszystkich następnych lat.

Niedopałek zatoczył łuk, zabłysnął przez chwilę w stojącej na dnie rowu wodzie. Żar zasyczał krótko, gasnąc.

Jeszcze nie wstawał. Patrzył przed siebie w ciemność. Myślał o tych, co z wymyślonej kiedyś fikcji uczynili rzeczywistość.

W tym świecie też były potwory. Nie tylko zdrajcy, kolaboranci i zwykli bandyci, nie tylko okupanci. Tymi zajmowali się ci, którzy mogli stanąć i ich wyeliminować. Ale istniało też coś, z czym nie potrafili się zmierzyć. Automaty strażnicze, cybernetyczna inteligencja. Opancerzone helikoptery, krążące nad lasami i przemytniczymi szlakami,

wyposażone w sensory, ociążałe od uzbrojenia. Czołgi, których pancierzom nie mogła zagrozić lekka broń. Anteny węzłów łączności i alertery podczerwieni. Bezzałogowe aparaty latające. Sprzęt, który w warunkach zwykłej wojny pozostałby jedynie sprzętem, na zajętych terenach przerodził się w spersonifikowane monstra, zabójcze, używane nie tylko do pacyfikacji, ale i do prywatnych porachunków, Do umacniania władzy komendantów placówek, którzy pozbawieni kontroli wyrastali na udzielnych władców.

Ktoś musiał likwidować potwory. I według głęboko zakorzenionej tradycji powinien robić to za pieniądze. Tylko wtedy mógł być naprawdę bezstronny, pozbawiony emocji i działający bez wahania, bo potwory były bezosobowe, nie miały ludzkich twarzy. Prawie nigdy nie miały.

Nie powinny tu istnieć. To nie ich miejsce, nie ich świat.

Strach istniał zawsze. Nawet wtedy, gdy było już po wszystkim, gdy należało przekazać umówioną zapłatę. Czasem służyły do tego grube koperty, ciężkie od papierowych rubli. Tak bywało, gdy zlecenie składał przemytnik, dla którego odblokowanie drogi czy unieszkodliwienie uciążliwego posterunku miało wymierną wartość. Przemycnicy płacili najlepiej, co nie znaczy, że chętnie. Targowali się zaciekle, chłodno kalkulując, czy opłaca się zmienić trasę i przeczekać.

Czasem zapłatę stanowiły okupacyjne bony. Te oferowali sklepikarze, hurtownicy i bimbrownicy, którzy nie mogli działać zgodnie z prawem, ich upadek z kolei oznaczałby głód dla mniej zaradnej reszty. Dowódca każdego posterunku szybko dochodził do wniosku, że po raz pierwszy w życiu może się łatwo wzbogacić. I zaczynał ustanawiać własne prawa w miejsce tych, których miał strzec. Handlarze zawsze najpierw próbowali radzić sobie sami, czasem z pomocą okolicznych mieszkańców. Rzadko im się udawało. Tamci nie byli sami, sprowadzali potwory, stać ich było na sprzęt, którego etat skromnego checkpointu na jakimś zadupiu wcale nie przewidywał. Mógł to być czołg, wypożyczony z jednostki, której dowódca też chciał mieć udział w interesie, Albo samobieżny vulcan, niezbyt już nadający się do walki z samolotami, beznadziejnie przestarzały, ale znakomity, by dla przykładu rozjechać krnąbrną wieś.

Handlarze płacili gorzej niż przemytnicy, mniej się targowali. Zwykle po własnych nieudanych próbach, W ich oczach można było dostrzec strach, pod warunkiem że udało się w nie spojrzeć. Lęk przed kimś, kto zmierzył się z potworem, któremu sami nie dali rady lub nawet nie odważyli się wyjść naprzeciw.

Bywały też wyciągnięte z zakamarków i schowków ślubne obrączki, precjoza chowane skrzętnie na czarną godzinę, na chwilę, kiedy głód zajrzy w oczy. Kiedy przyjdzie płacić nimi za życie.

Ci wszyscy ludzie, którzy terroryzowani przez rozzuchwalonych kolaborantów, przez elitę nowej władzy mogli tylko czepiać się najmniejszej szansy, nie próbowali się już targować. Prócz strachu mieli w oczach żal, nawet do wiedźmina, i tak było i tym razem. Dwa tysiące okupacyjnych bonów, na wyrost zwanych dolarami. Powszechnie określanych terminem „śmiecie”.

Zapłata marna, ale i robota łatwa. Tutejszy posterunek dopiero rósł w siłę, jego załoga niedawno uświadomiła sobie możliwości. Stał co prawda przy niezbyt uczęszczanej drodze, ale zawsze zapewniał jakieś dochody. Obsada była świeża, jednak istniało niebezpieczeństwo, że staną się bardziej bezczelni, że dostaną coś więcej niż stareńki M60, nawet bez reaktywnego pancerza, Dlatego przyjął zlecenie, chciał zaoszczędzić pracy i ryzyka w przyszłości.

Przeciwnicy nie grzeszyli inwencją, działali stereotypowo. Kontrole przeprowadzali na pewniaka, pod osłoną wycelowanej lufy czołgu, choć coraz mniej było sprawnych ciężarówek i nie musieli obawiać się starego numeru z łamaniem szlabanów. Brakowało paliwa, większość transportu przejęły furmanki. Aby nikt nie miał wątpliwości, że posterunku ominąć się nie da, co pewien czas objeżdżali okolicę starym transporterem M1 13, pamiętającym jeszcze Wietnam.

Z opowieści przekazanych im skwapliwie, gdy obejmowali służbę, wiedzieli, że wkrótce ktoś się do nich zgłosi. Zaproponuje prowizję, która od tego dnia obciąży koszt sprowadzanej żywności i bimbrowa.

Potem będą mogli żądać coraz więcej. Zaczną się coraz bardziej panoszyć i kolejny nielegalny interes urośnie w siłę.

Robota łatwa, zapłata marna. Wystarczył jeden pocisk, jedno trafienie. Każdy pancerny potwór ma słabe miejsce, Smoka można zranić w miękkie podbrzusze, Achillesa w piętę.

Ten też miał, Pocisk trafił tuż nad pierścieniem łożyska wieży, gdzie pancerz nie był grubszy od samochodowej karoserii, Wyzwolona energia zapaliła cyrkonowy rdzeń, którego odłamki rozprysnęły się we wnętrzu komory amunicyjnej w niszy wieży. M60 nie miał lekkich osłon stropu, kierujących podmuch w górę. Płomień wypełnił wnętrze czołgu, do eksplodującej amunicji dołączyła ta składowana w kadłubie. Zerwana wieża wyleciała w powietrze, ale podwozie jechało jeszcze kilkadziesiąt metrów, wstrząsane dreszczem

kolejnych, następujących po sobie wybuchów, Wreszcie stanęło, buchając ogniem z włazów i szczelin.

Łatwa robota, Musieli mieć nieczynny czujnik opromieniowania laserem. Czołg nie zareagował, gdy tuż przed strzałem omiotła pancierz wiązka wprowadzająca ostatnie poprawki do komputera balistycznego, M60 nie obrócił wieży w kierunku zagrożenia, nie przyspieszył gwałtownie, Jakby nigdy nic jechał dalej, a siedzący na krawędzi włazu biedny palant niczego się nie spodziewał.

Patrząc przez celownik, Wagner pokręcił głową, nie spiesząc się z odskokiem. Biednego palanta nigdzie nie było widać. Raczej wątpliwe, czy ktoś go jeszcze kiedykolwiek zobaczy po tym, jak pod samym tyłkiem wybuchło mu dwadzieścia jeden stupięciomilimetrowych pocisków. Podwozie płonęło równym ogniem, z poczerńskiego, odwróconego czerepu wieży wiatr wywiewał resztki dymu.

Niespiesznie zaczął zwijać stanowisko. Strzelał z pięciuset metrów, nie rozstawiał czujników. Jeszcze rok, półtora roku temu mógł spodziewać się przeczesujących okolice śmigłowców, może szybkich wozów rozpoznawczych. Teraz już nie.

Biedny palant, pomyślał. Nie, Nie było żadnego palanta. Ja niszczyć tylko potwory. Teraz będą siedzieć jak mysz pod miotłą i kryć się na widok nadjeżdżającej furmanki. Dowódca jednostki sporządzi raport o wykreśleniu czołgu z ewidencji z powodu złego stanu technicznego i nieopłacalności transportu do warsztatów remontowych. Dołączy protokół rozbrojenia.

Uśmiechnął się. Istotnie, stan techniczny wysłużonego wozu pogorszył się gwałtownie. Ostatnim dokumentem będzie doniesienie o dezercji czterech żołnierzy. Cóż, zdarza się.

Czterech? Wagner zmarszczył brwi. Na pokrywie silnika też ktoś siedział. Odpędził te myśli. Tylko potwory.

Łatwa robota, marna zapłata. Jeden nabój Nammo drogi jak cholera i coraz trudniejszy do zdobycia, odkąd Norwegowie zaczęli powoli likwidować interes i przygotowywać się do przeprowadzki. Dziesięć rubli, czterdzieści dolarów, Przestał przeliczać, Nawet nie znając dokładnie czarnorynkowego kursu śmiecia, nabrał przekonania, że dołożył do interesu.

Liczyli zatłuszczone, obszarpane bony, spoglądając na siebie z wyrazem coraz większej krzywdy na twarzach, Zerkali z ukosa na Wagnera opierającego się o ścianę. Nie obawiał się, że go oszukają, ostatecznie więcej wydawał na schabowego w Ostrowi. Ale bawiło go ich zdenerwowanie.

W kosych, rzucanych co chwilę spojrzeniach dostrzegał coraz mniej strachu, a coraz więcej złości i pogardy. Spodziewał się tego, zawsze tak było.

Ten tłusty, ze spoconą, świecąca gębą coś warknął. Pomylił się w rachunkach. Zaczęli liczyć ponownie, rozkładając banknoty na kupki, popatrując coraz bardziej wrogo, z coraz większą złością.

Tłusty nie wytrzymał.

- A nie gapcie się tak, panie wiedźmin - syknął. - Przeliczycie se później, nie oszukamy was!

- Rzetelnie płacimy, co do centa. - Drugi miał twarz dogorywającego suchotnika, którego nie stać nawet na posiłki w Catitasie. Przeczył temu sygnet zdobiący serdeczny palec.

Z irytacją cisnął wymięte bony na jedną z kupek.

- Rzetelnie płacimy! Byle tylko było za co! Wagner zmierzył go wzrokiem.

- Sprawdź! - rzucił krótko.

Paskarz zamamrotał coś, wrócił do pilnego liczenia.

To też należało do rytuału, przynajmniej wśród tych klientów. Handlarze i paskarze podejrzewali wszystkich o oszustwo, mierząc innych własną miarą. Przemysłowcy i biedacy nie wątpili nigdy.

Nie sprawdzą. Będą unikać tego miejsca co najmniej przez miesiąc, Bez sensu - represje już się nie zdarzały.

Sam nieraz się nad tym zastanawiał. Gdyby zastosowano terror, spalono ze dwie wsie, rozstrzelano trochę ludzi... Przecież wiedzieli, kto go wynajmuje. Ale nie. Wszystko rozchodziło się po kościach, udawali, że nic się nie stało. Do następnego razu. A jednocześnie za wykroczenia przeciw prawu wojennemu karano z całą bezwzględnością. Za chodzenie do lasu pięć lat. Za trzecim razem dożywocie. Za handel mieniem wojskowym kula w łeb, niezależnie od wieku. Za narkotyki również, co nie przeszkadzało, że większość armii chodziła naćpana na okrągło. Szumne obwieszczenia o straceniu jednego czy drugiego dowódcy, który okazywał się kolejnym szefem narkobiznesu, nadchodziły z regularnością pór roku. Niedysiejszych pór roku, teraz te pory przychodziły, kiedy chciały.

Ale działania wiedźminów nie wywoływały żadnych konsekwencji. Owszem, patrolowano granice, starano się ich śledzić. Wydzielano siły osłonowe i grupy. Do patrolowania niebezpiecznych obszarów wysyłano nawet cyborgi. Ale oficjalnie nic się nie działo.

Nas nie ma, uśmiechnął się Wagner do siebie. Nie istniejemy podobnie jak Wiewiórki, Czasem zdarzają się tylko niewyjaśnione incydenty, będące dziełem bezimiennych wrogich sił.

Skończyli liczyć. Zniknął strach, zastąpiony przez odrazę i poczucie krzywdy. Wagner bez słowa schował gruby zwitek do kieszeni.

- Nie przeliczycie? - W głosie paskarza zabrzmiało zdziwienie. I nadzieja, że zaraz usłyszą coś o wzajemnym zaufaniu i dżentelmeńskiej umowie. Nic z tego.

- Nie przeliczę. - Wagner uśmiechnął się zimno. - Jeszcze pięćset. Spojrzeli po sobie spłoszeni.

- C... co? - wyjąkał po chwili ten tłustszy.

- Słyszeliście. Brakuje pięciuset.

Pod napiętą skórą chudemu zaczęła latać grdyka. Rozejrzył się bezradnie, jego kamrat odwrócił wzrok.

- Trzys... Dwieście pięćdziesiąt? - spróbował po chwili.

Wagner pokręcił głową.

- Pięćset. Tyle było umówione. Dwa tysiące. Może bylibyście bardziej oryginalni i nie kantowali wciąż na dwadzieścia pięć procent...

Tłusty wyciągnął brakujące bony. Nawet ich nie przeliczył przed podaniem, W oczach już nie miał strachu, tylko gniew i odrazę.

Wagner wiedział, co myśli, Pazerny wydrwigrosz. Pieniądze bierze, zamiast bronić rodaków, Tfu!

Widział też, że gdy ich przypadkiem spotka, odwrócą się w drugą stronę, udając, że go nie znają. Może spluną pod nogi. A za plecami usłyszy wymawiane szeptem wyzwiska, Aż do następnego razu, kiedy znów będzie potrzebny.

Szukał papierosa i nie znalazł, Zgniół kartonowe pudełko, cisnął do rowu. Od ziemi ciągnęło chłodem, Pora ruszać, jeszcze spory kawałek. Natrętne myśli wracały i nie dawały się odpędzić. Patrzył na strach i odrazę, na poczucie krzywdy. Gdy brał zapłatę i gdy zasłaniał się zasadami po to, by nie słuchać pytań, ile kosztuje łeb komendanta posterunku. Ile kasy trzeba, by zniknął powołany niedawno wójt.

Łatwiej zabijać potwory, niż osądzać ludzi. Nigdy nie wiadomo, czy poborca podatków rzeczywiście łupi rodaków, czy tylko wypełnia obowiązki, nie starając się nikomu szkodzić. Czy policjant z białą-czerwoną opaską jest żądnym władzy sadystą, czy tylko chłopakiem, który wolał taką służbę od irackiej pustyni.

Inaczej wkrótce zapłacicie, bym zabił wierzyciela, sąsiada albo kochanka żony. Po to są zasady. Dla mojej wygody. Róbcie to sobie sami, dobrzy ludzie. Osądzajcie, jak chcecie.

Patrzyła szeroko otwartymi oczyma w ciemność. W jaśniejszy prostokąt okna, przekreślony ramą. Słyszała równy, spokojny oddech Doggy' ego, jakby obok spał mały chłopiec, a nie maszyna do zabijania. Wiedziała, że Doggy tak naprawdę nigdy nie śpi, leży, tylko z zamkniętymi oczyma, zrelaksowany, ale czujny, śledzi otoczenie funkcjami podkorowymi czy elektronicznymi, gotów do natychmiastowej akcji.

Słyszała stłumione głosy, Annakeen i Korin klócili się od dłuższego czasu. Frodo odszedł, Ale zdążył zamienić z nią więcej niż kilka słów, kiedy wyszli ze stodoły.

Poruszyła się, deski przyczy zaskrzypiały. Oddech Indianina na chwilę zmienił rytm, zanim powrócił do normy, Śpij, Doggy, pomyślała, to tylko ja.

Odgłosy kłótni ucichły. Nie miała pojęcia, która godzina, zegarek odłożyła za daleko, zresztą baterie były już słabe, podświetlacz nie działał. Nieważne, i tak będzie leżeć do rana, aż prostokąt okna zacznie jaśnieć, ciemność poszarzeje, wydobywając z mroku wnętrze izby.

Nieprawda, pomyślała po raz tysięczny od początku bezsennej nocy. To nieprawda, Frodo, mylisz się. Co ty tam wiesz, Tylko ja wiem, jak jest w istocie. Tylko ja i on. To tylko seks, W najlepszym wypadku przyjaźń, nic więcej. Spotkania od czasu do czasu, rzadkie, kradzione chwile. Po to, by nie zwariować, poczuć w tym pieprzonym świecie choć odrobinę ciepła, To nic nie znaczy.

Na zewnątrz zajęczała sowa, oddech Doggy' ego znów przycichł, Pewnie słyszał nawet szelest jej skrzydeł.

Wszystko, co czuję, znaczy tak niewiele.

- Więc jednak czujesz?

Frodo popatrzył uważnie. Stokrotka przygryzła wargi, uciekła spojrzeniem w bok.

- Złe się wyraziłam - odparła po chwili, starając się, by zabrzmiało to zimno i obojętnie. Nie udało się, Frodo wychwycił w jej głosie fałszywą nutę. Miał już dosyć tej dziwnej pary, uparcie zaprzeczającej temu, co oczywiste. Mruknął coś pod nosem. - Co powiedziałaś? - Stokrotka podniosła oczy. Niziołek wybuchnął.

- Kurwa mać! - wrzasnął, aż echo powróciło odbite od lasu, - Kurwa mać, powiedziałem!

Stokrotka dostrzegła Korina wyglądającego zza wrót stodoły, Niech to szlag, pomyślała.

- Nie drzyj się tak - rzuciła chłodno. - Nie rób sensacji, wszyscy słyszą...

Nie słyszeli. Rozmawiali cicho, jeśli nie liczyć ostatniego krzyku Froda, Ale Stokrotka była wściekła.

- Wiesz co? - syknął niziołek ze złością, ale rzeczywiście już ciszej. - Mam was dość, ciebie, i jego też. Jak dorośli ludzie mogą.

- Właśnie - przerwała. - Dorośli ludzie... Zrozum, oboje już...

- Jakbym go słyszał - wpadł jej w słowa Frodo. - Ech, co by nie mówić, pasujecie do siebie. Powiedziałas mu to kiedykolwiek? - spytał zniechęca.

Twarz Stokrotki pociemniała. - Co niby? - bąknęła.

- To, co prawie powiedziałas przed chwilą...

Nigdy nie powiedziała. W tym związku nie było miejsca na słowa, zgodnie z milczącą umową, której przestrzegali. Były tylko chwile ciepła i spełnienia, bez słów i deklaracji. Krótkie momenty, kiedy poza nimi dwojgiem nie istniał świat. Chwile zapomnienia, których żadne z nich nie ośmieliło się nazwać szczęściem. Nie odważyło się przyznać, nawet przed sobą.

Co ty wiesz, Frodo, pomyślała. Co ty wiesz.

- Wiem, że marnujecie wszystko. - Frodo mówił cicho, nie patrząc na nią. - Wasze pozy wobec światami siebie nawzajem. Wszystko przecież kiedyś się skończyło, wszystko, co było ważne i prawdziwe. Teraz pozostała tylko powinność, tylko obowiązek...

Niziołek wyciągnął zmiętą paczkę.

- Chcesz? - Podsunął ją Stokrotce.

Pokręciła głową.

Frodo wysupłał zgniecionego papierosa. Obracał go w palcach.

- Cholera, zupełnie nie wiem, co jeszcze powiedzieć...

- To najlepiej nic nie mów - przerwała szybko. - Nie twój... Pękła zgnieciona bibułka, posypał się grubo krojony rosyjski tytoń. - Nie twój zasrany interes? - uzupełnił Frodo cicho, jakby z żalem, - Masz rację, nie mój.

Dopiero wtedy, gdy to usłyszała, poczuła się naprawdę paskudnie, I co gorsza nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Dobrej odpowiedzi nie było. Przecież to nie ode mnie zależy, pomyślała. To nie tak, jak uważa Frodo. Ale nie mogła zapomnieć ściągniętej twarzy niziolka, jego wzroku, kiedy spozjrzał jej w twarz. Mylił się. Nie mogło tak być. Jestem pewna.

- Wiesz, myślałem, że też mam szansę. Że w ten sposób... Słowa padały wolno.

- Że mnie ze sobą zabierze. Ciebie i mnie... Może przecież... Popatrzył na nią.

- Ja też już czasem mam dość. Co ja gadam, stale mam dość, nie czasem. Słuchaj, ty musisz... Musisz go przekonać, to się nie powtórzy, nie możesz zmarnować... Nie możecie...

Istotnie, pomyślała. Nikt nie da im drugiej szansy, nie pojawi się znowu oficer szwedzkiego wywiadu z niespodziewaną propozycją. Cóż z tego, kiedy skierowaną nie do niej.

- I co z tego? - powiedziała głośno. - Ja nic nie znaczę... Nawet dla niego, pomyślała.

- Co ci kazał przekazać? - spytała ostro. - No, powiedz... Frodo przez chwilę milczał.

- Nieważne - zaczął wreszcie. - Nieważne, co kazał przekazać. Ważne jest to, co ja ci powiem...

Pokręciła głową, zanim skończył, Frodo nie zwrócił na to uwagi.- Powiedz mu wreszcie to, czego o mało nie powiedziałaś przed chwilą. Powiedz, przestań się wreszcie chować pod tą swoją maską. Przestań udawać. Może wtedy... Chyba wiesz, że on pierwszy.

- Nic z tego nie będzie, Frodo - przerwała. Głos jej się załamał. Nic z tego nie będzie. Smolista ciemność, do świtu daleko. Coś cicho chrobocze w ścianie, pod tynkiem.

Już za późno, by cokolwiek zmieniać. To, co było kiedyś ważne, zostało na wąskiej szosie, w przepelnionym autobusie wlokącym się w kolumnie pojazdów wypełnionych uchodźcami, Wszystko skończyło się, kiedy pilot tomcata nacisnął przycisk na drążku i pociski dwudziesto-milimetrowego działka zaczęły przebijać cienką karoserię.

Odzyskała przytomność na poboczu, wyrzuciło ją, gdy autobus uderzył w drzewo. Wokół słyszała krzyki uwięzionych, płonących żywcem ludzi, tych, którzy nie mieli szczęścia, których ominęły odłamki. Aż krzyk utonął w ryku silników nawracających myśliwców, których piloci najwyraźniej byli pewni, że odrapane pekaesy używane są do przerzutu wojsk.

Ale zanim bliska eksplozja ponownie pozbawiła ją przytomności, pośród krzyku wciąż słyszała ten jeden głos i wiedziała już, że za chwilę zostanie sama. Teraz też jestem sama, pomyślała.

- Nic z tego nie będzie - powtórzyła bezradnie. - Wiem, to bardzo szlachetne z jego strony. Oddać komuś przepustkę do lepszego świata...

Głos jej stwardniał.

- Ale ta przepustka nie jest dla mnie! TO nie mnie Szwedzi chcą stąd zabrać, żebym budowała w Australii ich nową ojczyznę. Ja jestem nikim.

Frodo pokręcił kędzierzawą głową.

- Jakbym go słyszał - powiedział z rezygnacją. - Wiesz, on mówił dokładnie to samo. Tylko o sobie.

Wyjął wreszcie drugiego papierosa, zapalił.

- Przestańcie się wreszcie oszukiwać, udawać... Pomyśl o tym... Kasiu...

- Stokrotko - rzuciła twardo, - Nie ma Kaśki, od dawna...

Nie ma Kaśki, została tam, na szosie, obok spalonego wraku. Obok popiołów, w które zamieniła się jej córka. Jest tylko Stokrotka.

Prostokąt okna przekreślony krzyżem ramy zaczynał jaśnieć. Mrok przechodził w szarość, mogła odróżnić kształty skrzynek zwalonych pod ścianą, przewieszanej przez poręcz kulawego krzesła panterki. Zobaczyć zamglone, pokryte skroploną wilgocią szyby.

Tylko tu i teraz. Tylko tu ma jeszcze cel, dla którego warto żyć. Jedynie tu są te krótkie chwile. Chwile... szczęścia? Bała się nawet tak pomyśleć. Nie potrafiła. Gdzieś głęboko coś tkwiło, jak wyrzut sumienia, jak twarde spojrzenie cieni, które odeszły w niebyt. Już nie masz prawa do szczęścia. Szczęście było kiedyś. Dawno odeszło.

To tylko seks. Tylko chwile zapomnienia. Nieważne i niewiążące. Dla niego również, nie może przecież być inaczej.

Zasnęła nad ranem, tuląc do siebie zwinięty śpiwór. Indianin zaczekał, aż jej oddech się uspokoi, stanie się równy i rytmiczny. Wstał cicho jak kot i przykrył ją kocem. Przez chwilę patrzył, jak gałki oczu poruszają się pod powiekami. Pomyślał przelotnie, co jej się może śnić.

Nigdy by nie zgadł.

Śniła o stepie z wielkim masywem czerwonej skały na horyzoncie.

Niebo na wschodzie szarzało. Nad głową Wagnera przeleciały pierwsze zbudzone ptaki. Czas ruszać.

Nic z tego nie będzie, pomyślał, idąc powoli poboczem drogi. Nie posłucha. Przecież dla niej to tylko chwile zapomnienia. Bez słów i deklaracji.

To, co było ważne, dawno odeszło. Zostało pod gruzami, potrzaskanymi złomami wielkiej płyty. W tej fazie wojny, gdy lotnictwo sprzymierzonych z chirurgiczną precyzją niszczyło cele strategiczne, do których najwyraźniej zaliczał się blok na Ursynowie, Straty uboczne, nieuniknione podczas humanitarnych bombardowań. W końcu inteligentny pocisk ma prawo się pomylić.

Istotna jest tylko terażniejszość, Bez, miejsca na... szczęście? Coś tkwiło głęboko, coś jak wyrzut sumienia. Ty już nie masz prawa do szczęścia, Wagner. Nawet jeśli wydaje, ci się inaczej. Nic dla niej nie znaczysz. To tylko chwile zapomnienia. Przypieszysz kroku.

Poranek wstał szary i mglisty. Nad Bugiem unosiły się opary, mętna, niosąca wypłukane lessy woda lśniła oleistą powierzchnią; której nie marszczyły powiewy wiatru. Tylko za zwalonymi przęsłami mostu w Broku i zardzewiałymi palami prowizorycznej przeprawy tworzyły się wiry, powierzchnię marszczyły kręgi, ślad polowania sandaczy, Uklejki wyskakiwały szerokim wachlarzem, uchodząc przed zębatymi paszczami drapieźników, błyskały żywym srebrem nad powierzchnią.

Z lasu dobiegł daleki, stłumiony odgłos wybuchu, zmniejszyła się populacja srok albo też Fundacji przybędzie do opieki kplejne dziecko bez ręki, może bez oczu. Litewscy osadnicy zaprzęgali kudłate koniki, gotowi ruszać w pole, zadowoleni, że udało im się przeżyć noc. Nieliczni pozostali we wsiach autochtoni chowali obrzynki, sprawiali skłusowane dziki i sarny.

W Ostrowi pod zardzewiałym BTR-em leżał wartownik w długim, obszarpanym szynelu. Krew wsiąkła już w wydeptany trawnik, zakrzepła w czarne plamy. Nieliczni przechodnie mijali go obojętnie, nie miał już broni, butów ani skarpet. Błede jak z wosku stopy uwalane były błotem i świadczyły o tym, że najpierw zabrano mu buty, a dopiero potem poderżnięto gardło. Miał pecha, stanowił trzeci udokumentowany przypadek śmierci na posterunku..

Zwykły poranek. Mgła powoli się unosiła, po amerykańskiej stronie dostrzec można było na horyzoncie słup czarnego, tłustego dymu. Na posterunku przy przeprawie jęknął rozrusznik, okopany bradley strzelił niebieskimi spalinami z rur wydechowych. Jak każdego ranka trzeba podładować akumulatory, które wyczerpało całonocne zasilanie urządzeń noktowizyjnych.

Zanim nadciągnęły ciężkie, granatowe chmury, po niebie przetoczył się grzmot. Ledwie widoczna sylwetka myśliwca przemknęła wysoko wzdłuż rzeki i linii rozgraniczenia. Myśliwiec należał do Rosjan, Amerykanów nie było już stać na takie luksusy jak codzienne rozpoznanie. Predatory przydawały się nad pustynią.

Wreszcie gdy słońce wzniosło się wyżej, nadciągnęły chmury. A koło południa zaczął padać śnieg - ciche, duże płatki, wirujące bezgłośnie w powietrzu i topniejące na ziemi. Zwykła rzecz pod koniec sierpnia.

O wiadomości nie było łatwo. Działały tylko nieliczne stacje telewizyjne, maszty przekaźnikowe i satelity telekomunikacyjne, które miały jeszcze paliwo, by utrzymać się na swoim kawałku orbity geostacjonarnej. Wciąż istniała globalna infostrada, tylko dlatego, iż okazała się najpewniejszym środkiem komunikacji, nawet dla zbiedniałych, szukających

gwałtownie oszczędności armii. Ale satelitów z transponderami telewizyjnymi nikt nie zastępował, brakowało na to środków.

Funkcjonowało radio. Odkurzono stare maszty długo - i średniofalowe. Nikt specjalnie nie protestował, nawet melomani, którzy i tak wszystko ciągnęli z sieci w plikach empetrójek. Wiadomości podawano tylko oficjalne. Owszem, działał wciąż Głos Ameryki, ale to, co stamtąd nadawano, nie różniło się niczym od doniesień z Łodzi, stolicy amerykańskiej strefy.

Jednak nie to stanowiło największy problemem. Dostawy prądu ograniczone zostały do budynków użyteczności publicznej, ratusza, rosyjskich posterunków, koszar oraz knajpy. Także kolejność wyłączeń w razie spadków napięcia podlegała ścisłym, uświęconym tradycją regułom. Ratusz, rosyjskie obiekty wojskowe i knajpa. Trzeba przyznać, że w knajpie wyłączono prąd tylko raz. A i to doprowadziło do rozruchów, zakończonych spalaniem dwóch transporterów.

Specjalny program dla strefy przygranicznej, emitowany z nadajników wybudowanych sporym nakładem środków zaraz po interwencji i ustaleniu strefy wpływów, trafiał więc w dużej mierze w próżnię. Ostatni czynny w Ostrowi telewizor znajdował się w knajpie i był ustawiony na jedną z regionalnych rosyjskich telewizji. A Ruscy już dawno dali sobie spokój z propagandą, retransmitując wyłącznie niemieckie pornosy, przesyłane kablem z Königsberga, To zresztą była najlepsza promocja ludzkiej twarzy reżimu, jeśli można tak powiedzieć.

Amerykański program zyskał początkowo wiernych widzów, ale z czasem zainteresowanie spadło, nawet najwięksi zwolennicy jankeskiej kultury narzekali, że transmisje na żywo z egzekucji są coraz nudniejsze i pozbawione nowych pomysłów, wciąż tylko krzesło, gaz i zastrzyki. Lepsze były już chińskie filmy na kasetach. Nawet teleturnieje stawały się przewidywalne, uciekinierowi nigdy nie dawano równych szans, a chłopięce marsze oznaczały się straszliwymi dłużyznami i nierównym rozłożeniem napięcia.

Filmy o dzielnych komandosach Navy Seal budziły powszechną wesołość, zwłaszcza od czasu, kiedy Kędzior trzymał trzech takich w melinie na łańcuchach. Nawet nikt nie chciał za nich zapłacić, toteż niebawem ich wypuścił, przysięgając wszem wobec, że więcej się w taki głupi interes nie da zrobić. Bo też za oglądanie komandosów nikt nie chciał dać nawet rubla.

Telewizor uruchamiano więc coraz rzadziej, tym bardziej, że mizerne zasilanie można było podłączyć do lodówki.

Źródłem informacji mogłaby być „Gazeta Białostocka”, ale po polsku drukowano w niej tylko tytuł i oficjalne obwieszczenia. Reszta, i owszem, była dwujęzyczna. Rosyjsko-litewska. Mimo to cieszyła się powodzeniem. Była bezpłatna i znakomicie nadawała się między innymi na skręty.

Zresztą głód wieści ze świata nigdy nie był nadmierny. Ludzi interesowało co innego. Kolejne uderzenia atomowe gdzieś na krańcach najwyżej przyspieszały nieuniknione, zwiększając stopień zapylenia atmosfery. Niewielu to obchodziło, niewielu potrafiło to - zrozumieć. Kolejne obcinanie deputatów; nowe wysiedlenia, plotki i pogłoski o rozmieszczeniu posterunków - to było ważne, bo dotyczyło spraw najbliższych, liczyło się w perspektywie nadchodzących dni i tygodni. A reszta, a nadchodząca katastrofa, zagłada znanego świata? Niech taki świat cholera weźmie, byle jeszcze nie dziś i nie jutro. To samo powtarzali sobie coraz mniej liczni autochtoni, osadnicy, żołnierze wojsk misji pokojowej i przemysłowcy.

Dlatego nie włączono telewizora, który połyskiwał w zadymionej knajpie bielmem ślepego ekranu. Wiadomość rozeszła się tylko siecią łączności wojskowej, z klauzulą tajności ograniczającą jej rozpowszechnianie do wyższych szczebli dowództwa. Jedyne starzy żołnierze zorientowali się, że coś się stało. Oni nie musieli mieć dostępu do sieci, by wiedzieć, że coś się szykuje. A jeśli się szykuje, to na pewno nic dobrego. Wieść dotarła też do Froda. Jak zwykle z tajnymi informacjami bywa, zanim wydane rozkazy dotarły do jednostek bojowych, przyczyna całego zamieszania znalazła się w internecie. Krótki, trzydziestosekundowy film.

Dziewczyna zamruczała przez sen, poruszyła się, aż jęknęły sprężyny tapczanu. Frodo miał kaprysy, wprawdzie nawet jesienią i wiosną mógł sypiać jak zając w brudzie, na srebrzystych płachtach termoizolacyjnych, ale w swej norze, szumnie nazywanej kwaterą, potrzebował luksusu. Musiał mieć tapczan, na sprężynach, z pięknym pluszowym obiciem, a nie żadne karimaty czy materace piankowe.

Nawet Wagner oceniał sceptycznie wysiedziany sprzęt, który raczej przypominał plastyczną mapę Himalajów niż przyzwoity mebel, co chwila sugerując nadciągającą inwazję pluskiew, które bez wątpienia muszą zamieszkiwać jego przepastne wnętrza. Twierdził, że u mebli znalezionych na śmietniku to pewne. Ale niziołek ten tapczan kupił uczciwie od litewskiego szabrownika, płacąc nieprawdopodobną wręcz ilością samogonu.

Frodo siedział na typowym, tandetnym biurowym krześle na kółkach. Bose stopy zwisały nad ziemią. Gdyby dziewczyna na tapczanie nie spała, mogłaby raz na zawsze rozwiązać plotki na temat owłosionych pięt.

Plamisty śpiwór zsunął się, odsłaniając obfitą pierś. Frodo zawsze lubił duże kobiety. I nigdy się z nimi nie pokazywał publicznie.

Zastukała głowica dysku. Dźwięk, wzmocniony rezonansem blaszanej obudowy, spowodował, że dziewczyna znów poruszyła się niespokojnie i coś wymamrotała. Niziołek spojrzał niezadowolony. Nie chciał, by ktokolwiek poza nim zobaczył to, co za chwilę miało się pojawić na ekranie. A już na pewno nie pani porucznik z rosyjskiego wywiadu. Uśmiechnął się przelotnie, widząc porzucane na podłodze sorty mundurowe, z olbrzymim stanikiem o przepisowej barwie groszkowej zieleni. Niedawno zastanawiał się, czy służby kwatermistrzowskie potrafiły przewidzieć wszystko i w przepastnych magazynach miewają i takie rozmiary. A może stanik pani porucznik jest specjalnym uniwersalnym wzorem, przewidzianym także jako kamuflaż dla typowej wieży T-90, w wersji z wtopionymi w czołowy pancerz elementami ceramicznymi, z powodu niezwyklej wypukłości zwanej przez zachodnich analityków Doiły Parton. Dysk zachrobotał ponownie i ucichł. Sprężyny tapczanu skrzypnęły, dziewczyna przewróciła się na drugi bok. Po chwili jej oddech uspokoił się, stał się głęboki i regularny, Frodo widział teraz plecy, oświetlone widmową poświatą siedemnastocalowego monitora, odsłonięte aż po biodra, tak że łatwo mógł dostrzec początek apetycznego rowka między dwoma wypukłościami.

Ich znajomość była krótka, lecz intensywna. Zdążył poznać jej całe ciało, a musiał przyznać, że sporo było do poznawania. Poczynając od puciołowatych policzków, typowo rosyjskiego, wręcz podręcznikowego perkatego nosa, aż do...

Właśnie. Frodo, oczekując na załadowanie przekazu, zmarszczył brwi.

...małej blizny na biodrze. Ledwie widocznej, łatwiejszej do odnalezienia dotykiem. Drobną skazę na skórze, akurat w miejscu, które ścisnął dłonią, obejmując wzniesione pośladki.

Miejsce mniej gładkie, mieszczące się pod opuszką palca, wyczuwalne stwardnienie tuż pod skórą, w tkance tłuszczowej, twarda grudka jak świeży ślad po ukąszeniu komara. Szukał długo, odkąd tylko padł na podłogę ogromny stanik, szukał starannie, badając palcami i wargami każdy skrawek jej skóry pachnącej przydziałowym mydłem.

Dzielo wojskowych chirurgów, może nawet nie chirurgów, tylko zwykłego felczera. Ostatecznie to żadna, filozofia naciąć skórę, umieścić pod nią nie większą od ziarnka grochu pastylkę RFID, zrobić jeden, co najwyżej dwa szwy.

Wiedział, że gdzieś ją znajdzie. Dioda zamrugnęła, gdy dziewczyna przekroczyła próg pokoju.

Niby nic, mała pastylka z litowym zasilaniem. Ale dzięki niej ta dziewczyna w niegustownym mundurze, o twarzy zdziwionej laleczki z lnianymi włosami, mogła przejść przez każdą rosyjską bazę wojskową. Otwierały się przed nią wszystkie drzwi, z pancernymi bramami chroniącymi podziemne centra dowodzenia włącznie. Nie musiała okazywać przepustek, kart identyfikacyjnych, dokumentów. Sama była dokumentem potwierdzającym własną tożsamość. Frodo zdawał sobie sprawę, że pastylka to nie wszystko. Reszta wyposażenia identyfikacyjnego, której nie pokazywały nawet tomografy, kryła się w strukturze kostnej i głęboko pod osłoną mięśni. Jeśli, oczywiście, tam się znajdowała. Sprzęt niziołka wykrywał jedynie pastylki RFID.

Dziewczyna nie była zapewne porucznikiem. Nie miała dwudziestu pięciu, góra dwudziestu siedmiu lat, na jakie wyglądała. Nie wszczepia się pastylek smarkatym oficerom wywiadu stacjonującym na tym zadupiu.

Na pewno nie podlegała również majorowi Kirpiczewowi, wiecznie pijanemu dowódcy placówki w Ostrowi. Wręcz odwrotnie.

Strona ładowała się wolno. Ruch w sieci wzrastał, a łączy ostatnio nie przybywało. A tę stronę odwiedzano wyjątkowo często. Frodo wymruczał pod nosem przekleństwo, spoglądając, jak kolejno wyświetlają się reklamowe bannery. Zakrawało to na ironię, ale niezależna, hakerska strona informacyjna utrzymywała się z reklam.

Czekał cierpliwie, aż załaduje się banner reklamujący kolejną książkę bardzo popularnego ostatnio gatunku, podręcznik przetrwania w ekstremalnych warunkach. Następnej reklamy wcześniej nie widział, zachęcała do przystąpienia do PDP, reformowanego kościoła Protobaptystów Dnia Przedostatniego. Zachęcała mało subtelnie, prezentując pięknie animowany atomowy grzybek i wzywając do nawrócenia, zanim nastąpi Dzień Ostatni. Dniem tym zajmowało się coś koło setki konkurencyjnych wyznań.

Wreszcie pojawiło się animowane logo. Frodo po raz kolejny pomyślał, że jest tak wielkie jedynie dlatego, by było więcej czasu na wyświetlenie reklam. Co zresztą zgadzało się z zamysłem właścicieli strony, anonimowej bandy hakerów rozsianych po całym świecie.

Gdy miał nadzieję, że za chwilę pojawi się upragniony przycisk „next”, na środek ekranu wyskoczyło okienko pop-up, z którego szczyrzył zęby Murzyn o twarzy ofiary eboli. Wbrew pozorom nie był to apel o pomoc dla mieszkańców Czarnego Łądu, gnębionych kolejną suszą, epidemią, przewrotem wojskowym lub inną klęską żywiołową, tylko reklama obuwia sportowego.

Frodo zaklął głośniej, usiłując kliknięciem myszy zagnać Murzyna z powrotem w niebyt. Nfice z tego, programista był sprytniejszy, okienko nie dawało się zamknąć, jedynie zwinąć do listwy zadań. Na razie tam zostało.

Z westchnieniem ulgi kliknął „hot news”. Otworzył się media player, przeleciał szybko pasek postępu ładowania. Film nie był długi.

Kamera nimroda pracowała w standardowym trybie śledzenia. Oznaczało to, że film miał o wiele mniej klatek na sekundę, co pozwalało oszczędzać pamięć. Wprawdzie w powszechnym użyciu były dyski terabajtowe, ale RAF, jak każda wojskowa instytucja, oszczędzał na wszystkim. Zwłaszcza gdy nie miało to sensu.

Zamiast więc wymienić w samolotach rozpoznawczych pamięci masowe, co byłoby tanie i proste, rozbudowywano algorytmy kompresji. Z punktu widzenia armii było to korzystne działanie, bo choć dysk kupowało się na wolnym rynku za dwieście dolców i wymieniało w pięć minut, to wojskowym specjalistom od kompresji zagrażało bezrobocie. Ma to swoje dobre strony, pomyślał Frodo.

Cofnął suwak do początku i nacisnął przycisk odtwarzania poklatkowego. Kliknął kilka razy, wciąż widząc szarą płaszczyznę burty, fragment pokładu z uniesionym deflektorem gazów wylotowych. Obraz zmienił się, rozmył, kamera właśnie zmieniała ogniskową. Jeszcze jedna zamazana klatka, obejmująca większy plan, ukazał się cały pokład okrętu i sporo morza dokoła. I kolejna, już ostrzejsza.

Obiektów automatycznie skierował się na błysk dopalaczy startującego horneta, wykonał zbliżenie. Gdy myśliwiec opuścił katapultę, ujęcie powróciło do szerszego planu. Dokładnie w chwili, by uchwycić najważniejsze szczegóły.

Trzy klatki. Pierwsza, z niewyraźną, rozmazaną sylwetką, wyłaniającą się z boku i uciętą w połowie. Druga, ta najlepsza - skrzydlaty kształt, uchwycony ułamek sekundy przed uderzeniem, dokładnie w środku kadru. I trzecia, pęczniejący kłęb ognia, wypełniający cały kadr.

Reszta filmu pokazywała tylko rosnącą chmurę wybuchu.

Frodo przygryzł wargi, wpatrywał się przez chwilę w środkową klatkę. Zważywszy na okoliczności, w jakich została wykonana, i przestarzały sprzęt, zaskakiwała dobrą jakością. Ale jednak niewystarczającą.

Czas naświetlania był zbyt długi, obraz pocisku przesunął się po elemencie CCD, był nienaturalnie wydłużony.

Syknął z dezaprobatą przez zęby. Zapisał klatkę na pliku, myśląc jednocześnie, który z programów do analizy obrazu będzie najlepszy. Podczas zapisywania uaktywniła się ofiara

eboli, która wyskoczyła pośrodku ekranu. Frodo zaklął, usiłując trafić kursorem w ikonkę zamykania.- Cholerne Murzynisko - mruknął.

Udało się. Murzyn posłusznie powrócił na listwę. Algorytm wyszukiwania krawędzi działał długo, nawet na tak szybkim procesorze. Jednocześnie podnosił rozdzielczość, generując pseudolinie wstawiane pomiędzy istniejące, ekstrapolując punkty z otoczenia. Nawet na ograniczonym obszarze maski trwało to kilkadziesiąt sekund.

Niziołek zmarszczył brwi, śmiesznie przygryzł dolną wargę. W przyćmionym świetle sączącym się z monitora jego twarz w niczym nie przypominała oblicza tytana intelektu.

Nadal niewiele. Obraz był rozciągnięty i zniekształcał sylwetkę pocisku. Brakowało punktów odniesienia. Niegdyś, w dawnych czasach, zdjęcie do analizy przychodziło wraz z kompletem informacji, jak ogniskowa kamery, pułap lotu, nawet wilgotność powietrza i współczynnik refrakcji. Teraz zdany był tylko na własną intuicję, i doświadczenie.. Wydał wargi, wypuścił powietrze z odgłosem przypominającym pierdnięcie. Dużo mi teraz da doświadczenie, pomyślał ze złością. Jak można pracować w takich warunkach, na takich danych.

Najbardziej złościło go to, że już wiedział. Od samego początku, gdy skrzydlata rakietka uchwycona w kadrze stanowiła jeszcze rozmazany kleks. Ale coś z dawnych czasów, z utrwalonych nawyków, nakazywało mu wykonać pracę do końca. Żeby nie tylko analityk, ale nawet najgłupszy trep z dowództwa potrafił rozpoznać, co przedstawia zdjęcie, a przynajmniej w żaden sposób nie mógł kwestionować przedstawionego materiału.

Znów jęknęły sprężyny, zaszeleścił śpiwór. Zamyślony nie zwrócił na to uwagi.

Zmienił proporcje obrazu, biorąc poprawkę na zniekształcenie, ot tak, na oko. Normalnie dysponowałby czasem naświetlania, który dopasowałby do prędkości różnego typu pocisków. Komputer wygenerowałby trójwymiarowe modele, obracając je pod różnymi kątami i porównując z katalogiem. Frodo miał świadomość, że po prostu oszukuje.

Wprowadził jedną liczbę, Siatkowy model zamigotał, obrócił się. W pustym do tej pory polu pojawił się tekst, Typ skrzydlatej rakietki.

Niziołek miał ochotę wymówić tę nazwę półgłosem, znał ją, jeszcze zanim wyświetliła się na ekranie, Wciągnął powietrze...

- Granit - usłyszał za plecami.

O mało nie spadł z krzesła. Odwrócił się. Jego wzrok spoczął na puciołowatej twarzy.

Jej dłoń opadła uspokajająco na ramię Froda, ciężkie piersi zakołysały się, odrywając na chwilę myśli od skrzydlatych rakiet przeciwokrętowych.

Nawet nie owinęła się szpiworem, przemknęła mu myśl, stłumiona momentalnie, gdy tylko do nozdrzy dotarły jej feromony, przemieszane z zapachem przydziałowego mydła. Spuścił wzrok, czując, jak złość ustępuje błogości. Popatrzył na ciemny trójkąt regulaminowo przystrzyżonych włosów. Armia dbała o higienę.

Pogładziła go po twarzy.

- Nie złość się - szepnęła.

Po polsku, zupełnie bez akcentu, który jeszcze kilka godzin temu wyraźnie pobrzmiwał w jej głosie. Nawet podczas orgazmu krzyczała po rosyjsku.

Pochyliła się, pełną piersią muskając jego ramię. Kierowany nagłym impulsem pogładził nagie biodro. Dziewczynę przeszedł dreszcz.

- Nie przeszkadzaj... - szepnęła, - aż odsunął się zmrożony. Spozstrzegła to.

- Przez chwilę... Przepraszam... Spoglądała w ekran, mrużąc oczy. Po chwili dopowiedział resztę:

- Granit Antiej...

Kompleks zwalczania lotniskowców. Okręty podwodne z wyrzutniami rakiet samosterujących, przeznaczone do niszczenia grup lotniskowców, narzędzia projekcji potęgi Wujy Sama w dowolnym punkcie globu. Te pociski mógł odpalić tylko okręt, były zbyt ciężkie dla samolotów, cięższe od jachontów. Lotniskowiec znalazł się zbyt blisko jednego z bliźniaków nieszczęsnego „Kurska”.

Przytrzymała rękę, która znów spoczęła na jej biodrze. Pogładziła nadgarstek.

- Zaczekaj, jeszcze chwilę...

W dzieciennym odruchu chciał cofnąć dłoń, ale nie pozwoliła, Uśmiechnęła się, rzucając mu szybkie spojrzenie.

Ponownie błysnęły dopalacze horneta, w chmurach pary myśliwiec wystrzelił z katapulty. Frodo machinalnie pomyślał, że to jeden ze starych nimitzów, jedyny, który został jeszcze na tym akwenie. Dwa pozostałe to CV-77, wyposażone w elektromagnetyczne katapulty.

Skrzywił się. Wciąż kombinuję jak analityk, i to nawet trzymając rękę na dupie pięknej dziewczyny. Potrafię zidentyfikować cel ataku za ledwie po fragmencie burty i pokładu. Pomarańczowa kula, która wypełniała cały kadr, stawała się coraz mniej wyraźna. Amortyzatory kamery nie mogły poradzić sobie z chybotaniem podrzucanego w powietrzu nemroda.

Angole musieli się ppsrać w gacie, pomyślał. Byli za nisko. Prawdziwy pech, przelatywać nad okrętem w momencie ataku raketowego. Ciekawe, czy dolecieli...

Film o niczym nie świadczył. Był transmitowany w czasie rzeczywistym, łączem satelitarnym, skąd podpieprzyli go hakerzy monitorujący stale nawet najlepiej zabezpieczone kanały łączności. Być może nimrod spoczywa wraz z załogą na dnie Morza Północnego.

Niziołek zmarszczył brwi, tknięty nagłą myślą. Dłoń, gładząca gładkie biodro, znieruchomiła.

- Cofnij - mruknął. Posłusznie wykonała polecenie.

- Teraz puść. Klatka po klatce. Nie, nie tak, trochę szybciej... Obraz drga, rozmywa się, gdy automat sterujący ogniskową nie nadąża. Teraz...

- Zatrzymaj!

Wielkie głowice pozwalają zobaczyć falę uderzeniową, Biały krąg sprężonego powietrza, rozchodzący się, zanim jeszcze błysk oślepi wszystkie elementy światłoczułe.

Obraz na następnej klatce był już ciemny, ale na poprzedniej...

- Dalej.

Posłusznie kliknęła w przycisk odtwarzania. Znów chwila stabilizacji, rośnie chmura, zajmuje już prawie cały kadr. Kilka podobnych klatek z wycinkiem powierzchni morza zabierającym coraz mniej miejsca. Wszystko się rozmywa.

Nie musiał mówić, by zatrzymała. Zdjął rękę z jej biodra, nawet nie usłyszał cichego westchnienia. Przysunął twarz do ekranu. Nawet bez wyostrzenia na powierzchni morza dostrzegł rząd ledwie widocznych białych kropek. Coś, co dla mniej wprawnego oka byłoby tylko skazą obrazu, nieistotnym szczegółem.

Odsunął się od blatu.

Sześć tysięcy ludzi, sześćdziesiąt samolotów. To nie był dobry dzień dla Wuja Sama. Spoglądając na zgrabne poślądki pochylonej nad ekranem pani porucznik, pomyślał, że żaden okręt nie wytrzyma trzech trafień. Co najmniej trzech. Grzebał w pamięci, usiłując sobie przypomnieć charakterystykę pocisków Granit. Nie mógł sobie dokładnie przypomnieć, widok rozpraszał go, ale i tak wychodziło, że trzy trafienia wystarczą.

Odwróciła się, spojrzała na niego spod opadających, nieco przydługich włosów.

- Przyłapali ich ze spuszczoneymi gaciami - mruknął. - Poszli już na dno, bez dwóch zdań.

Wyprostowała się.

- Trzy trafienia na filmie - powiedziała. - Zarejestrowane. Chwyć blat podjechał bliżej.

- I wystarczy...

- Była pełna salwa. Osiem. Po jednym na eskortę, zwykle fregata klasy Perry i niszczyciel, nie wiem jaki. Raczej stary Kidd albo Spruance, wszystkie Arleigh Burke są w Zatoce...

Spojrzał na nią z ukosa. Wiedział, że ma rację.

- Na eskortę wystarczyło po jednym. A pozostałe sześć poszło na główny cel...

Sięgnęła po ołówek, stuknęła gumką w ekran.

- Widzisz? - spytała, wskazując ledwie widoczne kropki.

Była dobra. Kim ty jesteś, pomyślał. Bo na pewno nie naiwną dziewczyną z dziecinną buzią i wielkimi cyckami.

- Idzie następna - zaczął. - Te kropki...

- to phalanx - dokończyła, uśmiechając się.

Naprawdę była dobra, musiał przyznać, Niewielu analityków by to dostrzegło, poza nim samym, jak pomyślał bez przesadnej skromności. Fontanny wody wyrzucane przez pociski z uranowymi rdzeniami, Rakieta musiała być już blisko, przy takim kącie podniesienia. Ujemnym, rozbryzgi są nie dalej niż jakieś sto pięćdziesiąt, maksimum dwieście metrów od okrętu, Ale to już nic nie dało, była za blisko, nawet podziurawiona musiała dolecieć, przedwczesna detonacja niewiele by pomogła. Zresztą nowoczesne głowice tak łatwo nie eksplodowały od trafień.- Broń ostatniej szansy - powiedział powoli.
- Niewiele tym razem pomogła...

Uśmiechnął się szerzej, maskując przyływ czujności. Czuł, jak sztuczny jest ten uśmiech, po prostu rozciągnięcie zdrętwiałych warg.

- Niezła jesteś...

Błysnęła zębami. Wyciągnęła rękę, mierzwiąc mu żartobliwie czuprynę.

- Nie zauważyłeś? - spytała. - Całkiem niedawno?

Nie odpowiedział żartem. Spochmurniała zaraz, potrafiła wyciągać wnioski. Wiedziała, że zacznie pytać. Pozornie nie zwrócił na to uwagi.

- Jakim cudem? - Pokręcił głową. - Jakim cudem dali się tak... Cholera, przecież te niszczyciele, wiem, to nie system AEGIS, ale zawsze... Dobre radary, rakiety Standard. Te phalanxy w końcu... A tu masz, dup, i zostaje smark i ślina...

- Właściwości stealth - odparła. - Wiesz, zawsze mieli nas za idiotów. Głupie Iwany, powtarzali, potrafia najwyżej skopiować... A i tak wszystko spieprzą. Gówna prawda, właśnie zaczynają się o tym przekonywać.

- Was? - spytał, patrząc na nią uważnie, - A ja myślałem.

- Nie rób ze mnie idiotki - parsknęła, - Jasne, zaraz powiesz, że to norweski okręt, Kupili je od nas, by chronić pola naftowe, Tak twierdzi CNN...

Potrząsnęła głową, włosy rozsypały się na policzkach. Nie dostrzegł w jej oczach gniewu, raczej urazę, I coś na kształt smutku.

- Nie jestem idiotką - powtórzyła cicho, - Nie oceniaj mnie tylko według tego, że się dobrze pierdolę...

Wzdrygnęła się.- Chodź - powiedział, - Zimno tu...

Przesuwał opuszki palców po gładkiej skórze pleców, paciorkach kręgow. Patrzył w zakratowane okno, jaśniejszą plamę w mroku, przebijanym pobłyskiwaniem diod UPS-ów i wygaszonych monitorów.

Nic nie mówili i choć leżeli obok siebie, przytuleni, wyrosła między nimi niewidzialna bariera, Rozdzielała ich, mimo iż czuli wzajemnie ciepło własnej skóry, a w ciszy wypełnionej ledwie słyszalnym szumem zasilacza słyszeli swe oddechy i bicie serc.

Bank spółdzielczy w Broku dbał niegdyś o bezpieczeństwo. Kraty, solidne stalowe drzwi. Znakomite miejsce, tym bardziej że budynek był przyzwoicie okablowany, Frodo nie miał wielkich wymagań, wystarczyło mu pomieszczenie z tapczanem, jednym fotelem na trzech nogach podpartym ceglami oraz masą sprzętu. Resztę domu zajmował Wagner.

Kim ty jesteś, myślał niziołek, nawijając na palec kosmyk jasnych włosów. Wiedział już, że nie była kolejną łatwą zdobyczą. Od czasu do czasu rosyjska placówka uaktywniała się, zwłaszcza gdy zbliżał się czas pisania sprawozdań o działalności, podejrzanych elementów. Było to o tyle pozbawione sensu, że szef placówki wywiadu w Ostrowi, Kirpiczew, i tak miał gównno do powiedzenia. Rejonem trząsał generał-major Rościśławski, z którym zarówno Frodo, jak i Wagner mieli znakomite stosunki. Dla obopólnych korzyści.

Ale Kirpiczew jak każdy przyzwoity szpion miał napady aktywności. Próbował aranżować niby to przypadkowe spotkania i popijawy, co kończyło się śmiesznie, ponieważ jak na Rosjanina miał wyjątkowo słabą głowę. Co prawda trzeba przyznać, że zdawał sobie sprawę z własnych niedostatków i starał się pilnym ćwiczeniem dojść do doskonałości, co zostawiało mu coraz mniej czasu na czynności służbowe.

Ponieważ wiedzę czerpał głównie z filmów o Jamesie Bondzie, wymyślał coraz to nowe zajęcia dla kolejnych sekretarek, szyfrantek, a nawet przeszkolonych funkcjonariuszek wywiadu, Napuszczał na niziołka rozłożyste blondyny z wielkim biustem. Miały potem co relacjonować, jednak nie z dziedzin, na których Kirpiczewowi zależało najbardziej. W innych wypadkach też nie odnosił sukcesów, Wagner sumiennie przeleciał wszystkie małe okularnice, które podsuwał mu nieszczęsny szpion, Ale zawsze były to

naiwne dziewczątka, które zafascynowane karierą Maty Hari, po prostu wykonywały rozkazy idioty. Ta jest inna...

Frodo nie wiedział, czy to tylko kwestia identyfikatora wszczepionego pod skórą na biodrze. Zadrzała, gdy delikatnie dotknął wargami jej karku.

Pastyłka RFID. Ta myśl go dręczyła, nawet gdy gładził nagie ramię, gdy przesuwiał wargi wzdłuż kręgosłupa.

W sieci znalazł sporo ściśle tajnych materiałów na ten temat. Na wszelki wypadek zamontował odpowiedni detektor, śmiejąc się sam z siebie. Nigdy nie przypuszczał, że zetknie się z kimś, kto ma taki identyfikator. Nie na tym zadupiu. Paranoja, pomyślał wtedy. Czujnik jednak uruchomił, pamiętając, że przeciwieństwem paranoi jest błędne, niczym nieuzasadnione przeświadczenie, że nikt nas nie prześladowuje.

Tuż przed twarzą miał teraz duże, kształtne piersi. Wtulając się w nie, czuł delikatny zapach potu. Sutek sam wsunął się między wargi, nabrzmiwał pod językiem. Dziewczyna jęknęła, prężąc ciało.

Pastyłka RFID. Małe szklane gówno. Mocniej zacisnął zęby, jęk stał się teraz głośniejszy. Poczul, jak dziewczyna odsuwa jego głowę i mruczy coś po rosyjsku. Cofnął się bez protestu. Pastyłka i ten akcent... A raczej brak akcentu.

No powiedz, kochanie, stawiasz Kirpiczewa na bacność? Pani major? A może pułkownik? Co tu robisz, w tym przez wszystkich zapomnianym zakątku, który dawno przestał być linią frontu. Był udzielnym księstwem Rościsławskiego, zawodowego oficera od trzech pokoleń i od tyłuż złodzieja pozbawionego skrupułów, który zaczął swoją karierę, sprzedając mudzahedinom kałachy za hasz, robił interesy ze wszystkimi, z którymi się dało, Amerykanów nie wyłączając. Opiekuna przemytników, handlarzy prochów i dywersantów.- Co się stało? - spytała, wplatając dłoń w kędzierzawe włosy.

- Nic - skłamał.

Zaschło mu w ustach, niemniej miał nadzieję, że zabrzmiało przekonująco. Potrząsnęła głową. Jej twarz jaśniała w mroku.

Nie wierzysz, pomyślał. I słusznie, Powiedz lepiej, skąd się tu wzięłaś, I po co. Przecież nie po to, żeby przespać się z podstarzałym kurduplem o wyglądzie hobbista.

Poczul skurcz w piersi.

Dureń. Myślisz, że jej się spodobałeś, że przyszła tutaj z powodu-twojego osobistego uroku? Myślisz, że...

Pogładziła go po twarzy. Palce miała chłodne i suche.

- Nie pytaj. - szepnęła.

Wyciągnął dłoń i pogładził ją po policzku. Po palcu coś spłynęło. Łza.

- Przepraszam...

Odsunęła się. Odwróciła głowę, jasna plama twarzy zniknęła.

- Posłuchaj... - zaczął po chwili. - Nieważne, kim jesteś, nie chcę wiedzieć. Masz swoje tajemnice. Ja też. Spotkaliśmy się i wkrótce rozstaniemy. Tak to już jest na tym świecie...

- Popieprzonym świecie - szepnęła. Prychnął, mógł to być śmiech.

- Owszem. Innego już nie ma, został tylko ten. Posłuchaj, dziękuję ci za wszystko... Nawet...

Zamilkł. Spojrzała na niego. Przynajmniej tak mu się wydawało, W ciemności nie był pewien.

- Nawet co? - spytała wreszcie.

Przełknął ślinę...

- Nawet jeśli... - To, co chciał powiedzieć, nie było łatwe. Ale musiał. - Nawet jeśli zrobiłaś to, bo... Bo tak wynikało z warunków zadania... Dziękuję...

Gwałtownie usiadła, sprężyny zaprotestowały z jękiem. Przez chwilę wydawało się, że go uderzy. Czekał na to z masochistyczną przyjemnością. A co, myślisz, że nie wiem, tłukła się po głowie paskudna myśl. Nie wiem, że zrobiłaś to dla dobra służby...

Nie uderzyła, Jej ramiona, odcinające się na tle jaśniejszego, zakratowanego okna bezradnie opadły.

- Aleś ty bydlę, Paweł...

- A coś ty myślała! - wybuchnął, - Myślisz, że jestem głupi? Marzyłaś, by przespać się ze mną? Jestem bydlę, bo co? Ale nie jestem...

Urwał nagle. Jednak jestem głupi, pomyślał. A w każdym razie mało spostrzegawczy.

- Jak powiedziałaś? - mruknął. Nie odpowiedziała.

Paweł. Imię, o którym dawno zdążył zapomnieć, Zostawił je po tamtej stronie, w innym życiu.

Major oglądał dokumenty, jakby brzydził się ich dotknąć. Kartki grubego skoroszytu odwracał za pomocą gumki na końcu ogryzionego ołówka. Dwóch cywilnych urzędników wbitych w wyświecone garnitury, o wyglądzie świeżo wyszorowanych wieprzków, wpatrywało się wyblakłymi oczyma w siedzącego na zydłu bez oparcia więźnia.

Zwykła kartonowa teczka spoczywała na środku pokrytego zakurzonym suknem stołu. Jeden z konwojentów pociągał wściekle nosem.

Więzień pomyślał, że jego zjełczały mózg znalazł wreszcie ujście i właśnie skapuje na podłogę. Ciekawe, co stanie się, kiedy wypłynie do końca. Czy konwojent zwali się jak golem na podłogę, a może wręcz przeciwnie, dopiero wtedy zmieni się w idealnego żandarma.

Beznamiętnie rejestrował otoczenie. Pokryty suknem stół. Szlagońskie, płowe wąsy pana majora. Bezmyślne gęby cywilów, tak zwanego czynnika samorządowego. Orła w koronie z krzyżykiem i ryngrafem na piersi. Urzędowy krucyfiks na ścianie, zgodny ze wzorem obowiązującym w gabinetach tej rangi. Nie za duży i nie za mały, w wielkości krucyfiksów obowiązywała ścisła hierarchia. I nieodzowny portret, zajmujący najwięcej miejsca.

Portrety przeszły ewolucję. Papież Wszech Czasów nie uśmiechał się już dobrotliwie, nie był siwym, miłym staruszkim. Teraz jego świdrujący wzrok przeszywał wszystkich. Brakowało tylko wyciągniętego palca i napisu: „Czy i ty już się nawróciłeś?”. Więzień mimo woli się uśmiechnął.

Major upuścił ołówek, walnął pięścią w stół.

- I czego się, kurwa, cieszysz? - ryknął.

- Żydzie pierdolony! - dodał jeden z cywilów. Wbrew wyglądowi potrafił posługiwać się mową.

- A co, widać? - chciał zapytać więzień. Nie spytał jednak, ledwie widoczny uśmiech zniknął z twarzy. Major sapnął z zadowoleniem, konwojent pociągnął nosem.

Oficer wrócił do kartkowania skoroszytu, z szelestem przewracając strony. Nagle uniósł głowę znad papierów, mierząc aresztanta przekrwionym wzrokiem.- Paweł... Leśniewski... - wycedził powoli, - Ciekawe, skąd takie ładne nazwisko, i od kiedy.

- Od... - Właściciel ładnego nazwiska chciał powiedzieć, że od zawsze.

Nie zdążył. Oberwał kolbą beryla. Gdy niezdarnie począł zbierać się z podłogi, smark zwisający z nosa pomagającego mu żandarma dyndał niczym jo-jo.

- Pytał cię kto? - szczechnął drugi konwojent, stojący przy drzwiach, bawiąc się swoim PM-84, - Pytał cię?

Major z aprobatą kiwał głową. Cywile rechotali, przywodząc na myśl nieudany rezultat eksperymentu z klonowaniem międzygatunkowym. Nerka pulsowała tęnym bólem. Przed oczyma wirowały czerwone płatki.

- No co, pytał? - powoził pytanie żołnierz. - Skurwysynie jeden!

- Nie przesadzajcie, kapralu - życzliwie skarcił go jeden z cywilów. - Powściągnijcie słuszne oburzenie, nie wyrażajcie się...

- Tajest! - w szczeknięciu konwojenta można było wyraźnie usłyszeć poczucie krzywdy i zawodu.

- Wyzywać nie wolno - ciągnął cywil. - Praworzładnie, kurwa, trzeba...

Poczerwieniał jeszcze bardziej.

- A ty, kurwa, zamknij pysk, albo tak ci wpierdolimy, że... Pytał cię kto?

Więzień potrząsnął głową, tylko na tyle było go stać. Major uśmiechnął się szeroko. Mimo iż upozowany na przedwojennego oficera, w długich butach, bluzie z wysoką stójką, stanowił jedynie marną imitację.

- Ot, uchował się, tyle czasu... - Z zatroskaniem pokiwał głową. - I to gdzie, w samym Sztabie Generalnym...

Jasne, uchował się. Czerwone płatki rzedyły, więzień mógł już myśleć. Tylko ten tępy ból...

Uchował się. Myśli rozbiegały się, zbierane z trudem, Samiście trzymali, skąd mieliście brać analityków, Uczestnictwo w pielgrzymkach i kartka od proboszcza jeszcze nie wystarczą, trzeba coś umieć. A to u was wielka rzadkość.- Szkodził pewnie - drugi z cywilów postanowił wyrazić swoją opinię. Widać jakąś sobie wyrobił.- Tego niestety śledztwo nie wykazało. - Major z namysłem kiwał głową. - A szkoda. Ale cóż, takie czasy. Trzeba szeregi oczyszczać, humanitarnie znaczy. I nikt, kurwa, nie będzie nam zarzucał, tej, no.

- Ksenofobii - podsunął cywil. Zapewne uważnie słuchał codziennych, obowiązkowych pogadanek Ojca Prezesa telewizji publicznej.

- Właśnie. - Żyły na skroniach majora nabiegły krwią. - Nikt nie będzie nam imponował...

Chyba imputował, pomyślał skulony na taborecie więzień.

Major sapał, roztaczając woń przetrawionego alkoholu. Konwojent smarkał, jego kolega szczekał bezpiecznikiem peemu. Metaliczny trzask rozbrzmiewał w denerwująco równych odstępach. Zabezpieczony, Odbezpieczony, Zabezpieczony, Odbezpieczony...

- Wstać!.

Poderwał się, w ostatniej chwili. Pchnięcie lufy, precyzyjnie skierowane w nerkę, trafiło w pośladek.

- Kurwa. - siorbnął z żalem żandarm.

- W imieniu Najświętszej Rzeczypospolitej...

Konwojenci wyprężyli się na baczność. Chrystus na krucyfiksie zdawał się spoglądać porozumiewawczo, jakby chciał powiedzieć - widzisz, zawsze mamy przechlapane.

- ...wojskowe kolegium orzekające w składzie... na mocy dekretu Prezydenta NRP z dnia...

Trzask bezpiecznika punktował poszczególne słowa.- ...o szczególnych regulacjach prawnych dotyczących elementów obcych etnicznie i szkodliwych...

Trzask. Siorbnięcie nosem, bulgotliwe i treściwe.

- ...postanawia, co następuje.

Przestał słuchać. Spoglądał w twarze cywilów i majora, Ciekawe, myślał, im się to naprawdę podoba. Nigdy im się nie znudzi.

- ...podpisy... przewodniczący składu, z ramienia parafii...

Za zakurzonym oknem wirują płatki śniegu, Śnieg o tej porze, przecież to wrzesień.

Major teatralnym gestem z hukiem zamknął czarną księgę. Cywil z lewej zgarniał papiery do teczki. Rzucił ją niedbale na sukno. Na wierzchu nagryzmołono wyblakłym tuszem imię i nazwisko. Paweł Leśniewski, Numer akt, łamane przez... Sine pieczęcie. Więc stoję, więc stoję, więc stoję, A przed nimi leży w teczce życie moje. Nie czytają, nie pytają, milczą, siedzą, kaszle ktoś...

Bez sensu. Już nie ma o co pytać, I nikt nie kaszle, tylko ciągnie nosem, żeby gównu zwane mózgiem nie wypłynęło mu spomiędzy uszu.

Major zatarł ręce. No, tośmy załatwili.

- No co, Zydku, spierdalasz do Łukaszenki...

Cywil pociągnął majora za rękaw. Ten zmarszczył brwi.- A, prawda... - mruknął niechętnie. Łypnął spod oka. - Wstać! - warknął.

Bez sensu. Więzień, od paru chwil bezpaństwowiec, i tak stał.

- Na mocy i tak dalej, zarządza się konfiskatę majątku na pokrycie kosztów przewodu i wyżywienia... Siadać!

Popatrzył na boki.

- Wystarczy! - powiedział. - I tak wiedzą, o co chodzi, Zydy pazerne...

Cywile zarechotali. Więzień też się uśmiechnął. Wiedzą, wiedzą, pomyślał. Gównu zostało do skonfiskowania, to nie Noc Kryształowa... Nie pokryjecie nawet kosztów areztanckiego żarcia, nie mówiąc już o bilecie pierwszej klasy w ciężarówce do Brześcia. Widząc jego uśmiech, major zsiniał.

- Postępowanie zakończone! - ryknął, - Wyprowadzić! I dawać, kurwa, następnego, obiad zaraz, a tu, kurwa, tyle roboty!

Frodo poczuł drzenie wplecionych w jego dłoń palców. Odetchnął głęboko.

- Po co ci to wszystko opowiadam. Ścisnęła mocniej.- Ech, było, minęło... W końcu nikt mnie tam nawet palcem nie dotknął...

Zaśmiał się skrzekliwie, zaschło mu w gardle.

- No, może parę razy kolbą... Ale jechałem ciężarówką, w której wydech nie był do środka.

Teraz on mimo woli zacisnął pięść.

Czego się, kurwa, spodziewałeś, myślał, podskakując na niewygodnej, twardej ławce stara. Całe życie o tym wiedziałeś. Nie musiałeś czekać, wystarczyło przyjść pod stadion, popatrzeć na mury pobazgrane sprayem. Hej Żydzi, Żydzi, was cała Polska się wstydzi.

Albo ten gówniarz w autobusie, pod stadionem Legii, miał z piętnaście lat, ogolony łeb. Wykrzykiwał znany refren na przemian z gromkim Sieg Meil Pasażerowie życzliwie się uśmiechali. Dzieci muszą się wyszumieć...

Star podskakiwał na wybojach. Przejścia graniczne z Białorusią zamknięto już dawno, nikt tędy nie jeździł, poza transportami deportowanych. Uśmiechnął się. Miał komfortowe warunki, prócz niego jechały tylko dwie osoby, starszy mężczyzna i młoda dziewczyna. Nie odzywali się, spoglądali martwym wzrokiem przed siebie. Pod zawiniętą z tyłu plandeką, na ławce na samym końcu skrzyni, siedziało dwóch żołnierzy eskorty.

Podróż trwała długo. Całą długą, zimną noc.

Warkot silnika zmienił się, gdy ciężarówka wjechała w ulicę pogranicznego miasteczka. Zazgrzytała skrzynia biegów, auto zakołysało się na wybojach. Wreszcie się zatrzymali, blaszanym pudłem wstrząsnął lekki dreszcz podczas pracy diesla na jałowym biegu.

Błysk latarki, snop światła prześlizguje się po skulonych postaciach, mrużących bezradnie oczy, Z połyskującego strugami deszczu mroku pada ostatni dowcip.- Aufmachen! Przystanek końcowy... Auschwitz! Juden raus!

Mało oryginalne. Ale zawahał się przez chwilę, sparaliżowany nagłą niemocą, a przecież wiedział, że to wszystko nieprawda. Że to ten debil jaja sobie robi.

Noc i strugi deszczu, W mokrej ciemności majaczy aramidowy hełm. Lśnią wilgocią nitki torów, które giną w bruku, słyhać okrzyki i wrzaski, Skąd ja to znam? Przeżyłem, w poprzednim życiu? Może mamy to już w genach, pamięć pokoleń.

Zebrał wszystkie siły, pochylony ruszył w stronę opuszczonej klapy, zapominając o mizernym węzélku, W połowie skrzyni stara poślizgnął się, opadł na kolana, czując, że nie zdoła się podnieść. Wstawaj, to wszystko nieprawda.

To tylko deportacja. Nie jesteś pierwszy i pewnie nie ostatni. Chociaż... Niewielu już zostało, ostatnio biorą się nawet do heretyków. Kiedy Żydów zbraknie, dobry i heretyk, potem pewnie będą komuchy. Bo pedałów się nie deportuje, ich się leczy, powściągliwością i pracą. Ciekawe, co zrobią, kiedy zostaną już sami... Podzielią się może i jedna połowa wywiezie drugą?

Szarpięcie za ramię. Żołnierz pofatygował się osobiście na skrzynię, spieszy im się. Chcą skończyć robotę i do koszar, paciorki i spać.

Przygotował się na popychanie. Nie przewidział kopniaka, fachowego, bez złości, ot, po prostu ułatwiającego rozładunek. Spadając na mokry, czerwony od odbłasku światła pozycyjnych bruk, zdążył wyciągnąć ręce i zamortyzować upadek.

Gdy się podnosił, powrócił strach. Podświadomy i irracjonalny, który jest udziałem każdego, kogo wywożą ciężarówką w noc, komu każą wysiadać. Rozejrzył się, czując, jak uginają się pod nim nogi.

Rzedniejący deszcz w smugach reflektorów. Bruk, lśniące wilgocią, wyslizgane szyny. To jakaś pierdolona rampa, pomyślał.

Trzask drzwi szoferki, cicha rozmowa, nie sposób wychwycić słów. Ten, co pomagał w rozładunku, zeskoczył ze skrzyni, przytrzymując zwisającego na pasie beryla. Znów zaświecił latarką po twarzach stojących.

- Już niedługo... - mruknął pocieszająco. Coś ludzkiego zabrzmiało w jego głosie. Ot, zasrana robota, kończyć trzeba...

Ktoś szedł od strony szoferki. Paweł zmusił się, żeby się nie odwracać. Nie chciał okazać lęku. Spojrzył na dziewczynę obok, wpatrującą się pustym spojrzeniem w noc, Światła pozycyjne odbijały się w mokrym bruku i w jej ciemnych oczach.

Wciągnął głęboko powietrze, zimny, wilgotny zapach jesiennej nocy. Deszcz przestawał padać, delikatna mgielka tworzyła świecące aureole wokół nielicznych palących się latarni. Noc i mgła.

- Poświećcie no!

Światło latarki pada na twarz ukrytą pod hełmem, Dowódca mruży oczy, macha ręką.

- Odpieliście, szeregowy? Gdzie, kurwa, świecicie?

Twarz podoficera chowa się w mroku. Bieleją papiery, sztywne kartoniki, prześwieczone promieniem latarki.

- Za chwilę dostaniecie dokumenty. Są chuja warte, tak samo jak i wy... Pokażecie kacpom po drugiej stronie, to może was wpuszczą, A może i nie...

Zgodny rechot podoficera i podwładnych.

- Dość! - uciął po chwili. - Pośmialiście się i starczy. Weź tę latarkę!

Światło gaśnie, podoficer jest już tylko ciemną sylwetką majaczącą w mroku.

- Te papiery uprawniają do jednego, do opuszczenia granic Najświętszej Rzeczypospolitej. Do niczego więcej, i, po prawdzie, więcej wam się nie należy. Jeśli spróbujecie wrócić, będziemy strzelać. A jeśli nie dogadacie się z komuchami...

Chwila ciszy. Nerwowy, śmieszek, któryś z żołnierzy wyskoczył przed szereg, za wcześniej zaczął. Słuchał tej przemowy już wiele razy, wiedział, kiedy będzie zabawnie.

- ...radzę od razu do rzeki. Każdy Żyd, co ze wschodu lezie, to szpieg... Woda zimna, krócej potrwa...

Sztywne kartoniki wirują w powietrzu, spadają na ziemię.

- No, zbierać paszporty i wypierdalać! Raus!

Kim ja jestem, żeby pełzać tu na czworakach, szukać pierdolonego „paszportu”? Dlaczego nie wstanę i nie odejdę? Dlaczego nie usiądę, niech mnie wyrzucą siłą?

Popatrzył w górę, gdzie pod okapem hełmu domyślał się wpatrzonych w siebie, zimnych oczu. Trzask bezpiecznika. Właśnie dlatego. Tańczące cienie na mokrym asfalcie, wydłużone, niepodobne już do ludzkich. Wolne kroki, każdy okupiony wysiłkiem, by się nie obejrzeć, Tam nie zostało już nic poza światłem reflektorów, spoza którego dobiega śmiech i urągliwe pokrzykiwanie.

Tyle razy tu byli, tylu dowieźli do granicznego mostu. A jeszcze im się nie znudziło. Jeszcze się śmieją i celują im w plecy.

Wreszcie zrozumiał. Oni naprawdę nienawidzą, Czekają, by ktoś odwrócił się, pobiegł z powrotem. Żeby można było nacisnąć spust. Cienie coraz dłuższe. Wreszcie reflektory gasną, - No co jest, ruchy, ruchyl - dobiega z tyłu wrzask stłumiony już odległością, - Chcecie tu, kurwa, całą noc stać?!

Głośniejszy warkot diesla, światła zawracającej ciężarówki, wydobywają z ciemności niewyraźne kształty zabudowań na drugim brzegu. Już można wyprostować przygarbione plecy, W ostatniej chwili, gdy snop reflektora przesuwają się po balustradzie, umysł rejestruje świeże ślady od pocisków, wygięte, poszarpane stalowe płaskowniki.

Warkot cichnie, oddala się. Nikt się nie odwraca, nie widzi znikających w ciemności, mętnie świecących światel pozycyjnych.

Kołysząca się na drucie goła, słaba żarówka, w chybotliwym blasku fragment białoczerwonego szlabanu. Ciemne sylwetki w długich pelerynach... To już teraz?

Mokry asfalt. Ostatni skrawek kraju, gdzie się urodziłeś, wypluł cię teraz jak odpadek z kartonową metką, na której napisano - „uprawnia do przekroczenia granicy NRP. Nawet nie dodano, że w jedną stronę.

Jeszcze parę kroków. Naga żarówka oświetla błyszczący od wilgoci hełm, pociemniałą pelerynę. Ze skrzypieniem unosi się szlaban, Paweł odwraca się powoli. Wokół ciemność, nieliczne, pełgające światełka na tamtym brzegu zaczynają drgać, rozmywać się.

Przecież nie płaczę. Nie mam, kurwa, po czym...

Białoruski pogranicznik cofa się w mrok. Lśni mokrą czernią oksyda kałacha. Czeka. Wie, że to długo nie potrwa, Zawsze się odwracają, patrzą w ciemność. Krótko. Ostatni krok. Już jest za szlabanem. Pogranicznik wyjmując mu z ręki pognieciony, mokry od potu i deszczu kartonowy świstek, Nawet nie czyta wydrukowanych na nim liter. Może nie umie czytać łacinką.

- Paweł Leśniewski, urodzony... obywatelstwo - brak, miejsce stałego pobytu - brak...

- Zachodicie, pan. - w głosie żołnierza słychać obojętność. Zdążył się przyzwyczaić. Mignęła dioda UPS-a, Zastukała głowica dysku, zamigały światełka kablowego modemu, Frodo patrzył w zakratowany prostokąt okna.

- Po co ci to opowiadam, - mruknął wreszcie. - Co ciebie to obchodzi...

Położyła mu dłoń na ustach. Chłodne, miękkie opuszki palców. Milczała.

- Mądra jesteś Mariszka... Dobrze pamiętam? Zdążyłaś chyba się przedstawić?

.Roześmiał się, sam zastanawiając się, skąd w nim tyle gorzkości i taniej złośliwości.

- Przepraszam. Naturalnie pamiętam i - jak mówiłem wcześniej - dziękuję za wszystko. Nawet jeśli jesteś tu służbowo. Znasz moje imię, Przeglądałaś akta? Te z Mińska? A może późniejsze, z Litwy?

Usiadł, aż jęknęły sprężyny. - To i Kirpiczew je zna... Popatrz, skurwysyn nic nie wygadał. Teraz ona wstała. Ściągnęła spiwór, otuliła się, jakby nagle zaczęła się wstydzić. Jakby coś nagle odepchnęło ich od siebie.

Stała przed stołem zapchanym sprzętem, oparła się o blat.

- Tu nie chodzi o ciebie, Paweł. Możesz mi wierzyć albo nie...

Delikatny ślad śpiewnego akcentu, Frodo zeszywniał, Udaje teraz, czy udawała przedtem? Odwróciła się.

- Dobrze, jak chcesz. Tu nie chodzi o ciebie, tylko o Wagnera. Ty nie interesujesz... nas...

Podeszła bliżej, wciąż otulona spiworem, Przyklękła obok tapczanu.

- Nie interesujesz nas - powtórzyła ze spuszczoną głową, - To ja... Ja sama...

Siedział sztywno, wciąż nie wierzył, Chociaż bardzo chciał.

Bank spółdzielczy w Broku zbudowano solidnie. Klocek w gierkowskim stylu, na wysokiej podmurówce. Idealne miejsce dla kogoś takiego jak Frodo. Grube kraty w oknach, ciężkie stalowe dtewi. Rabowanie prowincjonalnych banków stało się przed wojną niemalże sportem narodowym. Nawet w tej niewielkiej ekspozycje zrobiono więc wszystko, żeby się zabezpieczyć.

Frodo mógł spać spokojnie. Jego cenny sprzęt był bezpieczny, drobne złodziejzki i szabrownicy nie mieli szans się do niego dostać. Zresztą nie tylko on tu mieszkał. To była siedziba wiedźmina, wiedźmińskie siedlisko, jak mawiali bardziej odcytani. Strzeżone przez elektroniczne czujniki wspomagane przez wrednego psa.

Do czasu.

Ciałem wrednego psa wstrząsnął ostatni dreszcz. Mała strzałka tkwiąca w karku zachybotła i znieruchomiała. Tetratoksyna nie zostawia wiele czasu na ostatnie drgawki. W otwartych psich oczach, na martwej siatkówce odbił się obraz przygiętych sylwetek w ciemnoszarych, zlewających się z mrokiem kombinezonach.

Na bezgłówny znak sylwetki odskoczyły od drzwi, przylgnęły do muru.

Huk był dziwnie stłumiony, gdy kierunkowe ładunki przecinały zawiasy. Pancerne drzwi lekko drgnęły, lecz nie wypadły ze stalowej futryny, nadal przytrzymywane ryglami. Dopiero cios ciężkim młotem wysadził je z posad, odchyliły się powoli, by ciężko runąć do wnętrza, wznosząc chmurę kurzu. Budynek zadygotał.

Frodo nie zdążył nawet pomyśleć. Wiedziony instynktem zwinął się, gotów zsunąć za tapczan, który prócz sprężyn, trawy morskiej i prawdopodobnych pluskw krył solidną stalową płytę. Za tapczanem czekała śrutówka Wingmaster, tak na wszelki wypadek.

Nagle znieruchomiał, śmiesznie zgięty, wpatrując się w lufę własnego wingmastera.

Opuścił ręce, powoli i ostrożnie. Nie widział dłoni dziewczyny, ale był pewien, że trzyma palec na spuście.

Kiedy zdążyła, pomyślał tylko. Był tak zaskoczony, że nawet nie dodał słowa „dziwka”. Zamiast tego kołatała mu się inna myśl, o pierdolonych ruskich czujnikach, które nie działają, kiedy trzeba. Refleksja bardzo poniewczasie. Mieli jeszcze chwilę dla siebie. Zanim ludzie w plamistych, szarych połówkach Specnazu wpadli do pomieszczenia, zdążyła powiedzieć dwa słowa:

- Wybacz, Paweł.

Komandosi chwycili niziołka, rzucili na ścianę. Trzymali go rozkrzyżowanego, tak że nie dotykał nogami podłogi. Dwaj stanęli przy drzwiach, omiatając pomieszczenie lufami peemów. Gogle noktowizyjne nadawały im wygląd monstrualnych owadów. Jeden dotknął pokrętła regulacyjnego. W pokoju zaczynało szarzeć, zbliżał się świt.

Dziewczyna opuściła śrutówkę, bezsensownym ruchem poprawiła zsuwający się śpiwór. Ze swej niewygodnej pozycji Frodo zobaczył jej twarz, wyraz zaskoczenia, gdy do pokoju wszedł następny mężczyzna.

Major Kirpiczew nie nosił gogli.

Nawet nie zwrócił uwagi na dziewczynę. Rozglądał się trochę niepewnie, usiłując przeniknąć wzrokiem ciemne kąty. Miał zaufanie do swoich ludzi, ale wciąż był spięty.

Na krótki znale ręką komandosi zdjęli gogle. Kirpiczew trzasnął wyłącznikiem lampy, Wykręcił reflektor tak, by oświetlał rozkrzyżowaną na ścianie postać.

Mariszka nadal trzymała wingmastera, wstydliwie zbierając pod szyją fałdy śpiwora.- Odłóż to, głupia cipo - rzucił jeden z komandosów. Frodo mimo rozpaczliwego położenia zastrzygł uszami.

Napastnik mówił po polsku. Z akcentem, ale po polsku, Co jest, kurwa, grane, zastanawiał się, czując, że pozostało mu już niewiele czasu na rozmyślanie.

Rozciągnięta klatka piersiowa nie pozwalała na zaczerpnięcie oddechu, pokój jakby pomroczniał.

Co tu robi ten zapij aczony figurant Kirpiczew? Wagner rozerwie mu dupę do kołnierzyka, kiedy się tylko dowie, a Rościsławski dołoży swoje. W pokoju zrobiło się jeszcze mroczniej. Może Wagner się nie dowie.

- Bros wintowku, bliadskaja doczka! - huknął Kirpiczew. Komandos zbliżył się do Mariszki, cofnęła się, usiłując jednocześnie utrzymać śpiwór i śrutówkę. Udało się tylko ze śrutówką. Wszyscy zgodnie zarechotali. Prócz niziołka, jego już byle co nie śmieszyło. Komandos podrzucił lufę peemu.

Hecklerkoch, dotarło do Froda. To taki Specnaz, jak ze mnie... Nie dokończył myśli. Pierścieniowa osłona muszki MP-5 rozcięła skórę na policzku Mariszki, Dziewczyna zwinęła się, osłaniając głowę ramionami. Wingmaster z traskiem uderzył o podłogę.

Lekkie skinienie głowy Kirpiczewa. Kompozytowa kolba zatoczyła łuk, Mariszka osunęła się bezwładnie. Komandos odrzucił pistolet na plecy, schylił się i chwycił ją za włosy. Uniósł głowę dziewczyny, odsłaniając gardło. Spod półprzymkniętych powiek błysnęły białka.

- Stój! - Wzniesiona do ciosu ręka znieruchomiła. Kirpiczew popatrzył na dziewczynę.- Jeszcze nie - przeszedł na polski. - Na razie związać sukę, przyda się. On wygląda na takiego, któremu można wpierdolić, a nic nie powie. No to zobaczy, jak będziemy ją sprawiać. Co, panie kurdupet?

Kurdupel popatrzył spokojnie, w każdym razie miał taką nadzieję.

- Pieprz się, dupku - wychrypiał na wdechu.- Co, powiesz pewnie, że cię nic nie obchodzi? Ano, zobaczymy, zobaczymy. Ale najpierw spróbujemy tradycyjnie.Znienacka, bez zamachu wpakował pięść w żołądek niziołka. Nogi Froda zadrgały, piętami wybijając krótki werbel na ścianie.Gdy już mógł widzieć i czuć cokolwiek, siedział przyklejony taśmą samoprzylepną do krzeselka na kółkach, Usta miał pełne krwi, ale z powodu knebla nie mógł splunąć, Kirpiczew widać naoglądał się amerykańskich filmów.

Wstawał świt, Mariszka leżała na podłodze skrępowana w nadgarstkach i kostkach jednorazowymi kajdankami z nylonowej taśmy. Komandos jej nie żałował, stopy i dłonie dziewczyny już posiniały.Kirpiczew przysiadł na tapczanie, potarł kółko zapalniczki, Zaciągnął się, wydmuchując dym w twarz niziołka. Palił camele, a jakże.Milczał przez chwilę, Dwóch fałszywych specnazpwców zajęło miejsce po jego bokach, dwaj pozostali zniknęli, Frodo nie mógł odwrócić głowy, mógł tylko próbować spojrzeć w bok, robiąc przy tym straszliwego zeza.

- Naszli? - rzucił Kirpiczew w bok, nie spuszczać wzroku z twarzy Froda.Gdzieś z tyłu dobiegło potwierdzające mruknięcie. Głośny trzask, Kirpiczew uśmiechnął się jak hiena.- Ano właśnie... Pogawarim...

Frodo przeklinał własną zapobiegliwość, kable były wystarczająco długie, bez problemu sięgały od przetwornicy i akumulatorów awaryjnego zasilania!

Kirpiczew bawił się krokodylowym zaciskiem, Sprężyna była mocna, zębki zostawiały na ołowianych elektrodach wyraźne ślady, Nacisnął jeszcze raz i puścił, zębate szczęki zwarły się z trzaskiem.

Rosyjski oficer podniósł drugi kabel, Z zetkniętych ze sobą krokodylków posypał się snop niebieskich iskier. Cisnął kable na podłogę, rad z efektu.

- Mam propozycję - zaczął powoli, z uwagą wpatrując się w niedopałek. - Prostą i jasną, która pewnie ci się spodoba. Odpowiesz na wszystkie pytania, te dotyczące kodów dostępu do tego twojego złomu także. Potem cię zastrzelę, osobiście. Jeśli nie...

Pochylił się, patrząc z małpią ciekawością w twarz skrępowanego więźnia, zduślił niedopałek na jego kolanie. Noga zadrgała, naprężyły się mięśnie, ale taśma trzymała mocno.- Chcesz coś powiedzieć? - zainteresował się major.Frodo gwałtownie pokiwał

głową. Po policzkach spływały mu łzy, Major jednym szarpnięciem zdarł taśmę zaklejającą usta. Frodo przez chwilę głęboko oddychał. Z warg spłynęła strużka krwi. - No? - zachęcił Kirpiczew, - Co chcesz mi powiedzieć?

Czuł niedosyt, Czyżby tak łatwo, tak od razu? Bez prądu? Szkoda. Frodo splunął krwią.

- Ty chuju pierdolony! - charknął wreszcie.

Natychmiast zamilkł, gdy głowa odskoczyła mu do tyłu, Kirpiczew rozcierał obolałe kostki.

- Rozczarowujesz mnie - mruknął po chwili. - Myślisz, że się zdenerwuję i od razu cię zastrzelę. Nie licz na to. Podniósł z ziemi przewód.

- Najpierw zabierzemy się do ciebie. Nie powiesz, to do niej. Później znów do ciebie...

Z zetkniętych krokodylków znów strzeliła iskra. - Mamy czas.

Kurwa mać, myślał Frodo rozpaczliwie, wystarczy, że mi to przypnie. Jak ściśnie, to wszystko wyśpiewam.

Tapczan zaskrzypiał. Coś, co w umyśle niziołka zostało jeszcze po tej stronie, niepochlōnięte przez falę adrenaliny, spostrzegło, że Mariszka porusza się, jakby odzyskiwała przytomność.

Szczęknięcia słyshał bliżej. Starał się nie patrzeć w dół, czując, jak jądra wpełzają mu do środka, a coś, co jeszcze przed godziną miało godne podziwu rozmiary, staje się małym robaczkiem, żalną glistą.

Napastnicy nie byli fachowcami. Najprawdopodobniej to zaufani Kirpiczewa, sztabowcy z za biurka, którzy już dawno zapomnieli nawet przeszkolenie rekruckie. Czekać na widowisko, tłoczyli się za swoim dowódcą, przepychali się, by lepiej widzieć.

Szczęknięcia. Oczekiwanie gorsze od spodziewanego bólu. Frodo otworzył przymknięte oczy. Spojrzał za plecy Kirpiczewa, na dziewczynę, jakby chcąc zapamiętać widok jej dziecinnej twarzy, pięknych piersi... Leżała na boku, zdołała się widać unieść, w daremnej nadziei...

Na co? Frodo nie wiedział. Skrępowane ręce uniosła do twarzy, zasłaniając usta.

Trzask krokodylka. Ciało kurczy się, jak dalece pozwala ciasno oplatająca je taśma. Trzask.

.jeszcze nie.

Ostatnie spojrzenie, zanim świat zatoni w bólu, a płuca pękają od krzyku. Ich oczy się spotkały. Frodo miał wrażenie, że zwariował, że zanim jeszcze jego biednego fiuta schwyciły zęby krokodylka, zaczyna mieć omamy.

Taśma kajdanek powoli opadała; nylonowa taśma zbrojona kewlarem, jak przypadkiem wiedział, Została przegryziona. W chwili krótszej niż mrugnięcie zrozumiał niemy rozkaz Mariszki, Rozpaczliwym wysiłkiem rzucił się wraz z krzeselkiem w tył, Stracił przez to bardzo interesujący początek. Zanim jeszcze głowa Froda z głuchym trzaskiem zetknęła się z podłogą, Kirpiczew rzucił się płasko do przodu. Jakies zwierzęce przecucie kazało mu zrobić unik, bez bezsensownego oglądania się w poszukiwaniu niebezpieczeństwa.

Bojówkarze Kirpiczewa nie mieli tyle szczęścia. Niewątpliwie nie byli komandosami, zwykle bandziory. Dwaj nie zdążyli nawet nacisnąć spustów, mimo iż żyli jeszcze przez dłuższy czas. Przerwany rdzeń kręgowy to uniemożliwia, trzeci zaczął się obracać, odsłaniając w ten sposób szyję. Chłaśnięcie paznokci przecięło tętnicę, ścięgna i mięśnie. Seria HK poszła nieszkodliwie w sufit, pryskając odłamkami betonu, płatami tynku, Pomieszczenie zasnuła chmura kurzu.

.Leżąc na boku, z twarzą przy podłodze, Frodo otworzył oczy. Z tej niewygodnej pozycji widział tylko wycinek ściany, o którą uderzył z hukiem ostatni komandos, osunął się po niej powoli, by w końcu lec na podłodze. W ślad za nim po tynku spływał jego mózg. Frodo najwyższym wysiłkiem uniósł głowę. W polu widzenia pojawił się Kirpiczew, a w każdym razie jego ręka, trzymająca pistolet.

Uważaj! - chciał krzyknąć Frodo, nie mógł, taśma zaklejała usta. Usłyszał tylko dźwięk, przypominający szurnięcie drucianej szczotki po desce. Pistolety PSM, etatowe wyposażenie rosyjskiego wywiadu, miały integralne tłumiki.

Drugi odgłos, zlewający się niemal z tym pierwszym, obrzydliwy, mlaszczący, gdy pocisk trafił w cel, Głuche stęknięcie, jęk. Frodo zacisnął powieki.

Nerwowy rechot Kirpiczewa. Westchnienie. I cisza, Koniec, tłukło się w głowie niziołka. Koniec. I wtedy nagle świat eksplodował. Frodo poczuł w ustach smak krwi, coś ciężkiego uderzyło go w głowę.

Jaskrawy rozbłysk i ciemność. Ktoś rozcinał taśmę, niezbyt delikatnie odrywając od skóry poszczególne pasma, Frodo poczuł na wargach dotyk plastiku, Zakrztusił się palącym płynem.

Wagner pomógł mu usiąść, wcisnął w rękę płaską manierkę, Widząc, że Frodo nie może jej utrzymać w zdrętwiałych dłoniach, przytrzymał mu palce.- Dzięki - mruknął Frodo po chwili. Uniósł z trudem manierkę, plastik zastukał o zęby. Nagle sprężył się, próbując wstać. Rozglądał się błędnie.- Mariszka - jęknął, czując kłujący ból żeber.

Kirpiczew miał ciężką łapę.- Siedz. - Wagner położył mu dłoń na ramieniu, - Nie trzeba. - Ja muszę... - wyjął Frodo bezradnie. - Ja... Wagner pokręcił głową.

- Nic jej nie jest - mruknął cicho. - To maszyna... Frodo spojrzał nieprzytomnie. - Co ty pier... - zaczął - Wagner, on ją.

- Nic jej nie jest... - powtórzył Wagner. Odłożył broń i pomógł niziolkowi wstać. - Zobacz...

Mariszka siedziała na tapczanie. Nie zadała sobie nawet trudu, by okryć się śpiworem, wstyd gdzieś się ulotnił. Przyciskała do ciała tuż pod mostkiem osobisty opatrunek przesiąknięty krwią.

Frodo rozejrzał się po pokoju.

Dwóch na podłodze, głowy odrzucone pod nienaturalnymi kątami, pociemniałe twarze, świadczące, że nie od razu umarli, usiłując łykać powietrze jak wyrzucone na brzeg ryby. Jeden z rozciętą szyją, ukazującą tchawicę i białe ścięgna. I coś na kształt sterty szmat pod ścianą z krwawymi zaciekami. Wreszcie bezgłowy trup na podłodze.

- Pięciu... - oszołomiony Frodo kręcił głową. - Pięciu...

- Czterech - skorygował Wagner, przysiadając na stole obok siedemnastocalowego monitora. Pozostałe miejsca były zajęte bądź zakrwawione. - Ten tutaj to mój. A przy okazji, znałem go?

- Co, nie wiesz? - zdziwił się Frodo, masując sobie kark. To wszystko zaczynało go przerastać. Nie mógł się już dziwić, nie mógł analizować, nadmiar bodźców zakorkował umysł.

Wagner zaprzeczył ruchem głowy, bez ironii. Zdawał sobie sprawę, w jakim stanie jest niziołek.- Trudno poznać... - powiedział, - A przez termowizor...

Frodo spojrzał trochę przytomniej. Zaczynało do niego docierać. Popatrzył na dziurę w murze, rozrzucone odłamki cegieł i pustaków. Przeszrzelony monitor, jak zauważył ze złością, ten lepszy, Została jedynie podstawka. Brak głowy Kirpiczewa, a raczej jej nadmiar, we wszystkich możliwych miejscach, na ścianach, na suficie. I otwór wylotowy w drugiej ścianie. Dostrzegł broń, którą Wagner pieczołowicie odstawił w kącie.

- No, no... - Pokiwał głową, krzywiąc się z powodu nagłego bólu, jaki ten ruch spowodował. - Przez ścianę... A ja myślałem, że tylko na filmach.

- To źle myślałeś. - Wagner się zaśmiał. Obracał w dłoni potężny jlabój, jak do działka lotniczego, W rzeczy samej taką amunicję stosowano do chorwackiego karabinu przeciwprzędowego.

- To co - dodał wiedźmin. - Nie będziesz już narzekał, jak ci każe nosić termowizor? Masz szczęście, że go zabrałem, bez niego bym nie zdążył.- A musiałeś walić przez monitor? - skrzywił się Frodo. - I to najlepszy?

Wagner nie polemizował. Wiedział, że odreagowuje stres. Będzie teraz pieprzył trzy po trzy, a potem zgaśnie jak zdmuchnięta świeczka.

- Jeden wali przez ściany... A druga...

Niziołek rozcierał przeguby. Większość włosów z przedramion pozostała na taśmie.

- Przez ściany, niech mnie szlag... Co jest?

Spojrzał na Wagnera, który delikatnie poklepał go po łopatce. Za mało delikatnie, sądząc po skurczu, który przebiegł po twarzy Froda.- Ubierz się - mruknął wiedźmin. - A potem... Wskazał wymownie na pozbawione głowy zwłoki.

- Ubierz się... No tak. - powtórzył Frodo. - Pewnie, że się ubiorę, już zaraz. A ten, to Kirpiczew...

Wagner nie zdziwił się.- Ubierz się, ubierz się. - mamrotał Frodo, - A ty - Jego rozbiegany wzrok spoczął na Mariszce.

- Wstydu nie masz?! - wrzasnęła i aż się skrzywiła, tak łupnęło mu w skroniach.

Mimo to chwycił zakrwawiony, popruty serią z HK śpiwór i narzucił na ramiona dziewczyny. Odsunęła się.- Jestem maszyną - szepnęła, spoglądając na Wagnera, - Nie mam wstydu.

- Jesteś. - powiedział wolno Frodo, patrząc jej prosto w oczy. - Jesteś...

Padł na kolana.

- Kim ty, kurwa, jesteś? - spytał powoli, - Strzyga? Dlaczego.

- Dlaczego żyję? - Poderwała się. - Słyszałeś, jestem maszyną... Wydawało mu się, że w jej głosie brzmi gorycz. Wolno pokręcił głową.

- Nie - szepnęła po chwili, tak by tylko ona to usłyszała. - Nie, Powiedz, dlaczego ze mną...

W jej oczach błysnęły łzy.

- Ruskie załatwiają wszystko po swojemu, - Wagner w zamyśleniu potarł twarz.,..

Siedzieli przed domem, słońce różowiło już niebo na wschodzie. Frodo, otulony kocem, obejmował kolana, patrząc na martwego psa i poruszane porannym wiatrem sosenki.

- Brak wszczepów neuronowych, brak elektroniki, no, poza podstawową, identyfikatorami - kontynuował Wagner. - Reszta to klasyczna chemia i biologia. Dozowniki, zmutowana siatkówka oczu, by widziały w ciemności. Ściągien to ona sobie

nie naderwie, wszystko wzmacniane keylarem. Zwykle ludzkie mięśnie wystarczą, jak siknąć adrenaliną, stymulować chemicznie. Paznokcie cholera wie z czego, ale ostre i niełamliwe. A reszta to tresura, elektrostymulacja i farmakologia. Stary, on ją trafił w żołądek, Każdy z nas byłby już nieprzytomny. A ona. Gdybym go nie zastrzelił, to wyrwałaby mu łeb razem z płucami. Dostała tyle stymulacji, że kiedy jutro pójdzie do felczera, który wyjmie pocisk, będzie jak nowa. No, może za parę dni. Chyba wiesz, że po trafieniu w serce...

- Przegryzła kajdanki... - przerwał Frodo, bezmyślnie patrząc przed siebie.- Co?

- Kajdanki. Nylon zbrojony keylarem, Nożem ledwo idzie, kiedyś próbowałem.

Wagner pokiwał głową.- Zęby z karborundu albo z czegoś podobnego... Też byś przegryzł, gdybyś takie miał, mięśnie szczęk.

Niziołek przytaknął, Tak, nacisk iluś tam kilogramów na centymetr kwadratowy.- Skąd to wszystko wiesz? - zapytał.

- Od Rościszławskiego - odparł Wagner. - Wczoraj mi powiedział, że kogoś takiego możemy się spodziewać. Ale nie stanowi dla nas niebezpieczeństwa... W ogóle był tajemniczy... Ty nie słuchasz.

- Frodo ocknął się. - Co z tym sercem? - spytał po chwili, bez większego zainteresowania.

- Z sercem? - zastanowił się Wagner, - A, z sercem... Specjalny składnik krwi zastępuje hemoglobinę. Po trafieniu serce funkcjonuje jeszcze przez kilkadziesiąt minut... Jak śmigłowiec żelastomerową głowicą wirnika, do bazy doleci, zanim się zatrze...

Frodo poderwał głowę.

- Funkcjonują, mówisz? Jak śmigłowiec? Potem do remontu albo na złom?

Wagner pokiwał głową. Twarz Froda się ściągnęła.- Ja się z nią kochałem... - powiedział wolno. - Ja... Odwrócił głowę. Jak to jest, pieprzyć się z cyborgiem.

- Ja... Ja ją...

- Frodo...

Niziołek odtrącił wyciągniętą rękę.

- Pierdol się, Wagner, ze swoimi dobrymi radami.

Wstał i wszedł do domu, przekraczając wywalone, leżące w korytarzu drzwi. Nic z tego nie będzie, pomyślał Wagner ze złością. Nic a nic.Sam nie wiedząc, co go tak wkurza, kopnął z całej siły walający się po podwórku kawałek cegły. Pierdolony świat, syknął z bólu.Leżała na tapczanie, tak jak ją zostawili. Była przytomna, do rany pod mostkiem wciąż przyciskała poczerniały już od zakrzepłej krwi opatrunek.

Gdy ujął ją za rękę, drgnęła.- Mariszka - szepnął, - Mariszka...

Pokręciła wolno głową. Chyba chciała coś powiedzieć, Frodo delikatnie położył jej palce na ustach.- Mariszka, już niedługo - rzekł cicho, - Zaraz zabiorą cię do szpitala, już zawiadomiliśmy. Wyleczą, a potem...

- Nie będzie żadnego potem...

Pogładził chłodny policzek. Hipotermia, pomyślał, zwolnienie funkcji organizmu. Logiczne.

- Będzie - powiedział, - Zobaczysz. Jeszcze się spotkamy, co ja mówię... Zostaniemy ze sobą, Jest, kurwa, inny świat, poza tym tutaj... Będziemy razem, już zawsze...

Przymknęła oczy, Poczul skurcz serca, nagły lęk, że to już... Dotknął tętnicy na szyi, nie wyczuł pulsu. Zacisnął powieki, objął bezradnie głowę.

- Nie, Paweł - usłyszał. -,To na nic... Nie znajdziesz tętna. Jestem maszyną, pamiętaj. Siwowłosy miał rację. To Wagner, prawda?

Ulga spłynęła ciepłą falą.

- Jestem maszyną - powtórzyła.

Ułożył się przy niej, niezgrabnie, posyкуюc z bólu przy gwałtowniejszych ruchach. Podłożył ramię pod jej głowę, ciesząc się dotykiem jasnych włosów.

Nie widział Wagnera, który cicho stanął w drzwiach i patrzył ze ściągniętą, ponurą twarzą. Nie słyszał budzących się ptaków i poszczekiwania wiejskich psów.

Leżał, wsłuchując się w powolny oddech. Aż wreszcie, po nieskończonym czasie, z łoskotem łopat osiadł na zrujnowanej szosie wielki Mi-24.

Frodo drgnął, gdy Wagner stuknął go w ramię, Łomotanie wirnika ucichło, stłumione przez las, Mi-24 leciał nisko, niemal przeczesując podwoziem korony sosen, zniknął zaraz po starcie.- Hej, mały... - W głosie Wagnera nie było zniecierpliwienia. I to właśnie wkurzyło niziołka, który wciąż spoglądał w kierunku, z którego dochodziło ledwie już słyszalne echo silników.

- Ach, odpieprz się ode mnie - wybuchnął, nawet się nie odwracając, tylko wciąż patrząc na korony kołysanych lekkim wiatrem sosen. Już nic nie było słychać, śmigłowiec odleciał za daleko. Wagner odwrócił się i odszedł bez słowa.

Frodo spoglądał na sosny. Obraz ciemnozielonych gałęzi rozmazywał się, drgał, Wagner zatrzymał się, słysząc pociągnięcie nosem. Nie wiedział, czy wrócić, czy raczej udać, że nic nie słyszy, W końcu nie zrobił nic.

Stał na skraju drogi z opuszczoną głową i patrzył na kępki zieleni rozsadzające szczeliny, na łodygi płożące się na płytach chodnika. Jeszcze parę lat, pomyślał, jeszcze trochę ziemi naniesionej wiatrem i beton zniknie pod pieniającym się zielskiem.

Ostatnie spojrzenie spoza migoczącej odblaskami porysowanej szybki. Ostatni uśmiech, ledwie dostrzegalne skrzywienie poblądłych warg. Frodo wciąż widział ten uśmiech, zanim przesłoniła go chmura wzniesionego pyłu, gdy pilot pociągnął dźwignię zmiany skoku, gdy drgnął kadłub i wydłużyły się amortyzatory podwozia...

Podwozia...

- Wagner! - Frodo obrócił się gwałtownie, nie zwracając sobie głowy ocieraniem łez ściekających po policzkach.

Wagner stuknął szpadlem w chodnikowe płytki, gdy Frodo podskoczył do niego i chwycił za ramiona.

- Wagner... - sapnął. - Zauważyłeś?

Roześmiał się, widząc zdumienie w oczach Wagnera. Kontrast pomiędzy policzkami, na których łyzy wyżłobiły jaśniejsze bruzdy, a tym śmiechem był tak duży, że Wagner zaniemówił.

Odbiło mu, pomyślał, zupełnie mu odbiło. Trzeba coś zrobić.

- Frodo. - spróbował możliwie najspokojniej, - Chodź, musisz...

- Zamknij siei - przerwał niecierpliwie niziołek, - Zauważyłeś? Ech, ty. Pokręcił głową, widząc na twarzy Wagnera zaskoczenie. Przysiadł na krawężniku.- Podwozie - powiedział po chwili, - Stałe podwozie.Wagner wciąż milczał, stukając szpadlem. Frodo wolno podniósł głowę.

To znów dawny Frodo, spostrzegł Wagner, Twardy, cyniczny kurdupel. Z nieprawdopodobnym wyczuciem szczegółów i talentem do łączenia ich w logiczną całość.- I czego tak stoisz? - spytał złośliwie cyniczny kurdupel, - I na cholere ci ten szpadel?

Pociągnął nosem, otarł niezaschnięte jeszcze łyzy, rozmazując smugi na pokrytej kurzem twarzy.- Stałe podwozie. To birkut, ostatnia modyfikacja Mi-24, nie żaden zasrany combat SAR z czasów Afganistanu...

Ciemne grudki osypały się z sierści. Jeszcze kilka łopat, a zniknie widoczne jeszcze kosmate ucho.

- Coś się dzieje, Wagner - sapnął Frodo, nabierając kolejnej porcji ziemi, Skrzywił się, gdy poczuł ból naciągniętych mięśni.

- Daj spokój... - Wagner opierał się na swoim szpadlu, jak szanujący się budowlaniec.
- Nie spiesz się tak, wypalę i zasypię...

Zaciągnął się. Frodo pokręcił głową, cisnął następną porcję ziemi w głąb płytkiego dołka. Ucha już prawie nie było widać.

Zwłoki Kirpiczewa i fałszywych komandosów mieli zabrać Rosjanie. Milkliwy porucznik, który przyleciał helikopterem, burknął coś o śledztwie, ale Wagner i tak nie uwierzył.

Podejrzewał, że śledztwo ograniczy się do rozstrzelania całego personelu ostrowskiej rezydentury wywiadu, bez wnikania, kto zamieszany był w incydent.

Kędzior miał rację. Ktoś chciał zmienić ustalony układ, zamierzał dorwać się do zysków.

Wagner odrzucił niedopałek, wyciągnął wbity w ziemię szpadel. Będzie jeszcze czas się nad tym zastanowić, Na razie trzeba zrobić swoje, Po resztę ścierwa przyjadą Rosjanie. Ale psa trzeba pochować samemu.- Nie słuchasz mnie... - Frodo z pasją cisnął kolejną garść ziemi do dołu, Otarł spocone czoło, rozmazując jeszcze bardziej brud.- Coś się dzieje... To nie przypadek, to nie chodzi o nas albo interesy Kędziora. O to, która mafia lepsza, czeczeńska czy moskiewska. Powiedz coś, kurde...

Wagner z rozmachem wbił szpadel w ziemię, Płytki grób został już zasypany. Wystarczy udeptać i ogródek będzie jak nowy. Uśmiechnął się mimo woli, Płataninę chwastów trudno było nazwać ogródkiem.

- I czego się cieszysz jak głupi? - cisnął niziołek. - Taki jesteś mądry, a wierzysz we wszystko, co ci powiedzą? Kto? Niech zgadnę. Rościsławski?

Spoglądał kąpiąco na Wagnera, który nagle spowaźniał.

- Trafiłem? - spytał z ironią. - W dziesiątkę, od pierwszego razu?

- Jęknął rozrusznik, generał Rościsławski zasalutował starannie do wyjściowej czapki, zwanej naleśnikiem. UAZ ruszył z impetem, wyrzucając spod kół grudki błota, Po chwili zniknął za zakrętem leśnej drogi..Wagner popatrzył za nim, wykonał spóźniony, nieokreślony gest, mgliście przypominający salut. Czego jak czego, ale odwagi generałowi nie brakowało.

Rościsławski jeździł sam, bez kierowcy. I to nie tylko wtedy, gdy spotykał się nieoficjalnie z podejrzanymi. Zawsze sam prowadził swojego UAZ-a z wymalowanym na drzwiach emblematem dywizji gwardyjskiej jeszcze z czasów Afganistanu. I zawsze wkładał wyjściowy mundur, długi płaszcz z błyszczącymi guzikami, dźwięczące ordery i

czapkę o denku imponującej wielkości, która przywodziła na myśl lądowisko dla lekkiego śmigłowca.

Andriej Grigoriewicz Rościsławski, zastanawiał się Wagner, Wiedział o nim wiele. Frodo na jego temat zgromadził kiedyś pokaźną dokumentację, opierając się na źródłach oficjalnych, a także wykorzystując swoje zdolności włamywania się do najróżniejszych baz danych.

Sześć lat w Afganistanie, awans od porucznika do pełnego pułkownika. Zamieszany w kilka afer nigdy nie stanął przed sądem. Zawsze tak się szczęśliwie dla niego składało, że świadkowie i oskarżyciele wśliznęli na miny, i to jeszcze na etapie dochodzenia. A Rościsławski z licznych kontroli wychodził czyściutki jak łąza. W końcu wszyscy już wiedzieli, że kontrolowanie go to zajęcie bezpłodne i niebezpieczne. Każdy z nieszczęsnych kontrolerów przysięgał, że gdy tylko zjawiał się w podległej pułkownikowi jednostce, duszmeni jak na zamówienie rozpoczynali nocny ostrzał. Bardziej wprowadzeni w interesy Rościsławskiego, wtedy już pułkownika, dyskretnie uśmiechali się, słysząc sformułowanie „na zamówienie”.

Trzeba oddać pułkownikowi sprawiedliwość - był szczerym patriotą, robiącym wszystko ku chwale ojczyzny. Skupowany od mudżahedinów hasz i opium, wędrowały na Zachód, dobrze służąc przyspieszeniu upadku dekadentkich społeczeństw, amunicja, którą płacił, była przeterminowana, a kałachy stare. Zawsze był głęboko przekonany, że turbaniarze to dzicz, której nie warto wyzwać, bo prędzej czy później sama weźmie się za łby. I należy robić wszystko, żeby im to ułatwić, żeby mogli się szybko i efektywnie wystrzelać. Niedaleka przyszłość pokazała, że miał rację.

Wycofanie się z Afganistanu oznaczało klęskę dobrze zapowiadającego się interesu. Nadeszły kiepskie czasy, konto topniało, a armia stawała się coraz słabsza. Jedyłą osłoda był awans na generała, w uznaniu bojowej przeszłości...

Przed stoczeniem się w ostateczny alkoholizm ochronił Rościsławskiego sławetny pucz. Opowiedział się w nim po właściwej stronie, nie wykonując rozkazu wyprowadzenia swej brygady na ulice Moskwy. Oficjalna wersja głosiła, że wysłannika puczystów osobiście rozbroił i aresztował. Prawda przedstawiała się bardziej prozaicznie, był wtedy dostatecznie pijany, by skuć mordę każdemu, kto chciał przeszkodzić mu w zabawie. Od tego czasu awansował szybko. Najpierw Czeczenia, gdzie dowodził dywizją. Zastąpił niezwykłą skutecznością w operacjach przeciwko partyzantom. Głęboko rozczarowany faktem, że z Czeczeńcami nie można się dogadać zabrał się do nich ostro, wykazując niewątpliwy talent taktyczny i strategiczny. Czeczeńcy sami sobie byli winni, sami

handlowali narkotykami i, uważając całą republikę za rodzinną własność, nie chcieli się z nikim dzielić, A jedyna rozwijająca się dziedzina kaukaskiej gospodarki, czyli porwania dla okupu, generała nie interesowała.

Ta część kariery była dobrze udokumentowana, O ile o epizodzie afgańskim krążyły tylko plotki, to po kaukaskich sukcesach Rościsławski zyskał popularność, Nie był na tyle głupi, by dać się wciągnąć w rozgrywki polityczne, dlatego lubiany jednakowo przez komunistów i nacjonalistów, stanowił wzór żołnierza, który w obronie Rodiny osobiście walczy z wrogiem. To też prawda, zdjęcia generała we włązie transportera wjeżdżającego do wioski czy na wysuniętej placówce, wśród wybuchów wcale nie były inscenizowane. Rościsławski lubił postrzelać, a co ważniejsze - miał szczęście. Wciąż wierzył, że zrobi jeszcze życiowy interes, a wojna stanowiła tylko interludium.

Wojna coraz łatwiejsza zresztą, gdyż mafia może być przeciwnikiem dla policji, ale nie dla regularnej armii, A potem przyszła nuda i trudniej było o spektakularne sukcesy. Wtedy nastąpił kolejny szczęśliwy traf w życiu generała.

Warkot UAZ-a ucichł, brezentowy dach zniknął za zakrętem przecinki. Wagner wyciągnął paczkę cameli i zapalił. Przysiadł na zwalonej kłodzie.

To była dziwna rozmowa. Nie pierwsza, spotykali się już kilkakrotnie, Rościsławski nie krył swych powiązań z przemytnikami. To on był tutaj prawem, a wszyscy na granicy wychodzili z „prostego założenia, że da się z nim żyć. Istotnie, doskonale wiedział, o co chodzi w całym interesie. A Moskwa była daleko. Wagner ze złością zdusił niedopałek, starannie roztarł go na ścieżce podeszwą ciężkiego buta. Mimo wrodzonego cynizmu i braku złudzeń po każdej takiej rozmowie czuł się nieswojo.

Pieprzona hipokryzja. Wszystko to, o czym opowiadał Kędzior, wszystko to, o czym sam myślisz gdzieś głęboko, Że niszczysz potwory i walczysz ze skurwysynami. W imię, kurwa, zasad...

Być może, ale za przyzwoleniem, Może dałbyś radę bez tego przyzwolenia, bez pomocy, A może nie. Przecież nie sprawdziłeś, bo tak było wygodniej. Tobie, Wiewiórkom... Wybrałeś jednego okupanta, uważając, że jest lepszy.

Bo jest...

Wyrzebał z pudełka następnego papierosa, zaciągnął się z niesmakiem. Był przepalony jak stary komin, podczas godzinnej rozmowy wypalił z pół paczki. Mimo to nie zgasił camela. Rosjanie i ten ich wieczny burdel, Swojski bałagan i nieudolność, z którymi dawało się żyć. Żadnego przywracania demokracji, reedukacji, śledztw i sądów. Sprawiedliwie rozłożona bieda, nie większa i nie mniejsza niż w całej Rosji, Wszyscy

jednakowo wygłodzeni, rosyjscy żołnierze, litewscy osadnicy i miejscowi. Brak kontrastów jak w centralnej Polsce, ogrodzonych drutem dzielnic dla tych, którzy załapali się do nowej władzy, ochotniczych oddziałów policji, Brak represji.

Tylko wspólna bieda i wspólne złodziejstwo, Wspólne interesy.

Chciał splunąć. Nie mógł, zaschło mu w ustach. Tylko gorzki smak nikotyny.

Wspólne interesy. Kiedyś wmawiał sobie, że to nieprawda.

Frodo syknął z bólu. Nabrał za dużo ziemi, chciał zasypać jeszcze płytkie wgłębienie, które powstało podczas udeptywania. Ale ponaciągane mięśnie odmówiły posłuszeństwa, trzonek skręcił się w dłoniach. Niziołek odrzucił łopatę, zaczął rozcierać przedramię.

- Co tak stoisz! - warknął. - Co, zatkało? Miałem rację? Wagner nie odpowiedział. Przyglądał się, jak Frodo obmacuje rękę pokrytą wielkimi siniakami; O fałszywych specnazowcach można było powiedzieć jedno, krzepy im nie brakowało.

- Może przestań się szarpać - poradził Wagner bez cienia współczucia. - Odpocznij, weź coś przeciwbólowego. Nie pomożesz nikomu, miotając się po podwórku. Zwłaszcza jej...

Wbrew oczekiwaniom Frodo nie bluznął przekleństwami. Przestał tylko rozcierać przedramię, popatrzył kpiąco, Milczał, aż Wagner poczuł się całkiem nieswojo.

- Ty nie masz interesów z Rościsławskim - zaczął wreszcie Frodo, cicho i spokojnie. - Ty jesteś obrońcą uciśnionych, prawym wiedźminem, który zabija dla pieniędzy, ale wyłącznie tych niedobrych... Zaczekaj!

Chwycił Wagnera za rękaw, chociaż ten wcale nie chciał odejść.

- Zaczekaj. Wysłuchaj tym razem do końca, Bo wiesz... Frodo skrzywił się.- Nigdy tego nie mówiłem. Nigdy dotąd. Brałem udział w tej grze pozorów, waszych mrzonkach... Co ja pieprzę. W naszych mrzonkach, moich również...

Przerwał na chwilę, przełknął ślinę. Słońce wznosiło się coraz wyżej, zapowiadał się jeden z tych zupełnie nieprzewidywalnych upalnych dni, kiedy słońce wczesną jesienią potrafiło palić jak w lipcu, Wyludnione miasteczko, splądrowane domy z powybijanymi szybami, nienaturalna cisza i spokój. I dwóch facetów ze ściągniętymi twarzami, którzy opierają się o szpadle, Frodo dostrzegł całą śmieszność sytuacji.- Chodź, Wagner. - powiedział cicho - Nie będziemy stać nad kundlem, niech mu ziemia lekką będzie, chociaż okazało się, że kutas to był, nie pies. Tak się dać załatwić, bez jednego szczeknięcia...

- Po tetratoksynie też byś się dał załatwić bez szczeknięcia - przerwał burkliwie Wagner.

.Ostrożnie, by nie zadrasnąć się w palec, obejrzał stalową strzałkę wyciągniętą z psiego boku. Wrzucił ją potem na dno wykopanego dołu.

- Chodź - powtórzył Frodo. - Nie wściekaj się, kiedyś musieliśmy to sobie powiedzieć, nie możemy wciąż ulegać iluzji. W porządku, możesz uważać, że się wreszcie wystraszyłem po tym, jak mi chcieli podłączyć fiuta do prądu. Mam po prostu dość.

Odwrócił się i nie czekając na Wagnera, ruszył w stronę budynku ziejącego czarnym otworem wywalonych drzwi.

Frodo leżał na piankowym materacu przykrytym burym kocem wojskowym, Wagner odstąpił mu swoje legowisko, postrzelany i poplamiony mózgiem Kirpiczewa tapczan nie nadawał się do użytku.

Długo milczeli.

Frodo, niedawno już tak bliski wykrzyczenia wszelkich żalów, nagle nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Leżał ze zrolowanym śpiworem pod głową, słuchając cichego poszczekiwania metalu, Wagner siedział na podłodze, oparty o ścianę, z przymkniętymi oczyma. Bawił się H-K jednego z ludzi Kirpiczewa, poruszając dźwigienką przełącznika rodzaju ognia.

- Pokaż - powiedział wreszcie Frodo, ot tak, by przerwać milczenie. Wagner bez słowa rzucił pistolet, pewien, że w komorze nie ma naboju. Zaskoczony niziołek złapał, jęknąwszy przy tym z bólu.

- Przepraszam - mruknął Wagner. - Nie pomyślałem...

- Nie szkodzi - odparł Frodo, usiłując się uśmiechnąć, - Wiesz, chyba coś wezmę.

- Poczekaj... - Wagner wstał, widząc podnoszącego się z trudem Froda, - Leż. I tak nie masz pojęcia, gdzie szukać.

Poszedł w kąt pokoju, zaczął grzebać w zwalonych na stos wypchanych plecakach, odsuwając sterty książek i brezentowe torby z amunicją. Zaczynał już kląć pod nosem, kiedy trafił na właściwy pakunek. Wysupłał z niego plastikową buteleczkę ze wzmocnionym tylenolem.

Wysypał na dłoń białe, podługowate pastylki.- Dawaj dwie! - rzucił niecierpliwie Frodo, krzywiąc się. Poobijane mięśnie bolały coraz bardziej. Na dodatek odezwało się uporczywe łupanie pod czaszką.

- Dwie? - Wagner z powątpiewaniem spojrział na mizerną postać rozciągniętą na burym kocu. - Zastanawiałem się, czy na pół nie podzielić...

- Nie pieprz! - parsknął Frodo niecierpliwie. - Znalazłeś sobie porę na dowcipy...Wagner wzruszył ramionami, uznając, że każdy ma prawo skończyć tak, jak sobie tego życzy.

Frodo przełknął bez popijania obie pastylki.

Leżał teraz z zamkniętymi oczami, czekając, aż potężny środek przeciwbólowy zadziała. Wagner znów usiadł pod ścianą, bawiąc się precyzyjnym mechanizmem wykonanym w firmie Heckler und Koch.

Rosjanie sami nie produkowali pistoletów maszynowych. Słynna pepesza nie doczekała się wielu następców, seryjnie produkowano tylko ppS, pistolet puliemiot Sudajewa, Wraz z wstrzymaniem produkcji siedmiomilimetrowego naboju pistoletowego Mausera, używanego w pepeszach i tetetkach, skończyły się rosyjskie peemy. Nastąpiła era broni na nabój pośredni, wszelkich mutacji pocziwego kałach a.W Rosji pistolet maszynowy był bronią bandytów, którzy naoglądali się zachodnich filmów, gdzie heros z ingramem lub uzi w każdej ręce zalewał okolicę deszczem ołowiu.Wagner uśmiechnął się i drgnął, gdy usłyszał cichy głos;

- To o niczym nie świadczy.

Prawie upuścił broń, widząc kpiące spojrzenie niziołka.- No dobrze - dodał Frodo, już poważnie, - Pewnie masz rację, to oni chcieli załatwić Kędziora, Wskazuje na to broń, tu o hecklera trudno, może w Polsce.

Urwał, przygryzł wargi.

- Zobacz - powiedział, - Zobacz, jak łatwo powiedziałem „w Polsce”. Znaczy, za Bugiem... Mniejsza z tym... Heckler jest drogi - podjął, - Ale poręczny, a, co ważniejsze, szpanerski, To mafia, jak słusznie zauważyłeś...

Wagner milczał, wpatrując się we własne buty.- Czasem mnie wkurzasz. - mruknął po chwili bez gniewu. - Wiesz, co myślę, zawsze potrafisz wszystko przewidzieć.

- Bo potrafię logicznie myśleć - odparował Frodo. - I to myślę, zanim cokolwiek zrobię, W odróżnieniu...

- A co twój analityczny umysł podpowiada ci w tej chwili? - przerwał z sarkazmem Wagner.

Wiedział, że nie ma racji i był na siebie zły, Frodo go zignorował.

- Że to nie wszystko. Nie jest tak, jak się wydaje na pierwszy rzut oka...

Ostrożnie usiadł na posłaniu, unikając gwałtownych ruchów, by nie odezwało się bolesne łupanie pod czaszką. Nie powróciło; końska, w przeliczeniu na masę ciała, dawka tylenolu zrobiła swoje.

- Pokażę ci... Nie, przecież rozpieprzyłeś najlepszy monitor...

Skrzywił się, Ból zastąpiły zawroty głowy, Przymknął oczy, wkrótce minęło.

Cichy, metaliczny trzask bezpiecznika. Frodo drgnął.

- Przestań - warknął, nie otwierając oczu. - Ocipiec można... Wagner przez chwilę nie wiedział, o co chodzi, W końcu kiwnął głową i odłożył hecklera.

Frodo ostrożnie uchylił powieki, tym razem pokój nie zawirował.

- Powinienem coś ci pokazać - powiedział powoli, - Za dużo tych przypadków...

Otworzył szerzej oczy, spojrzał zupełnie przytomnie.

- Wiesz, pamiętam, jeszcze w Mińsku... - zaczął pozornie bez związku. Urwał.

- W obozie? - podsunął wreszcie wiedźmin, gdy milczenie się przedłużało.

Niziołek kiwnął głową.

- Tak, w obozie pod Mińskiem.

Znów się zamyślił, Wagner, nie doczekawszy się dalszego ciągu, wstał, zaczął grzebać w stertach plecaków, brezentowych toreb amunicyjnych i stosach pakietów z liofilizowanymi racjami polowymi. Niecierpliwie odsunął pakunek, który niepokojąco przypominał rosyjską minę Blok B, odpowiednik amerykańskiej Claymore. Mina szurnęła po podłodze, zatrzymała się pod ścianą na stosie magazynków do AK.

Frodo popatrzył z niepokojem. Gdy przeplatane wymrukiwanymi pod nosem przekleństwami poszukiwania niemal już ogarnęły oparte niedbale w kącie granatniki przeciwpancerne, nie wytrzymał. - Czego szukasz? - spytał.

Wagner burknął coś niezrozumiale, grzebiąc we wnętrzu zrolowanego śpiwora. Frodo przymknął oczy. Kiedyś próbował zwracać Wagnerowi uwagę na korzyści płynące z porządku i niebezpieczeństwa wynikające ze składowania amunicji na kupie, wymieszanej z żywnością, książkami, pakietami opatrunkowymi i diabli wiedzą czym jeszcze. Wagner zbywał go, twierdząc, że zawsze znajdzie to, czego potrzebuje. A współczesna amunicja przystosowana jest do znacznie gorszych warunków przechowywania, czego najlepszym dowodem był fakt, że jak dotąd nic nie wybuchło.

Frodo powstrzymywał się od komentarzy, gdy Wagner, klnąc jak szewc, przekopywał się przez skrzyżowanie zbrojowni, magazynu żywności i biblioteki w poszukiwaniu jakiegoś akurat w tej chwili potrzebnego drobiazgu, Działo się to mniej więcej raz na tydzień. Zaprotestował tylko raz, kiedy wiedźmin przytargał całą skrzynkę amerykańskich skaczących min przeciwpiechotnych, twierdząc z zagadkową miną, że to niebywała okazja i kiedyś na pewno się przydadzą. Mina mu nieco zrzędła, gdy Frodo pokazał małą metalową tabliczkę przybitą w niewidocznym miejscu. Zatarty prawie napis głosił, że

dozwolony okres składowania minął w 1975 roku, Sądząc z innych napisów na skrzynce, miny pochodziły z wojny koreańskiej. Frodo nawet nie spytał, kto Wagnerowi sprzedał ten szmelc. Podejrzał Rosjan, oni na ogół nie znali angielskiego, a miny zdobyli prawdopodobnie podczas ofensywy pod Pusan. W ostatniej chwili zdołał powstrzymać Wagnera przed odbijaniem wieka i udowadnianiem, że miny są jak nowe, Frodo przeprosił go na pół godziny, kiedy już wymógł na nim uroczyste przyrzeczenie, że nawet nie zbliży się do skrzynki ze stalową łapką do wyciągania gwoździ. Pół godziny przeciągnęło się do dwóch, ale w końcu mógł pokazać wydruk dokumentu, który znalazł z niemałym zaskoczeniem w archiwach Royal Engineering Corps.

Wagner kręcił nosem, powątpiewając w to, co Angole mogą wiedzieć o dobrych amerykańskich minach. Instrukcje dezaktywacji, polegającej na zdalnym detonowaniu na poligonie, nazwał asekurancstwem i marnotrawstwem. Ale skrzynkę wyniósł, wprowadzając nie na poligon, lecz do drewnianej komórki na podwórzu, gdzie spoczęła obok talerzowych min przeciwczołgowych. Co prawda nie miały one zapalników, ale przecież też mogły się kiedyś przydać.

- Wiedziałem! - powiedział Wagner z satysfakcją, - Wiedziałem, że gdzieś tu musi być...

Odkręcił zakrętkę z butelki rosyjskiego koniaku zrywając znak akcyzy. Pewnie fałszywy, pomyślał sceptycznie Frodo. Sam niedawno instalował kolorową laserówkę pewnym Ormiaszkom spod Zambrowa.

Fałszywy czy nie, przełknął ślinę. Zwykle nie nadużywał alkoholu, nawet markowego, zbyt wiele wiedząc o miejscach i procesie jego produkcji. Sprytni Ormianie pokazali mu brudne wanny pełne zacieru, aż trudno było uwierzyć, że końcowy produkt zdobiją etykiety z trzema gwiazdkami. Ale dziś czuł, że musi się napić.

Frodo nigdy wiele nie opowiadał, Wagner, choć znali się od lat, historię niziołka znał wyrywkowo. Owszem, domyślał się z rzucanych czasami uwag i strzępów wspomnień, kim jest mały facecik o bystrym, analitycznym umyśle, ale nigdy nie naciskał, nie wypytywał.

Sam też nie mówił dużo, Nie domyślał się nawet, ile Frodo się o nim dowiedział. Jak potrafił poskładać niepełne informacje w spójną całość. Ostatecznie był analitykiem. Niziołek zaniósł się kaszlem, odstawił butelkę. Dopiero teraz poczuł, że z szyją też jest coś nie tak, przetykanie sprawiało mu trudności, trochę palącego alkoholu trafiło do tchawicy. W dodatku koniak niewątpliwie wyprodukowali anonimowi Ormianie

czy Ukraińcy, i to na pewno nie w renomowanej wytwórni Szustowa, której tradycje sięgają cesarskich czasów.

- No i co? - wychrypiął Frodo gniewnie, gdy odzyskał zdolność mowy, - Nie spytasz o Mińsk, Pewnie, nie spytasz, dyskretny jesteś jak zawsze.

Wagner nie zareagował. Pociągnął z gwinta. Pamiętał wprawdzie, że gdzieś powinien być drugi kubek, ale nie chciało mu się ponownie przekopywać sterty gratów. Frodo odkaszczał jeszcze raz.

- Nie pytasz. - powtórzył, już normalnym głosem, - Nie szkodzi... Dziś jest dzień opowiadania historyjek, może coś trafi do twojego zakutego łba. Zobaczysz, jak coś się układa. Zaczniemy od Mińska...

Usiadł wygodniej, oparł się o ścianę z olejną, odłóżącą już gdzieś lamperią, pamiątką z czasów świetności oddziału banku spółdzielczego w Broku.

- Blokowisko w szczerym polu. Domy z wielkiej płyty, blaszany komin kotłowni...

Widok, jakich wiele od Magdeburga do Władywostoku. Kołchoz, sowchoz albo pegeer, blokowisko w szczerym, płaskim, ciągnącym się po horyzont polu bez żadnej między, bez żadnego drzewka, Tylko pod samymi blokami byle jak ogrodzone splechki indywidualnych działek z wyschłymi, sterczącymi badylami. Komin kotłowni, bo blokowisko oznaczało postęp cywilizacyjny, centralne ogrzewanie, wodociąg i zlewnię ścieków, skąd szambo wywożono raz na tydzień cuchnącymi cysternami i wlewano wprost do pobliskiej rzeki.

Błotniste pole, brukowane z rzadka przemarzniętymi główkami niezbranej kapusty, pociągnięte z rana siwym szronem, tającym w południe. Droga z potrzaskanych betonowych płyt. Snujący się nisko pod grudniowym niebem dym, śmierdzący zasiarczonym węglem, Za blokami szkielety szklarni, z których pozostała już tylko konstrukcja z zardzewiałych kątowników.

Kilka klocków z wielkiej płyty, pokryte liszajami i zaciekami ściany, brudne okna obwieszane suszącymi się szmatami. Pospiesznie wkopane, poprzekrzywiane betonowe słupki, zwoje pokrytego rdzą drutu kolczastego świadczyły, że to już nie jest kołchoz. Tylko pomalowana w biało-czerwone pasy budka wartownika, szlaban i zbita z desek, zwieńczona zasiekami brama nie pasowały do obrazu spokojnego rozkładu i beznadziei.

Nie pasował również stojący przed bramą Stalker, nowiutki wóz rozpoznawczy, celujący w niebo trzydziestomilimetrowym działkiem, strzegący brudno oliwkowych, półkolistych namiotów oznaczonych czerwonym krzyżem i starych ZiS-ów z połatanymi plandekami, przypominających studebakery jeszcze z tej poprzedniej wojny.

Frodo stał przy ogrodzeniu, trzymając się drutu. Towarzyszyli mu inni, tak jak on wpatrywali się martwym wzrokiem w obiektyw kamery za ogrodzeniem. Kamerzysta był w dżinsach i zabłoconych kowbojkach, obok stała dziewczyna w czerwonej puchowej kurtce - plama koloru w bezbarwnym pejzażu. Rozmarznęte blocko cmokało pod butami, dziewczyna z mikrofonem balansowała śmiesznie, usiłując bez rezultatu znaleźć jakieś suchsze miejsce.

Cichy szum napędu kamery mieszał się z mamrotaniem kamerzysty, co chwila dawało się słyszeć słówko „fuck”, wypowiedane już bez pasji, raczej z rezygnacją.

Frodo nawet nie drgnął, gdy obiektyw kamery zajął mu prosto w oczy, kiedy operator zatrzymał się i zaczął kadrować jego postać od obutych w za duże wojskowe kamasze stóp aż po rozdarty granatowy waciak. Patrzył obojętnie na poruszające się szczęki kamerzysty, nie wiadomo, czy od wymrukiwanych wciąż przekleństw, czy od przeżuwanej gumy.

Syndrom obozowy, pomyślał leniwie. Przypomniał sobie nieraz widywane filmy, jeszcze te czarno-białe, z poprzedniej wojny, i późniejsze, z niezliczonych następnych. Ludzie podchodzą do ogrodzenia, chwytają zardzewiałe druty i patrzą. Milczą i patrzą, bez wymachiwania rękoma czy chociażby uśmiechu. Niezależnie od tego, do kogo należy kamera - do ciekawskiego dziennikarza czy czołówki wojsk, która właśnie przybyła ich wyzwalać. Zawsze milczą. Stoją i patrzą. Też stał bez ruchu, kiedy kamerzysta zrobił zbliżenie jego twarzy. Wiedział, że wygląda wręcz wzorcowo, mały, oberwany facecik, z szopą niestrzyżonych kędzierzawych włosów i wyraźnie semickimi rysami wychudłej twarzy. Coś, co znakomicie nadaje się na relację z obozu deportowanych pod Mińskiem i na pewno znajdzie miejsce w kilkusekundowej migawce. Coś, co zapadnie w pamięć, mały Zydek za drutami.

Blondynka o urodzie laureatki konkursu piękności w najbardziej zapadłym kącie stanu Iowa z nadzieją podsunęła mikrofon pod same zasieki. Wyciągnęła jak najdalej rękę, jakby za ogrodzeniem trzymano niebezpieczne zwierzęta, a nie deportowanych bezpaństwowców.

- Speak english? - spytała z drewnianym uśmiechem. Głos miała nieprzyjemny, wcale nie telewizyjny. Frodo milczał. Zacisnął tylko mocniej palce na drucie, Operator odjął okular od oka, opuścił kamerę. Zaśmiał się drwiąco, mamrocząc niewyraźnie przez przeżuwaną gumę, Frodo dosłyszał coś o głupich Żydkach z Polski. Dziewczyna nie rezygnowała. Postąpiła nawet krok bliżej, nie zwracając uwagi na białoruskiego oficera, który w wyjściowym płaszczu z czerwonymi pagonami i gumofilcach stał bezpiecznie na skraju kałuży przed ogrodzeniem. Białorusin krzywił się z dezaprobatą, wcześniej zakazał

zbliżania się do drutów, ale też nie kwapił się do łożenia po błocie. Trzeba było powiesić tabliczki, pomyślał Frodo, coś w rodzaju „nie zbliżać się”, „nie karmić”.

- Mistah, tell me whatta ya think 'bout... - akcent też miała okropny, widocznie nie było szans, by tę relację pokazać w ogólnokrajowych wiadomościach. Raczej gdzieś w kablówkach na Środkowym Zachodzie.

Frodo słuchał pytań o rezolucje Rady Bezpieczeństwa w sprawie łamania praw człowieka w Polsce, Nie miał na ten temat wyrobionego zdania, rezolucje i tak nie miały na nic wpływu. Patrzył na bezkresne pole, gdzieś ponad ramieniem dziewczyny, która koniecznie chciała się dowiedzieć, co ONZ może uczynić dla deportowanych. Kamerzysta znów zaczął mamrotać swoje „fuck”, przestępując niecierpliwie w błocie po kostki.

- What can I do fo' ya? - krzyknęła w końcu dziennikarka z rozpaczą. Frodo uśmiechnął się wreszcie, puścił drut, Popatrzył prosto w lalkowatą twarz.

- Blow me, sista... - zaproponował uprzejmie.

Amerykanka upuściła mikrofon, układając ze zdziwienia uszmkowane wargi w zgrabne kółeczko, jakby rzeczywiście zamierzała spełnić prośbę głupiego Żydka z Polski.

Frodo odwrócił się na pięcie, nie omieszkawszy pokazać kamerzyście wyprostowanego środkowego palca.

Szedł w kierunku odrapanych bloków, mijając po drodze betonowe koryta, otoczone kłócącymi się kobietami. Chociaż sowchoz miał sieć wodociagową, ale przy tej liczbie zakwaterowanych ludzi hydrofory nie wystarczały. Betonowe koryta obok obór, z których zostały jedynie fundamenty, służyły teraz do prania i do mycia. Do mycia wprawdzie tylko wtedy, kiedy można było zagrzać wodę nad koksownikami. Frodo podrapał się pod pachą. Świerzb tutaj to normalka.

Ciekawe, jak tu było na początku, rozmyślał, mijając kobiety o dłoniach poczerwieniałych od zimnych mydlin. Wtedy, kiedy za drutami przebywało trzy razy więcej deportowanych. Nie bardzo potrafił to sobie wyobrazić, tylu ludzi w ciasnych klinkach, przy niedziałającej kanalizacji, jak i dziś.

Teraz, po kilku miesiącach od początku deportacji trochę się rozluźniło. Przedstawiciele Wysokiego Komisarza do spraw Uchodźców działali nadzwyczaj sprawnie, potrafili zapewnić azyl kilku tysiącom ludzi tylko z tego obozu. A obozów było przecież kilka.

Popatrzył na tani zegarek, prezent od szwedzkiego kierowcy, który zajechał tu pewnego razu z konwojem TIR-ów, przywożąc mnóstwo odżywek dla niemowląt, pieluch

i innych niezwykle przydatnych utensyliów, skonfiskowanych natychmiast przez białoruskie władze.

Dochodzi południe, zaraz koryto, pomyślał. Żołądek skurczył się na myśl o kaszy ze słoniną, stanowiącej zwykle obiadowe menu.

Splunął. Kasza ze słoniną, znakomita dla deportowanych żydowskich bezpaństwowców. Ale nigdy nie zdarzyło się, by ktoś składał reklamacje. Na przykład, że słonina nie jest koszenia. Cóż, zauważył z wisielczym humorem, zostali tylko ci gorsi Żydzi, Trzeba było kogoś wyrzucić, a znaleźli się jedynie tacy. I tak nadpodziw dużo. Ktoś niespodziewanie szarpnął go za rękaw. Frodo odwrócił się gwałtownie. - Tak nie można, panie kolego, tak nie można...

Twarz wysokiego mężczyzny, dystygowanego nawet w podartym waciaku, wykrzywił nerwowy grymas. - Co oni sobie o nas pomyślą. Panie kolego. - Frodo uwolnił rękaw, Uśmiechnął się ponuro. - O co chodzi... - zawiesił głos. - ...Panie kolego.

- Tale nie można, to nasza ostatnia nadzieja, wie pan, panie kolego, wolny świat. Opinia publiczna. Musimy nieść świadectwo cierpienia naszego narodu, a nie, za przeproszeniem, jak pan, panie kolego. Powaga i cierpienie.

Frodo musiał zadrzeć głowę, by spojrzeć w twarz wykrzywioną szlachetnym, cierpiętniczym grymasem. Czarne oczy wysokiego mężczyzny płonęły oburzeniem.

To spojrzenie, wzniosły wyraz twarzy... Frodo nie mógł się powstrzymać od śmiechu. To kiedyś stanowiło główny kapitał tego człowieka, palące spojrzenie fanatyka, egzaltowany, a jednocześnie szlachetny tembr głosu. - Z czego pan się śmieje, panie kolego? - Głos nie zabrzmiał tym razem szlachetnie i głęboko, był raczej skrzekliwy. Niziołek uśmiechnął się jeszcze szerzej..

- Z pana, panie kolego - zaakcentował słowo „kolego”. - Z pana...

Niegdyś wzięty prezenter telewizyjny, teraz deportowany bezpaństwowiec w podartym waciaku zakrztusił się świętym oburzeniem. Jego kariera skończyła się gwałtownie rozporządzeniem Ojca Prezesa. Na nic się zdały relacje z pielgrzymek, odsłaniania kolejnych pomników i z rekolekcji. Nikt tak zdrowo nie wyglądał w zdrowych szeregach wszechpolskiej młodzieży, świecącej wygolonymi łbami i wyglansowanymi glanami. Nikt z taką wyważoną boleścią nie relacjonował pożalowania godnych wypadków, kiedy słuszny gniew obracał się przeciwko innowiercom lub innym wrogom prawdziwej wiary. Występował na tle dymiących fundamentów cerkiewki, zrównanego z ziemią obozowiska rumuńskich Cyganów czy powybijanych okien świetlicy mniejszości niemieckiej, jego komentarz był zawsze wyważony i słuszny. Najlepiej sprawdzał się

podczas procesji i uroczystości państwowych. Uduchowiona twarz, świecące szlachetnym fanatyzmem oczy... Ponoć to wszystko stało się przyczyną jego upadku, tak przynajmniej niosła wieść gminna. Zbyt dużo miał wielbicieli, cóż z tego, że zwykle dewotek w podeszłym wieku. Innych kłuło to w oczy i wreszcie Ojciec Prezes wydał zarządzenie, iż w ramach postępującej ewangelizacji środków masowego przekazu dziennikarze świeccy nie mogą prowadzić sprawozdań z uroczystości, w których bierze udział duchowieństwo. A ponieważ innych uroczystości już nie było, dobrze zapowiadająca się kariera została bezpowrotnie zwichnięta. Wkrótce doszukano się i niesłusznej babki, która zamiast dać się zagazować lub spalić w stodole, przeżyła i dochowała się wnuków.

Były ulubieniec publiczności spiorunował śmiejącego się kurdupła pełnym oburzenia wzrokiem.

- Mysigiene - wypalił i odwrócił się sztywno jak manekin.

- Meszugene - poprawił Frodo i splunął. Nie znosił neofitów.

Od strony bloków doszedł odgłos uderzeń w stalową szynę. Frodo spojrział na zegarek i skrzywił się. Koryto. Kasza ze słoniną.

Mimo skurczów żołądka powłókł się ospale w kierunku czegoś, co nazywało się stołówką, a w istocie było wielkim, składanym hangarem, w którym ustawiono stoły na krzyżakach i długie ławy z desek. Włączył się w szeregi ospale wlokących się zewsząd ludzi, wąskie strumyczki, które przed wejściem do hangaru połączyły się w przeklinający i przepychający się tłum. -

Minął starszego już mężczyznę z siwą, krótko strzyżoną bródką. Stary człowiek palił elegancką niegdyś, teraz odrapaną i osmaloną fajeczkę, smród białoruskiej samosiejki unosił się w bezwietrznym powietrzu.

Frodo skrzywił się złośliwie.

- Jak zdrowie koalicjantów, panie ministrze? - zawołał na głos.

Ktoś z mijających ich ludzi zarechotał, starszy pan skurczył się jak uderzony, wbił wzrok w ziemię.

Frodo przyspieszył kroku. Mała rzecz a cieszy.

Alkohol palił w gardle, nie wywoływał już jednak ataków kaszlu. Frodo czuł ciepło rozlewające się po ciele, miły, wszechogarniający bezwład. Po raz pierwszy ciepło od początku tego paskudnego dnia. Wagner grzebał widelcem w otwartej puszcze, przegarniając nieapetyczne grudki zastygłego tłuszczu. Konserwa miała chemiczny podgrzewacz, który powinien uruchomić się samoczynnie po zerwaniu wieczka. Ale zwykle kółko zostawało na palcu, a podgrzewacz po otwarciu puszkii bagnetem nie działał.

Tak było z większością rosyjskich racji wojskowych, zatem Wagner nie szukał drugiej puszki, postanowił zjeść na zimno.

Frodo podsunął plastikowy kubek. - Nalej jeszcze tego zajzajeru...

- Jakiego zajzajeru? - mruknął Wagner. - Całkiem przyzwoity koniak...

- Skoro się upierasz tak go nazywać. Oglądałem niedawno piwnicę, w której leżakował. Tylko nie w dębowych beczkach, a w zardzewiałej wannie, stąd ten niepowtarzalny kolor. Woda, uważasz, żelazista...

- Wiesz, we łbie się nie mieści. - Wagner zdecydowanie wbił widelec w gęsty tłuszcz i chrząstki, - Tego się nie da jeść, dam psu... Prawda, psa już nie mamy...

Frodo odstawił kubek. Położył się na plecach z rękoma pod głową. Popatrzył na pokryty zaciekami sufit, od lat mówili o konieczności załatania dachu. I na tym się kończyło.

- Mieści się... - powiedział wolno, - I to nie tylko we łbie, ale nawet w międzynarodowych, normach;..

Wiedział, że Wagner nie mówi o jakości koniaku ani rosyjskich racji polowych.

- Mieści się... - powtórzył.

Wagner odstawił zdecydowanie puszkę, odsunął ją butem w kąt. Wyjął paczkę cameli, włożył jednego do ust.

- Długo tam siedziałeś? - spytał niewyraźnie, szukając po kieszeniach zapalniczki. Frodo pokręcił głową.

- Raptem trzy miesiące. Ale i tak o trzy za długo... Choć byli tacy, co siedzieli rok, aż do końca, kiedy zaczął się ten cały burdel i Łukaszenko pogonił wszystkich dalej, do Rosji. Daj i mnie.

Chwytał rzuconą w powietrze paczkę, nawet się nie krzywiąc. Alkohol z tylenolem działały zgodnie, nic już nie bolało. Czuł się lekki, jakby zamiast głowy miał rozdęty balon.

Wydmuchnął precyzyjne kółko, z zadumą patrzył, jak się unosi, prześwietlone wpadającym przez okno stojącym już całkiem wysoko słońcem. Jak zwija się, traci ostrość kształtów, rozplywa pod poznaczonego zaciekami sufitem. - Psy przy siatce... - mruknął. - Wiejskie psy przy siatce.

- Co mówisz? - Wagner nie zrozumiał. Frodo uniósł się na łokciach.

- Wiejskie psy. Pamiętasz, były wszędzie, dopóki ich nie wystrzelali. Ostre psy, dla nich były małe zagrodki, czasem z budą, czasem nie. I wybiegana ścieżka przy siatce, taka głęboka, kiedy pies biega wzdłuż płotu, tam i z powrotem, Tam było tak samo, ścieżka wzdłuż ogrodzenia. Szeroka, wydeptana, zwykle błotnista. Tłumy kręcące się jak ryby

wzdłuż ścian akwarium. Z początku... Bo potem ludzie tylko stali. Trzymali się drutów i patrzyli na pole, płaskie, nagie aż po horyzont.

Następne starannie wydmuchnięte kółko wznosi się pod sufit. Kolejna chwila ciszy, szum sosen za oknem.

- Trzy miesiące. Byli tacy, którzy siedzieli od początku aż do końca. Ci deportowani najwcześniej, całe rodziny, które załapały się jeszcze na namioty. I epidemię... Dopiero później warunki się poprawiły. Potem już jakoś szło, pomoc dla uchodźców działała sprawniej. Przyjmowała jeszcze Szwecja i Izrael... Najpierw rodziny z dziećmi, potem kobiety. Młodzi w Izraelu trafiali prosto do armii. Najdłużej czekali tacy jak ja, w średnim wieku. Albo ci, co mieli przechlapane, jak ten były minister, czy ta kuriewna menda... Minister przynajmniej zachowywał się przyzwoicie, taki cichy, przygaszony staruszek. Zawsze uprzejmy i poprawny. Gorszy był ten syjonistyczny neofita.

Wagner zdusił camela na posadzce.

- We łbie się nie mieści... - powtórzył.

Ale Frodo miał rację. Mieściło się nie tylko we łbie, ale i w normach międzynarodowych. Do czasu kiedy okazało się, że kawałek miejsca w Europie może się bardzo przydać.

Niziołek dopił resztkę koniaku, Jak na kogoś, kto nie przespał całej nocy, bladym świtem został pobity, a potem popił końską dawkę tylenolu ćwiartką koniaku, wciąż był przerażająco trzeźwy. I zaczynał wpadać w kpiący, złośliwy nastrój, Gwałtownie usiadł na posłaniu.

- Wiem, co chcesz powiedzieć, - Spojrzał z ukosa, - Daruj sobie, Nic mi nie jesteś winien, ani takim jak ja.

Wagner milczał. Znów bawił się hecklerem.- Co miałeś zrobić? Protestować? - Frodo się zaśmiał, - Jak? I po co? Zachowywałeś się przyzwoicie. Siedziałeś w swojej wieży z kości słoniowej, pisałeś książki i twierdziłeś, że masz to wszystko w dupie, Nawet ci je wydawano, ze wszystkimi subtelnymi aluzjami. W pięciuset egzemplarzach każdą. Tylko że nikt ich nie czytał, bo już wtedy kosztowały ćwierć średniej pensji, Ale wciąż byłeś autorytetem, tym ważniejszym, że milczącym. Autorytetem dla nielicznych, na których ci zależało, których cenileś. A głupi naród nie zasłużył na nic lepszego, sam chciał... Nie masz więcej?

Wagner zaprzeczył ruchem głowy. Nie miał. Sam chętnie by się urznął do nieprzytomności.

- Głupi naród - niziołek mówił właściwie do siebie. - Sam sobie to zafundował, poszedł na rzeź jak barany, A ci, co jeszcze myśleli, milczeli wyniośle, jak ty, albo zarabiali szmal, jak ja. I nie widzieli nic poza czubkiem własnego nosa... Może patrzyliśmy z obrzydzeniem na te łyse łby na ulicach, na chmury kadzidła, na pomniki i pomniczki na każdym skwerku. Podłączaliśmy sobie tajne anteny, nielegalne kablówki i cieszyliśmy się, że nas to nie dotyczy, że nie musimy słuchać i oglądać tych bredni. A że kogoś pobili, spalili jakąś cerkiew, zabili nawet... I tak nic nie poradzimy... Im gorzej, tym lepiej, długo to wszystko nie potrwa. Ale Zachód nadal robił z nami interesy, stawiali kolejne supermarkety. Tyle że wypieprzyli nas z NATO i z przedsiönka Brukseli. Zamknęli granice jak przed, zadzumionymi, co jeszcze tylko naszym oszołomom podbiło bębenka... Polska schizma...

Wagner zdążył rozłożyć H-K na części, Oglądał pod światło przewód lufy, zapuszczony i pokryty wżerami. Ostatni właściciel musiał uważać czyszczenie broni za przesadę.

Polska schizma, pomyślał. A cóż miał zrobić naród przez dwadzieścia lat wychowywany w kulcie jednego człowieka. Cóż mógł myśleć, kiedy następcę, czarny człowiek w białych szatach, z surową twarzą, mówił o wypaczeniach i błędach. Nie ogłosił bulli, wypowiadał się wprost, na konferencji prasowej. Nie z tronu, nawet nie z okna, odległy i niedosięgly, tylko w wynajętej sali włoskiej agencji prasowej. Co miał zrobić naród, kiedy wybrany w najkrótszym, półgodzinnym konklawe papież zapowiadał rychłe zbadanie encykliki Humanum Vitae, Kiedy jeden z niepokornych niemieckich teologów mówił o bałwochwalstwie, pomnikach stawianych za życia, alejach słusznego imienia w każdym mieście...

- Jean N' kondo, przybrał symboliczne imię Albino. - Frodo wpadł w sam środek myśli, - Kardynał z Zairu, skrzyżowanie Martina Luthera Kinga z samym Sayonarolą. Murzynek Bambo na tronie Piotrowym, plugawiący wszystko, co najświętsze, Który ośmielił się suspendować samego prymasa, gdy ten skrytykował projekty reform, nazywając je dziełem szatana i komucha, tak jakoś to było. Jak miał wtedy postąpić naród z czterdziestoprocentowym bezrobociem i brakiem jakichkolwiek perspektyw? Wreszcie miał wroga. Ale nie o tym chciałem.

Łyżka, zgrzytnęła po dnie aluminiowej miski, Nieapetyczna kasza okraszona nielicznymi, bladymi skwarkami dawała jednak niezbędne kalorie. Musieli jeść z rozsądku, by nie popaść w apatię.

Frodo otarł usta, podniósł obtłuczony kubek bez uszka, chcąc splukać stęchły smak kompotem, jak nazywano bladuróżową ciecz, w której trafiały się czasem trudne do zidentyfikowania sflaczałe owoce. Chyba suszone śliwki.

Nie miał nawet własnej miski, pod tym względem w Auschwitz było lepiej. Tutaj naczynia i pogięte sztucce wydawano razem z posiłkiem, zajmowały się tym rozłożyste dziopy w średnim wieku. Zapewne były pracownice sowchozu. Chodziły wciąż złe, ponieważ z kuchni nie dawało się wiele ukraść, a paczki dostarczane przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż znikwały już w Mińsku, w obozie nikt ich nigdy nie widział.

Frodo wciąż siedział, popijając blady kompot, choć połowy hangar już się wyludniał. Było zimno, kasza stygła, zanim jeszcze trafiła na stoły, tworzyła twarde, zlepione tłuszczem grudy. Nie miał ochoty wracać do pokoju z nieczynnym, poobijanym zlewem i piętrowymi pryzami, który dzielił z dwoma dosyć sympatycznymi i kulturalnymi rodzinami, obciążonymi niestety czwórką dzieci. Ponieważ nie puszczano ich do wykopanej w obrębie drutów latryny, smród unoszący się z nocników poruszyłby umarłego.

Nie miał też ochoty snuć się pod zasiekami jak zwierzę w klatce. Wkrótce powinien zapaść wczesny grudniowy zmrok, błoto pod nogami już tężało, ścięte lekkim mrozem. Zastanawiał się, co dalej, I tak od trzech miesięcy.

Poznał już metody działania urzędu do spraw uchodźców. Wyliczył, że przy takim tempie rozpatrywania wniosków o azyl musi się przygotować na minimum trzy lata wpięprzania codziennie miski kaszy zeskwarekami.

Ktoś trącił go w ramię. Odwrócił się niechętnie, myśląc, że to znów upierdliwy prezydent z apelem o godność, Zastygł w połowie ruchu, za nim stał żołnierz, jeden z żandarmów strzegących obozu.

Żołnierz był młody, o chłopięcej, nietkniętej jeszcze chyba żyłką twarzy, W garści trzymał pomięty papier, wyglądający na urzędowy.- Pawło Leśniewskij? - spytał.- We własnej osobie - mruknął Frodo.

Nie dziwił się, że został tak łatwo odnaleziony, bez wywoływania przez charczące głośniki znajdujące się w każdym pomieszczeniu. Wystarczyło, że wydano polecenie znalezienia najmniejszego kurdupla w całym obozie.

Żołnierz usiłował bez powodzenia przybrać stanowczą minę.

- Idite są mnoj - rozkazał i odwrócił się.

- Zaraz, zaraz. - przystopował go Frodo. - Kuda?

- Komandir skazał...

- Moment - przerwał Frodo, - A po co?

- Nie znaju, iditie... - W głosie żołnierza wbrew marsowej minie zabrzmiała prosząca nuta.

Frodo podniósł się, na dobre zaniepokojony. Ani chybi znów doniosła ta gnida...

Podążając za żołnierzem, przypomniał sobie dwie poprzednie rozmowy z komendantem obozu, potężnym majorem o nalanej twarzy. Za każdym razem ich powodem była skarga syjonistycznego neofity.

Podczas pierwszej major walił pięścią w stół, wykrzykiwał coś o ukaraniu, pokazując wymownie na wartownika z bagnetem i wspominając o chlebie i wodzie, Frodo roześmiał mu się w twarz, chleb i woda stanowiły normalny poranny i wieczorny posiłek, Lekko brunatną wodę tylko dla niepoznaki nazywano kawą zbożową. Zaproponował też, aby komendant wskazał mu miejsce, gdzie ma wykopać sobie karcer, Nawet chętnie to zrobi, z samych nudów. Major coraz mocniej walił w nieszczęsny stół, ale równie dobrze jak winowajca zdawał sobie sprawę, że jego jurysdykcja nie rozciąga się na więźniów. Zwłaszcza przy stałym nadzorze delegatów ONZ. Reżim Łukaszenki zarabiał w świecie punkty, postrzegany jako jutrzienka demokracji na tle rasistowskiej Polski.

Majora cudem ominęła apopleksja na sani koniec, kiedy Frodo zaszalutował do gołej głowy i wyszedł, odsunawszy na bok bagnet ogłupiałego wartownika.

Za drugim razem major poszedł po rozum do głowy. Odprawił wartownika, zamknął starannie drzwi. Potem chwycił niziołka za kołnierz, podniósł jak kociaka i prosto w twarz wysapał, że następnym razem skuje mu mordę. Ot tak, bez świadków, Z przyzwyczajenia dał nawet na to komsomolskie słowo honoru.

Winowajcy odeszła ochota do żartów. Cichutko przyrzekł poprawę i wyszedł, obiecując sobie nie zbliżać się nawet do zdradliwej gnidy.. Ale nie wytrzymał.

W pokoju komendanta czekała go niespodzianka. Zamiast potężnego majora za biurkiem siedział młody mężczyzna w mundurowym swetrze bez dystynkcji. Dzięki ciemnej karnacji i rysom twarzy, gdyby zawiązać mu na głowie chustę, wyglądałby jak oficjalny asystent sędziwego Jasera Arafata. Przez chwilę przyglądał się z lekka ogłupiałemu niziołkowi.

- Paweł Leśniewski? - spytał w końcu, zupełnie bez akcentu. I całkiem niepotrzebnie. Frodo mógłby przysiąc, że w kartonowej teczce na biurku jest jego zdjęcie.

- Jakies dokumenty?

- Raczy pan żartować - parsknął Frodo. Mężczyzna uśmiechnął się, kiwnął głową. Pochylił się nad laptopem z podłączonym do portu USB małym pudełeczkiem, Na pudełeczku migiała zielona dioda.- Proszę siadać - mruknął, Zachrobotła głowica dysku.- Proszę położyć rękę. Tutaj. Wskazał pudełeczko.

- Nie, prawą.

Frodo posłuchał, Pudełko było ciepłe w dotyku.

Znów zachrobotał dysk, po ciemnej powierzchni przesunęła się czerwona linia skanująca. Zielona dotąd dioda mignęła czerwono i zgasła.

Mężczyzna wpatrywał się w ekran. Wreszcie podniósł wzrok.- I co, zgadza się? - nie wytrzymał Frodo.- A co, może się nie zgadzać? - odparował mężczyzna, i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Przysunął papierową teczkę, zabębnił palcami po szarym kartonie, opisanym hebrajskimi zawijasami.

- Paweł Leśniewski, Urodzony 1970, w Warszawie. Ojciec Andrzej, matka Iwona z domu Płońska, Studia na Politechnice Warszawskiej, wydział podstawowych problemów techniki. Służba wojskowa w broni pancernej, podporucznik rezerwy. Studia doktoranckie... Pierwsza praca w spółce software' owej. Potem w Wojskowych Służbach Informacyjnych, specjalność - obróbka i interpretacja zdjęć satelitarnych. Aresztowany za szpiegostwo na rzecz Wenezueli... Uznany za element niepożądany i deportowany, prokuratura wojskowa odstąpiła od oskarżenia... Zgadza się?

Frodo pokiwał głową.

- Owszem - powiedział. - Nie skorzystam. Mężczyzna zamknął pokrywę laptopa.- A z czego to pan nie skorzysta? Jeszcze nic nie zaproponowałem...

- Za gorąco. Ja jestem zimnolubny, a w czołgu upał. Mały jestem, to pewnie merkayy nie dostanę, tylko jakąś zdobyczną siedemdziesiątkę-dwójkę. Nic z tego, za stary jestem, już mi zresztą proponowali...

Zgrzytnął odsuwany zamek błyskawiczny. Mężczyzna zwinął starannie kable, schował skaner papilarny.

- Mów mi Arik. - Niespodziewanie wyciągnął rękę. - Widzisz, Paweł, tym, o czym mówisz, zajmuje się sekcja interesów przy konsulacie brytyjskim w Mińsku, To oni z tobą rozmawiali. Dwa razy, prawda?

Frodo milczał.

- Dwukrotnie, - Arik nie czekał na potwierdzenie. - I dobrze się stało, bo mamy o wiele lepszą propozycję.

- My, to znaczy kto? - wypalił wprost Frodo.

- Nie bądź dzieckiem, Paweł. Przecież wiesz. Znamy twoje osiągnięcia...

No tak, pomyślał Frodo, Całe szczęście w tym burdelu jak łapali szpiega, nie zastanawiali się, co tak naprawdę potrafi. Czym grozi wypuszczenie go za granicę, I całe szczęście, że czystością rasową zajmował się inny pion, inaczej chyba udowodniliby to szpiegostwo, W przeciwnym razie kiblowałbym gdzieś na Rakowieckiej, Największa tajemnica, uzyskiwanie materiału wywiadowczego ze zwykłych, komercyjnych satelitów geofizycznych i meteorologicznych. Złamanie algorytmów sterowania.

Znamy twoje osiągnięcia, I mamy odciski palców. Uśmiechnął się, Powinni łapać innych szpiegów, nie wenezuelskich.

- A jeśli nie? - spytał ostrożnie.

- Dlaczego? - odparował Arik.

Spowaźniał, już nie błyskał zębami jak arabski terrorysta dolatujący do WTC.

- O tym później. Najpierw chcę wiedzieć, co się stanie, jeśli odmówię? Będę tu kiść do usranej śmierci? Aż dostanę białoruskie obywatelstwo przez zasiedzenie, bo tylko dla mnie nie opłaci się utrzymać obozu?

Arik zabębnił palcami po blacie.

Udaje zakłopotanie, pomyślał Frodo..Żaden agent nie robi takich rzeczy bezwiednie, wyleciałby na początku szkolenia i w najlepszym wypadku skończyłby w ochronie ambasady.

- Nie - powiedział wreszcie oficer izraelskiego wywiadu. - Nie zostaniesz. Nie uciekamy się do szantażu, nic z tych rzeczy. Gramy fair.

- Odstrzelisz mnie na miejscu ze swojej beretty?

Palce przestały bębnić po blacie. To jest dopiero efekt zakłopotania, pomyślał Frodo.- Nie - mruknął Arik. - Nie wrócisz już do obozu, niezależnie od swojej decyzji. Nie możesz. Wyjedziesz jeszcze dzisiaj, dostaniesz paszport ważny na wszystkie kraje świata. Prawie wszystkie.

Uśmiechnął się.- Co prawda egipski, ale bardzo dobry - zastrzegł szybko, - Nawet do Egiptu wjedziesz bez problemów.

Frodo się roześmiał, Arik popatrzył na niego.- Z ważną szwedzką wizą. Bierzesz? Czy wolisz ten drugi? Frodo spowaźniał.- A mogę się zastanowić?

- Możesz - padła szybka odpowiedź. - Masz dużo czasu. Całą minutę.

Skończył się żarty.

- Dostanę papierosa? - spytał Paweł Leśniewski, by zyskać jeszcze chwilę.

- Nie palę - mruknął Arik.

Frodo popatrzył na tandetny zegar elektryczny na ścianie. Na wskazówkę odmierzającą ostatnie sekundy.

- Wiesz, Arik, czy jak tam naprawdę się nazywasz, - zaczął, zanim jeszcze sekundnik zatoczył pełne koło. - Wiesz, ja jestem Żydem z mianowania. Nie z matki, nie z wiary. Długo się nad tym nie zastanawiałem. Ten mój wygląd to igraszka genów, brat przypomina nordyka, wyższy ode mnie o pół metra, blondyn. Ojciec... Nigdy się nie zastanawiałem, kim był mój ojciec, kim był dziadek. Nigdy o tym nie mówiliśmy. Myślę, że ich też to nie obchodziło. Żyłem w Polsce, czułem się Polakiem. Wkurwiało mnie wiele rzeczy, ale wiesz, right ór wrong, my country... Pracowałem, gdzie pracowałem, byłem pod ochroną. Do czasu kiedy wywalili mnie jak psa. Jak śmieć. Za grzechy przodków.

Przerwał na chwilę. Wpatrywał się w zegar, we wskazówkę, której ruch już nie miał znaczenia. Czas się skończył, decyzja została podjęta.

- Żyłem w kraju, w którym słowo Żyd było popularnym wyzwiskiem. Gdzie Żydzi winni byli wszelkiego zła, Żydzi wirtualni, bo innych nie ma, tak sobie tłumaczyłem. Aż do dnia, kiedy sam zostałem Żydem...

Frodo zdusił z niesmakiem niedopałek camela. Normalnie palił mało, a teraz poszła już cała paczka, Wagner właśnie otwierał następną.

- Ca ja pieprzę - mruknął niziołek w zamyśleniu. - Przecież nie o tym.

Wagner szczerknął zapalniczką. Nic nie odpowiedział.

- Powiedz, jeśli zaczynam zbaczać z tematu, Inaczej nigdy nie dojdziemy...

- Ponieważ nie bardzo wiem, do czego mamy dojść, to nieistotne - mruknął Wagner. - Opowiadaj, dobrze ci to zrobi...

- Psycholog się znalazł! - prychnął Frodo. Wagner wzruszył ramionami. Zaczynał mieć dość, nieprzespana noc, wypalone dwie paczki papierosów, Najchętniej położyłby się spać, ale nie chciał zostawiać nakręconego tylenolem i alkoholem niziołka własnemu losowi. Bał się, że narobi głupstw.

Zauważył poniewczasie, że silny środek przeciwbólowy w połączeniu z alkoholem podziałał na Froda wręcz odwrotnie. Oczy niziołka błyszczały jak u naćpanego Waleriana kocura.

- Wagner! - rzekł Frodo z naciskiem. - Ja nie opowiadam tego, żeby się wyżalić, kurwa. Chcę ci powiedzieć coś ważnego... Udowodnię ci, że na moich przypuszczeniach można polegać, wykażę ci to jak...

Urwał. Coś okręźnie do tego zmierzasz, pomyślał Wagner bez złośliwości. Sięgnął po puszkę. Wieczko odskoczyło, tym razem chemiczny podgrzewacz zadziałał. Znad puszek zaczęła unosić się para, zabulgotało coś, co napis na puszcze kłamliwie opisywał jako wołowinę, a co bardziej przypominało ekshumowane z wiecznej zmarzliny mamucie ścierwo.

Wagner nie wiedział, jak powinien pachnieć nadpsuty mamut w sosie własnym, ale przypuszczał, że właśnie tak. Nie miał wyjścia, niemiecki rindgulasz skończył się kilka dni temu, w żelaznych racjach zostały tylko liofilizowane amerykańskie truskawki i rosyjskie, twarde jak kamień suchary.

- Zaraz się porzygam. - Frodo pociągnął nosem. - Lepsze było na zimno, mniej śmierdziało... Daj papierosa...

- Po nim też się zaraz porzygasz - ostrzegł Wagner, wyciągając paczkę. Frodo zapalił, zaciągnął się. Wydmuchnął precyzyjne kółko.

- Chodzi o to, Wagner, że jestem dobrym analitykiem. Potrafię składać fakty. Wtedy przewidziałem i teraz też...

Wagner zdecydowanym ruchem odstawił parującą puszkę z tkwiącym w niej widelcem.- To może powiedz od razu - odezwał się, - Daruj sobie przykłady własnej nieomyślności, tylko po prostu powiedz, Postaram się zrozumieć. Uśmiechnął się krzywo, odgarnął z czoła długie, siwe włosy.- Przynajmniej się postaram, mimo mojej naiwności czy jak tam powiedziałaś.

Frodo wypuścił następne kółko, przekręcił się na bok. Utkwił w Wagnerze spojrzenie błyszczących od alkoholu i barbituratów oczu.- Nigdy tego nie mówiłem, ale skoro tak twierdzisz... - zakpił. - Nie mówiłem o tobie, mówiłem tylko, że ja potrafię logicznie myśleć... Nie - podjął po chwili, - Wciąż nie mam pełnego obrazu, jeszcze nie mogę, Na razie to tylko spekulacje, nie należy ich przedstawiać w tym stadium, tak mnie uczyli. Żeby nie wpływać na wnioski.

Przetarł twarz.- Co ja pieprzę - mruknął z niesmakiem, - Jakbym wciąż siedział w Sztapie Generalnym i musiał chronić własną dupę, jeśli się przypadkiem pomyłę... W porządku, wyjaśnię ci. Nawet nie musisz mi opowiadać, co zaproponował Rościszlawski. Domyślam się. Dał ci wolną rękę, jeśli chodzi o Czeczenców, których wystawia ci Kędzior... Trafiałem? - Zaśmiał się, dostrzegając zaskoczenie na twarzy Wagnera.

- I tak bym ci powiedział - mruknął Wagner z zakłopotaniem. - Owszem. Ale czegoś się nie domyślisz...

- Jak nie dasz rady odstrzelić tego blackhawka, to masz sprowokować go do przekroczenia granicy. Wtedy sami go sprują.

Uśmiechnął się, słysząc, jak Wagner międli w ustach przekleństwa. Wytrzymał jego podejrzliwe spojrzenie.

- Nie twierdzę, że zgadłem - mówił spokojnie, wciąż uśmiechając się wrednym, tylenolowo-alkoholowym uśmiechem, w którym przebłyskiwało tłumione szaleństwo. - To ona mi powiedziała. Po to ją tu przysłał. Wszystko się składa, podejrzenie do siebie pasuje...

- Frodo, co się składa... - zaczął Wagner, gdy minęło zaskoczenie. - To normalne. Śmigłowiec blokuje przemysł, z którego żyje Rościszawski i cały garnizon. To interes, nic więcej, A Czeczeńcy to zagadka, nie wiadomo, kto za nimi stoi, czy aby nie ktoś ważniejszy od naszego kochanego generała. Wiemy już, kogo mieli tutaj, szef wywiadu okręgu to nie byle kto. Nie doszukuj się.

W śmiechu niziołka pobrzmiwały nutki hysterii. Ma dość, pomyślał Wagner z niepokojem.

- Wszystko w porządku - wykrztusił w końcu Frodo. - Wszystko, eep, w porządku...

Nie mógł zapanować nad przeponą, atak śmiechu przeszedł w czkawkę. Wagner bez słowa wstał, po chwili wrócił z manierką wody.

- Mógłbym cię jeszcze przestraszyć. - Uśmiechnął się. - Ale nie wiem, czy dziś dałbyś się przestraszyć. Frodo długo pił z manierki, aż grdyka chodziła na posiniaczonej szyi. - No, przeszło - powiedział z ulgą, - Już, eep, A niech to szlagi. - Znow podniósł manierkę. Gdy ją odstawił, milczał przez dłuższy czas, nie wiedząc, czy czkawka nie wróci.

- Wszystko w porządku - zaczął wreszcie. - Aż za bardzo. Wszystko się zgadza, tale jak ma się zgadzać. Wszyściuteńko... A ja nie lubię, jak się wszystko zgadza, coś powinno nie pasować, ot tale, przypadkiem...

Wagner spojrzał z ukosa. - Wiesz, stary, co to jest paranoja?

- Wierni - odpalił niziołek. - To bardzo pożądana cecha każdego dobrego pracownika wywiadu. A ja jestem dobrym analitykiem...

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Cholernie dobrym... Zawsze byłem...

Małe pomieszczenie na zapleczu brytyjskiej ambasady. Sekcja interesów państwa Izrael w Mińsku. Pokoik prócz Froda i Arika zajmowała jeszcze młoda dziewczyna o słowiańskiej urodzie i swojskim imieniu Monika, Frodo nie wiedział, czym się zajmuje, i

wcale go to nie interesowało. Miał porządny komputer i masę własnych zajęć, które po półrocznej beczynności sprawiały mu wiele uciechy.

Porządny komputer stanowił w istocie tylko końcówkę podłączoną do podejrzanego elektronicznego złomu na stole, zajmującego większą część pokoju. Ten złom, jak Frodo szybko doszedł do wniosku, był potężnym serwerem, wieloprocesorowym, z macierzą dyskową i własnym łączem satelitarnym. Cóż z tego, że brakowało mu obudowy, wszystko wyglądało jak zwalone na kupę na rozłożonych pieczołowicie gazetach. Serwer znakomicie podnosił temperaturę w małym pomieszczeniu i nieznośnie szumiał licznymi wentylatorami.

Pierwszym zadaniem, do jakiego wziął się Frodo w nowej pracy, było włamanie do warszawskiej sieci Sztabu Generalnego, Ściągnął stamtąd swoje oprogramowanie do obróbki zdjęć, choć miał teraz dostęp do znacznie lepszych satelitów, i to na każde życzenie, a nie podczas nielicznych okienek. Arik z początku zrzędził i narzekał na niepotrzebne ryzyko. Zmienił zdanie, gdy zobaczył rezultaty. Podobała mu się zwłaszcza fotografia rosyjskiego pancerniaka, odlewającego się na gąsienicę własnego czołgu. Nawet z orbity można było stwierdzić, iż dzielny wojak niewątpliwie leczy właśnie trypra.

Frodo oficjalnie należał teraz do brytyjskiego personelu pomocniczego. Mieszkał w mieście, wprawdzie w obskurnym hotelu, lecz i tak znacznie lepszym od obozu. Nawet żarówkę dostawało się w recepcji, a prąd wyłączano rzadziej niż gdzie indziej. Pobierał deputat żywnościowy, wołał nie jadać w stołówce ambasady, mimo iż nazywał się teraz Paul Lesnieysky i pochodził z RPA. Ale miał słaby afrykanerski akcent.

Wreszcie praca, po miesiącach beczynności. Okazało się, że kiedy tkwił w zawieszeniu, W ograniczonej przestrzeni sprowadzonej do zabłoconego placu, bloków z wielkiej płyty i drutu kolczastego, na świecie wiele się wydarzyło. W obozie nic do niego nie docierało, świat zredukował się do kłótni w przepelnionych pomieszczeniach, nieodmiennie stęchłej kaszy i snucia się wzdłuż ogrodzenia. Głośniki w pokojach wycharkiwały wprawdzie jakieś wiadomości, ale wszystko było odległe, dziejące się gdzieś w innym, równoległym świecie, nie mającym punktów styczności z tym realnym, zamkniętym. Teraz dziwił się, jak mogło do tego dojść, jak łatwo upodlić człowieka, odebrać mu wszystko, łącznie z ciekawością.

Ciekawość wróciła. Ale nie wyzbył się nieufności, która powodowała, że przemykał się pomiędzy ambasadą i hotelem, rzucając na wszystkie strony ukradkowe spojrzenia, Najchętniej przesiadywał właśnie tutaj, w małym, dusznym pokoiku, przed monitorem.

Przyszłość była wciąż niejasna. Zarówno osobista, jak i całej reszty świata.

Najdziwniejsze było to, że nikt już niczemu się nie dziwił. Bez wielkiego echa przeszła wiadomość o pakcie zawartym pomiędzy Izraelem, Syrią, Irakiem i Egiptem. Ot, trochę komentarzy, zupełnie rozbieżnych, jakby komentatorzy też do całej sprawy podchodzili bez przekonania. Więcej miejsca poświęcono zajęciu Krymu przez armię rosyjską, poszło o bazy morskie. Z początku, gdy rosyjskie zagony pancerne przekroczyły ukraińską granicę, wydano nawet jakąś rezolucję, kolejne poważne ostrzeżenie Rady Bezpieczeństwa, poparte przez Departament Stanu. Ale drugiego poważnego ostrzeżenia już nie było, bezwzględna sprawność, z jaką Rosjanie osiągnęli założone cele, zamknęła wszystkim usta. Rosyjski niedźwiedź okazał się niedźwiedziem, a nie, jak niektórzy mieli nadzieje, wyliniętym pluszowym misiem. Tym bardziej że Amerykanie sami mieli poważny problem, Arabia Saudyjska wypowiedziała dzierżawę baz i zażądała opuszczenia swojego terytorium przez obce wojska, Kongres nagle zauważył, że Arabia Saudyjska jest państwem autorytarnym. Obce wojska więc pozostały, by zaprowadzać demokrację na prośbę obywateli. Wkrótce ich dowódcy z przerażeniem stwierdzili, że przeciwnikiem nie jest setka czołgów z dywizji wiernych dynastii Al Saudi, ale kilka tysięcy irackich T-72. Niebawem konsternacja jeszcze się zwiększyła, po niefortunnej próbie zatrzymania irackiego zbiornikowca w cieśninie Ormuz. Tankowiec wezwał pomoc, którą okazały się irańskie kutry rakietowe. Pociski Silkworm były stosunkowo powolne, miały małe głowice. Ale trzy trafienia wystarczyły, by posłać na dno fregatę klasy Perry.

Przy tych wydarzeniach kolejne walki o Kaszmir, lądowanie francuskich spadochroniarzy w Kongu i wzrost napięcia pomiędzy Meksykiem i USA przeszły w zasadzie bez echa.

Zamieszanie, którego nie relacjonowano w prasie i telewizji, widać było tylko na zdjęciach satelitarnych. Świat zamiast tego pasjonował się planowanym bojkotem olimpiady w Pekinie, przygotowaniem do impeachmentu w związku z oskarżeniami młodego stażysty z Białego Domu. Na topie był proces, który agent Stephen Kinga wytoczył producentom nowego reality show, odnoszącego w wielu krajach olbrzymie sukcesy. Producenci zabiegali o oddalenie pozwu, twierdząc, iż prawa nabyli od niejakiego Bachmana. Głośny był kolejny proces o podział Microsoftu, Forsowanie przez lobbystów ustawy o zniesieniu ochrony pingwinów okazało się w końcu plotką.

Zdjęcia satelitarne pokazywały, że nad Atlantykiem było gęsto od samolotów transportowych Galaxy i Globemaster. Polska zniknęła ze światowych serwisów. Relacje z obozów na Bałkanach przyciągały więcej widzów, obozy były rozleglejsze, a jak dobrze poszukać, to i masowy grób się znalazło. Wszystkich i tak pobiły na głowę po raz kolejny

plemiona Tutsi i Hutu, człowiek zarabany maczetą o wiele lepiej wygląda w telewizji niż zwyczajnie zastrzelony, W relacjach z humanitarnych bombardowań kosowskich Albańczyków podawano już tylko tonaż bomb, równie ciekawy jak ceduły giełdowe, Pewien niezależny ekonomista policzył, że wartość zubożonego uranu dostarczonego do Kosowa przez samoloty szturmowe przewyższa wartość majątku narodowego Albanii brutto, planowaną na rok 2050. O Polsce wspominały już tylko stacje niemieckie, przy okazji aresztowania kolejnego działacza na Opolszczyźnie, Wiadomości o zamieszkach i strajkach nie wychodziły poza rozgłośnie lokalne, wzywające do powściągliwości, pracy i modlitwy, z braku Żydów odpowiedzialnością obarczając agencję Watykanu, Nawet wysadzenie pomnika w Nowej Hucie przeszło bez echa, tym bardziej że efekt był mizerny. Frodo przez pierwsze tygodnie nadrabiał zaległości. Do pomocy dostał Monikę, która jednak okazała się dosyć głupia. Zwykle dostarczenie zszywki gazet z archiwum ambasady przekraczało jej możliwości. Jak Frodo podejrzewał, największy pożytek z Moniki, co prawda wykraczający poza sprawy służbowe, miał Arik.

Nie dostał żadnego konkretnego zadania. Początkowo usiłował śledzić sytuację w Polsce, potem zainteresował się światem, A ten oszalał. Następnie przyszła refleksja, że zmierzał ku temu już od dawna. Tłące się lokalne wojenki zaczynały się rozpalać, nieprawdopodobne sojusze i przetasowania były na porządku dziennym.

Zajmował się Polską i sąsiadami. Takie przynajmniej dostał polecenie, według Arika to właśnie stanowiło zadanie mińskiej rezydentury. Trochę to było dziwne, ta cała rezydentura, jeden oficer, głupia szikse, i on, Izraelita honoris causa.. Przecież to, co właśnie robił, analizy zdjęć i doniesień z białego wywiadu - czyli po prostu wycinków prasowych - mógłby robić równie dobrze ktokolwiek w Tel Awizie.

No, może nie ktokolwiek. Doświadczenie i znajomość realiów też się liczyły. Ale dlaczego tutaj?

Wagner siedział na betonowych schodkach przed wysadzonymi z zawiasów drzwiami. Głowa pękała mu z bólu. Za dużo papierosów i samogonu udającego koniak.

Frodo w końcu zgasł jak świeczka. W jednej chwili zamknął oczy i zasnął w pół zdania. Ale zdążył powiedzieć wystarczająco dużo, by Wagner miał teraz nad czym rozmyślać, coraz bardziej skłaniał się do przyznania, iż Frodo ma rację, Coś tu nie pasuje. Ze złością zgniótł pudełko po camelach. Dwa ostatnie wypalił mrukiwy porucznik, który wreszcie przyjechał po zwłoki Kirpiczewa i fałszywych specnazowców, Już sam jego przyjazd wyprowadził Wagnera z równowagi, bardziej niż wypalenie ostatnich

papierosów. Wcześniej przypuszczał, że w końcu będzie musiał wykopać dół obok psa i samemu ich pochować.

Założył się nawet z niziołkiem, który twierdził, że teraz wiele się zmieni, że dzieje się coś takiego, co nawet znanych z niefrasobliwości Rosjan zmusza do sprawnego działania. I okazało się, że mały miał rację. Nie trzeba było kopać dołu, zjawiała się cała ekipa z eleganckimi plastikowymi workami. Nie zwykli grabarze, raczej grupa śledcza wywiadu. Nawet łuski starannie wybierali, a porucznik z niebieskimi wyłogami długo zamęczał Wagnera pytaniami o okoliczności strzału, który Kirpiczewa pozbawił głowy, a niziołka najlepszego monitora. Porucznik był uprzejmy, ale wyłącznie zadawał pytania. Na żadne postawione przez Wagnera nie odpowiedział.

To było bardzo dziwne. Zamiast niedbale wrzucić ciała na skrzynię ciężarówki, przybysze starannie sfotografowali miejsce zdarzenia. Wyglądało na to, że miast jak zwykle w ramach czystki rozstrzelać wszystkich podejrzanych, zamierzają przeprowadzić normalne dochodzenie.

Przypadek, mruknął Wagner pod nosem, zwykły, pieprzony przypadek. A może... Może trzeba się wreszcie zdecydować...

Musiał przyznać jedno, Frodo był dobry w wychwytywaniu szczegółów, w dopasowywaniu do siebie elementów układanki, znajdowania tych istotnych, choćby pozornie odległych i niezwiązanych. Jeśli dać wiarę opowieści, zawsze był dobry, a nie miał powodów, by nie wierzyć.

Sam nie widział jeszcze związku. Dla niego wszystko było zbyt mgliste, zbyt przypadkowe, ale wtedy też nie znał więcej danych.

Strzępy informacji, pozornie odległych, niepowiązanych, z różnych dziedzin. Zdjęcia poligonu w Drawsku, Migawka telewizyjna z zamieszek w Radomiu, z typowym, oklepanym dramatyзмом, chmury gazu łzawiącego, butelki zapalające, ujęcia zmasakrowanych twarzy kobiet i dzieci, Podwyżka cen paliw Rafinerii Gdańskiej.

Frodo już wiedział, dlaczego jest właśnie tutaj, w Mińsku. To był zupełnie peryferyjny kierunek, kotłować zaczynało się na Bliskim Wschodzie. Tu zostawiono tylko takich facetów jak Arik, który - jak Frodo zaczynał się domyślać - miał jakąś plamę w swej karierze.

Mimo to Arik był bystry. Uważnie wysłuchał, co Frodo miał do powiedzenia.

Zdjęcia z KH-11 były nieporównanie lepsze od tych, na których pracował w Polsce, Nic dziwnego, Landsat to typowy satelita geofizyczny, używany do robienia ładnych zdjęć

chmur, cyklonów i frontów atmosferycznych dla telewizyjnej prognozy pogody. Meteorologowie korzystali ze znacznie mniej efektywnych radarów dopplerowskich.

Tymczasem Keyhole był znakomity. Transmitował dane w czasie rzeczywistym, w dowolnym zakresie widma. A najśmieszniejsze, że mimo obecnej przynależności do całkiem innego sojuszu Izrael wciąż mógł z nich korzystać, co świadczyło o niezłym bajzlu w Pentagonie. Zapytany o to Arik tylko się uśmiechał. Po czym pokazał serie jeszcze lepszych fotek, niestety przedstawiających tereny mniej interesujące Froda. Odebranych w czasie rzeczywistym z amerykańskiego samolotu Aurora, tak tajnego, że nie tyle niewidzialnego, ile wręcz nieistniejącego.

W przechwyceniu zdjęć nie było nic niesamowitego ani tajemniczego. Można wydać miliardy na niewidzialny samolot, latający z prędkością pięciu machów na granicy kosmosu. Można wydać następne na system transmisji mikrofalowej, stabilny, kodowany i zabezpieczony przed przechwyceniem. I na koniec zaoszczędzić dziesięć doków, puściwszy kabel sieciowy razem z wiązką innych.

Poligon w Orzyszu, Dobrze ponad setka czołgów rozwiniętych w natarciu. Po obróbce na zbliżeniach widać było nawet pojedyncze kostki reaktywnego pancerza. Dalej bojowe wozy piechoty, stareńkie BWP, których jedyna jak dotąd modernizacja polegała na pomalowaniu w nowy wzór kamuflażu.

Frodo zmarszczył brwi. Coś nie grało, Pomijając już sam fakt zorganizowania ćwiczeń na podobną skalę, coś nie pasowało jeszcze bardziej. Poligon w Orzyszu był mały. To nie Drawsko, gdzie można inscenizować całe bitwy jak na łuku kurskim. Tu nie można było nawet strzelać ostrą amunicją przeciwpancerną, posłana w niebo lądowała daleko za poligonem.

Pokazał zdjęcia Arikowi. Ten poskrobał się po głowie.- Demonstracja siły? - spytał po chwili bez przekonania. Frodo zaprzeczył.- Raczej nie. Bo niby przed kim? Za małe siły na demonstrację międzynarodową. Zresztą, kto o tym wie? Kogo interesuje, co dzieje się na mazurskim poligonie, kiedy rzeczy naprawdę istotne rozgrywają się teraz w Kuwejcie?

Arik podrapał się w głowę. Kliknął myszą, powiększył fragment zdjęcia.

- Strzelają ostrą... - mruknął w zadumie. - Ciekawe, do czego? Frodo wystukał na klawiaturze nazwę pliku. Zdjęcie otworzyło się w nowym oknie. Najechał kursorem, kliknął przycisk zoom.

- Do starych pięćdziesiątekpiątek. I to nie tylko czołgi. Mam też zdjęcia z odpalania TO W. Improved TOW...

Popatrzył znacząco na Arika, który udał, że nie wie, o co chodzi.

Frodo się zamyślił. Bez sensu tyle szmalu wysyłać w powietrze. Jeszcze z czasów pracy w WSI wiedział, że budżet robi bokami, zwłaszcza po sławetnej akcji „kaplica w każdych koszarach. Etaty kapelanów pożerały ogromne pieniądze, zorganizowane wymarsze na pielgrzymki, ostatnio nawet z ciężkim sprzętem - jeszcze większe. Do tradycyjnej triady ziemia-woda-powietrze w odrodzonym Wojsku Polskim dołączył czwarty rodzaj sił zbrojnych, najsilniejszy na świecie korpus kapelanów: A Bóg na sztandarach już dawno zajął miejsce Honoru i Ojczyzny.

Może jednak demonstracja siły, pomyślał bez przekonania. Bez sensu. Pokaz, o którym nikt nic nie wie, milczy nawet reżimowa telewizja. Oglądał ją sumiennie, mimo iż nie mógł znieść drętwej mowy Ojców Prezenterów, Zresztą to bez sensu, do tłumienia rozruchów głodowych lepiej się nadawały pandury i wyspecjalizowane jednostki, Coś tu śmierdzi. - Potrzebuję zdjęć innych poligonów. Drawsko, Legnica, nawet Rembertów, I baz lotniczych, i morskich też...

Arik kiwnął głową, ale sceptycyzm go nie opuszczał.

- Posłuchaj, będzie ciężko. Nie możemy tak rzucać po orbicie tym Keyhole' em, bo się zorientują prawowici właściciele. To jedyny, który przelatuje nad Polską, pewnie tylko dlatego, że ma mało paliwa.

Frodo mruknął coś niechętnie, wyświetlając na ekranie mapę z wycinkiem orbity i zaznaczonym pasem pokrycia.

- Spróbuj. A jak nie dasz rady, to z Legnicy zrezygnujemy. I ze Szczecina.

Wyglądał na mocno niezadowolonego, Arik uważnie mu się przyjrzał.

- Dobrze. Zaraz dam Monice depezę do zaszyfrowania... Albo nie, sam zaszyfruję, wygląda na to, że ci się spieszy.

Frodo nigdy nie mógł pojąć, po co szyfrować depezę, która i tak była wysyłana w postaci milisekundowego, skompresowanego i kodowanego impulsu, Przypuszczał, że chodziło wyłącznie o utrzymanie etatu szyfrantki.

Impuls został wysłany. Wkrótce kanciaste pudło KH-11 drgnęło, resztki hydrazyny w zbiornikach popchnęły satelitę krótkim odpaleniem silników korekcyjnych, Frodo nie mógł w to uwierzyć. Podczas trzech okrążeń Keyhole sumiennie rejestrował całą powierzchnię Polski, wraz ze sporym kawałkiem terytorium państw ościennych.

Jeszcze bardziej zdziwiony był Arik.

- No, no. - powiedział tylko, spoglądając z ukosa na niziołka.

Słowem-kluczem była Ostra Brama.

Po bezsennej nocy spędzonej w obskurnym hotelu przy przydziałowej, dwudziestopięciowatowej żarówce, należącej się lepszym gościom, po niezliczonych kubkach kawy, parzonej grzałką zrobioną z żyłek, Frodo wiedział, co zobaczy na zdjęciach. Miał mało danych. Kilka ujęć manewrów na orzyskim poligonie, wiedzę o ogólnej sytuacji Polsce, w której reżimowi grunt usuwał się powoli spod nóg.

Ucieczka do przodu. Wróg zewnętrzny, przeciwko któremu skieruje się gniew, okazja, by zapędzić bezrobotnych w kamasze, może zginąć i ulżyć budżetowi.

Wróg wewnętrzny już się skończył. Żydzi już za granicą, a komuchy w pierdłu. Nic już nie przesłaniało rzeczywistości, już nie było na kogo zwać wszystkich niepowodzeń. Już nie miał kto rozkładać od środka zdrowego społeczeństwa.

Z zewnętrznym wrogiem też było nie najlepiej. Polska schizma, jak nazywano ją na Zachodzie, ewentualnie obrona dwóch tysięcy lat katolickiego dziedzictwa, jak określano to w Polsce, miała pecha. Rozpłynęła się w następnym spazmatycznym dzieleniu się nieruchawego olbrzyma. Ludowy Kościół Panamerykański był jeszcze niczym, teraz powstawały nawet Katolickie Kościoły Yoodoo i Świątynie Szamaństwa Obrządku Rzymskiego. W samych Niemczech każda diecezja była już samodzielna. Albino I nie nadawał się na wroga. Tak jak Gorbaczow zaczął reformy, które wstrząsnęły skostniałym systemem, i kolejny skostniały system reform nie wytrzymał, Rozpadł się błyskawicznie, szybciej od sowieckiego imperium i o wiele mniej efektownie. Przecież papież nie miał dywizji.

Jedyną ostrzejszą reakcją było prewencyjne zamknięcie w obozach wszystkich chińskich katolików. Teraz Chińczycy pluli sobie w brodę, katolicy i tak by się pokłócili, a tak wstyd na cały świat. Już wkrótce kardynała z Konga czekał los Gorbaczowa, w najlepszym wypadku reklamowanie hamburgerów. Na konferencję prasową poświęconą wznowieniu śledztwa w sprawie śmierci Jana Pawła I przyszło zaledwie kilku lokalnych dziennikarzy, inna rzecz, że pora była fatalnie dobrana, dokładnie w czasie eliminacyjnego meczu o mistrzostwo Europy.

Na wszystkim skorzystali jedynie rozliczni mesjasze najróżniejszej proweniencji, Ale nie reżim strzegący wartości, by w nieokreślonej, ale przecież pewnej przyszłości zanieść je pogańskiej Europie. Ucieczka do przodu. Przez bezsenność w głowie Froda kołatało się jedno pytanie - Lwów czy Wilno?

Czołgi na platformach znacznie przekraczały skrajnię kolejową. Wieże w kształcie klina, szerokie kadłuby. Frodo stuknął ołówkiem w ekran.

- Mógłbyś mnie poinformować - rzucił sucho, Arik nawet się nie zmieszał.

- Mógłbym - odparł. - Ale i tak zobaczyłeś, więc po co? Zresztą to świeża sprawa...

- Widzę. Tak jak ITOW. - Frodo się skrzywił. Był naprawdę zły.

ImroyedTO W, kierowany przewodowe amerykański pocisk przeciwpancerny, zmodyfikowany przez Elbit. Ze sterującym z nosa prekursorem, który umożliwił zniszczenie czołgów chronionych reaktywnym pancerzem. Takich jak wszystkie modyfikacje starego T-72.

Najpierw izraelskie pociski, teraz izraelskie czołgi. Merkayy na platformach kolejowych na bocznicy w Przemyślu. W co wy gracie, przyjaciele, pomyślał Frodo. I od razu doszedł do wniosku, że Arika nawet nie ma po co pytać. Nie ten szczebel.- Mentat musi dostawać prawdziwe informacje...

- Co? - zdziwił się Arik.

- Nie czytałeś „Diuny”? - Teraz z kolei w głosie Froda zabrzmiało zdziwienie. - A powinieneś, w twoim zawodzie to lektura obowiązkowa. Pułapki wewnątrz pułapek w pułapkach...

Arik wzruszył ramionami, Frodo też chciał, ale się powstrzymał. Ostatecznie Arik był przełożonym, co z tego, że niezbyt lotnym. Choć W sumie nie najgorszym.

Wszystko stało się już jasne.

- Wilno - powiedział Frodo. - Nawet Żeligowskiego nie trzeba, bez niesubordynacji, wszystko oficjalnie...

- Kogo? - zdążył spytać Arik. Nie otrzymał odpowiedzi.

- Ile jest tych merkay? - zapytał Frodo. - No, mówże!

Coś w jego głosie spowodowało, że Arik aż się wyprostował.

- Około dwustu. Dostarczone przedwczoraj, do Gdyni, panamskim rorowcem. Prawie same dwójki, ale te zmodyfikowane, z armatami gładkolufowymi. Kilka jedynek, miały być do treningu...

- Nie będzie żadnych ćwiczeń... - mruknął Frodo, powiększając fragment obrazu. Czołgi na platformach po obu stronach wjazdu przedziału ładunkowego miały podwieszane dodatkowe zbiorniki o znajomych kształtach. Typowe, baryłkowate, od siedemdziesiątekdwójek, Warsztaty musiały mieć pracowitą noc, dospawać tyle uchwytów...

Nie będzie treningu. Te czołgi jechały na front.

- Może... - Arik urwał z niedowierzającą miną, - Może to tylko dyslokacja?

Frodo spojrział z niedowierzaniem, Rzeczywiście nic nie rozumie czy się zgrywa? Chyba nie...

- Może. - zalepił. - Całkiem przypadkiem pod ukraińską granicę... Zdecydowanym ruchem zgarnął z blatu papiery. Wyjął z podajnika drukarki czystą kartę, nabazgrał flamastrem wielką jedynekę. Może teraz do niego dotrze.

- Siadaj - powiedział, - Siadaj i patrz.

Na ekranie rozwinął się katalog, Frodo niecierpliwie kliknął.

Siatki maskujące, pod nimi równo ustawione czołgi. Przy nich okrągłe kształty. Maskowanie było niezłe, ale nie chroniło przed milimetrycznym radarem, Następne zdjęcie, już bez siatki, typowe niedbalstwo. Sylwetka PT-91, obok rozwinięta ciemna wstęga.

- Gąsienice, Arik. Trzeba je wymieniać co kilkaset kilometrów. Po takich ćwiczeniach na pewno. Ale po co to robić na poligonie? Ćwiczenia dla obsługi? To dlaczego we wszystkich wozach?

Arik milczał, lecz wyglądało, że jeszcze nadaża.

- Normalnie czołgi pakuje się na platformy kolejowe, zdolność bojową, jak się to łacinie mówi, przywraca się w warsztatach. Proszę, tu jest bocznica...

W nowym oknie otworzył następne zdjęcie. Puste nitki torów, można było zobaczyć nawet drabinkę podkładów. Wyślizgane szyny jak cienkie, srebrne nitki.- Widzisz jakieś platformy? Nie? Na pewno?

Frodo zaczął wpadać w ton sarkastyczny i złośliwy, zupełnie wyprany z szacunku dla przełożonego.

Zbliżenie, powiększenie do granic możliwości obiektywu KH-11 i programu korekcyjnego. Rozciągnięte na piasku traki.

- Popatrz, To nie żaden diabl ani inne badziewie z gumowymi nakładkami, przyjazne dla dróg publicznych, To solidne, ruskie gąsienice bojowe. Wniosek?

Arik spojrzał pytająco.- Te czołgi odjadą stąd same, I nikt nie będzie się specjalnie przejmował, jeśli zniszczą trochę asfaltu, Nie odjadą na ciągnikach niskopodłogowych, bo takich w całej armii jest pięć. Był przetarg, ktoś wziął łapówkę, jak to zwykle bywa. Zrobiła się afera, i zostało tylko pięć, A potem to już nikt nie chciał nam sprzedać nawet guzika do munduru. Poza wami, akurat teraz.

Odepchnął się od blatu, odjechał na krzeselku na kółkach. Popatrzył na Arika.

- To będzie Wilno, Ucieczka do przodu, sukces, którego pożądamy jak kania dżdżu. Dowody? Jeśli ci mało, to masz następne, przejrzyj sobie, Nagłe racjonowanie paliw. Rejestracja bezrobotnych, Co, myślisz, że nagle znaleźli panaceum na bezrobocie? Będą budować autostrady? Nie, rejestracja brzmi lepiej od mobilizacji. Tym bardziej że bezrobotnych mają skoszarować, bo i tak ich nie stać na czynsze. Jakies pytania?

- Tak, Co to jest dżdż?

Frodo urwał, zaskoczony. Po chwili parsknął nerwowym śmiechem.- A niech cię! Spowaźniał.- Daj spokój. Chcesz posłuchać jeszcze? Lotnisko w Mińsku Mazowieckim, F-16 nagle zaczęły latać, i to w parach, na patrol. Nie tylko żeby ćwiczyć szyk orła w koronie czy krzyża na coroczne uroczystości jasnogórskie. Wiesz, o co chodzi?

Arik kiwnął głową. Wiedział, tu przynajmniej udało się osiągnąć światowy rozgłos. Generałowie bali się powiedzieć ojczulkom, że przy podstawie chmur poniżej stu metrów nie robi się powietrznych pokazów, zwłaszcza nad głowami stutysięcznego tłumu. W rezultacie liczba ofiar po zderzeniu dwóch szesnastek przewyższyła liczbę zabitych w Rammstein.

- Wzmacnianie oddziałów na granicy z Ukrainą. Tu wybór jest jasny, Lwowa odbić się nie da. Zwłaszcza teraz, kiedy Rosjanie usadowili się na Krymie i tak naprawdę Rosja i Ukraina to jedno państwo. Merkayy są może i przestarzałe, ale jak je okopać w obronie... Nic ich nie ruszy. Dalej.

Następne zdjęcie, jeszcze wyraźniejsze, zrobione rankiem, w porze tak lubianych przez analityków ostrych, długich cieni, Frodo dźgnął palcem w ekran, podniósł pytająco brwi.

Arik pochylił się nad monitorem, przyglądał się chwilę.

- Gepard? - zaryzykował.

Frodo parsknął krótkim śmieszkiem.- Nie, pudło, Pomyliłeś się, Gepardy z nadwyżek Bundeswehry dostała Rumunia, Zresztą, mogłeś się pomylić, z Rumunami też kręciliście interesy, cała modernizacja ich lotnictwa to wasza robota. Puma w wersji śmigłowca wsparcia, MiG-21 Lancer.

Tak, pomyślał znów, Z ciebie, Arik, nie jest żaden agent. Nadajesz się pewnie, żeby kursować samolotami El Al, jako ochroniarz. Cóż, z tego też można wyciągnąć wnioski, O priorytetach.- To Loara, Dwa działka KDA, rzeczywiście, jak w gepardzie. Wprawdzie znam lepsze zastosowanie dla samobieżnych zestawów niż ochrona lotniska.

Arik mruknął coś z powątpiewaniem. Wciąż wpatrywał się w zdjęcia, zastanawiając się najwyraźniej, czemu ma takiego pecha. Wygodna placówka w Mińsku nagle ma szansę znaleźć się niepokojąco, blisko centrum wydarzeń. To oznaczało kłopoty, A już na pewno koniec słodkiej beczynności i urywania się z pracy w towarzystwie szyfrantki.

- Dość gadania, szefie, pora na wnioski - uciął wreszcie Frodo. - To będzie Litwa. Ucieczka do przodu; aby uciec od problemów wewnętrznych, szukamy wroga. Jak Argentyna i Falklandy w latach osiemdziesiątych. Równie bez sensu i tak samo skutecznie.

Wypadło na boćwinków, pewnie nie wiesz, ale zdarzały się już precedensy, Inaczej zostawał tylko Bornholm albo ewentualnie Lwów, ale przecież nie teraz, kiedy połowa Ukrainy stała się nagle rosyjska. Na Krymie siedzi ten, jak mu tam...

Frodo otworzył jakiś dokument, szybko przejrzał.

- A, Rościsławski... Ciekawe, weteran z Czeczenii i Afganistanu, No więc siedzi tam, na Krymie, a przy okazji w całej wschodniej Ukrainie, Reszta Ukrainy też prawie rosyjska, nie dziś, to jutro...

No tak, pomyślał Frodo, patrząc na skonsternowanego oficera i cielecą twarz Moniki, która wprawdzie nie bardzo pojmowała, o co chodzi, ale kobieca intuicja podpowiadała jej kłopoty. Skończyło się *dolce vita*, niedługo to będzie jedna z ważniejszych placówek. Prawie się roześmiał, widząc minę Arika.- Nie łudź się, stopień prawdopodobieństwa jest bardzo wysoki, graniczący z pewnością. - Frodo użył oficjalnej formułki.- A może... - Arik był już przekonany, ale jeszcze próbował znaleźć dziurę w całym, - Jak to możliwe? Inwazja? Wojna? Z setką czołgów? To jakaś bzdura...

Frodo miał tego dosyć, Popatrzył z ironią.- Bzdura? To przecież powrót do macierzy ziem zabranych przez komuchów... Sto czołgów?

Zapalił, nie przejmując się już, że łamie zarazem izraelski regulaminy i King' s Regulations. Ostatecznie znajdowali się na terenie ambasady brytyjskiej.- Wiesz, ile Litwini mają czołgów? Ani jednego...

Rozejrzał się za popielniczką, której naturalnie nie znalazł. Zamiast niej użył kubka z monogramem Arika.- Ile helikopterów? Nie wiesz? To ci powiem, trzy. Kilka transporterów, M113, łaskawy dar armii amerykańskiej, która nawet zamalowała przestrzelmy jeszcze z Wietnamu. Trochę fińskich haubic, stopiątek. Liczba samolotów bojowych - zero.

Strzepnął niecierpliwie popiół, aż wypadł cały żar. Resztką kawy na dnie kubka zasyczała.

- Sto czołgów w zupełności wystarczy. Ze wsparciem lotniczym... Owszem, będą straty, boćwinkowie mają od cholery ręcznej broni przeciwpancernej i bardzo nie lubią Polaków, a ci idioci skierują czołgi do miasta. Ale co to za wyzwalenie bez strat, bez ziemi ojców krwią zbroszonej? Za kogo potem msze odprawiać, kogo pośmiertnie odznaczać? Nie, mój drogi, to się uda. Bardziej mnie niepokoi, co stanie się później...

Izraelski oficer kręcił głową w oszołomieniu.

- Powiem ci jeszcze jedno - dodał Frodo, by ostatecznie go pognębić. - Ja nie jestem jedynym geniuszem na całym świecie. Te zdjęcia oglądają inni. Nie rusza się satelity bez powodu, sam to niedawno mówiłeś. Więc lepiej pisz meldunek, to nie będziemy na końcu...

Operacja Ostra Brama, pomyślał Frodo, gdy już został sam. Tak się to pewnie będzie nazywać, W raportach z nasłuchów, które przeglądał, bo nie miał zdrowia czytać w całości, słowa te ostatnio często się powtarzały. Ostra Brama, dziedzictwo wiary. Powrót do macierzy.

Pozostało do zrobienia tylko jedno. Frodo miał dobrą pamięć, I dobre oko do wpisywanych na klawiaturze haseł, Nawet nie musiał korzystać z keychecka, którego sobie założył, oczywiście nielegalnie i bez wiedzy Arika. Wprawdzie domyślał się tego, co zobaczy, mimo to aż drgnął. Przykryte siatką rzędy PT-91, kręgi zwiniętych gąsienic. Kolumna rozpoznawczych żbików, zmodernizowanych BRDM-ów na leśnej drodze. Zdjęcia w podczerwieni, w małej rozdzielczości, baza lotnicza z niewyraźnymi sylwetkami myśliwców.

Amerykański supersamolot rozpoznawczy Aurora fotografował to samo.

Frodo przejrzał jeszcze ostatnie wiadomości w sieci, W zasadzie wystarczyło tylko jedno zdjęcie. Ogromne cielsko lotniskowca w cieśninach duńskich, otoczone pontonami aktywistów Greenpeace.

Odsunął krzesło, zapalił następnego papierosa, wydmuchując dym prosto w kierunku czujki przeciwpożarowej, którą zakleił gumą do żucia. Strząsał popiół do kubka Arika, długi czas siedział bez ruchu.

- Ale nam wpierdolą... - powiedział w końcu na głos. - Wpierdolą nam wszyscy...

Potem dotarło do niego, jakiego użył słowa. Słowa „nam”.

Też wykombinował, pomyślał Wagner z irracjonalną złością. Bezbłędnie.

Czuł, że i tym razem niziołek ma rację. Sam zdawał sobie z tego sprawę. Ale jeszcze nie chciał się do tego przyznać.

Wiedział, że wszystko, co robił, to mrzonki. Jest jak mrówka na szlaku walca drogowego. To, co robi, może być ważne dla niego. I pewnie dla nikogo więcej. Mimo to nie chciał się z tym pogodzić. Jeszcze nie teraz. Ale po raz pierwszy od długiego czasu nie wiedział, co zrobić.

Dał się ponieść irracjonalnej złości, Pieprzony mądrala! Wszystko przewidział, nawet wtedy.

Wszystko prócz najważniejszego. Wagner przyznawał, że jest niesprawiedliwy. Frodo nie widział wówczas najważniejszego zdjęcia, nie tego z satelitów wywiadowczych czy

supertajnego samolotu. To kluczowe zdjęcie pochodziło z cywilnego satelity geofizycznego, nie było na nim nic tajnego, żadnych okrętów ani samolotów. Przedstawiało ocean u wybrzeży Norwegii. A raczej rozkład jego temperatur.

Nieważne, pomyślał Wagner. On po prostu ma dość, jak my wszyscy. Nie wytrzymujemy tej całej hipokryzji. Odbija nam. Ale w jednym ma rację, trzeba kończyć, Dość tego, trzeba skorzystać z propozycji, drugi raz okazja się nie nadarzy, I spieszać stąd jak najdalej.

Ale jeszcze nie teraz. Przecież przyjąłem kontrakt. Zdążę. Wszyscy zdążymy.

Niepewne dane. Incydent na Morzu Północnym, dziwne działania Rosjan, niepasujące do nich, do całego schematu zachowań, do ich mentalności. Oderwane poszlaki, jak ten pieprzony helikopter, akurat zmodernizowany...

Jeszcze mam czas, powtórzył w myśli, przechadzając się po zachwaszczonym podwórku. Wreszcie stanął przy ledwie widocznym, niskim wzgórku świeżo uklepanej ziemi.

- No i co, kundlu, Ty też myślałeś, że wszystko jest w porządku? - spytał na głos.

Pies nie odpowiedział. Był martwy.

Rower klasy stealth podskakiwał na pokruszonym, pełnym wyrw asfalcie. Pochylony nad kierownicą Frodo pedałowal z całych sił. Coraz mocniej, jakby wysiłkiem fizycznym chciał zagłuszyć myśli.

Ale nie udawało się. Machinalnie omijał co większe dziury w jezdni nienaprawianej od lat, zmieniał biegi, gdy musiał wjechać na piaszczyste pobocze, by ominąć zwalone pnie tarasujące drogę. Wciąż jednak widział twarz Wagnera, powtarzał sobie w nieskończoność słowa, które najpierw mówił spokojnie, by w końcu wykrzyknąć.

Stary, siwy dureń!

Koło podskoczyło na kamieniu, ledwie utrzymał równowagę. Ale nie zwolnił, jeszcze mocniej nacisnął pedały. Droga stawała się nieco lepsza, asfalt mniej potrzaskany, aż do samej Ostrowii ostatnie trzy kilometry. W łydkach i udach odzywał się już tępy ból, Frodo jednak nie zwalniał. Stary, siwy dureń!

A ty, Frodo? Zrobiłeś wszystko? No powiedz, zrobiłeś wszystko dla...

Dla przyjaciela?

Jedynego przyjaciela, jaki ci pozostał.

Wilgoć zasychająca na owiewanych pędem powietrza policzkach. To tylko pot.

Nie zrobiłeś wszystkiego. Zacząłeś gonić za własną mrzonką, olałeś sprawę. Za dobrą monetę przyjąłeś zapewnienia; obietnicę daną na odczepnego. Wiedziałeś, że nie możesz

uwierzyć, nie powinieneś. Ale uwierzyłeś, dla świętego spokoju, po to, by gonić za swoim mirażem.

Trzask przerzutki. Już można jechać środkiem szosy, jeszcze szybciej.

Dupa z ciebie, nie analityk, Frodo, Wyciągasz wnioski, przedstawiasz je, a nie chcesz zadać sobie trudu, by je potwierdzić. Bo nie masz na to czasu, bo odpuściłeś sobie wszystko. Wszystko poza jednym. I nawet tu nic nie osiągnąłeś. Więc nie dziw się, że nie uwierzył. A jeśli nawet uwierzył, to nie potrafił przekonać samego siebie. Nie mógł przyznać, że wszystko się kończy.

Stary, siwy dureń.

- Nie znalazłeś?

Frodo z ulgą powitał zmianę tematu. Nie żeby specjalnie chciał opowiadać o swych poszukiwaniach, nie uwieńczonych najmniejszym sukcesem. Długich, kosztownych, niekiedy ryzykownych. Nie chciał uchodzić za faceta zadającego zbyt wiele pytań w strefie przygranicznej, wypyującego o rzeczy niewątpliwie stanowiące tajemnicę wojskową. Co gorsza sprawiał wrażenie, że o tych tajemnicach już wie stanowczo za dużo.

Bez powodzenia. I wszystko wskazywało na to, że nic się nie zmieni.- Jak grochem o ścianę - powiedział smętnie, czując na sobie uważne spojrzenie Wagnera. - Nie wiem, nie widziałem, brak w ewidencji. To ci uprzejmiejsi. Mniej uprzejmi pytają zazwyczaj, z kim się na łeb zamieniłem, Ci jeszcze mniej uprzejmi chcą zamknąć albo rozstrzelać. Albo i jedno, i drugie.

Wagner pokręcił głową.- To niebezpieczne, Frodo. - powiedział, niespecjalnie przekonany, że jego opinia coś tu znaczy.

Niziołek doskonale wiedział o niebezpieczeństwach. I nie zamierzał wcale rezygnować. Na tym właśnie polegają obsesje, pomyślał Wagner i zaraz się skrzywił. Zbyt samokrytyczna była ta myśl.

- Myślisz, że nie wiem?! - wybuchnął Frodo i zaraz ugryzł się w język. Jeszcze tego brakowało, żeby zaczęli się na siebie wydzierać.- Wiem - dodał już spokojniej. - Zdaję sobie z tego sprawę. Ale ja... Ja muszę... A ty...

- Ja nie muszę? - spytał pozornie spokojnie, Wagner. Tylko bardzo uważne ucho mogło wylapać w jego głosie niebezpieczne nutki, Tylko ktoś, kto go bardzo dobrze znał, mógł się zorientować.

- Daj spokój... - dodał szybko Wagner, - Lepiej mów, co zdołałeś...

- Mogę to określić jednym słowem... Gównno.

Stary, siwy dureń...

Frodo przełknął coś, nie wiedział, czy łyzy spływające do gardła, czy może ślinę.

A ty, zamiast pieprzyć... Mogłeś spróbować, jeszcze raz. Ale nie spróbowałeś.

Ledwie zahamował przed wielką dziurą, w której na pewno pogiąłby aluminiowe obręcze. Asfalt się zapadł, woda zbierająca się w zarośniętych zielskiem, nieoczyszczanych rowach wypłukała piasek i żwir. Nie dało się przejechać, musiał zsiąść i przeprowadzić rower.

Dopiero gdy stanął po drugiej, stronie zapadliska, poczuł, jak jest zmęczony, Tępy ból przeszywał przesycone kwasem mlekowym mięśnie. Koszulkę miał całkiem przesiąkniętą potem.

Chwilę prowadził rower, czekając, aż uspokoi się oddech i przycichną głucho uderzenia serca. Ale wkrótce nie wytrzymał, wskoczył na siodelko, jeszcze mocniej naciskał pedały, trzaskała przerzutka, przełączana na coraz wyższe biegi. Gnał jak przedtem środkiem szosy, by uciszyć kłębiące się w głowie myśli, Z jedną, przewijającą się stale.

Stary, siwy dureń.

- To na nic, Frodo. - Wagner wydawał się pochłonięty podgrzewaniem puszki niemieckiego gulaszu. Wprawdzie konserwy pochodziły jeszcze z czasów ostatniej ofensywy, a daty przydatności do spożycia wybitej na wieczku lepiej było nie czytać, ale i tak gulasz wydawał się znacznie lepszy od rosyjskich racji wojskowych. A o inną żywność było coraz trudniej.

- To na nic... - powtórzył Wagner, mieszając mięso na patelni bagnetem od kałacha. Zawsze powtarzał, że te bagnety tylko do tego się nadają, - Wiem, że trudno ci się z tym pogodzić, ale nie znajdziesz jej. Nie masz szans.

Spochmurniał na widok nieobecnego wzroku niziołka. To na nic, pomyślał.

Przykręcił ostrożnie płomień. Rosyjskie benzynowe prymusy miały wiele zalet, zwłaszcza teraz, kiedy o butlach z propanem już dawno słuch zaginął. Działały na wszystko, od benzyny do nafty lotniczej. Miały tylko jedną wadę - często wybuchały.

.To na nic, myślał Wagner, drapiąc patelnię bagnetem i zeskrobując kawałki mięsa, które do niej przywarły. Nie posłucha, wbił sobie do łba i nic tego nie zmieni.

Niemniej spróbował jeszcze raz.

- Nie znajdziesz - starał się mówić jak najspokojniej, podobno na szaleńców najlepiej to działa. Nie był przekonany, - Sam powiedziałaś, że to wyjątkowo tajna operacja. Tej jednostki oficjalnie nie ma i nigdy nie było. Ona już może być zupełnie gdzie indziej. Inaczej się nazywa i ma inne zadanie. Nikt o nich nic nie wie, w każdym razie na tym

zadupiu. Pomyśl, nawet Kirpiczew się naciął, Rościszewski po prostu miał znajomości, mógł ściągnąć, kogo chciał. To jedynie dowodzi, że mówił prawdę, że rzeczywiście czuł się zagrożony przez Kirpiczewa i jego czeczeńską mafię. Uśmiechnął się.

- A raczej odwrotnie, przez czeczeńską mafię i ich Kirpiczewa... Frodo milczał. Słyszał to już przedtem, nawet kilka razy, Wagner nie powiedział nic nowego.

Wagner przykręcił płomień, zdjął patelnię z prymusa, Nakładał parujący gulasz na plastikowe talerzyki, znalezione niegdyś na stacji benzynowej. Talerzyki okazały się niezniszczalne, tandetny plastik wytrzymał całe lata użytkowania.- Gdzieś powinien być pieprz - mruknął, - Szwaby nie potrafią przyprawiać konserw... Dzięki.Posypał mięso pieprzem ze słoika podanego przez niziołka, zamieszał.

- Musisz się z tym pogodzić - powiedział pomiędzy jednym kęsem a drugim. - Zrozumieć...

Frodo cisnął widelec na podłogę, Zerwał się, o mało nie wywracając składanego aluminiowego stolika turystycznego.- Co mam, kurwa, zrozumieć?! - wrzasnął, plując gulaszem. - Ze jej już nigdy nie zobaczę? Jedynej dziewczyny, która... Jedynej...

Zająknął się. Na wargach drgały przyklepione włókienka mięsa.

- Mam zrozumieć? Posłuchać ciebie, że to na nic, i zrezygnować, tak po prostu?! Bo to, kurwa, niemożliwe? Niebezpieczne? Tak po prostu zrezygnować?

Wagner grzebał machinalnie widelcem w gulaszu, wpatrując się w brunatne grudki mięsa.

- Wiesz co? - sapnął Frodo, - Nie pouczaj mnie. Nie jestem taki jak ty i Kaśka, tfu, przepraszam, Stokrotka... Przecież ona obraża się, jak ją tak nazwać, ona jest Stokrotką, wolną bojowniczką, postrachem pogranicza... Nie może przyznać, że chciałaby stąd uciec jak najdalej. Najlepiej z tobą. Nie może przyznać, bo przecież obowiązek. Pytam ja się, kurwa, wobec kogo? Czy wobec czego?

- Może wobec siebie - powiedział bardzo cicho Wagner, nie podnosząc wzroku.

- A," wobec siebie. - Frodo już nie krzyczał, wpadł w ton cichy i zjadliwy, - To tak jak ty, wiedzmin prawy. Ty masz misję. I kodeks. I tylko, kurwa, oboje nie potraficie dostrzec, co się dzieje, Nie potraficie zobaczyć nawet siebie nawzajem. Nie potraficie zrozumieć, że to, co jest między wami, to prezent od losu, który się nigdy nie powtórzy, Nigdy więcej! Nigdy, jeśli to zmarnujecie...

Podniósł widelec, obrócił w palcach, spoglądając na niego, jakby pierwszy raz w życiu widział taki przyrząd, Dłoń drżała. Otarł ją o połą kurtki.- Może się mylę, Wagner. Może nie jest tak, jak myślę, może nic się nie szykuje, Może to tylko paranoja. Ale mam już

dosyć. Ja chcę stąd spieprzać, jak najdalej... Jak tylko ją odnajdę albo ona mnie. Obiecałem i ona też. Posłuchaj, nawet jeśli nie mam racji, to i tak już koniec. To już nie ma sensu, Wagner, na litość boską, odpuść sobie tego blackhawka, niech sobie lata. Długo nie polata, już gonią resztkami, paliwo mu się skończy i będzie spokój. Jeśli się nie zdecydujesz, to z tobą nie pójdę, mam dość...

- I tak nie pójdziesz - rzucił Wagner, - Jesteś mi tam potrzebny, jak w dupie zęby...

Natychmiast pożałował tych słów. Ale Frodo nie zwrócił na nie uwagi.

- Jeszcze masz wyjście, W każdej chwili. Możesz skorzystać z oferty, wyjechać stąd w cholerę. Będziesz musiał jedynie strzelać do królików i może psów dingo. Ale ty masz misję, masz kodeks. I nawet nie pomyślisz, że przekreślasz nie tylko swoją szansę, odbierasz ją również Stokrotce. Odrzucasz coś, co się nie powtórzy. Czego nigdy nie znajdziecie, ani ty, ani ta nieszczęsna dziewczyna.

Urwał nagle. Siedział w milczeniu, bawiąc się widelcem, obracając go bezmyślnie w dłoni.

- Frodo, posłuchaj... - przerwał ciszę Wagner, - To oferta dla kogoś, kim byłem dawno temu, zanim tomahawk trafił w mój dom. Ta część mnie została pod gruzami razem z moją rodziną, kotami i psem. Ze wszystkim, na czym mi kiedyś zależało. Szwedzi dają szansę tamtemu mnie, nie wiedzą, że go już nie ma. A teraz... Teraz już nie mam nic poza tym tutaj. Poza, jak mówisz, mrzonkami i kodeksem. Nie mam i nie będę miał...

Frodo podniósł głowę.

- Aleś ty głupi - powiedział tylko, - Stary, siwy dureń...

Stalker jest bardzo cichym pojazdem, Czterdzieści ton, opancerzony jak czołg podstawowy. Uzbrojony w trzydziestomilimetrowe działko i wyrzutnię pocisków kierowanych Kornet, niski, o zwartej sylwetce. Idealny do działań rozpoznawczych, cichy jak dobry samochód osobowy.

To wszystko przemknęło niziolkowi przez głowę, kiedy nagle jakby znikąd na drodze przed nim pojawił się niski, przysadzisty kształt.

Frodo nacisnął z całej siły hamulce, to samo uczynił równie zaskoczony kierowca stalkera, który wyjechał całym pędem na środek szosy z leśnej przecinki. Czterdzieści ton bojowego wozu i pięćdziesiąt kilogramów Froda, licząc z rowerem, sunęło na siebie nieubłaganie. Wynik spotkania zdawał się przesądzony.

Hamulce stalkera były niezłe, ale czterdzieści ton stali i kompozytów ma długą drogę hamowania. Mimo odpowiednika ABS, który sprawiał, że szerokie gąsienice nie traciły przyczepności, wóz rozpoznawczy wciąż sunął do przodu.

W ostatniej chwili, gdy od pokrytego zmniejszającą odbicie radarowe siatką czołowego pancerza dzieliły go najwyżej cztery metry, Frodo puścił dźwigienki hamulców i rzucił się wraz z rowerem w bok. Wpadając do rowu, poczuł uderzenie, gdzieś w okolicach tylnego koła.

Leżał chwilę z twarzą wciśniętą w suchą trawę, słysząc tylko cichy terkot wielo trybu we wciąż obracającym się kole. Odgłos ten mieszał się z pomrukiem silnika stalkera na jałowym biegu i wiązkami kunsztownych, wielopiętrowych rosyjskich przekleństw..

Otworzył oczy, podniósł głowę i wypluł piasek. Na próbę poruszył rękoma, potem nogami. Były na miejscu i nawet nie bolały. Piekła tylko otarta skóra policzka, padając, musiał poszorować po żwirze, Wielotryb cykał coraz wolniej, przekleństwa nie traciły na intensywności. Frodo mimowolnie podziwiał zasób słownictwa i inwencję Rosjanina.

Wstał ociężale, popatrzył najpierw na rower, Koło kręciło się powoli, widać było, że jest mocno scentrowane. Przeniósł wzrok na chropawą burtę stalkera, na chroniące układ bieżny fartuchy ze zbrojonej gumy, na płaską wieżę, z której wychylał się żołnierz w czarnym kombinezonie pancerniaka. Miał szeroką, poczerwieniałą teraz z gniewu twarz o mongolskich rysach.

Rosjanin zamilkł, zabrakło mu powietrza albo zdziwił się na widok małego faceta z podrapaną twarzą, który powinien leżeć w charakterze krwawego placka pod gąsienicami. Frodo wykorzystał moment.

- Jak jeździsz?! - krzyknął, - Baranie! To tak się wyjeżdża, z podporządkowanej? Mało brakowało, a bym cię stuknął, i co by było?

Dowódca stalkera chyba nie zrozumiał. Rzucił tylko ostatnie przekleństwo, w którym porównał Froda do narządu płciowego dużego ssaka morskiego. Stalker plunął niebieskim dymem z rur wydechowych, silnik warknął głośniejsz. Wóz ruszył, wykręcił, o mało nie strącając Froda z powrotem do rowu swym tyłem z wysokimi sponsonami, Przewalił się przez drogę, wyrzucając spod gąsienic fontanny darni i piasku.

Zanim zniknął w przecince, niziołek zdążył pokazać oglądającemu się dowódcy międzynarodowy gest.

Podniósł rower i obejrzał bezmyślnie tylne koło. Adrenalina odpływała, czuł się zmęczony, bardzo zmęczony. Przysiadł na krawędzi rowu. Macał po kieszeniach w poszukiwaniu papierosów. Nie znalazł, przypomniał sobie, jak wyrzucał pustą paczkę. Miał kupić w Ostrowi u znajomego pasera.

Splunął ze złością, resztki piasku zazgrzytały w zębach. Trzeba ruszać, pomyślał. Trzeba ruszać, bo... Coś nagle ścisnęło żołądek. Albo wracać. Nie, i tak za późno. Przecież on od wczoraj jest po tamtej stronie. On i pieprzone Wiewiórki.

Wyciągnął rower na drogę, ruszył, nie zwracając uwagi, że aluminiowa obręcz trze o klocek tylnego hamulca. Naciskał z całej siły, rozpędzał się wolno. Ale spieszył się. Tylko po to, żeby zobaczyć na własne oczy, że się nie mylił. Ze wyszło na jego, że na nic obietnice. Stary, siwy dureń. A ty, Frodo, drugi...

- Może masz rację - powiedział w końcu Wagner, gdy już obaj się uspokoili i przestali na siebie pokrzykiwać, - Na pewno masz rację.

Frodo nagle zapragnął się napić Nawet tego zajzajeru, którego zwykle nie znosił. Ale nic z tego, Wagner nigdy nie pił przed wyruszeniem na tamtą stronę, A Frodo nie był na tyle zapobiegliwy, by posiadać jakieś zapasy.- Nawet jakbym nie miał. - mruknął zachrypniętym głosem, czuł, że w gardle mu zaschło - To wszystko poza tym, wszystko o tobie jest prawdą...

Popatrzył twardo na Wagnera, który tym razem nie odwrócił wzroku.

- Wiesz, jeszcze do niedawna na ciebie liczyłem, Miałem naclzieję, że o mnie nie zapomnisz, pozwolisz mi się stąd wyrwać. Bo przecież sam nie dam rady. Liczyłem. Głupi byłem, jak mogłem liczyć, że będziesz pamiętał o mnie... Skoro nawet o sobie nie chcesz pamiętać. Unikasz odpowiedzialności za siebie, za tę dziewczynę, która... Ech, co ja ci będę mówił, Wagner. To jest rzeczywistość. To, a nie tamto, co odeszło kiedyś, dawno. Czemu już nic nie jesteś winien, Tale jak nie jesteś winien już nikomu ani niczemu. Oprócz nas.

Pochylił się nad aluminiowym stolikiem, plastikowymi talerzami, na których prawie nietknięty gulasz zastygł już w nieapetyczne grudy.- Jesteś zupełnie pojebany, Wagner - syknął wiedźminowi prosto W twarz, - Ona jest pojebana, Ja jestem pojebany...

Zbliżył się jeszcze bardziej.

- Jesteśmy po-je-ba-ni! - wyskandował.

Zakręć, wznosząca się droga. Śliwy ałycze zarastające rowy po obu stronach szosy, po lewej ruiny spalonych domów. Jeszcze z pięćset metrów do szczytu wzniesienia... -.

Jechał coraz wolniej, pogięte koło dawało się we znaki, stając na pedałach, zataczał się w obie strony. Nie wiedział, czy to, co dudni mu w uszach, to łomoczące serce, czy może... Zaraz się dowie. Tylko dotrze na szczyt, skąd zobaczy skrzyżowanie i szosę tranzytową na Wyszaków i Warszawę.

Jeszcze kilkadziesiąt metrów.

- Nie mogę odmówić. - Wagner wstał od aluminiowego stolika. Podeszedł do ciemniejącego już okna. Zbliżał się zmierzch.

- Nie mogę - powtórzył, nie odwracając się, mówiąc gdzieś w szarzejącą przestrzeń za oknem. - Muszę to zrobić, bo...

- Bo obiecałeś? - wybuchnął Frodo. - Zaliczkę wzięłeś? Bo kodeks ci zabrania? Człowieku, zejź wreszcie na ziemię...

Wagner się odwrócił, W pokoju było ciemno, Frodo widział tylko kontur sylwetki na tle szarej, prostokątnej plamy okna, Nie dostrzegał skrytej w cieniu twarzy.

- Nie wzięłem zaliczki. Ale podjąłem się, I nie zrobię tego na koniec, nie mogę zrobić, Nie w ten sposób, Frodo.

Urwał na chwilę, opuścił głowę.

- Masz rację. Robię to wyłącznie dla siebie... O czym tu zresztą gadać...

Rzeczywiście. Ty masz pierdolca, ja mam pierdolca. Nieważne wszystko inne, nawet miłość? Nie bój się, Wagner, nie powiem tego na głos. Nieważni przyjaciele. Istotny jest twój kontrakt, nie odpuścisz, Poświęcisz wszystko, co ci się trafiło jak ślepemu psu na cudzej wsi, W imię mrzonki i zasad.

Frodo zacisnął pięści w bezsilnej złości.

A ty? - odezwało się coś nagle. Ty jesteś lepszy? Ty też masz swoje mrzonki. Sam nie zrobiłeś wszystkiego... Nie pomogłeś... Zająłeś się swoimi sprawami.

- Frodo, daję ci słowo, że to ostatni raz. - Płomień zapalniczki przez chwilę oświetlił twarz. - Dziękuję, że to wszystko powiedziałeś...

Benzynowy płomyk zgasł. Tylko żarzący się papieros, gdy Wagner się zaciągał, wydobywał z mroku błysk oczu, kości policzkowe.

- Jak wrócę, to...

Głos mu się załamał. Chciał powiedzieć, że jak wróci, to pójdzie prosto do niej. Powie to wszystko, co dziś usłyszał, co sobie uświadamiał, ale nie potrafił ująć w słowa. Wszystko, co tłumił dotąd, uplatany w sieci złudzeń, mrzonek i powinności. Na pewno nie zawiedzie przyjaciela, małego kurdupla, który był mu tak bliski przez ostatnie lata. Który przecież na niego liczył. Ale nie może również zawieść Kędziora, przecież... Przecież podjął się zadania... Wciąż jest jeszcze wiedźminem, a po świecie płaczą się potwory.

Chciał to wszystko powiedzieć, Ale nie mógł.

- Jak wrócę... - powtórzył tylko.

Jeśli wrócisz, pomyślał Frodo.

Szczyt wzniesienia. Długa prosta schodzi w dół aż do skrzyżowania. Już nie trzeba pedałowac, można zjechać ze wzniesienia drogą pomiędzy zrujnowanymi domkami, murowanym i tymi z poczeriałych starych belek, krytymi omszałym eternitem. Można jechać, nie kręcąc pedałami, słuchać głośnego dudnienia, coraz głośniejszego. Trzeba tylko uważać, by zahamować w porę, nie wjechać na skrzyżowanie, przez które z rykiem silników i Idekotaniem gąsienic przewalają się ciężkie wozy.

Frodo stanął na poboczu, ze zmartwiałą twarzą patrzył na ciągnące drogą na Wyszków czołgi. Jego przypuszczenia ostatecznie się potwierdziły. Poczul, jak coś spływa po policzkach, otarł łzy złości, rozmazując krew z otartego czoła.

Wszystko się zgadza. Był kiepskim analitykiem, Wagner upartym durniem. A generał Rościsławski skurwysynem.

W istocie, sprowadzało się to wszystko do punktu pierwszego. Kiepski analityk. Bo pozostałe dwie rzeczy powinien przewidzieć.

Szosa toczyły się czołgi, niekończąca się kolumna, Nie stare osiemdziesiątki, to był pierwszy sort rosyjskiej armii, przysadziste maszyny przypominające smoki swym segmentowym, ceramicznym pancerzem, malowanym w jaszczurcze plamy. Z automatami ładowania w niszach długich, spawanych wież, otoczonych czujnikami i ładunkami defensywnych systemów Arena, przeznaczonych do przechwytywania nadlatujących pocisków. Frodo przypomniał sobie mimo woli, że podobno i tych rdzeniowych..

Za czołgami posuwały się transportery, niskie, na czołgowych podwoziach. BMPT, Bronirowannaja Maszyna Poddierżki Tanków, ciężkie transportery przełamania, owoc doświadczeń z Groźnego i Ukrainy. Z trzydziestomilimetroowymi działkami, montowanymi zewnątrz na niskich wieżach, z granatnikami AGS-17 w sponsonach na błotnikach.

Frodo wypuścił kierownicę roweru, jego pomalowany tak samo jak transportery góral zwalił się na pobocze. Stał nieruchomo, spaliny diesli drapały w gardle, oczy łzawiły od kurzu wznoszonego przez gąsienice. To końcówka. Już zyskał pewność, to już nie były spekulacje. Wydarzenia przyspieszały, armie biorące udział w „operacji pokojowej”, w „przywracaniu demokracji” miały teraz stanąć naprzeciw siebie. Frodo nie miał złudzeń co do wyniku, Rosjanie dotrą do Karpat, dysproporcja sił w porównaniu z uwikłanymi w rozliczne wojny Amerykanami była zbyt duża. Widział to jak na dłoni, przeciwko najnowszym czołgom staną nieliczne abramsy i stare M60, przeciwko odpornym na ogień, wymiatającym wszystko sprzed siebie nawałą trzydziestomilimetrowych pocisków BMPT - przestarzałe bradleye.

Świat szukał nowego kształtu, nowych granic, A oni wszyscy byli nic nieznaczącymi pionkami, mrówkami na drodze zbliżających się do siebie walców drogowych.

Ale mimo całej przewagi, sił zdolnych do przełamania słabej obrony amerykańskich garnizonów Rosjanie skorzystali z nic nieznaczących mrówek. Rościłowski nie był jowialnym złodziejem, jakich pełno w rosyjskiej armii, tylko cynicznym graczem, dla którego liczyło się każde ułatwienie rozwijającej się ofensywy. Nawet nic nieznaczące pionki, ściągające na siebie ogień za Bugiem, warte były zachodu i intryg.

Zawiodłeś, Frodo, dałeś dupy jak świerszczyk, pomyślał, widząc przewalające się cielska pojazdów pancernych. Po raz pierwszy nie doceniłeś przeciwnika, zlekceważyłeś...

Sylwetki czołgistów z pułków gwardyjskich rozmywały się, widział coraz bardziej niewyraźnie. Ze zdziwieniem uświadomił sobie, że płacze.

Powietrze zaszumiało rozdzierane rakietami stojących gdzieś pomiędzy Ostrowią a Małkinią dalekonośnych baterii Smiercz. W szare niebo wzbily się proste, niezliczone smugi dymu.

Całkowite zaskoczenie. Nie było koncentracji sił, podciągania ich do rubieży wyjściowej, gromadzenia zapasów paliwa i amunicji. Nie wydarzyło się nic, co mogłoby obudzić czujność, obeszło się bez wzmożonego ruchu w sieci łączności. Wszystko zaczęło się wbrew podręcznikowym zasadom.

Pełzająca mobilizacja, wymiana starych jednostek na nowe przez całą, długą zimę, Nic, co mogłoby spoznać nieliczne satelity, o czym wywiad mógłby zaalarmować. Zamarłe od lat na pozycjach siły ruszyły do ataku.

Leżał w małej kępie zarośli pośrodku rozciągającej się we wszystkie strony łąki. Zarośla były niskie i rzadkie, czuł się w nich jak na patelni. Oslaniał dłonią szkła lornetki, klnąc pod nosem własną głupotę. Odległa strzelanina w górze rzeki przycichała, Mógł dostrzec śmigłowce, stare Hueye uwijające się nad wiklinami i biegnącym wzdłuż rzeki wałem przeciwpowodziowym. Jeszcze kilka przygłuszonych przez odległość wybuchów, pociski z czterdziestomilimetrowego granatnika, gdyby wychylił się zza osłony, mógłby zobaczyć rozbłyski.

Tylko po co, I tak nie mógł pomóc. Przemysłowcy zostali zaskoczeni na otwartej przestrzeni, cud, że ktoś zdążył odskoczyć w wikliny. Świadczyła o tym wymiana ognia, nawet dość długa jak na tak przeważające siły.

Pięć śmigłowców, cztery desantowe, jeden wsparcia, Daleko na drodze z Łochowa wznosił się kurz, pewnie transportery kołowe, strykery albo nawet Hummery, Zmełł pod nosem przekleństwo. Ktoś dobrze wiedział, gdzie szukać.

Pół kilometra do rzeki. Ze sto metrów odkrytego terenu. Może da się przeskoczyć przy dużej dozie szczęścia. Tylko...

Ktoś wiedział, którędy pójdzie grupa przemytników. Zdążył przygotować zasadzkę, zebrać siły, jakich dawno nad granicą nie widziano.

Frodo miał rację...

Zaklął jeszcze raz, na głos, Gdyby mógł, naplułby sobie w brodę.

Jakby to cokolwiek zmieniło.

Sto metrów odkrytego terenu. Można przeskoczyć, zanim zbliżające się z Łochowa wozy ruszą drogą wzdłuż wału przeciwpowodziowego. Tylko że to na nic.

Wagner wiedział, że od rzeki oddziela go nie tylko pół kilometra łąk i zarośli. Wiedział, że obserwują go czujne oczy, nie całkiem ludzkie, wspomagane elektroniką. Cyborgi. Zapewne tylko kilka, ale wystarczy. Odcinały jedyną drogę odwrotu. Ktoś zadał sobie wiele trudu. Ktoś skorzystał z przecieku, żeby raz na zawsze ostatecznie rozwiązać kwestię wiedźmińską w tej okolicy, Na wiedźmina najlepszy Terminator. Oparł czoło na zimnej stali zamka karabinu, Po raz pierwszy od dawna zaczynał się bać.

Narastający powolny łomot dwułopatowych wirników. Hueye wracały, szeroką ławą, nisko, jak najniżej, Piloci wiedzieli, że jeszcze gdzieś w okolicy czai się niebezpieczeństwo, Wagner rozciągnął zdrętwiałe wargi w uśmiechu, popatrzył na wznoszącą się daleko kolumnę czarnego dymu. Przynajmniej jedno się udało, pomyślał, dostałem skurwysyna. Przynęta okazała się trochę droga.

Nagły podmuch przygiął rzadkie gałęzie, załopotał płachtą termoizolacyjną. Wagner przeturlał się na plecy, przez mgnienie oka zobaczył tuż nad sobą pokryty zaciekami oleju brzuch śmigłowca, tak blisko, że wydawało się, iż mógłby dotknąć go ręką, Dojrzał wychylonego, stojącego na płozie strzelca, przypiętego uprzężą.

Miałeś rację, Frodo, pomyślał, od początku miałeś rację. Coś nie pasowało, coś tu śmierdziało. Tylko po co? Ty byś wiedział, mały, nie posłuchałem cię.

Ryk turbin i łomot wirników oddalał się, Wagner wychylił się ostrożnie zza osłony, podniósł lornetkę do oczu. Omiótł horyzont. Przechlapane. Kanciaste kształty, pomiędzy nimi sylwetki rozsypane w tyralierę. Wyjął z ładownicy nabój z niebieskim paskiem, High explosive. Na blackhawka były nieprzydatne, zabrał na wszelki wypadek. Teraz cieszył się ze swojej zapobiegliwości.

Szczęknął zamek. W okularze celownika hummer wydawał się bliski, mógł dostrzec nawet twarz kierowcy w przeciwpływowych goglach. Już niedługo, pomyślał chłodno, już nie ma na co czekać. Przynajmniej jednego zabiorę ze sobą, pomyślał. Jeśli zdążę

przeladować, to może i dwóch... Miałeś rację, Frodo, to był ten o jeden raz za dużo. Ciekawe, gdzie teraz jesteś...

Frodo szedł chodnikiem, prowadził rower, mijała go niekończąca się pancerna kolumna. Dowódcy siedzący na pokrywach włazów, osłonięci podniesionymi blaszanymi wiatrochronami z okienkiem z pleksi, spoglądali obojętnie na małego facecika z rozmazanymi na twarzy brudnymi, czarnymi i czerwonymi smugami. Za kolejną grupą czołgów przejechała tunguska, jej uniesiony do pozycji bojowej radar pracował w trybie śledzenia, obracała się płaska tarcza anteny. Jakaś część świadomości Froda zarejestrowała, że był to jedyny zestaw przeciwlotniczy, jaki do tej pory widział, i to dosyć przestarzały. Widać Rosjanie byli pewni przewagi w powietrzu. I słusznie, wszystko, co w US Air Force mogło jeszcze latać, latało nad pustynią lub Rio Grandę.

Rosyjskich samolotów też nie było, Logiczne, pomyślał, element zaskoczenia. Wciąż jeszcze nad Europą latały na patrolach AWACS-y, wprawdzie tylko stare EC-3 Sentry, ale zawsze, Mogły wykryć samoloty, wzmożony ruch przy przerzucaniu do nadgranicznych baz. Ale to nie Joint Stars, nie potrafiły wykrywać ruchu na ziemi.

Widać Rosjanie uznali, że wystarczy przygotowanie artyleryjskie i potężne uderzenie pancerne. Pewnie mieli rację.

Jakby na przekór jego rozważaniom potężny huk odrzutowych silników zagłuszył diesle czołgów i transporterów. Nisko, prawie ocierając się o dachy, przemknęło nad miastem ogromne cielsko czterosilnikowego transportowca. Frodo, zaskoczony nagłym hukiem, aż przykucnął, odruchowo osłaniając głowę, zdążył jednak dostrzec srebrzysty brzuch ogromnego iliuszyna, który niewątpliwie leciał z włączonym systemem automatycznego omijania przeszkód terenowych. Specnaz, pomyślał, siły specjalne do uchwycenia pozycji na zapleczu.

Siły specjalne. Poczul nagłe ukłucie, wspomnienie blond włosów, spojrzenia oczu, których nie mógł zapomnieć. Których nie mógł odnaleźć już tak długo, mimo że obiecał.

Wiedziony nagłym impulsem popatrzył za oddalającym się samolotem, w ostatniej chwili, zanim zasłoniły go budynki, widział, jak pochyła się na skrzydło w podciągany zakręcie. Potem słyszał już tylko oddalający się huk silników, który utonął w podzwanianiu gąsienic i warkocie diesli.

Była najcięższa, skakać miała pierwsza. Siedziała tuż przy bocznych drzwiach na składanym metalowym siedzisku. Byli od niej roślejsi, ale to ona dźwigała sprzęt łączności i prócz normalnego ekwipunku zestaw min przeciwpiechotnych. Nawet zmniejszony do połowy zapas amunicji nie równoważył pozostałego wyposażenia.

Przy skokach z pułapu stu metrów z odrzutowego transportowca lecącego trzysta kilometrów na godzinę, przy wymuszonym, ciśnieniowym otwieraniu spadochronu, kolejność była istotna. Iliuszyn nie mógł lecieć wolniej, a wyżej nie powinien.

Żołądek podjechał do gardła, kiedy transportowiec podciągnął w górę, omijając przeszkodę, po czym raptownie opadł. Wprawdzie lepiej znosiła przeciążenia od normalnych żołnierzy, ale nawet jej lot czterosilnikowym samolotem na wysokości pięćdziesięciu metrów zapewniał mocne wrażenia. Odezwał się nawet ćmiący ból w zranionej nie tak dawno klatce piersiowej. Wiedziała, że ból jest psychosomatyczny, naprawiono ją dokładnie. Ale końcówki nerwów wiedziały swoje.

Czerwona lampka gotowości świeciła już od dawna. Utkwiła oczy w zielonej, wciąż jeszcze ciemnej.

Krzyżyk celownika znieruchomiał dokładnie w środku chłodnicy hummera. Nawet nie uruchomił laserowego dalmierza, na tę odległość tor pocisku był płaski, nie trzeba żadnych poprawek. Ani na przewyższenie, ani na wiatr. Z tego karabinu to jak przystawić pistolet do głowy.

Nie zwracał uwagi na smugi przekreślające niebo, na coś jak ciemna chmura burzowa wznosząca się coraz wyżej gdzieś nad Łochowem. Świat jak zwykle skurczył się do kręgu widzianego w okularze. Palec zaczął zginać się na spuście.

Grzmot czterech turbin Sołowiewa wgniółł go dosłownie w ziemię, uderzył boleśnie czołem o zamek, nie poczuł nawet, jak rozcina skórę. Sekundę później dotarła fala uderzeniowa. W tumanach kurzu, w kłębach wirujących liści uniósł głowę, zobaczył przechylający się w skřęcie olbrzymi transportowiec, bez kamuflażu, świecący naturalną barwą duralu. Zanim krew z rozciętego czoła zalała oczy, ujrzał jeszcze padające sylwetki w zbliżającej się tyralierze, błyski odpaleń i wznoszące się, ściągające iliuszyna smugi dymu. Co najmniej dwóch Amerykanów zdążyło wystrzelić stingery.

Twarcz ocierał, zrywając się już do biegu. Miał jedną, jedyną szansę, Gdy łąkę zalał widmowy, jaśniejszy od słońca blask wyrzuconych przez oddalającego się iliuszyna pułapek termicznych, przebiegł już co najmniej dziesięć metrów w kierunku zbawczych zarośli. Nagły skręć rzucił ją na żebrowaną aluminiową ścianę, Przeciążenie przycisnęło jeszcze bardziej, gdy samolot pochylał się w podciągany skřęć. Nieprzerwanie wyla syrena, wtórując narastającemu na zwiększonych obrotach grzmotowi silników.

Jedna ze wznoszących się smug dymu skręćła w stronę wyrzuconych flar. Druga była już zbyt blisko. Stinger eksplodował prawie w samej dyszy lewego wewnętrznego silnika.

Stinger miał małą głowicę, a rosyjskie silniki służyły z odporności. Silnik nie zgasł, samolot szarpnęło tylko przy nagłej, chwilowej utracie ciągu. Pilot nawet nie zorientował się, jak poważne trafienie otrzymał, był pewien, że wstrząs pochodził od wybuchu rakiet zmylonych pułapkami termicznymi. Podjął decyzję, by nieco się wznieść, zostawić sobie więcej miejsca na wymanewrowanie następnych rakiet. Mógł się jedynie obawiać ręcznych, przenośnych; innej broni przeciwlotniczej, jak zapewniano na odprawie, nie należało się spodziewać.

Pchnął wszystkie cztery dźwignie przepustnic, podejmując najgorszą z możliwych decyzję.

Uszkodzony silnik wypluł kłęb płomieni, gdy pękł wał turbiny. Rozkręcająca się coraz szybciej, nieobciążona już sprężarką turbina zaczęła się rozsypywać, odrywające się łopatki przebiły korpus silnika, ciężkie blachy kadłuba, przewody hydrauliczne i drugi, działający jeszcze silnik. Iliuszyn przechylił się gwałtownie.

W wypełniającej się dymem kabinie Mariszka na ślepo uderzyła dłonią w dźwignię awaryjnego otwierania drzwi desantowych. Trafiła, huknęły wybuchowe sworznie, ciężkie, hermetyczne drzwi wypadły na zewnątrz. Nie czekała, rzuciła się plecami w otchłań, pod którą przesuwała się rozmazana, zbliżająca się coraz bardziej ziemia.

Osiemdziesiąt metrów. Ta liczba kołatała się w głowie Mariszki, gdy patrzyła na oddalający się, przechylający coraz bardziej transportowiec, otoczony dymem i wirującymi odłamkami rozpadającego się poszycia. Graniczna wysokość, na której automat zdąży odpalić ładunek wyrzucający zwiniętą czaszę, na której czasza zdąży się wypełnić. Zamknęła oczy w oczekiwaniu na trzask ładunku inicjującego.

Amerykanie szybko się pozbierali, Byli dobrze wyszkoleni, tylko kilku z nich odprowadzało wzrokiem oddalający się, dymiący samolot, do końca, aż uderzył w ziemię. Zdążyli zauważyć wyrzucone w górę, koziołkujące, wyrwane z zamocowań silniki, zanim wszystko zniknęło w błysku eksplozji.

Strzelec nkmu na najbardziej oddalonym hummerze, na samym skraju szyku, dostrzegł biegnącą sylwetkę, pociągnął długą serią. Przyjął złą poprawkę, hummer poruszał się, ale fontanny ziemi wyrywane półcalowymi pociskami zaczęły doganiać biegnącego, kiedy jeszcze do zarośli zostało kilkadziesiąt kroków.

Na szczęście dla Wagnera strzelec miał niewygodną pozycję, musiał przerwać na chwilę ogień, nie mógł dalej obracać lufy. Zanim zmienił pozycję ciała, Wagner zyskał kolejne kilkanaście metrów. Niewiele to pomogło.

Teraz hummer już zwalniał. Kolejne fontanny wyrzucanej w górę darni i piasku przesłoniły sylwetkę uciekającego, który potknął się, ale nie upadł. Strzelec przy półcalowym browningu zwolnił przez chwilę nacisk na spust, a gdy opadł kurz, wymierzył dokładniej. Jeszcze dziesięć metrów. Nikt nie przebiegnie ich szybciej niż półcalowy pocisk.

Nie większy od paznokcia małego palca chip, połączony z układem bezwładnościowym, uznał, że pocisk wykonał już odpowiednią liczbę obrotów od opuszczenia lufy. Zdetonowany impulsem elektrycznym ładunek oktogenu wysłał do przodu snop maleńkich odłamków wolframowych.

Odłamki wolframowe przebijały aluminiowy korpus samolotu i lekkie płyty pancerne, Keylarowa kamizelka nie stanowiła dla nich poważniejszej przeszkody, Pocisk z dwudziestomilimetrowego działka OICW eksplodował blisko, wiązka odłamków nie zdążyła się rozproszyć. Górna połowa ciała strzelca na skrzyni hummera zniknęła wraz z kaemem. Rykoszetujące odłamki poraziły też kierowcę, który opadł na kierownicę, jego stopa zsunęła się z pedału gazu, Hummer toczył się jeszcze, zataczał łuk, jakby wciąż ścigał uciekającego, zwalniał, lecz wciąż zbliżał się do linii zarośli. Ogień pozostałych Amerykanów był gęsty, lecz niecelny. Wagner ostatnim rozpaczliwym wyrzutem wpadł w zbawcze zarośla, z których po lewej i prawej błyskały ognie wylotowe wystrzałów. Amerykańska tyraliera przypadła do ziemi, dwa pozostałe wozy zaczęły się cofać.

Wagner leżał z twarzą w trawie, ciężko oddychając. Zraniona noga pulsowała bólem. Trzasnęły gałęzie, coś ciężko zważyło się tuż obok niego, poprzez rzednącą strzelaninę dosłyszał szczęk zmienianego magazynka, odciążenie suwadła, Tuż nad uchem zajazgotał kałach, jedna z gorących łusek upadła na odsłonięty kark. Zamierzał się zerwać, ale nie zdążył, poczuł, że ktoś chwyta go za kurtkę na plecach, odciąga w głąb krzaków. Chciał podnieść głowę i spojrzeć, kiedy zahaczył o coś zranioną stopą. Wrzasnął z bólu, lecz ktoś ciągnął go dalej, nie zwracając na to uwagi.

Znów zajazgotał kałach, zawtórowało mu dwukrotne stęknienie granatnika. I następna seria, tym razem szybsza, trzeszcząca seria z M-16 lub OICW, Ogień przeciwnika przycichał.

Wagner zebrał się w sobie, przekręcił się na bok, by zobaczyć wreszcie coś więcej niż pogniecione źdźbła trawy tuż przed oczyma. I zobaczył paskudną gębę Hound Doga, wykrzywioną w radosnym uśmiechu. Indianin najwyraźniej nie przejmował się beznadziejnym położeniem.

- Doggy, odciągnij go dalej! - wrzasnął znajomy głos. Wagner odwrócił się.

Twarz Annakeena była wykrzywiona, jasne włosy wymykające się spod zielonej chusty pot zlepił w tłuste strąki, przyklejające się do policzków.

- Dalej, kurwa, bo nas wszystkich załatwią jednym granatem!

Doggy bez słowa zniknął w jednej chwili w zaroślach niczym wielki, poznaczony bliznami, bezszelestny kocur. Po chwili gdzieś z boku huknął pojedynczy strzał z działka OICW, pocisk eksplodował nad zapadłą w zagłębienia gruntu tyralierą. Wagner podczołgał się do Annakeena, który odwrócony na plecy wkładał nowy magazynek do swojego kałacha. Ostrożnie odsunął wierzbowe gałęzie, wyrztał na łękę. Zobaczył tylko stojącego nieopodal hummera z karoserią i szybą potrzaskaną przez odłamki, z martwym, zwalonym na kierownicę żołnierzem. Silnik hummera wciąż pracował.

Dwa pozostałe wozy zniknęły, strzelanina ucichła. Amerykanie potrafili się maskować, wystarczała im wysoka trawa i pozornie niewidoczne zagłębienia terenu. Nikt by nie powiedział, że na tej łące zaległ co najmniej pluton, Z głuchym dudnieniem, jakby odległej burzy, mieszał się skowyt jakiegoś rannego, wzywającego na przemian sanitariusza, mamusi i wszystkich świętych. Wagner potrząsnął głową. Głuche dudnienie wypełniało czaszkę, Annakeen zmienił magazynek, przekręcił się na brzuch.- Dla... - Głos zawiódł Wagnera. Odkasznął, od kaszlu zakłuła zraniona noga.

- Dlaczego nas nie załatwią? - mruknął Annakeen, nie odrywając oka od celownika. - Nie wywałą paru pocisków z granatników? Bo już wiedzą, co się dzieje...

Wiedzą, co się dzieje, pomyślał mętnie Wagner, wstrząsając głową, by pozbyć się uporczywego dudnienia w uszach. Nie pomagało. Może to zabrzmia głupio, ale co się właściwie dzieje?

Annakeen spojrział badawczo we wciąż nieprzytomne oczy Wagnera. Pokazał w górę, w wąski prześwit między splątanymi wtkami wierzbowymi. Wagner popatrzył na szare niebo poprzecinane srebrzystymi, równoległymi smugami dymu. Oszołomienie mijało, już był zdolny sensownie myśleć, po raz pierwszy od czasu, gdy przewalił się nad nim olbrzymi transportowiec.

Jak to powiedział Frodo? Stary, siwy dureń?

Podczołgał się do przodu, nie zwracając uwagi na pełne irytacji spojrzenie Annakeena. Popatrzył na ciemną chmurę, wstającą na horyzoncie, kłębiącą się, rozświetlaną od dołu mętnymi, stłumionymi błyskami (eksplozji). To nie w uszach tak dudni, zrozumiał, Zrozumiał też wszystko inne.

- Pierdolone Ruskie! - W tok niewesołych myśli wdarł się zgrzytliwy głos Annakeena.
- Napuścili nas, jak. A najpierw dali cynk jankesom. Zrobiliśmy za nich rozpoznanie bojem.

Tak, przyznał Wagner. I przy okazji ściągnęliśmy wszystkie posterunki z okolicy. Wszystko od Łochowa po Małkinie, w jedno miejsce...

- Oni już wiedzą - rzucił Annakeen, ruchem głowy wskazując w kierunku amerykańskiej tyraliery, - Zastanawiają się teraz, jak tu spierdalać. Co nie znaczy, że nam też pozwolą...

Jakby na potwierdzenie jego słów wysoko mierzona seria chlasnęła po zaroślach, posypały się pościnane gałązki i liście, W odpowiedzi OICW Doggy' ego huknął dwukrotnie, dwa eksplodujące pociski wzniosły obłoki kurzu i dani, i znów cisza, tylko odległe grzmoty i - skowyt rannego.

Trzasnął pojedynczy strzał, pistoletowy, Ranny ucichł.

- Właśnie zajmują przyczółek przy moście - pozornie beztrósco mówił dalej Annakeen.
- Po to byliśmy, żeby ściągnąć stamtąd obsadę. I udało się, ściągnęliśmy...

Popatrzył prosto na Wagnera.

- Ściągnęliśmy obsadę stamtąd, pewnie też z Sądowego i z Łochowa, Te hueye...
Teraz Ruskim wystarczy wytluc to wszystko na kupie...

Tak, pomyślał Wagner, Obejdzie się bez alarmowania kolejnych, linii, bez zasadzek przeciwpancernych. Wszystko, co żyje, ściga przemytników. I jego. O ile łatwiej wytluc w polu, na przemarszach niż w umocnionych rejonach. Rościsławski, ty skurwysynu... Mały miał rację, to końcówka...

To końcówka, myślał Frodo, siedząc na betonowych schodkach przed niezrównaną jeszcze kamieniczką. Rower leżał obok, niedbale rzucony.

To końcówka. Ostatnie dni amerykańskiej obecności w Europie, Rosja przesuwa się na południe, poza przewidywany zasięg lodowca. A jankesi niech się dalej tłuką z Arabami, Żydami i irańskimi mułami. Niech spieprzają do Meksyku, jeśli im się uda. Ostatecznie jest w tym jakaś sprawiedliwość, trzeba było nie wypowiadać protokołu z Kioto. Miałeś to jak na dłoni. Widziałeś wszystko, mogłeś poskładać do kupy. Wiedziałeś, Tylko nie potrafiłeś nikogo przekonać. I teraz siedzisz tu, kiedy umierają twoi przyjaciele. Umierają albo niedługo umrą.

Mury zadrżały od niskiego ryku turbin. Nad miastem przemknął klucz helikopterów Birkut, Frodo zauważył podwieszane na wysięgnikach długie, srebrzyste pojemniki.

Widział obracające się pod nosami maszyn lufy włączonych działek, które poruszały się zgodnie z ruchami głów strzelców w przednich kabinach.

Dźwięk turbin odbił się echem w wąskich wąwozach uliczek, zagłuszył warkot przetaczających się wciąż kolumn pancernych. Cienie śmigłowców prześlizgnęły się po dachach, po bruku, po monstualnych, za dużych w porównaniu z czołgowymi podwoziami wieżach samobieżnych haubic MSTA, Po chwili, zanim jeszcze ucichł łoskot łopat, nad miastem przemknął następny klucz.

Już nie czuł łez spływających po policzkach, Siedział sztywno oparty o mur.

- Byliście z Kędziorem? - rzucił Wagner, - Ty i Doggy? Co z nim? Annakeen odwrócił wzrok. Patrzył na przedpole, nie odpowiadał.

- No mówi - Wagner chwycił go za ramię. Chłopak podniósł głowę, zlepione strąki włosów opadły mu na oczy.

- Nie wiem - odparł w końcu z wysiłkiem. - Nie wiem, co z Kędziorem. Widziałem, jak dostał na samym początku, ale lekko... Później nie wiem...

Urwał, znów pochylił głowę.

- Byliśmy z nim wszyscy... - dodał cicho.

Wagner początkowo nie rozumiał. Trzeba było dłużej cwili, żeby dotarł do niego sens, żeby zrozumiał, co powiedział Annakeen, Nagle opuściła go resztką sił. Koniec.

Annekeen coś jeszcze mówił. Nie słuchał, dopiero wtedy, gdy poczuł szarpnięcie za ramię, gdy zraniona noga wybuchła nagłym bólem.

- ...Ona tu jest, Wagner - Annakeen mówił szybko, prawie krzycząc. - Oberwała wcześniej, ale jakoś doszła... Tylko co, kurwa, z tego? Zaraz tu będą śmigłowce, wytluką nas wszystkich, sprawiedliwie...

Roześmiał się histerycznie, wciąż nie puszczał ramienia Wagnera.

- Jak myślisz, lepiej strzelać do Amerykanów czy do Ruskich? Wagner uwolnił się od zaciśniętych na ramieniu palców, chciał wstać choćby na czworaka, nie mógł. Popatrzył na wlokącą się za nim, bezwładną nogę i zdziwił się, nie widząc krwi.

Złamana, przemknęło przez głowę. O mało nie roześmiał się równie histerycznie jak przed chwilą Annakeen, Strzelał do mnie cały pluton, grzali, z czego kto miał, a ja zламаłem nogę na jakimś pierdolonym kretowisku.

Pełzł, rozgarniając zarośla, w głowie kołatała się wciąż myśl o helikopterach, Właściwie już powinny nadlecieć i zrzucić pojemniki z napalmem. Pełzł dalej, z wysiłkiem, nie wiedząc właściwie dokąd. Aż wreszcie zobaczył plamiste, ubrudzone gliną

spodnie, pociemniała od krwi kurtkę, zakrwawioną dłoń przyciskającą do wlotowej rany przesiąknięty opatrunek osobisty. Błądą twarz pod okapem aramidowego helmu.

Była przytomna.

- Cześć - wyszeptala, a raczej tylko poruszyła wargami. Na wargach wykwitły bąbelki krwi.

Uniósł się, prawie przyklęknął, nie zwracając uwagi na ból, który powodowały ocierające się o siebie kawałki pękniętej kości. Chwytał dłoń, tę drugą, wciąż zaciśniętą na M-16 z granatnikiem pod lufą, delikatnie rozprostował palce, podniósł do ust. Były chłodne.

Zakaszłała, po bladym policzku spłynęła strużka jasnej krwi. Ścisnął delikatnie chłodne palce, wierzchem drugiej dłoni otarł krew z policzka. Wargi ponownie drgnęły, znów nie wydobyła głosu, lecz wiedział, co powiedziała, a raczej co chciała powiedzieć. W kąciku ust pękł szkarłatny bąbelek.

Nie przepraszaj, Chciał krzyknąć, ale nie mógł wydobyć głosu. Nie przepraszaj, oboje byliśmy ślepi. Oboje nie chcieliśmy zrozumieć, co naprawdę jest ważne, nie śmieszne mrzonki, nie zasady, Oboje straciliśmy coś, czego już nigdy nie odnajdziemy. Dlaczego jeszcze nie nadlatują? Ile można czekać? Ile jeszcze czasu dostaliśmy?

Odpowiedział mu narastający łoskot wirników. Ścisnął mocniej chłodne palce, patrzył chciwie na bladą twarz, przymknięte już oczy, chcąc zabrać ze sobą ten obraz w wielką nicość.

Łoskot wirników zbliżał się, widział w wyobraźni odpadające z węzłów podwieszonych cylindryczne pojemniki. W głowie kołatała się idiotyczna myśl, zapamiętane kiedyś słowa. Zapach napalmu o świcie. Uderzenia serca odmierzały sekundy. Ostatnie sekundy.

Górą prześlizgnął się nagły cień, podmuch wirnika uderzył w twarz. Pochylił się nad nią, chcąc ją odruchowo osłonić, co przecież i tak nie miało sensu. I zamarł, uświadomiwszy sobie kształt widzianej przez mgnienie oka sylwetki, wąskiego kadłuba z wielkimi silnikami po bokach. Mi-28 Hayoc. Lecą wytłuc ciągnące drogą posiłki z Łochowa, wywabione na otwartą przestrzeń. - Doggy! - wrzasnął. - Annakeen. Jeszcze jest szansa. Jedna na sto, ale jest. Indianin zjawiał się pierwszy, jak zwykle jakby znikąd, bezszelestnie. Swój OICW niedbale trzymał pod pachą, jak gdyby zespolona broń, obciążona blokiem celowniczym, nie ważyła wcale prawie jedenastu kilogramów, Annakeen przedzierał się z trzaskiem przez niskie, gęste wierzby. Zmarnował trochę czasu, wypuszczając długą serię prosto w brzuch przelatującego nisko havoca. Na opancerzonym śmigłowcu nie zrobiło to żadnego wrażenia. Cichł już oddalający się ryk turbin, milkł

równie bezsensowny, bezładny ostrzał z pozycji Amerykanów. Wagner usiadł z wysiłkiem, nie zważając, że odłamki kości znów otarły się o siebie.

- Jeszcze mamy szansę - mówił szybko, widząc niedowierzanie na twarzy Annakeena. Nie było czasu do zmarnowania. Szansa opierała się na mglistym założeniu, iż bałagan w rosyjskich siłach zbrojnych jest nadal taki sam jak kiedyś. Założenie było ryzykowne, przebieg dotychczasowych wypadków raczej go nie potwierdzał.

- Jeszcze mamy szansę. Zanim przylecą śmigłowce, trzeba ich zająć. Ci zresztą są niegroźni. Machnął ręką w kierunku, skąd znów dochodziły sporadyczne strzały. Pociski przelatywały górą, niektóre zaszeleściły w gałęziach. Doggy i Annakeen przypadli do ziemi.

- Ci kombinują tylko, jak stąd spieprzać. Nie wiedzą, ilu nas jest, i sami się boją...

Wagner czuł, że zasycha mu w gardle, Manierka z wodą została na stanowisku razem z karabinem wyborowym i całą resztą.

- To nie tych trzeba się obawiać, tylko tamtych, za wałem... Cyborgów... One nie uciekną, nie mogą przecież, muszą wykonać. Trzeba je...

Chciał dokończyć, że to cyborgi trzeba zająć, by mogli odskoczyć, przebić się w kierunku pewnie zajmowanego już przez Rosjan przyczółku. Nie można ich związać ogniem, mają przewagę, od razu ruszą, nawet jakby nad głowami mieli całe rosyjskie lotnictwo szturmowe. Przerwał, widząc, jak na twarz Doggy' ego wypełza koszmarny uśmiech, jak wykrzywia się cała, poznaczona jaśniejszymi plamami blizn gęba.

- Nie, Doggy, nie tym razem! - krzyknął, widząc, jak Indianin unosi broń, jak spręża się, by ruszyć. - Nie tym razem! Ja nie dam rady jej wynieść, to ja.

Urwał. Stokrotka otworzyła szeroko oczy, patrzyła z napięciem, pierś poruszyła się gwałtownie.

- Chcesz zostać? - W głosie Annakeena brzmiało powątpiewanie. - To na nic, nie nabiorą się na to. Tam jest odsłonięty teren, szybko nas dostaną. Te ich dwudziestki mają wystarczający zasięg, nie przejdziemy nawet stu metrów.

Splunął. Musiał przygryźć wargi, ślina błysnęła czerwono.

- To na nic - powtórzył..- Zostaniemy wszyscy. Uśmiechnął się, w uśmiechu błysnęło szaleństwo. - Będziemy razem. Wy, we dwoje...

Wagner poczuł zalewającą go wściekłość, chętnie walnąłby chłopaka z całej siły w twarz. Opanował się całą siłą woli. Nie było czasu. - Doggy, wy musicie ją wynieść. Ja ich zajmę, wystarczająco...

Annakeen nie wierzył, Ale Indianin zrobił się czujny.- Dasz radę podprowadzić tego hummera? Oślonimy cię...

Doggy tylko błysnął zębami. Bez słowa popęznął na skraj zarośli.

Wagner ścisnął jeszcze raz dłoń Stokrotki. Tak wiele chciał jeszcze powiedzieć. Tak mało miał już czasu.

Znajdę cię, pomyślał tylko, znajdę na pewno. Obiecuję. Wlokąc za sobą bezwładną nogę, poczołgał się za Doggym i Annakeenem.

Broń była ciężka, na szczęście miała składany dwójnóg, Wagner dotykem odnalazł dźwignikę przełącznika, ustawił na dwudziestomilimetrowe działko, którego tytanowa lufa sterczała nad cieńszą, tą karabinową, pięć pięćdziesiąt sześć. Już miał dać znak sprężonemu do skoku Indianinowi, kiedy poczuł na sobie wzrok Annakeena.- Miło było cię znać, Wagner - mruknął chłopak, przywierając znów policzkiem do kolby kałacha. Odgarnął strąki włosów z czoła.

- Zrobimy, co się da...

Wagner nie odpowiedział. Bo i nie było co. Zamiast tego przycisnął kolbę do ramienia, nie zawracając sobie głowy celowaniem ani programowaniem rozprysku pocisków. Nacisnął spust. Działko kopnęło potężnie, tytanowa lufa się cofnęła, Trzask przeładowania, znów nacisnął spust, posyłając kolejne pociski w kierunku zalegającej w wysokiej trawie amerykańskiej piechoty. Tuż obok kałach Annakeena zachłysnął się długą, niemierzoną serią, obliczoną na to, by przycisnąć Amerykanów do ziemi, nie dać im czasu na zorientowanie się w sytuacji.

Doggy wystartował, biegł zygzakiem. Mógł sobie darować, pociski z działka Wagnera i wzbijające fontanny piasku pociski Annakeena sprawiły, że pierwsze strzały zabrzmiały dopiero wtedy, gdy hummer mszał gwałtownie, wyrzucając spod szerokich opon płaty darni. Doggy wjechał w zarośla, Annakeen przetoczył się w bok, by uniknąć przejechania. Wstał błyskawicznie, cisnął broń i chwycił wpół Wagnera, pomagając mu się poderwać. Z siłą nagle wyzwoloną przez adrenalinę prawie wrzucił go do wnętrza hummera. Zanim skoczył z powrotem, ich oczy spotkały się na chwilę.

- Bywaj, Wagner - zdążył krzyknąć Annakeen. Zaraz zniknął, po chwili kałasznikow zajazgotał długą serią.

Wagner, klnąc na cały głos, podciągnął się na miejsce kierowcy.

Dzięki skrzyni automatycznej mógł prowadzić hummera, używając jednej nogi. Tylko dwóch pedałów, gazu i hamulca, a praktycznie rzecz biorąc - jednego. Bo hamować nie zamierzał.

Amerykanie ocknęli się, pociski ze stukotem uderzyły w, tył wozu tuż po tym, gdy wyjechał z zarośli. Pochylił się nad kierownicą, jednak zaraz wyprostował, szyba była potraskana i mało przejrzysta, poza samą górą, tuż przy ramie, gdzie jakimś cudem ominęły ją wolframowe odłamki. Walnął pięścią, chcąc wypchnąć szybę z ramy, ale wytrzymała, solidna, klejona szyba, wzmacniana poliwęglanem.

Prowadził wyprostowany, czując już raczej, niż słysząc, jak w karoserię uderzają pociski. Gotująca się od trafień ziemia po bokach, jakimś cudem pociski omijały jak dotąd wrażliwe części wozu, w tym tę najwrażliwszą, jego samego.

Poczuł zalewającą go radość, Cały ogień skoncentrował się na nim, Doggy i Annakeen posłuchali, nie osłaniali go. Tak jak powinni, wycofywali się, korzystając z zamieszania.

Istniała jeszcze jedna możliwość, ale nawet nie dopuszczał do siebie tej myśli. Możliwość, że oni zostali trafieni pierwsi, że jego szarża jest równie bezsensowna jak wiele innych szarż w historii.

Całą siłą woli odegnał tę myśl, skoncentrował się na prowadzeniu. Nie było łatwe, widział niewiele, ciężki wóz podskakiwał na garbach i wybojach. Ale wał przeciwpowodziowy zbliżał się coraz bardziej. Mocniej zacisnął ręce na kierownicy.

Musiał wjechać prostopadle, ryzykując niebezpieczny skok po przebyciu korony wału. Jak na złość nie pamiętał, co jest tam” po drugiej stronie. Czy wikliny dochodzą - dp samego wału? Czy jest tam otwarta przestrzeń, którą będzie musiał przebyć, zanim w hummera trafią pociski z OICW cyborgów? I jak daleko jest do rzeki?

Wał się zbliżał. Jeszcze nikt nie strzelał z przodu ani z boków, albo wycofali się za wał, albo... Mignęła myśl, zapamiętane słowa Froda, kiedyś mówił o dłuższym niż ludzki czasie reakcji na niespodziewane zwroty akcji, O sprzężeniach, stymulacjach i tak dalej...

Wszystko jedno, pomyślał, widząc rosnący w oczach masyw wału. Z całej siły uchwycił kierownicę, nie miał czasu przypiąć się pasami, spodziewał się, że uderzy maską w podstawę wału, zanim ciężki wóz wjedzie na górę. I wtedy poczuł uderzenie, nisko, w okolicach biodra. Tępe uderzenie, nawet nie ból.

Kierownica drgnęła, hummer skręcił, wpadając na masyw wału, zachwiał się niebezpiecznie. Przez nieskończenie długi moment Wagner myślał, że wóz będzie się przechylał, aż się przewróci. Poczuł zalewającą go rozpacz i wściekłość. Docisnął pedał aż do podłogi, walcząc z ogarniającym go bezwładem.

Wzniesione z jednej strony koła opadły, wyrzucając fontanny piasku, złapały przyczepność, Hummer wspiał się na wał, przewalił przez koronę, nawet nie wyskakując w powietrze, wjazd pod kątem skutecznie zmniejszył prędkość.

Gęste wikliny porastały całą przestrzeń, aż do rzeki. Hummer wpadł w zarośla, miażdżąc je zderzakiem, gniotąc cienkie sprężyste gałęzie szerokimi oponami. Wagner już nic nie widział poza gałęziami i liśćmi smagającymi potrzaskaną przednią szybę. Silnik ryczał z wysiłkiem. Wagner, przymykając odruchowo oczy, docisnął przepustnicę. Wozem zarzucało, umilkł jednak stukot pocisków uderzających w karoserię. Korona wału zapewniała skuteczną osłonę.

Prowadził na oślep, licząc na to, że jedzie najkrótszą drogą do rzeki. Gałęzie nagle przestały chlastać po szybie, hummer przyspieszył, wzbijając fontanny wody, przejechał przez płytki rów wypełniony błotnistą wodą jeszcze z wiosennego przyboru. Pokonał wąski pas piasku, znów wpadł w wikliny. Woda chlusnęła na rozgrzane części silnika, spod maski buchnęła para.

Zanim wóz zniknął w zaroślach, Wagner poczuł raczej, niż usłyszał dwa następujące po sobie trafienia. Któryś z kryjących się w wiklinach cyborgów zdążył zareagować, na szczęście celował chyba w termowizji, trafił w najbardziej rozgrzany przód hummera. Wagner zacisnął szczęki do bólu. Już niedaleko.

Potrzaskana szyba rozjaśniła się nagle, zielone liście zastąpił błękit nieba. Hummer przejechał kawałek piaszczystej plaży, z rozpędem wpadł w wodę, która chlusnęła na szybę osłabioną wielokrotnymi trafieniami i wypchnęła ją do środka. Wóz obrócił się trochę, pchnięty prądem, za chwilę jednak opony złapały przyczepność. Hummer ruszył w poprzek rzeki, woda przelewała się przez maskę.

Silnik nawet się nie zakrzusił, chwyt powietrza był wysoko. Przez chwilę Wagner łudził się, że przy tak niskim stanie wody da radę przejechać na drugi brzeg.

Ledwie to pomyślał, kiedy skończyła się piaszczysta przykosa, Hummer nagle się przechylił, maska zniknęła pod wodą. Zaczął skręcać, tylne koła też oderwały się od dna.

Wagner chwycił ramę drzwi, gdy woda sięgała mu już po pierś, wydzwignął się z siedzenia, Bezwładna stopa zahaczyła o coś, poczuł nagły ból, nie zważając nań, szamotał się, mętna, bużańska woda zalewała już usta. Wreszcie, niemal ze słyszalnym chrupnięciem puściło. Prąd obrócił go, wessał pod powierzchnię.

Odgłos pocisków wcinających się w podmytą skarpe ze zwisającą u szczytu darnią. Odślonięty przez osunięcie ziemi przekrój stratygraficzny doliny Bugu, warstwy piasku, iłu, rdzawe pasmo rudy darniowej. Obraz dziejów doliny, rozpryskujący się teraz w fontannach piasku wznoszonych przez pociski.

Na wpół zatopiony hummer kręcił się w nurcie, szerokie opony nie mogły zatrzymać ciężkiego wozu znoszonego prądem. Woda kotłowała się od trafień, serie krzeswały iskry na wystającym nad powierzchnię wody pancerzu kompozytowym.

Wciąż strzelali do opuszczonego wozu, jakby sądzili, że ktoś jeszcze został w środku. Hummer obracał się powoli, zanurzał coraz głębiej, w miarę jak prąd przesuwiał go na głębinę. Do wysokiego trzasku OICW dołączyło się wolniejsze szczekanie M60, serie szły górą, nad rzeką.

Wagner leżał częściowo na brzegu, ramieniem obejmując oślizgły, nasiąknięty pień, olszynę zmytą przed laty, odartą już z kory i drobnych gałęzi, obrośniętą skorupiakami i glonami. Chciał podciągnąć się wyżej, ale nogi go nie usłuchały. Nie czuł ich wcale, widział tylko uda, resztę kryła woda, która barwiła się na czerwono.

Wiedział, że gdy ścigający dotrą do skraju wiklin i zobaczą leżące jak na patelni, to wszystko się skończy. Wystarczy jedna celna seria, jeden pocisk z dwudziestomilimetrowego działka. A wiedział, że dotrą niedługo, bo przecież zbytnio się nie oddalił, posuwają się teraz krótkimi skokami, kryjąc się wzajemnie ogniem obliczonym na przyduszenie przeciwnika do ziemi, Głusi i ślepi na wszystko, co się dokoła dzieje, posłuszni rozkazom wzmacnianym przez elektrostymulację i pompowane prosto w żyły farmaceutyki.

Spróbował jeszcze raz podciągnąć się, przetoczyć choćby za pień, chociaż wiedział, że to na nic. Kontrast termiczny i tak wystarczy, by w celownikach cyborgów wyglądał jak mrówka na obrusie. Wiedział, ale spróbował, i od bólu aż pociemniało w oczach. Przez dłuższy czas dostrzegał tylko czerwone plamy. Nawet nie usłyszał, gdy seria wgryzła się w pień, wyrzucając w górę całe kawałki namokniętego, czarnego drewna. Nie poczuł, kiedy jeden z pocisków zahaczył o rękaw, zostawił krwawą szramę na przedramieniu. Gdy zaczął zdawać sobie sprawę z tego, co się wokół dzieje, ogień z przeciwległego brzegu przycichł. Uświadomił sobie, że zamilkł odgłos OICW, że tylko M60 strzela długą, niekończącą się serią i to zupełnie w inną stronę, ponieważ nie rozlegał się trzask idących górą pocisków. Wciąż leżał, obejmując ręką śliski pień, ale zaczynał czuć w nogach pulsujący ból. Już mógł zgiąć kolana, przynajmniej jedno, próbować odepchnąć się obcasem od grząskiego dna. Już widział szaroniebieskie niebo, pokreślone rozwiewającymi się, rozmytymi smugami rakiet Smiercz i Uragan.

Trzeba się podciągnąć, korzystając z chwili ciszy, wspiąć po wysokiej, podmytej skarpie. Przecież nie można tu zostać, przecież obiecałem... Byle tylko wydostać się z tej wody, wtedy można będzie się czołgać, skoro nogi już do niczego... Przecież musiało się

udać, udało się, na pewno. Odciągnąłem ich, to dało czas. Doggie ją wyniósł, kto inny nie dałby rady, ale Doggie... Znajdę ją, znajdę, choćbym miał się czołgać do samego piekła... To jeszcze nie jest ostatni brzeg... Jeszcze się spotkamy, jeszcze zobaczę...

M60 zachłysnął się nagle na końcu długiej serii, umilkł. Chwila ciszy, tylko chwila, w którą zaczął wdzierać się inny odgłos. Łomot pięciolopatowych wirników.

Uniósł z wysiłkiem głowę, spojrział na przeciwległy brzeg. Gęstwa wiklin, jeszcze zielonych, wkoło cisza i spokój. Tak mogły wyglądać wikliny w letnie popołudnie, widziane z tego samego brzegu, odbijające się w gładkiej powierzchni wody. Tak wyglądały przed laty, kiedy jeszcze przychodził nad rzekę na ryby, a nie strzelać do śmigłowców. Deja vu. Zatrzymany pod powiekami obraz, Ale nie ten z letniego popołudnia, które odeszło już prawie całkiem w zapomnienie, Raczej z filmu, zielone zarośla, ściana dżungli.

Dwudziestkiczwórki wypadły zza zakrętu, wypełniając całą dolinę rzeki łomotem wirników i rykiem turbin. Leciały nisko, w wirach prawie dotykając wody łopatom, zostawiając za sobą kipieli wody wzburzonej pędem powietrza. Monstrualne ważki z półkolistymi oczyma osłon kabin i żądłami pięciolufowych działek pod nosami. Już wiedział, co stanie się za chwilę. Puścił oślizgły konar, przetoczył się, chcąc zsunąć z powrotem do wody, Nie zdążył, czasu starczyło tylko na zamknięcie oczu. Gdy w twarz uderzyła fala gorąca, wciąż miał na siatkówkach ostatni zapamiętany obraz, Eksplodujące ogniem zielone zarośla, na ich tle czarna sylwetka helikoptera.

DOLINA U RAKAMI

- KC! Żreć! Żreć! - wrzasły dzieci papieża.

Walter M. Miller jr, Kantyczk, dh Leibowitza

Śnieg topniał z południowej strony wraku, odsłaniając rdzawy, chropawy pancierz. Deszcze i roztopy zmyły sadzę, ukazując nagie, pokryte tylko rudym nalotem pancerne płyty. Nie zostało nic prócz stali i wtopionych w nią ceramicznych kompozytów, cała reszta - guma, plastik, paliwo i załoga - spłonęła już dawno. Może gdzieś na dnie wypalonego czołgu znalazłyby się jeszcze sprzączki od oporządzenia, wszystko inne wymiółł wybuch amunicji, który odrzucił wieżę o kilkadziesiąt kroków, odwalił całą burtę przedziału silnikowego.

Kadłub zdeformowała eksplozja, jednak wciąż stał na gąsienicach, nawet niezerwanych, dokładnie w miejscu, gdzie zatrzymał się na chwilę przed rokiem. Na chwilę wystarczającą, by pocisk z wyrzutni LAW trafił od góry w żaluzje silnika, Przez szczelinę oderwanej burty widać było potrzaskane tryby przekładni, nadtopione uderzającym strumieniem kumulacyjnym. Palące się elektronowo-magnezowe łopatki turbiny wytworzyły wystarczającą temperaturę, by stopić stal, a także by oszczędzić pracy drużynom grabarzy. Aluminiowe znaki tożsamości też niewątpliwie spłonęły.

T-80 UD zwany przez załogi Praszczaj Rodina, ostatni z rosyjskich czołgów napędzany turbiną gazową. Ten egzemplarz dawno już powinien stać wkopany w ziemię po wieżę na chińskiej granicy, tak jak większość innych, które przeżyły walki w Czeczenii. Okazało się jednak, że trochę ich zostało w odwodach Grupy Armijnej „Białystok”. I to właśnie te czołgi zatrzymały grzęznące amerykańskie przeciwnatarcie. Zatrzymały, ale nie ocalał ani jeden.

Na zasypanych śniegiem ulicach Ostrowi było więcej takich wypalonych do cna rdzawych pagórków. Nie pomogło nawet ciężkie paliwo, w którego kałuży można było zgasić zapalkę sztormową, takie samo jak do myśliwców odrzutowych. Cóż z tego, że czołowy, warstwowy pancierz wytrzymał trafienie podkalibrowych pocisków z rdzeniem uranowym. Rosyjskie osiemdziesiątki nie spotkały się łeb w łeb z abramsami i schwartzkopfami, rzucone do miasta ze słabą osłoną piechoty napotkały tylko Rangersów, rozproszonych w ruinach i na poddaszach, uzbrojonych w lekką broń przeciwpancerną. W Ostrowi, wprawdzie na małą skalę, powtórzył się Groźny. Czołgi ślepe i niezdarne w mieście płonęły od trafień pociskami kumulacyjnymi, bezradnie obracały wieże, by ogniem z kaemów odpowiedzieć strzelcom ukrytym na piętrach domów. Trwało to na ogół

krótko, kolejny błysk, kolejna wielotonowa wieżyczka koziółkowa w powietrzu wyrzucona eksplozją. Kolejny stos pogrzebowy rozpałał się białym, jaskrawym płomieniem, magnezowym żarem rozbitych turbin.

Warkot diesla odbijał się od wypalonych ścian. Ciężarówka jechała wolno, omijając rozbite pojazdy, podskakując na wybojach ukrytych pod warstwą mokrego śniegu. Nikt już nie remontował drogi, nawet prowizorycznie, nie ściągał wraków na pobocze, nie zasypywał lejów po pociskach. Ta droga nie miała już znaczenia, wymazano ją z mapy, tak samo jak leżące przy niej miasta i wsie. Wszystko przesunęło się dalej, kilkaset kilometrów na południe. Tutaj została tylko martwota i ruiny, nieliczne ślady na śniegu - zdziczałych psów i równie zdziczałych ludzi. Tylko tacy tu zostali.

Ciężarówka, odrapany Kamaz, zwolniła jeszcze bardziej. Nie był to pojazd terenowy, zwykła, cywilna ciężarówka z napędem na oba tylne mosty, niedbale zachlapaną zieloną i brązową farbą. Tylko takich pojazdów używały północne garnizony, pozostawione chyba mocą biurokratycznego bezwładu, obsadzające wyludnione miasta i przeprawy, z których już nikt nie korzystał.

Tuż za skrzyżowaniem na Łomżę drogę zagradzał transporter, stary BMP-2, zwany urągliwie „bradley’em” z gołą dupą. Szereg przestrzelin w burcie, trafionej serią z półcalowego kaemu, dowodził słuszności tego przydomku. Kolejny raz została udowodniona teza, iż pływalność z marszu i silne uzbrojenie to jeszcze nie wszystko, że i pancierz na coś się przydaje.

Tego wraku też nikt nie ściągnął z drogi. Nikomu się nie chciało, na poboczu zostało dość miejsca na objazd. Kamaz zwolnił jeszcze bardziej, ponieważ pobocze zasypał śnieg, a kierowca nie był pewien, jakie pułapki kryją się pod nim. Zgrzytnął redukowany bieg, plandeka zakołysała się, gdy kamaż wjeżdżał w ukryte koleiny. Przez chwilę ciężarówka sunęła prosto, mimo skręconych przednich kół, popychana przez oba tylne mosty. Wreszcie przednie opony odzyskały przyczepność, wóz znowu się zakołysał, wyjeżdżając na twardą nawierzchnię.

Dźwięk silnika spłoszył wychudzonego psa, który odbiegł w ruiny, kuląc pod siebie wyleniały ogon. Na grzbiecie w zmierzwionej sierści świeciły łyse plamy skóry. Psy były odporne, zadziwiająco wiele ich zostało. Przetrwały pierwsze uderzenie neutronowych głowic, wystrzelonych przez baterię haubic MSTA, kiedy już było wiadomo, że trzon amerykańskiego natarcia to cele miękkie, który to eufemizm oznaczał wojska pozbawione ochrony pancerza. Przetrwały też następne, gdy rosyjskie lotnictwo użyło ładunków paliwowo-powietrznych do zgniecenia resztek amerykańskich sił w lasach wzdłuż

Bugu. Sapnęły pneumatycznie wspomagane hamulce. Droga się kończyła, dalej wraki czołgów przegradzały ją zupełnie, nie było jak objechać. Kamaz znieruchomiał.

Otworzyły się drzwi kabiny, najpierw wyleciał z niej zielony, wypchany worek, spadł łukiem w śnieg, tuż obok rdzawej burty spalonego czołgu. Drobną sylwetką w zbyt dużej lotniczej kurtce zeskoczyła w ślad za nim.

Frodo podniósł worek, zatrzymał się na chwilę, przykładając dłonie do uszu. Widać kierowca coś mówił, lecz łoskot przepalonego tłumika głużył słowa. Niziołek potrząsnął głową, zamachał niecierpliwie ręką. Zgrzytnął wysprzęglony bieg. Słońce błysnęło na płaskiej szybie kabiny, gdy kamaz zawracał, Frodo patrzył za oddalającą się ciężarówką, dopóki nie zniknęła za zakrętem, przesłonięta ruinami. Jeszcze przez dłuższy czas słychać było cichnący warkot diesla.

Gdy zamilkł, Frodo, zamiast ruszać, opuścił trzymany worek na śnieg. Rozejrzał się, zsunął skórzaną pilotkę z kędzierzawej, czarnej czupryny. Patrzył na ruiny, ciche i spokojne, przykryte całunem topniejącego śniegu. Na poczerńnięte ściany z pustymi, ciemnymi oczodołami okien, szkielety wypalonych czołgów, na wbity lufą w gruz M-16 z zawieszonym na kolbie amerykańskim hełmem.

Cisza, bezruch i zapomnienie. Spodziewał się takiego widoku, wystarczająco wiele usłyszał po drodze. Ale usłyszeć to co innego, niż zobaczyć.

Stał i patrzył, nie zważając na przestrogi o wciąż silnym promieniowaniu wtórnym pancernych pojazdów. Cisza i bezruch, nienaruszony całun śniegu.

Aż drgnął, zobaczywszy smużkę dymu unoszącą się prosto w niebo, w bezchmurny i bezwietrzny błękit.

- Jasny gwint - powiedział na głos. Smuga dymu unosiła się z płaskiego dachu knajpy, straszącej ciemnymi oknami, z których zniknęły płyty dykty.

Dźwignął worek i ruszył powoli, nie myśląc nawet, że warto wyjąć broń. Szedł coraz szybciej, mijając odwróconą skorupę czołgowej wieży, przeskoczył długą lufę armaty, na której uchowała się jeszcze izolacja termiczna. Patrzył w ciemny otwór po wysadzonych z futryny drzwiach, jakby spodziewając się, że już za chwilę zanurzy się w znajomy smrodek i gwar wielojęzycznych głosów, w ciepły zapach kapusty i dymu, tytoniowego i konopnego, w swojski odór samogonu. Że znów głosy przycichną na chwilę, nawet sprośne piosenki, że ruszy do stolika pod przestrelonym oknem.

Kroki zastukały po posadzce, ciemna, pusta sala, z nawianym pod oknami śniegiem. Zwalone w kąt krzesła, zwisające spod sufitu, potrząskane oprawy świetlówek, Pustka i cisza. Wzrok zaczął przyzwyczajać się do półmroku, wyławiał szczegóły. Poznaczone

ospą przestrzelili ściany, zetlałe, zaplamione opatrunki w kącie. Coś zgrzytnęło pod nogą, Frodo zatrzymał się, spojrział. Pusta jednorazowa strzykawka z wojskowego zestawu, dawka morfiny zwana „błogą śmiercią. Rozsypane łuski i ogniwa taśmy, Wystrzelona rura LAW, Pustka i cisza. Przywidzenie, Nie ma żadnego dymu, nie może być. Nic nie ma poza okrywającym wszystko śniegiem, zmutowanymi psami, pustką i ciszą. Poza śmiercią.

Nikt nie podniesie się z krzesła, nie podsunie szklanki wypełnionej żółtawym bimbrem. Nie zostało już nic, nawet cienie tych, którzy tu pili, załatwiali interesy czy prali się po pyskach. Nie zostały cienie tych innych, którzy zakończyli tu beznadziejne natarcie, których przyniesiono rannych i umierających. Tych, którzy broniąc się do końca i powstrzymując rosyjski kontratak, spoglądali w niebo i czekali na ewakuacyjne helikoptery. Ale zamiast wyczekiwanego łomotu wirników niebo rozłupało się fioletowym błyskiem neutronowych głowic. -

Nikt nie podsunie szklanki. Nikt nie błysnie zębami w krzywym uśmiechu, nie klepnie w ramię, nie powie... - Cześć, kurduplu!

Parciana taśma wypchanego worka wypadła ze zdrtwiałych palców. Zimny dreszcz przebiegł wzdłuż kręgosłupa, lodowaty, jak powiew przechodzącej blisko śmierci. To niemożliwe, pomyślała jakaś jeszcze trzeźwa część umysłu Froda. To po prostu niemożliwe...

Chciał się odwrócić, ale nie mógł, ciało nagle odmówiło posłuszeństwa. Cekał na klepnięcie w ramię, choć wiedział, że to niemożliwe, że to się nie stanie, że to tylko wyobraźnia, jedynie. Cekał na klepnięcie w ramię. I doczekał się.

- Nie spodziewałeś się... - Głos był bardziej zachrypły, niż pamiętał. Ale niewątpliwie ten sam. - Nie spodziewałeś się, kurduplu pierdolony...

To ostatnie słowo przeważało. Odwrócił się gwałtownie, spojrział...

Kędzior nie wyglądał już na króla przemytników, Zniknęła gdzieś elegancja, pokryta bliznami oparzelin łysina nie świeciła jak zwykle, Oczy zapadły się głęboko. Ale był to Kędzior, ten sam. Jak najbardziej żywy.

Znajomy smród fuzlu uderzył w nozdrza. Kędzior trzymał blaszaną manierkę. Frodo machinalnie wyciągnął rękę, usiłując nie patrzeć na różową dłoń, pokrytą łuszczącym się naskórkiem, Ujął chłodną blachę, starając się za bardzo nie wychłapywać palącego płynu, Nie do końca się udało, manierka zadzwoniła o zęby.

Po drugim łyku ustało dygotanie rąk, alkohol spłynął falą ciepła, Frodo splunął.

- Kędzior, kurwa... - powiedział wolno, nie czując już wewnętrznego rozdygotania. - Przecież ty, kurwa, nie żyjesz...

Spojrzenie przemytnika przygasło.

- I owszem... - odparł po chwili. - Nie żyję. Tak samo jak my wszyscy...

Frodo bezmyślnie zaczął grzebać w licznych kieszeniach kurtki lotniczej. Wreszcie znalazł paczkę cameli. Wyciągnął jednego, wetknął do ust. Dalej poklepywał się po kieszeniach, szukając zapalniczki. Kędzior szczęknął benzynową Zippo, Strzeliły iskry spod kółka, zamigotał płomyk. Frodo pochylił się, zaciągnął głęboko.

- Wreszcie nauczyłeś się palić... - W głosie Kędziora zabrzmiała kpina. Poznaczona oparzeniami twarz rozciągnęła się w uśmiechu. Frodo westchnął bezwiednie, spróbował odwrócić wzrok.

- Nie krępuj się - usłyszał. I posłusznie spojrzął, Kędzior wciąż się uśmiechał. Ściągnięte blizny nadawały mu niesamowity wyraz.

- Wiem, jak wyglądam... - dodał były przemytnik, - Kiedyś znalazłem lustro...

Frodo bezwiednie pokręcił głową.- Powiedz...

Umilkł. Sam nie wiedział, o co chce zapytać. Kędzior poklepał go po ramieniu.

- To długa historia.

Na zapleczu, przy kuchni, ocalało jedno pomieszczenie, Kiedyś był to pewnie podręczny magazynek, z małymi okienkami tuż pod sufitem, obecnie awansował na główną salę restauracyjną. Knajpa w Ostrowi była niezniszczalna, działała nawet teraz i co najważniejsze miała - gości.

Na ich widok Frodo zatrzymał się na progu. Wyglądało to jak kiepska scenografia do marnego filmu, takiego z gatunku postapocalyptic. Brakowało tylko blondynki z wielkim biustem i jeszcze większym blasterem.

Wszystko inne było. Nawet telewizor, a raczej pusta obudowa, wewnątrz której pełgały płomienie. Ktoś kiedyś oglądał „Terminatora” i miał poczucie humoru. Niziołek pomyślał, że mylili się wszyscy, którzy wyśmiewali tandetne filmy. To scenarzyści mieli rację, świat po wojnie jądrowej właśnie tak wygląda.

Bywalcy odwrócili się na chwilę, jak w każdej knajpie, mierząc przybyłych wzrokiem. Potem powrócili do swych szklanek i talerzy. W gwarze utonęło sapnięcie Froda. Jak się okazało, Kędzior był stosunkowo mało naznaczony.

Niziołek poczuł uścisk na ramieniu, widać Kędzior nie był pewien jego reakcji. Przemytnik pociągnął go w kąt do wolnego stolika, odsuwając kopniakiem dziwne zwierzę pałętające się pod nogami. Coś jak kot, tylko łysawy. I jakiś taki duży.

Kędzior dostrzegł przelotne spojrzenie, jakie rzucił zwierzęciu Frodo. Uśmiechnął się. Tym razem uśmiech nie zrobił wrażenia na niziołku. W tym otoczeniu był bardzo ludzki.

Usiedli na krzeselkach z metalowych prętów, które Frodo dobrze pamiętał. Kędzior rękawem zgarnął okruchy ze stołu.

- Zdejmij kurtkę, ugotujesz się - mruknął.

Istotnie, w pomieszczeniu było gorąco. Gdy Frodo przymknął oczy, gdy wsłuchał się w gwar, brzęk szkła, miał wrażenie, że czas się cofnął. Że gdy otworzy oczy, wszystko będzie tak jak dawniej, zobaczy kpiące spojrzenie Wagnera, sączącego swój koniak. Ujrzy zardzewiałego BTR-a za oknem, błyszczącą łysinę przemytnika, Czas zatoczył koło, odliczający do końca świata zegar nie przyspieszył nagle. Jest jak kiedyś, wypije kolejkę lub dwie, ruszy przez las do Broku, drogą przez las, zielony i pachnący żywicą, Tak, teraz zamówi, już przecież podeszła kelnerka, ta gruba, z dużym.

- Ocknij się, człowieku - natarczywy głos przebił się przez wspomnienia. Frodo otworzył oczy i zaraz je zamknął. Kobięca postać niewyraźnie się rysowała w zadymionym mroku. O coś pytała, bełkotliwie i niezrozumiale.

- Hej, kurduplu! - Kędzior pochylił się, potrząsnął jego ramieniem. Niziołek zebrał się w sobie.

- Pyta, co podać... - Kędzior uśmiechnął się znowu, - Śmiało zamawiaj, tylko kociny nie polecam. Za to piesek jest świeży, sam go dziś oskórowałem. Powinna być jeszcze polędwiczka, duży był, skubaniec...

Frodo nie odpowiedział. Patrzył na piękny profil stojącej przy nich kobiety, na miękki wykrój warg, rzęsy ocieniające oko, Z wysiłkiem rozciągnął wargi w uśmiechu.- Niech będzie. - Głos go zawiódł. Odchrząknął z wysiłkiem, czując nagłą suchość w gardle. - Niech będzie - udało mu się powtórzyć.

Kobieta odpowiedziała uśmiechem.

Połówką uśmiechu. Drobne zmarszczki ułożyły się w kurze łapki, uniósł się kącik ust. Druga połowa twarzy, ta z rozlaną puchliną pozostała groteskową maską, w której pływało wybaluszone, zmętniałe oko.

Kobieta odeszła, Frodo czuł, że wciąż siedzi „jak idiota z przyklepionym do twarzy uśmiechem.- Koty niezdrowe - powiedział Kędzior, jakby nie zwracając na nic uwagi. - Gnieżdżą się we wrakach, a wraki wciąż są aktywne, pancierz wchłonął sporą dawkę. Gnieżdżą się, skubane, i mnożą. Coraz większe, co ma swoje zalety, bo i szczury czegoś podrosły...

Frodo machinalnie potwierdził skinieniem głowy. Widział takie w Augustowie, szczury nie trzymały się zbombardowanego pasa, migrowały na wszystkie strony, Deratyzacja stała się obecnie bardzo niebezpiecznym zajęciem, szczury dorastały do

rozmiarów królika.- Kocina dobra dla takich jak my - ciągnął Kędzior niefrasobliwie, - Nam już nie zaszkodzi. Nie bój się, psa badałem, mało aktywny. Nie więcej niż ty...

Pewnie tak, pomyślał Frodo, Nie było już na świecie nieaktywnych, pył obdzielił wszystkich równo, przynajmniej na północnej półkuli.

- Trzeba też dużo pić. - Kędzior jak zawsze był gadatliwy. - To stary sposób na promieniowanie, dzięki temu żyję.

Zaśmiał się zgrzytliwie.

- No właśnie - podjął po chwili, sięgając pod stół do wypchanego plecaka. Chwilę mocował się z zamkiem, który wreszcie ustąpił. Zaszeleścił dakron, gdy przemytnik grzebał w kieszeniach.

Wyprostował się, stawiając na stole plastikową butelkę po pepsi, wypełnioną żółtawym płynem.- Napijemy się mojego - powiedział. - Lepszy niż ten, który tu dają... Rewelacyjny sposób...

Frodo nie zauważył, kiedy na stole pojawiły się szklanki. Czy przyniosła je kobieta, czy może przemytnik wyjął je z przepastnego plecaka. Zabułgotał bimber, Kędzior polewał obficie, od serca. Niziołek obojętnie patrzył, jak szklanki wypełniają się po brzegi. Było mu wszystko jedno, chciał upić się jak najprędzej.-.rewelacyjny sposób! - pogadywał Kędzior - Wiesz - Niziołek potrząsnął głową. Przetarł dłonią twarz. To była rzeczywistość.

- Co mówiłeś? - spytał nieprzytomnie. Kędzior popatrzył uważnie.

- Rewelacyjny sposób na promieniowanie - odparł po chwili. - Na neutrony najlepsze procenty. I wiesz co...

Roześmiał się, Śmiał się tak, aż łzy błysnęły mu w oczach i spłynęły po ściągniętych, pokrytych różowymi plamami policzkach. Froda to jakoś nie rozbawiło.

- Wiesz... - Kędzior zakrztusił się śmiechem, - A, kurwa... Uspokoił się trochę, ocierając łzy.

- Ruskie to od dawna praktykowali - podjął już spokojniej. - Książkę taką czytałem o okrętach podwodnych. Oni tam mieli przydziałowy spiryt, tylko dzięki niemu przetrzymywali. Te przeciekające reaktory... pomyśl, tyle lat, okręty podwodne z głowicami jądrowymi, każdy wystarczający, żeby zrobić malutki Armageddon. A pływali na nich stale narąbani faceci. I nic...

Znów zaniósł się śmiechem, który przeszedł w suchy kaszel. Ponownie łzy popłynęły po policzkach.

- To cię śmiesz? - spytał Frodo ospale, gdy po dłuższej chwili przemytnik przestał się krztusić.

- A ciebie nie? - Kędzior wybałuszył oczy, - Nie śmiesz cię wcale? Spoważniał, widząc przeczący ruch głowy, Frodo obracał szklankę w dłoni, wpatrując się w oleistą powierzchnię płynu, połyskującą w świetle ognia.

- A mnie tak... - sapnął Kędzior, - Popatrz, tyle lat po pijaku, i nic... A jaki rozpiździaj na trzeźwo zrobili.

Po drugiej szklance rozmawiało się lepiej. Przynajmniej Frodo miał takie wrażenie, bo Kędzior chyba od początku dobrze się bawił.

Druga szklanka stępiła zmysły, otoczenie rozmyło się, straciło ostrość. Frodo już nie odwracał głowy, gdy skrzyżował przypadkiem wzrok z którąś z masek poznaczonych oparzeniami i liszajami. Łysawy zwierzak o nadnaturalnych rozmiarach zaczął przypominać zwykłego kota, śpiącego w ciepłym kącie. Twarz Kędziora, naznaczona piętnem zbliżającej się śmierci, wydawała się taka jak dawniej.

Nawet psina smakowała jak filet cielęcy, A ziemniaki były tylko lekko przemarznięte. Nie narzekał, wiedział, że innych nie będzie. Przynajmniej na tych szerokościach geograficznych. Popatrzył przez małe okienko pod sufitem. Na szarym tle nieba wirowały płatki śniegu.

Kędzior pochwycił jego spojrzenie.

- Powinieneś wracać - mruknął, dłubiąc w zębach widelcem. Gdzieś podziały się jego dobre maniery. - Dni wprawdzie długie, jasno będzie do dziewiątej, ale złapie mróz...

Też spojrział w okno.

- Szybko, kurwa, idzie. - Pokiwał głową. Frodo przytaknął. Istotnie, szło szybko. Szybciej, niż ktokolwiek się spodziewał.

- Wiesz, co się dzieje? - spytał, Kędzior zaprzeczył. - Niespecjalnie. Gazety tu rzadko dochodzą. - zakpił. I dołał do szklanek.

- Opowiesz? - zapytał po chwili, - Nie żebym był specjalnie ciekaw, niewiele to zmieni. Ale zawsze dobrze wiedzieć, Jak wygląda teraz świat...

Jak wygląda świat, zastanowił się Frodo. Można się tylko domyślać, gdy komunikacja zerwana, a plotki i domysły więcej znaczą od wiadomości. Jak wygląda świat, w którym zostało kilka milionów Chińczyków, tych, którzy zdążyli dotrzeć do Australii, zanim zaczęły się masakry na plażach koło Darwin, Jak wygląda meksykańska Kalifornia i Teksas, teraz, po zimie głodu i zarazy, która przerwała odpływ ludności za Rio Grandę, Jak prezentuje się skuta lodem Kanada, Finlandia, Szwecja. Francuskie Kongo, niemiecka Afryka centralna, w której las deszczowy poczynął przemieniać się w sawannę, odkąd większość wody została uwięziona w rosnących czapach polarnych, Jak niedługo będzie

wyglądać dno Morza Północnego, wielka równina, na której kości mamutów z poprzedniego zlodowacenia leżą pospołu z wrakami okrętów. Dębowe wręgi z czasów wikingów, porzewiałe pancerze z bitwy jutlandzkiej i zebra mastodontów. Jak wygląda świat, w którym jedynymi Hindusami byli lekarze w USA, a i tych populacja została silnie zredukowana. Świat bez Pakistańczyków i Afgańczyków.

Zapylenie atmosfery było piórkiem, pod którym ugiął się wielbłąd. Jądrowe ciosy, wymierzone podczas rozpaczliwej amerykańskiej kontrofensywy w północnej Polsce, zapoczątkowały reakcję łańcuchową. Nagle drgnęły palce trzymane w gotowości na atomowych guzikach, świat przeszedł do ostatecznej rozgrywki.

Kilkadziesiąt głowic. Radiacja mniejsza niż przy katastrofie W Czernobylu. Ale pył wzbijany przy wybuchach, wznoszący się aż do stratosfery wystarczył, ograniczył dopływ energii słonecznej na kilka miesięcy, Stała pompa Golfstromu. I w pierwszą zimę mroku i mrozu zginęło trzy czwarte populacji. Z głodu, zimna i w bratobójczych walkach.

Samogon palił w gardle, Wyleniałe kocisko zadarło tylną łapę do pionu, wylizywało zadek. Nie przejmowało się tym, że jest niewątpliwym mutantem, Kędzior słuchał, ogryzając w zamyśleniu szczurze udko.

Słuchał o czasach, gdy jeszcze dochodziły transmisje z krótkiej wojny światowej. Gdy można było zobaczyć migawki z autostrady śmierci pod Bagdadem, gdzie historia potoczyła się kołem, gdzie irackie Su-25 rozstrzeliwały wycofujące się amerykańskie kolumny, uciekające przed pancernym zagonem izraelskich merkay i saudyjskich leclerków. Kiedy pokazywano meksykańskich czołgistów pozujących do zdjęć w ruinach Alamo. Podpisanie traktatu afrykańskiego, ustanawiającego podział wpływów pomiędzy Francję, Wielką Brytanię i Niemcy. Wmurowanie kamienia węgielnego pod zakłady Nokia w Alice Springs.

Śnieg za oknem gęstniał, na tle szarego nieba wirowały ciemne płatki. Normalka, w czerwcu.

Krótką wojna światowa. Nie wiadomo, czy nazywać ją trzecią, czy trzecią i pół. Bo w zasadzie trzecia tliła się od kilku lat, pełzająca, od czasu do czasu wykwitająca atomowym grzybkiem.

Wojna, która - jak to zwykle bywa - zaczęła się gdzieś na peryferiach, nic zda się nieznaczących, ot, jakieś Sarajewo, gdzie zastrzelono szlachetnie urodzonego dupka. Jakieś Gleiwitz.

Wojna, w której szybko okazało się, że wcale nie trzeba odpalać całego arsenału, by skutki stały się nieodwracalne. Po prostu wystarczy wybrać zły moment, by przyspieszyć

nieuniknione. Wojna, w której nikt nie wygrał. Ani Rosjanie, którzy oparli się o Karpaty, zyskując nikomu niepotrzebny, dawno spisany na straty teren, niewart krwi. Ani Amerykanie, którzy tego terenu bronili mizernymi siłami w imię jakichś niepojętych zasad, bo przecież sensu nie miało to żadnego.

Nie wygrali Chińczycy, którzy wreszcie mieli okazję do odpalenia swych rakiet, oczywiście w obronie światowego pokoju. Nawet kilkanaście doleciało do Stanów. Do Chin kilkaset, po czym Australijczycy mogli odetchnąć z ulgą i zluzować jednostki strzegące północnych wybrzeży.

Nie wygrał nikt. I wygrali wszyscy, rozwiązując mimo woli problem przeludnienia. Nagle w świecie, gdzie lodowiec z każdym rokiem zajmował coraz więcej obszarów nadających się do zamieszkania, kurczące się miejsce przestało być palącym problemem.

Ciemne plątki na tle szarzejącego coraz bardziej nieba. Nuklearna zi - ma. Eksplodujące nad Ostrowią pociski dalekonośnych haubic MSTA, eksplozje, które spowodują, że nazwę Ostrów wymieniać się będzie zaraz po Sarajewie i Gdańsku. Błyski wybuchów, po których zarejestrowaniu naciśnięto guziki. Nuklearna zima i naturalny glacjał. Jeszcze jeden obrót koła historii, mierzonej okresami geologicznymi.

Frodo urwał. Nie wiedział, o czym jeszcze mówić, co jeszcze zostało do powiedzenia. Przecież to nieważne, w każdym razie dla nich tutaj, skazanych na zagładę, rzeczywiście już martwych, jak powiedział Kędzior. Martwych od chwili amerykańskiej kontrofensywy, kiedy to generał Meade, głównodowodzący polskiego frontu zamarzył zrobić drugie Ardeny. Zupełnie bez sensu, nie miało to żadnego strategicznego znaczenia, całe terytorium, przez które parli Rosjanie, by oprzeć się na Karpatach, i tak było nieważne. Meade nie mógł liczyć na posiłki, jego armia miała tylko opóźnić pochód Rosjan, by odciążyć tych w Zatoce i na meksykańskiej granicy.

- Przesrali sprawę... - mruknął. Kędzior odłożył ogryzione do czysta udko. Pokiwał głową. - Ano, przesrali - zgodził się. Wiedział, o kim mówi Frodo.

- Drugi naród idiotów - dodał. - Zaraz po nas...

Niziołek uśmiechnął się, wyszczerzył zęby w ironicznym grymasie.

Był już pijany.

- My? - Czknął. - My nawet nie wiedzieliśmy, co się dzieje... Wdepnęliśmy w gówno, nie wiedząc, co się szykuje... A oni przecież wiedzieli...

Pokręcił głową, sięgnął po szklankę. Skrzywił się, widząc, że jest pusta. Podsunął ją Kędziorowi.

- No, co jest? - burknął niecierpliwie, widząc, że przemytnik nie dolewa, - Co jest?

- Musisz wracać. - Kędzior popatrzył uważnie. Jak zwykle alkohol przepływał przez niego bez wyraźnego skutku. Jak dawniej.

- Nie wracam. - Niziołek pokręcił głową z pijackim uporem, - Idę do Broku. Muszę...

- Po cholere? - przerwał Kędzior. Nie doczekał się odpowiedzi, - Tam nic nie ma - dodał po chwili. - Nic nie zostało, nic, do czego warto wracać. Zaraz za Ostrowią zaczyna się las, ale teraz to tylko okopcone pnie... Wiem, widziałem przecież... Nic, kurwa, nie zostało...

- Muszę - niewyraźnie powiedział Frodo. Język zaczynał mu się plątać, - Muszę...

Walnął pięścią w stół, przewracając szklankę. Gwar ucichł, bywalcy przypominający okutane szmatami tłumoki zaczęli się odwracać, Zmutowany kot spojrzął z dezaprobatą i czmychnął w kąt. Kędzior zamachał uspokajająco ręką.

- Frodo... - zaczął. Niziołek poderwał głowę.

- Ja muszel - podniósł głos, - Muszę i pójdę... I co mi zrobisz? Roześmiał się głupio.

- Ja, nic - powiedział wolno Kędzior.

- To pójdę. Ty tam byłeś, to i ja pójdę...

Przemytnik pochylił się, Przybliżył twarz do twarzy niziołka.

- Ja, owszem, byłem - szepnął, - Ale ja nie wyglądam smacznie. Ty za to tak...

Ubawiony patrzył, jak w oczach Froda niedowierzanie zmienia się w odrazę.

Kędzior naciągnął kaptur, Śnieg padał mokry, zalepiał oczy, topniał nieprzyjemnie na łysinie, Przemytnik odetchnął głęboko, czekając, aż wstrząsany torsjami Frodo odklei się od ściany, o którą się opierał, Trwało to długo.

Wreszcie odszedł chwiejnie na bok, pochylił się. Nabrał pełną garść śniegu, przetarł twarz.

- Lepiej?- rzucił Kędzior, nie odwracając się. - Le... - znów zagulgotało. Frodo w spazmach pochylił się, padł na kolana. Tym razem będzie krócej, ocenił Kędzior, nie ma czym rzygać...

Rzeczywiście, było krócej. Frodo wyprostował się. Stał obok przemytnika, wpatrując się w pordzewiałą, ledwie już widoczną spod śniegu, wywróconą skorupę wieży.

- Już - zakomunikował po chwili. Kędzior spojrzął badawczo, zobaczył pobladłą twarz. Trzeźwiejsze oczy.

- Poważnie mówiłeś? - Kędzior skinął głową. Niziołek zadygotał wyraźnie.

- Mówili... - burknął po chwili. - Ten, co mnie tu wiozł, mówił, że to prawda. Że przyjedzie jutro, skoro zapłaciłem, ale mnie tu na pewno nie będzie... Nie wierzyłem, zawsze ludzie gadają...

Odwrócił się do przemytnika.- Kędzior, powiedz... - zająknął się. - Powiedz, czy to prawda. Ja muszę, ja specjalnie po to...

Zacisnął pięści, aż pobielwały kostki.

- Powiedz! - krzyknął. - Jeśli teraz wrócę, jeśli nie... Niech to szlag... Usiadł na lufie studwudziestopięciomilimetrowej armaty, wystającej ze śniegu niczym zwalony słup telegraficzny. Siedział bez ruchu przez chwilę, po czym sięgnął w zanadrze, wydobył wygnieciony portfel. Nie rozłożył go jeszcze, zastygł na moment, trzymając go w ręce.- Powiedz, Kędzior... - jęknął cicho - Powiedz... Jeśli teraz zawrócę, do końca sobie nie wybaczę, Do końca mojego pierdolonego życia. Muszę mieć pewność, muszę...

Popatrzył na portfel, jakby widział go po raz pierwszy w życiu.

- Ty nic nie rozumiesz. - szepnął, - Nie rozumiesz, skąd możesz wiedzieć, Posłuchaj...

Ekspremytnik pokręcił głową.

- Nie interesuje cię? - Frodo spytał z goryczą. - Pewnie, co cię to wszystko obchodzi, I tak zdechniesz tutaj, tak jak postanowiłeś. Już niedługo. Co ty możesz wiedzieć...

Kędzior, który już wyciągał rękę, by pomóc niziolkowi wstać, zmartwiał. Potem, przez nieskończenie długą chwilę przyglądał się swojej wyciągniętej dłoni, patrzył, jak na różowej, błyszczącej bliznami skórze osiadają płatki śniegu, grube i puszyste, białe kłaczkę w niczym nieprzypominające regularnych gwiazdek. Jak topnieją, zamieniają się w spływające krople..W końcu cofnął rękę, schował do kieszeni, jakby nagle zaczął się jej wstydić. Jakby dopiero teraz do niego dotarło, jak ta dłoń wygląda.

- Owszem, zdechnę - powiedział zimno, nieswoim głosem. - Tak postanowiłem, zresztą, wielkiego wyboru nie miałem. Ale tobie, Frodo, nie pozwolę... Więc wstań z tego żelastwa, zanim neutrony jaja ci do końca wypalą. I chodź do środka, tam cieplej...

Ruszył, nie oglądając się na niziolka, który siedział jeszcze przez chwilę. Potem poderwał się, chciał coś krzyknąć, zatrzymać Kędziora.

- Wybacz - powiedział tylko prosto w wirującą gęstwę białych płatków, I tylko drgnienie ramion znikającej w drzwiach sylwetki świadczyło o tym, że przemytnik usłyszał.

Nie wrócili do ciepłego zakamarka obok kuchni. Siedzieli w dawnej sali restauracyjnej przy jedynym ocalałym stoliku, wciśniętym w kąt. Było zimno, kłęby śniegu wpadały przez okna pozbawione już dykty i szyb, śnieg formował zaspę na brudnej posadzce z tandetnego lastryko. Kędzior pociągał wprost z plastikowej butelki, jednak odsunął ją, gdy Frodo chciał sięgnąć.

- Ty już nie... - mruknął. Wciąż uciekał wzrokiem przed natarczywymi spojrzeniami.- Masz rację - powiedział tylko, gdy Frodo powtórzył swoje przeprosiny. - Postanowiłem tu zdechnąć, chociaż nie musiałem. To znaczy, zdechnąć muszę, już pewnie niedługo, ale niekoniecznie tutaj. Miałem szansę, niejedną, mogłem wyjechać. Tylko dokąd? I po co?

Znów pociągnął łyk, nawet się nie wzdrygając. Popatrzył krytycznie na butelkę, zastanawiając się, na ile jeszcze wystarczy. Nie obawiał się, że całkiem zabraknie, ale nie chciało mu się iść do plecaka.- A wiesz, dlaczego tu? - zapytał z namysłem. - Powiem ci, jeśli nie będziesz się śmiał. Bo tu spędziłem najlepsze lata życia...

Przerwał, widząc zdziwienie w oczach Froda. Nie pogardę, jak się obawiał, ale właśnie zdziwienie.

- Tak, najlepsze. - Jego wzrok błądził teraz po oznaczonych przestrzelinami ścianach. - Te kilka lat, kiedy byłem kimś. Nie takim żalonym, głównym jak przed wojną. I nie takim, jeszcze żalniejszym, jak teraz... Byłem kimś, Frodo, nawet ty powinieneś pamiętać... Daj no camela. Żebyś wiedział, co my tu palimy...

Wyjął papierosa z podanego pudełka, przypalił. Zaciągnął się głęboko. Wydmuchnął dym, zaciągnął się jeszcze raz.

- Kurwa, jakie dobre - mruknął, po czym spróbował puścić kółko. Nie udało się, stwardniałe od blizn wargi nie chciały się odpowiednio ułożyć. Spróbował jeszcze raz, syknął ze złością.

- Wiesz, na początku kłamię wszystko i wszystkich, Taki mój parszywy los, dwa razy w życiu. Trzeba mieć pecha, sam przyznasz, przeżyć dwa wybuchy nuklearne. Na ogół jeden wystarczy. Ale ja miałem pecha, znów byłem za daleko, żeby zdechnąć od razu, A za blisko, by przeżyć. I, kurwa, umieram już dwa lata.

Zaciągnął się z pasją, papieros rozżarzył się w mrocznym wnętrzu.- Kłamię was wszystkich. Tych, co zginęli od razu, Doggy' ego i Annakeena...

- Doggy zginął? - wyrwał się Frodo. Kędzior parsknął krótkim śmiechem.

- A co, myślałeś, że żyje długo i szczęśliwie? - spytał z ironią.- Zginął, bądź pewien. Polował na czołgi w lesie z karabinem po Wagnerze, Pewnie ich natłukł trochę, zanim odszedł do Krainy Wiecznych Łowów...

Kędzior uśmiechnął się.

- Zazdrościłem mu, zwłaszcza jemu, Zginął, jak chciał, nie tale jak Annakeen, w kałuży własnych rzygowin.

Zakaszłał, zdusił niedopałek na blacie. Kaszel nie mijał, twarz przemytnika poczerwieniała, jeszcze wyraźniej odbijały się na niej blizny.- Zabiją mnie kiedyś te szlugi

- wymamrotał po chwili niewyraźnie. - Jeśli, kurwa, zdążą... Doggy' ego widziałem po raz ostatni, kiedy przyszedł po amunicję. Dałem mu resztkę nammo, trzymałem dla Wagnera, zawsze dobrze płacił... A ja go mało oszukiwałem... Mniej niż innych...

Na chwilę uśmiechnął się do wspomnień, ale zaraz jego twarz znowu ściągnęła się powagą.

- Wziął i wrócił do lasu. Amerykanie ciągnęli od Poręby, przez Brok, powstrzymywały ich głównie helikoptery, w życiu nie widziałem tyle Mi-24 i werewolfów naraz, A oni leźli przez las, przecinkami, widać ten ich cały Meade usłyszał coś kiedyś o Ardenach. Tylko że w Ardenach był mróz, a u nas ten cały złom grzązł w blocku i piachu. Posuwali się głównie bitymi drogami. I tak mieli szczęście, daleko zaleźli. Rangersi dotarli do Ostrówi, wytlukli tu wszystkie czołgi. Taki ostatni sukces. Bo przecież i tak szans nie mieli, nie doszliby nawet do Zambrowa, o Królewcu nie wspominając. Ci zaszli najdalej, cała zachodnia grupa nawet Bugu nie przekroczyła. Bez wsparcia lotniczego, bez logistyki... Zamiast Ardenów wyszła szarża lekkiej brygady...

Zreflektował się.

- Miało być o Doggym... Dobrze, będzie, i to krótko. Był w lesie. Wtedy zniknęły śmigłowce i przyleciały Su. Dużo ich było, używali fuel-air, amunicji paliwowo-powietrznej. Nie żalowali sobie, pokryli cały pas, od Wyszkowa aż do Małkini, chcieli mieć pewność. Dlatego teraz wszystko wygląda tak, jak wygląda. A potem jeszcze poprawili pociskami neutronowymi. Wyszków, Ostrów i Małkinię, tam gdzie spodziewali się Rangersów, Zresztą byli tylko w Ostrówi.

Frodo sięgnął po butelkę. Tym razem Kędzior nie protestował.

- A, chleń sobie, niech ci idzie na zdrowie - burknął. Frodo machinalnie otarł szyjkę, pociągnął łyk samogonu. Wyobrażał sobie, jak to wyglądało. Śmigające nisko nad lasem uderzeniowe Su, koziółkujące w powietrzu zasobniki. Chmura aerozolu spowijająca las niczym poranna, nisko leżąca mgła. Oddalający się ryk silników i błysk zapłonu, ogień pochłaniający wszystko niczym rozplaszczona dla bardziej ekonomicznego wykorzystania eksplozja jądrowa, płonący pas wzdłuż rzeki. Podmuchał ognista burza wsysająca powietrze z siłą huraganu, gdy unosił się słup rozżarzonego gazu.- Tak, przyjacielu, zazdrościłem Doggy' emu. Zazdrościłem mu i do dziś zazdrościć, Zazdrościć wszystkim, którzy zginęli, i wszystkim, którzy żyją, Tobie też, kurdupu, bo tylko od ciebie zależy, czy będziesz rozsądny, czy przeżyjesz. Jeśli jutro wrócisz, skąd przyjechałeś.

Bo do Broku nie dojdiesz, nie masz szans, Zostaw to już! Frodo posłusznie odstawił plastikową butelkę.

- Dalej nie wierzysz...- Kędzior pokręcił głową, - Nie posłuchasz starego przyjaciela, jesteś mądrzejszy. Dobrze, opowiem ci, uwierzysz czy nie, twoja sprawa. Aha, jak będziesz rzygał, to w kąt, nie na moje buty...

W lesie zostały zielone enklawy, nie wiedzieć, jakim cudem. Dlaczego ominęła je fala uderzeniowa, co osłoniło je od żaru, nie pozwoliło spłonąć, jak takim samym partiom tuż obok. Większość lasu wyglądała jak epicentrum upadku meteorytu tunguskiego, nagie, poczerńiałe pnie sterczące w niebo. A tu białe pnie brzoź, zieleniły się świerki i sosny, Miękki dywan mchu wyglądał na nienaruszony. Wprawdzie mrozy zwarzyły pąki, a drzewa pozbawione były liści, ale nie miało to nic wspólnego z pierwszą, ognistą furją, która zniszczyła wszystko dokoła. Takich oaz było więcej, z góry musiały wyglądać jak zielone, żywe plamy w martwym krajobrazie.

Nie było w nich nic żywego. Ocalałe zwierzęta omijały martwy las, cuchnący wciąż spalenizną i rdzą ze zniszczonych pojazdów. Nie było nic żywego, teraz już nic. Kędzior rozgarnął popiół wygasłego ogniska, Dużego ogniska, ktoś nie żałował drewna. Wołu można upiec. Popiół był już zimny, musiało minąć kilka dni.

Towarzysz Kędziora przeszukiwał granice zielonej enklawy, szukał śladów. Daremnie, wiatr rozdmuchiwał popiół pokrywający martwe poszycie. Nic nie zostało. Patyk przegarniający popiół natrafił na coś twardego. Jak poczerńiały od ognia gliniany czerep... Miska...?

Kędzior poczuł, jak żołądek podjeżdża mu do gardła. Chciał zawołać, ale nie mógł wydobyć głosu.

Duże ognisko, można upiec wołu. I nie tylko...

- No, pomyśl, Frodo. Upolowałeś obiadek; zanim zaciągniesz zapasy do nory, chcesz przekąsić coś ciepłego. Może mózdzek? Odcinasz głowę, wkładasz w żar. Kiedy już wszystko smakowicie bulgocze, wyciągasz, teraz tylko trzeba walnąć bagnetem albo toporkiem... Będziesz rzygał?

Frodo zaprzeczył ruchem głowy. Bał się cokolwiek powiedzieć. Żeby nie zwymiotować.

- Wtedy jeszcze mogłem dalej chodzić. Teraz już nie daję rady...

Kędzior, poklepał się po nodze..

- Stawy puchną coraz bardziej... - wyjaśnił, widząc pytające spojrzenie Froda. - Wtedy jeszcze chodziliśmy, próbowaliśmy znaleźć coś więcej. Bo ja wiem, jakieś... legowiska.

Nory, w których żyją... Nigdy nic nie znaleźliśmy, prócz resztek. Takich właśnie ognisk. Teraz strzelamy, gdy tylko wyłażą z lasu. I zdziwisz się. To ludzie. Jak ich zastrzelisz, nie różnią się wiele od nas... Wyłażą często, widać niewiele żarcia szwenda się po lesie, A co, na grzyby mają chodzić? Cała strefa jest zamknięta, przecież sam wiesz...

Owszem, pomyślał Frodo, wiem. Wiem, ile kosztowało przekupienie Rosjan, by wpuścili go do „strefy objętej skażeniem. By żołnierze z posterunków wzdłuż pordzewiałych zasieków przymknęli oczy; żołnierze, którzy wciąż nosili maski przeciwpylowe i indywidualne dozymetry.

- Nie zajdziesz daleko, Nie masz szans. W mieście możemy się bronić... jeszcze możemy. Zamykamy się na noc, strzelamy do wszystkiego, co się w minach poruszy. Ale to oni zwyciężą, są lepiej przystosowani.

Frodo sięgnął po butelkę, lecz się rozmyślił.- Kędzior, ja muszę... - powiedział bezradnie. - Ja naprawdę muszę.

- Nie musisz - zimno odparł przemytnik. - Nie wiem, co tam zostawiłeś, złoto czy ulubioną pamiątkę z dzieciństwa. Ale nie musisz. Chyba że cenisz to bardziej od własnego życia... A w takim razie jesteś głupi...

Przemytnik splunął na posadzkę.

- Ty masz jeszcze wybór. Ja już nie. Ale właśnie dlatego będę cię uważał za skończonego idiotę, jeśli mnie nie posłuchasz... Mówisz, że postanowiłem tu zdechnąć. Tak, masz rację... Ale ja nie mam wyboru...

- Ja też nie - szepnął Frodo, - Naprawdę nie mam...

Znów wyjął wygnieciony portfel. Ostrożnie wyciągnął małą plastikową torebkę, zamykaną sprytnym zameczkiem; policjanci używali takich do przechowywania dowodów rzeczowych, a dealerzy narkotyków do konfekcjonowania działek.

Torebka zawierała małą szklaną łyżkę. Pastylkę RFID.

- Muszę mieć pewność... - powtórzył cicho, - Muszę, nie mogę tak żyć...

Długi korytarz, rzędy drzwi, zakurzone palmy dogorywające w donicach pełnych splątanych korzeni, fusów od herbaty i niedopałków. Zapach pasty do podłóg i starych papierów.

Człowieczek w wyświeconym garniturze szedł szparko, nie odwracając się. Świeciła różowa łysinka, Frodo szedł za nim, prawie podbiegając, człowieczek, choć nie wyższy od niego, cały czas go wyprzedzał.

Korytarz zdawał się nie mieć końca. Wciąż rzędy wysokich drzwi, ciągle takie same połówki tabliczki z wypisanymi cyrylicą nazwiskami? Nazwami referatów? Frodo nie wiedział, nie miał czasu odczytywać wyblakłych, wykaligrafowanych na kartonikach liter.

Wreszcie klatka schodowa, drewniane, skrzypiące schody, wyslizgana dotykiem niezliczonych dłoni poręcz. Brudne okna, wpuszczające szare światło.

Pada śnieg, dostrzegł Frodo, jak zwykle zresztą. Wirujące płatki przesłaniają wyludnione ulice, nie widać kopuł cerkwi ani kilku grubszych mutacji warszawskiego Pałacu Kultury. Schodzili coraz niżej, Okna przesłaniała siatka, gęsta, taka, od której odbije się każdy granat, A może to nie przeciw granatom, przemknęła myśl, może to po to, by jakiś aresztant nie wybrał krótkiego lotu ku wolności zamiast długiego śledztwa. Wreszcie niższe okno, na parterze. Za oknem, na otoczonym murami podwórzu, przesłonięty padającym śniegiem zamajaczył zielony pancerz transportera.

Frodo w spotniałej dłoni ścisnął mały kartonik. Jeden już oddał przy wejściu do budynku, ten, który udało mu się sfalszować. Drugi, tym razem biały, przekreślony na skos czerwoną kreską odebrał człowieczek w wyświeconym garniturze, Ten drugi nie był sfalszowany, przynajmniej nie całkiem. Tylko data była wywabiona i wpisana na nowo. Ostatni kartonik był autentyczny. Miał jedną wadę. Był adresowany do konkretnego człowieka. Frodo nie wiedział, czy trafił dobrze. Musiał zaryzykować, Szansa była jak jeden do trzech.

Stalowe, malowane na szaro drzwi. Wartownik przed nimi wziął z rąk wyświeconego druczek, nagryzmolił godzinę, spojrzawszy na ścienny zegar elektryczny. Pisał szczelinowy czytnik, gdy urzędnik przeciągnął swoją kartę. Szczęknęły zamki, wartownik, posapując z wysiłku, pchnął ciężkie drzwi. -

Stali chwilę w ciemności, czekając, aż zapalone automatycznie świetlówki przestaną mrugać. Usłyszeli stuknięcie zapadających rygli.

Ten korytarz też był długi. Wykładane białymi kafelkami ściany lśniły martwym, niebieskim odbłaskiem.

Ruszyli razem. Teraz człowieczek w wyświeconym garniturze nie wysforował się do przodu. Szedł obok Froda, obcasy stukwały głośno po nagiej betonowej posadzce. Dźwięk kroków mieszał się z rytmicznym potrzaskiwaniem startera przepalanej świetlówki. Gdzieś za ścianą delikatnie buczał transformator, słaba wibracja, ledwie słyszalna, raczej wyczuwalna.

Następne drzwi, zwykłe, wahadłowe, oszklone matowymi szybami. Zatrzymali się na chwilę, w końcu przewodnik pchnął je zdecydowanie.

Za biurkiem siedział starszy człowiek w białym fartuchu. Gdy taksował chwilę wzrokiem przybyłych, Frodo wstrzymał oddech. Spojrzał na identyfikator przypięty do kieszeni fartucha. Goriunow, Frodo z całej siły powstrzymał westchnienie ulgi. Wygrał swoją szansę. Zaryzykował i wygrał.

Wyświecony położył papiery na biurku. Rozejrzał się, zakręcił w miejscu. W końcu mruknął coś pod nosem i wyszedł, postukując wymownie w tarczę zegarka na przegubie, Frodo wiedział, pół godziny. Zanim jeszcze znieruchomiały wahadłowe drzwi, zanim Goriunow sięgnął po papiery, Frodo położył na nich mały kartonik. Bilet wizytowy generała-majora Rościsławskiego, z jego własnoręcznym dopiskiem.

Akademik Goriunow zignorował dokumenty przyniesione przez urzędnika, palcem przesunął po blacie wizytówkę. Jego siwe brwi uniosły się nieco. Badawczym spojrzeniem zmierzył niziołka. Sięgnął po papiery.

- How can I help you, mister... - Mrużąc dalekowzroczne oczy, odsunął skoroszyt na całą długość ramienia. - Mister... Gurievitch? Oczywiście mówi pan po rosyjsku?

Frodo przytaknął.

- To dobrze. - Goriunow się uśmiechnął i jego wyblakłe niebieskie oczy zmrużyły się kpiąco. - Bo mój hebrajski nieco zardzewiał... i czegoż to izraelski wywiad życzy sobie w naszych skromnych progach? Przecież to już tylko muzeum, a ja jestem kimś w rodzaju kustosza...

Frodo sprężył się cały. Był spięty od początku, teraz kiedy znalazł się już tak blisko, kiedy wszystko miało się wyjaśnić. W tę czy w tamtą stronę. Jeszcze wczoraj wierzył, że to wszystko jedno, byle zniknęła niepewność. Byłe wiedzieć. Teraz zaczynał się bać, czuł, jak miękną nogi” jak jakaś ciężka bryła zalega w żołądku, coraz większa i dławiąca.

Czuł się niepewnie pod badawczym spojrzeniem starego człowieka, a na dodatek zdawał sobie sprawę, że zdradza go bladość i lekkie drżenie rąk.

- Przecież wiecie, że to nie był sukces, - Goriunow pokręcił głową. - A technologię dostaliście. W całości. I nie wykorzystaliście, z powodów jak wyżej. Dlaczego więc zawracacie głowę staremu człowiekowi? I skąd w tym wszystkim mój przyjaciel?

Popukał zgiętym palce w wizytówkę na blacie. Wszystko idzie nie tak, pomyślał Frodo w popłochu. Trzeba było posłuchać Arika, wyrzucał sobie poniewczasie. Arik, stary znajomy jeszcze z białoruskich czasów, obecnie attache kulturalny ambasady. Ambasady w likwidacji, jak wszystko w Moskwie. Ostrzegał przecież, żeby nie przedobrzyć. Stary jest upierdliwy i nieufny, a ten bilecik od Rościsławskiego nie pasuje. Powinny wystarczyć izraelskie dokumenty, które Arik sprokurował w piętnaście minut, Ambasador je podpisał,

ostatnio podpisywał wszystko bez czytania. I tak nic na tej placówce nie miało już znaczenia.

- No, panie... Guriewicz? - akademik wymówił nazwisko czysto z rosyjska.

Frodo już się nie zastanawiał.- Osiemdziesiąt pięć, dwadzieścia, zero trzy, piętnaście, Strielkowa, Marina.

Stary człowiek przymknął oczy. Wyglądał dziwnie krucho, cały srebrzysto-przezroczysty, aż niebieskawy w zimnym świetle jarzeniówek. Trwał chwilę bez ruchu.

- Chodź - powiedział wreszcie. Wstał i nie oglądając się za siebie, ruszył.

Niekończące się rzędy szarych metalowych szafek. Szufladki z numerami. Stary człowiek szedł pewnie, mamrocząc coś do siebie.

Zgrzytnęła wyciągana szufladka, Frodo oparł czoło o zimną blachę szafki. Miał wrażenie, że zaraz upadnie. Poczul na ramieniu dłoń akademika.- To o niczym nie świadczy... Słyszysz mnie? Guriewicz czy jak ci tam, słyszysz?

Palce starego zacisnęły się na ramieniu.

- Chodź, chłopcze...

Krzeseło było twarde, niewygodne. Skrzypiało przy każdym poruszeniu. Akademik osunął się na swój fotel, na biurku przed nim leżała mała torebka. Ze szklaną łązką w środku. Pastylka RFID.

Frodo miał wrażenie, że słowa akademika przebijają się z trudem przez mgłę, która go ogarnęła. Widział tylko małą szklaną pastylkę.

- To nie wystarczy. Żeby mieć pewność, trzeba więcej. Dowodowy, zeznań. Jeśli już nic innego nie zostało. Identyfikator to nie wszystko, Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Akademik nie usłyszał odpowiedzi, Frodo zamamrotał coś pod nosem, zbyt cicho, żeby być zrozumianym.

- Czy ty słuchasz? - Goriunow podniósł głos. Teraz prawie krzyczał śmiesznym, starym falsetem.

- Wiesz, gdzie jesteś? To pieprzona Łubianka, a nie instytut. Instytut był w Gorkim, takie miasto, o którym nikt nic nie wiedział poza wywiadami wszelkiej maści, autorami powieści sensacyjnych i w ogóle wszystkimi, Teraz jest tam wielka dziura w ziemi, Zostało nas trzech, tylko trzech z całego projektu, reszta zamieniła się w smog nad Uralem. Tu nie ma ani jednego złamanego komputera. Nie ma nic! Tylko to, co grabarze przyślą nam z frontu. Czasem jest zdjęcie, czasem próbka DNA, którą i tak można sobie w dupę wsadzić, bo wzorce szlag trafił! Czasem znaczek tożsamości. Niekiedy raport jakiegoś

frontowego analfabety. A czasem tylko pastylka. Tak jak tym razem, Garść pastylek i wykaz kopiowym ołówkiem na odwrocie karty zaprowiantowania...

Stary urwał, zasapał się. Frodo podniósł wzrok.

- Co...? Co pan mówi?

Akademik uśmiechnął się po raz pierwszy.

- Arkadij Izakowicz...

I tyle z mojego kamuflażu, przemknęło niziołkowi przez głowę, zanim jeszcze dotarł do niego pełny sens słów starego akademika.

- Co mówicie, Arkadiju Izakowiczu?

- Wyraźnie mówię. - Goriunow uśmiechnął się. - Nic nie wiemy. Nie wiemy nawet, czy rzeczywiście zginęli. Mamy tylko nazwiska wypisane na świstku papieru.

- Przecież...

- Nie przerywaj! - fuknął stary gniewnie. - Słyszałeś, co powiedziałem. Całą dokumentację diabli wzięli, numer można odczytać. Ale z czym porównać?

- Nie pamiętacie? - szepnął Frodo. Goriunow zachnął się.

- Pamiętam - odparł gniewnie. - Pamiętam Mariszkę.

Potał twarz ręką, starczą dłonią z wyraźnie widocznymi niebieskawymi żyłami.

- Wszystkie pamiętam - wyszeptał. - Wszystkie. Odwrócił głowę, milczał przez jakiś czas.

- Ale nie mogę znać numerów! To programowalne pastylki, numery nie były stałe, zmieniano je w zależności od zadania... Zresztą sześćdziesiąt cztery znaki z sumą kontrolną, sklerozy nie mam, ale przecież bym nie spamiętał...

- To znaczy, - zaczął Frodo bezradnie. Goriunow spojrzał ze współczuciem.

- To znaczy, że nic ci nie pomogłem... Wybacz, przyjacielu, nie mogę.

- Zaraz. - Frodo myślał intensywnie, - Miejsce służby... Pochylił się nad blatem, zbliżył do Goriunowa.

- Tak! - wykrzyknął. - Miejsce służby! Muszą być jakieś archiwa, programowano przecież bramki, żeby mogła przechodzić! Trzeba sprawdzić... No co?

Goriunow kręcił głową.

- Tego też nie wiecie? Nikt nie wie? Nie została żadna kartoteka, żaden komputer? Nie da się sprawdzić w tym waszym burdelu?

Akademik nie wybuchnął, nie okazał złości. Począł, aż Frodo uspokoi się, opadnie z powrotem na skrzypiące krzesło.

- Nie potrzeba komputera ani kartotek. Proszę bardzo - po wyjściu z Instytutu, pierwsze i jedyne miejsce służby - Polarnoje. Baza Polarnoje. Potem odkomenderowanie do zadania specjalnego. Ostrów Mazowiecka. I wreszcie samodzielny batalion Specnazu. Odczyty mogły być tylko w bazie okrętów podwodnych. Przykro mi, chłopcze. Jedyne czytniki, które mogły coś zarejestrować, są właśnie tam. Pod grubą warstwą lodu... Nigdy się nie dowiesz...

Jedyne czytniki. Nie, pomyślał Frodo, nie jedyne. Jest jeszcze jeden. A raczej powinien być. Sięgnął po torebkę. Goriunow obserwował go spod oka.

- Poczekaj - powiedział. Otworzył szufladę, grzebał w niej przez chwilę. Wyciągnął rękę do Froda. Ten po krótkim wahaniu oddał torebkę.

- Sztuka musi się zgadzać... - mruknął akademik, zamieniając pastylki. - To tutaj i tak gównie warte, na nic nikomu się nie przyda. Już niedługo przenoszą nas do nowej stolicy, do Jałty, Spakują ten cały bajzel w skrzynie i kartony, załadują na ciężarówki. Połowa pewnie zginie po drodze, tylko papiery będą się zgadzać...

Stary rozgadał się, pokrywając tym szorstkim gadaniem, niepewność? Zdenerwowanie? Współczucie? Frodo nie wiedział.

- Przy poprzedniej przeprowadzce zginął spektrometr. Pięć ton ważył, fundamentu wymagał, a zginął, tylko specyfikacja została... Do dziś mamy go na stanie...

Zawinął szklaną łązkę w kartkę wyrwaną z notesu, podał niziołkowi. Ten zacisnął z całej siły palce, jakby obawiając się, że szklana drobina wypadnie i zgubi się na zawsze. Chciał coś powiedzieć, dziękować. Nie mógł, dławienie w gardle nie pozwalało.

- Do Jałty, wyobrazasz sobie! Przeniesiony do Jałty, jak jakiś Lichodiejew...

Frodo parsknął nerwowym śmiechem. Wyblakłe oczy starego zwężyły się.

- Wiesz, kto to Lichodiejew? Oj, Guriewicz, z was to taki sabra jak ze mnie Czuczka... Żyd może, ale nie sabra...

Kiedy Frodo wychodził, obejrzał się jeszcze na starego akademika, który za swoim biurkiem wyglądał jak wielki, nastroszony ptak. Wargi Arkadija Izakowicza poruszyły się. Jakby chciał coś jeszcze powiedzieć. Jednak machnął tylko niecierpliwie ręką.

- Rozumiesz, Kędzior? To ostatnia szansa... Ten mój czujnik, zamontowany w drzwiach. Wszystko było zapisywane...

Za oknami już pociemniało. Przemysłownik poruszył się niespokojnie. Wypił sporo, ale nie tyle, by zlekceważyć podstawowe zasady. Czasem sam się dziwił, dlaczego jeszcze ich przestrzega, przecież i tak jest wszystko jedno. Nie, nie jest. Mimo wszystko nie chciał skończyć jako mięso na grillu.

- Chodź, kurduplu. Pora się schować. Tu nie jest najlepiej w nocy... Powiesz po drodze. Albo i później, mamy czas...

- Poczekaj. - Frodo chwycił go za rękaw natarczym pijackim gestem, - Jeszcze chwilę...

Mówił niewyraźnie, bełkotliwie.- Frodo - przemytnik wyrwał się - nie rób ze mnie głupka... Co z tego, że odczytasz numer? Przecież nie wiesz, jaki powinien być! Nie możesz zidentyfikować, sam powiedziałeś, że dokumentacji nie ma, nawet ten, jak mu tam, nie wiedział... To co ty mi tu pieprzysz? Masz mnie za idiotę?

Parsknął pogardliwie. Miał już dosyć, dosyć wszelkich szlachetnych idiotów, szukających swojego przeznaczenia w imię... No właśnie, w imię czego, przemknęła myśl, A ty w imię czego tu siedzisz? W imię czego zostałeś, żeby zdechnąć właśnie tu, a nie gdzie indziej? Nie w ciepłym, czystym obozie na pryczy powleczonej wypraną pościelą, pod zatroskanym okiem różnych lekarzy bez granic i australijskich sióstr miłosierdzia? W obozie, w którym miałbyś wygodny wenflon, założony na stałe, nie musiałbyś szukać zdatnych jeszcze do użytku żył, by strzelić sobie codzienną porcję morfiny. Skrzywił się, pocierając bezwiednie łydkę. O żyły było coraz trudniej, niedługo nie będzie się gdzie wkłuwać. Nigdy nie sądził, że potrwa to aż tak długo. Starczy morfiny, a zabraknie żył, pieprzona ironia.

No właśnie, powtórzył sobie. W imię czego? Lepszy jesteś od tego durnia, który sam siebie oszukuje? Rozpaczliwie szuka jakiegoś sensu, zamiast spieprzać stąd jak najdalej... Dość, nakazał sobie, dość, bo w końcu zaczniesz się nad sobą litować. Potrząsnął głową. Ty pieprzony hipokryto, powiedziało coś w jego umyśle, przecież litujesz się nad sobą przez cały czas. Dość!

- Nie wiem, co masz tam takiego, że chcesz ryzykować życie - rzekł głucho, nieswoim głosem. - Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi, mnie już nic nie obchodzi. Ale mogłeś po prostu powiedzieć, że to nie mój zasrany interes, a nie wstawiać, mi rzewne kawałki!

Frodo patrzył przez chwilę, nie rozumiejąc. Wreszcie do niego dotarło.

- Nie powiedziałem? Naprawdę nie powiedziałem? Kurwa, nie powiedziałem?

Kędzior spojrzał zimno, pokręcił głową.

- Nie powiedziałeś nic poza...

- Wiem, rzewnymi kawałkami... - syknął Frodo. - Możesz wierzyć albo nie. Ten czujnik był taki sam, jak te stosowane we wszystkich bazach. Działał na takim samym oprogramowaniu, które ukradłem. Tak jak i wiele innych rzeczy, pamiętasz przecież. On nie tylko odczytywał, on identyfikował, Zapisywał numer seryjny, stopień, nazwisko...

- Pierdolisz... - wyrwało się Kędzirowi.- Nie pierdolę! - wrzasnął Frodo. - Możesz mi, kurwa nie wierzyć, ale to prawda!

Przemytnik usiadł. Wyciągnął zza pazuchy plastikową flaszkę, podał niziołkowi, Nie słuchał, jak ten wykrzykuje coś jeszcze o bazach danych, bezpośrednim łączu. Nieważne, pomyślał, nawet jeżeli nie łże... A pewnie nie łże, zawsze, był zdolny...

- Wierzę - powiedział wreszcie sucho, - Ale to i tak bez sensu. Nie dojdiesz tam, a nawet gdybyś doszedł... Nie, co ja pieprzę, po prostu nie dojdiesz...

Frodo pociągnął z butelki. Otarł szyjkę, podał butelkę Kędzirowi.

- A jak dojdę? - spytał zdławionym głosem. Samogon był mocny. Kędzior łyknął, zanim odpowiedział. Pytaniem na pytanie.

- A słyszałeś o impulsie elektromagnetycznym? Nic nie zostało z twoich danych...

- Optyczny dysk... - zareplikował Frodo z szalonym uśmiechem, ale zaraz spowaźniał, - Nie o to chodzi... Nawet jeśli tam jest tylko dziura w ziemi, muszę tam pójść. Muszę sam zobaczyć. Nie mogę tak żyć, nie ze świadomością, że nie zrobiłem wszystkiego...

Kędzior milczał długo, postukując palcami w blat.

- Jeśli pójdziesz... - zaczął w końcu. - Jeśli pójdziesz, nie będziesz rzeczywiście żył ze świadomością. A wiesz dlaczego? Bo nie będziesz żył w ogóle..

Odwrócił głowę. Zaciskał szczęki, aż guzy wyskoczyły na pokrytych bliznami, bezwłosych policzkach. Pieprzony głupek, tłuło się Kędzirowi w głowie. I co ja mam, kurwa, powiedzieć? I tak pójdzie...

- Nie mogę cię okłamywać... - wybuchnął wreszcie. - Nie mogę... Dom stoi, przynajmniej stał, kiedy tam byłem ostatnio... Pół roku temu... Piętro spłonęło, ale parter ocalał...

Wstał.

- Zrobisz, kurwa, co chcesz... Chcesz zginąć, proszę bardzo. Ale nie dziś... Idziesz, Frodo?

Niziołek ocknął się, podniósł głowę.- Idę, idę...

- No to chodź.

Nocą powiał wiatr. Gorący wiatr z południa, gdzieś zza Karpat, zrodzony na wypalonych pustyniach Węgier. Oddech oszalałego klimatu, skok temperatury o dobre dwadzieścia stopni.

Przeganiał rzadkie, strzępiaste chmury po opalizującym od pyłu niebie. Łomotał strzępami blach na rumowiskach, lizał rdzawe pancerze wraków, toczył kłęby szmat i papierów. Mokry śnieg, ścięty już wieczorem warstewką lodu, topił się, spływał strugami,

które łączyły się w brudne strumienie, na nagą ziemię, walające się kości, potrzaskane hełmy, gruz z pustaków i cegieł. Przygi do ziemi nieliczne stojące jeszcze drzewa, wył i gwizdał w gałęziach pozbawionych liści od ponad roku. Brzozy i lipy, klony i kasztany, które stały martwe i nagie, pierwsze ofiary zmian klimatycznych.

Nad ranem ucichł. Wstał wczesny czerwcowy świt, cały - w feerii barw, żółci, czerwieni i fioleatów, oszalały kolorami, gdy promienie wyłaniającego się zza horyzontu słońca załamywały się i rozpraszały na cząsteczkach pyłu.

Słońce wznosiło się coraz wyżej, coraz bardziej przygaszone, stłumione na szarym niebie, Wtedy wrócił mróz, ścisnął rozmiękły grunt, zeszklił kałuże, zamienił błoto w twarde grudy. Powłókł warstwą siwego szronu rdzawe pancerze i mury.

Za Ostrowią szosa opada z niewielkiego wzniesienia, zaraz za ostatnimi zabudowaniami, z których zostały już tylko ruiny. Wchodzi w lasy, sadzone jak pod sznurek, podlaskie piaski z lichymi sosenkami.

Kroki stukały po asfalcie pokruszonym gąsienicami, porozsadzonym przez mrozy, porozrywany pociskami z uranowymi rdzeniami. Liche sosenki stały prosto, w równych rzędach, pnie celujące w szare niebo. Rzędy pni, z których wiatry zerwały już korę i nieliczne ocalałe gałęzie. Poza nimi nie było nic, żadnego poszycia, krzewów, ani mchu. Wszystko obróciło się w popiół, w krótkotrwałym błysku ognistej burzy, kiedy zdetonowany obłok aerozolu rozpełzł się spłaszczoną eksplozją.

Nawet popioły zniknęły, wessane przez huragan wyzwolony wybuchem, Ich resztki wywiały wiatry, gorące i mroźne na przemian, które przewaliły się tędy przez ostatnie lata i miesiące. Ostały się tylko pnie, zakotwiczone korzeniami w szarym piasku. Odarte z kory i gałęzi, wyglądzone przez niesiony wiatrem piasek i lodowe kryształki.

Ogień szalał zbyt krótko, zdmuchnięty wstępujący prądem powietrza, Spopielił, co było do spopielenia, zamienił w pył, wzniesiony aż do stratosfery. Zbyt krótko płonął, by stopić asfalt, by szosą popłynęła smolista rzeka. Nawierzchnia została i tylko zwykła erozja coraz bardziej kruszyła asfaltowe płyty.

Wiatr zamarł już nad ranem. Teraz ciszy martwego lasu nie zakłócało nic poza odgłosem równych, zdecydowanych kroków, poza pobrzękiwaniem sprzączek oporządzenia. Poza równym oddechem.

Droga lekko skręcała obok samotnej sadyby, gajówki lub leśniczówki, zaraz przy wylocie niedokończonej obwodnicy. Przynajmniej Frodo pamiętał, że gdzieś tu była sadyba, teraz został z niej tylko niewyraźny zarys fundamentów, sterta cegieł z komina i piecowych kafli. Przystanął na chwilę, buchając parą oddechu.

Nie wiedzieć po co przeskoczył rów, podszedł do ruin. Trącił czubkiem buta zardzewiałe wiadro, ale zaraz cofnął nogę. W tej koszarnej ciszy blaszany dźwięk kopniętego wiadra zabrzmiał z siłą wystrzału. Instynktownie omiótł okolicę lufą abakana. Cisza, aż dźwięczy w uszach, tylko własny oddech i przyspieszone bicie serca.

Postanowił przystanąć, opanować się trochę. Odkąd minął ostatnie zabudowania, szedł spięty, sprężony, rozglądając się i nasłuchując. Zdawał sobie sprawę, że nie wróży to nic dobrego. Tu jest jeszcze w miarę bezpiecznie, przynajmniej Kędzior tak twierdził. W miarę bezpiecznie. Jeśli wykończy się nerwowo już teraz, łatwo skończy jako zakąska.

Przysiadł na betonowym fundamencie, zrzucił plecak, przepasując pierś taśmę z nabojami do granatnika. Grzebał chwilę w kieszeni w poszukiwaniu papierosów.

Najbardziej złościło go to, że sam nie wiedział, czego oczekuje. Od świtu, od decyzji, czuł w głowie zamęt. Nie wiedział, czy tak naprawdę idzie, by dojść, czy tylko po to, by zginąć. A jeszcze bardziej złościło go to, że było mu wszystko jedno. Zamigotał płomyk gazowej zapalniczki. Frodo zaciągnął się, uniósł głowę, spoglądając w rozmyty, przesłonięty pyłem dysk słońca na szarym niebie. Świecił prosto w twarz, ale nie grzał, był zimny jak światło jarzeniówki.

Frodo wstrząsnął się. Podbita sztucznym futrem kurtka i spodnie z goreteksu były ciepłe, zgrzał się nawet w szybkim marszu. Mimo to przeszedł go dreszcz.

Palił szybko, nerwowo, zaciągając się głęboko, aż niedopałek zaczął parzyć. Pstryknął palcami, aż poleciał dalekim łukiem, Chciał wstać, ale zawahał się, pogrzebał w paczce, wyciągnął następnego. Po raz pierwszy w życiu naprawdę zatęsknił za paskudnym samogonem. Wiedział, że byłoby to samobójstwo, potrzebował maksymalnej sprawności zmysłów, żeby zwiększyć swoje szansę. Wiedział, że fałszywa pewność siebie wywołana przez alkohol najwyżej uczyniłaby śmierć lżejszą... Może byłoby lepiej, pomyślał. Zachichotał cicho i aż się wzdrygnął, tak zabrzmiał ten śmiech w ciszy martwego lasu.

- Chcę umrzeć we śnie jak mój dziadek... - wymamrotał pod nosem; - A nie krzycząc ze strachu jak jego pasażerowie...

Splunął, krzywiąc się z niesmakiem. Głupiejesz, Frodo, pomyślał. Całkiem głupiejesz. Weź się w garść albo od razu strzelsobie w łeb... Nie. Nie mogę, Niech to zrobią inni.

Zerwał się na nogi, ciężko oddychając. Co ja pierdołę... Całkiem mi odbija, Weź się w garść, człowieku... Tu jest jeszcze w miarę bezpiecznie.

- Tam jest jeszcze w miarę bezpiecznie, - Kędzior ładował błyszczące pociski do łukowego magazynka. Sprężyna szczekała metalicznie, gdy kolejny nabój zniknął w

matowo-przezroczystym pudełku. Pociski miały malowane czerwono czubki, zabroniona przez wszelkie konwencje amunicja z wymuszoną fragmentacją.

Frodo kiwnął głową. Odciągnął zamek abakana, którego wybrał z całej sterty wszelakiej broni zwalanej w kącie pomieszczenia, Nacisnął spust, iglica trzasnęła, uderzając w pustą komorę naboju.

Przymknął oczy, kciukiem popychając dźwigenkę. Przeskakiwała z lekkim oporem. Zabezpieczony. Pojedynczy. Serie dwustrzałowe. Ogień ciągły. Otworzył oczy. Zgadza się. Chciał przyzwyczaić się do broni, nie używał jej jeszcze. Na szczęście przypominała pocziwego kałacha, nawet optyczny celownik był taki sam jak w ostatnich wersjach AK-74.

- Tam jest w miarę bezpiecznie, mniej więcej dwa, trzy kilometry - mruzczał Kędzior, nie przerywając ładowania magazynków, - Dopiero dalej, kiedy zaczynają się zatory na drodze, wiesz, wraki... Tam ocalało więcej zarośli, widoczność jest gorsza.

Odłożył kolejny napełniony magazynek. Sięgnął po następny. Swoją drogą, ciekawe, zastanowił się. Tam gdzie nalot zaskoczył kolumnę, gdzie drogę tarasowały splątane wraki, ocalało najwięcej drzew, całe zielone jeszcze plamy w spalonym lesie. Dziwne, pomyślał, przecież pożar powinno podsycić paliwo z płonących czołgów i transporterów rozbitych pociskami z działek i rakietami. Mruknął coś pod nosem..

Frodo podniósł głowę.- Co mówisz? - zapytał. Oglądał teraz podwieszony pod lufą granatnik.

- Nic, nieważne - zbył go Kędzior. Odeszła mu ochota do tłumaczenia. I tak tam pewnie nie dojdzie, nawet tam, pomyślał ze złością. Nie odwiodę go od tego, nie ma szans. Zresztą... Zresztą nawet nie mam prawa...

- Lżejszy niż amerykański - powiedział, patrząc jak Frodo z kolei otwiera zamek granatnika, - Amunicja też lżejsza, trzydzieści milimetrów. W sam raz dla takich krasnoludów jak ty...

- Jestem hobbitem - zaprotestował Frodo, trzaskając zamkiem.

- To jakaś różnica? - spytał przemytnik bez specjalnego zainteresowania.

- Ogromna! - parsknął nerwowo niziołek. - Widzisz, krasnoludy są brodate, mają paskudne maniery, klną.

Kędzior nie słuchał, spoglądając spod oka. Za dużo gada, skonstatował. Ze zbyt dużym ożywieniem, Nie wróży to dobrze.Frodo zamilkł nagle, w pół słowa. Popatrzył na Kędziora.

- Myślisz, że mi odbiło? - spytał, - Że głupieję ze strachu?

- Owszem - potwierdził przemytnik spokojnie, Stać go było na opanowanie, wszelkie argumenty wykrzyczał wcześniej, gdy ubrany Frodo obudził go i poinformował, że i tak pójdzie. Ze budzi go tylko po to, by nie odejść bez pożegnania. Wtedy na przemian kłął i tłumaczył, wymyślał od idiotów i prosił, W końcu zrezygnował, czując gdzieś głęboko, że wszystko zabrzmi i tak fałszywie, że jest ostatnią osobą, która może nawoływać do rozsądku. Ostatecznie sam już dawno popełnił samobójstwo, co z tego, że rozłożone na raty. Tym bardziej nie ma prawa odwozić od niego kogoś, kto przynajmniej chce to zrobić szybko. I nieważne w imię czego. Cóż za różnica, mrzonka o miłości czy cokolwiek innego...

- Odbiło ci już dawno - mruknął ze znużeniem, - To, teraz, to przecież normalne...

Tak, normalne, pomyślał nieoczekiwanie jasno niziołek. To tylko ciało, resztki instynktu samozachowawczego. To, że ten instynkt nie może się pogodzić, iż kierują nim obsesje. Irracjonalne obsesje.

Irracjonalne obsesje. Następny niedopałek zatoczył łuk.

Frodo spostrzegł, że pociemniało. Zaklął pod nosem, widząc, że niebo zasnuwa się chmurami, jak zresztą codziennie, kiedy zaczynał padać śnieg. Zaklął ponownie, tym razem na głos.

Śnieg. Kiedy zacznie padać, gdy zgęstnieje, nie zobaczy wiele przez zasłone wirujących płatkowi Za długo zwlekał, za długo siedział w tych ruinach, paląc jednego camela za drugim, myśląc nie wiadomo o czym. Pospiesznie dociągał paski plecaka.

Zaraz, przyszło otrzeźwienie po krótkim momencie paniki. Ty nie będziesz widział. Ciebie też nie będzie widać. Zacisnął do bólu pięść. Frodo, powiedział sobie, kurduplu pierdolony. Pamiętaj, co mówił Wagner. Strach zabija. A ty jeszcze musisz trochę pożyć.

Przynajmniej do samego Broku. Skrzywił się.

Rzadkie płatki zawirowały w powietrzu, gdy wchodził na potrzaskany asfalt szosy.

Pierwsze wraki zobaczył, kiedy minął po prawej szutrową drogę do Nagoszewa i Turki, Najpierw poskręcana sterta blach w rowie, dopiero gdy przyjrzał się bliżej, rozpoznał hummera, Drugi hummer stał na środku drogi, wypalony, stojący na obręczach kół. Opony spłonęły, tylko wiązki drutów i kewlarowej osnowy opasywały jeszcze felgi. Drut już przerdzewiał i rozsypywał się w rudy pył. Szpica załamującej się ofensywy. Prawdopodobnie tracery, pojazdy rozpoznawcze, pomyślał Frodo. Teraz już nie można było tego stwierdzić, pożar poskręcał blachy, nie zachowała się charakterystyczna głowica czujników.

Minął hummera, który stał tak od czasu, gdy kierowca ostatnim błyskiem świadomości nacisnął hamulce, gdy otaczająca go mgła zamieniała się ogień. Dalej droga była pusta, dopiero prawie poza zasięgiem wzroku majaczyły na niej kanciaste, czarne kształty. Przyspieszył kroku. Śnieg gęstniał, Frodo zaczynał się cieszyć, zaczynał mieć nadzieję, że zgęstnieje jeszcze bardziej, że będzie mógł przemknąć się niepostrzeżenie. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zejść z szosy i nie pójść przez las. Jednak Kędzior przestrzegał, w piasku, niezwiązanym już przez korzenie, niepokrytym mchem będą grzęznąć buty, trzeba omijać wykroty. Lepiej iść szosą, może odkrytą, ale krócej, Frodo zgadzał się z tym, choć w tej chwili, kiedy padał rzadki śnieg, czuł się jak na patelni. Przez cały czas odnosił wrażenie, że coś obserwuje go zza martwych pni, że jakieś oczy śledzą każdy krok. Zaklął tylko, gdy dotarła do niego cała niestosowność porównania.

Podświadomie przyspieszył, rozglądając się przez cały czas, aż skrzypiało w karku. Nic. Cisza, martwe pnie wskazujące w niebo. I coraz gęstsze, spadające cicho płatki. Nie mógł już sięgnąć wzrokiem daleko, droga zacierała się, ginęła w wirującej bieli. Z bieli wyłoniło się przechylone kanciaste pudło, Frodo stanął.

Lufa działka celowała w niebo, otwarte skrzydła wjazdu desantowego zwisały w bok. Gdy podmuch budzącego się wiatru rozegnał na chwilę padający coraz gęściej śnieg, Frodo dostrzegł następne kształty. Ruszył powoli naprzód. I w tym momencie zobaczył z boku ciemną plamę zieleni. Znieruchomiał z palcem na spuście.

To już tutaj, przeniknęło mu przez głowę. Skończyło się „w miarę bezpiecznie”, wkraczał tam, gdzie ocalały żywe drzewa, skrawki ciemnej zieleni w monochromatycznym dotąd krajobrazie, Sosny i jałowce, nawet dywan mchu pokrywający ziemię - wszystko wyglądało na prawie czarne w mętym świetle. Przypadł do wypalanej burty transportera, oparł się o nią plecami, rad, że ma ją za sobą. Rozglądał się, usiłując przebić wzrokiem kłębiące się płatki, Powoli się uspokajał, serce nie wskakiwało już do gardła.

Ciemne kształty jałowców, lekko tylko zrudziałe od ognia, Wysokie sosny z nietkniętymi koronami. Nic z tego nie rozumiał, dlaczego właśnie tu ocalały resztki żywego lasu, nie w jakichś osłoniętych kotlinach. Pnie bezlistnych, martwych brzoź nie były osmalone, brzozy zginęły później, gdy mróz porozsadzał drzewa wzbierające sokami na wiosnę, gdy zwarzył delikatne pączki i młode liście.

Kątem oka złowił ruch gdzieś na samym krańcu pola widzenia, instynktownie podrzucił karabinek, czując, jak serce podchodzi mu do gardła. W ostatniej chwili wstrzymał palec naciskający spust, zanim jeszcze dotarło do świadomości, że to tylko wiatr porusza płatem oderwanej kory.

Oddychał głęboko. Zdał sobie sprawę, że jeśli postoi tu dłużej, to zaraz zacznie strzelać na oślep, tam gdzie tylko ujrzy jakikolwiek ruch, gdzie ciemne sylwetki jałowców jawią się jak przyczajone postaci. Z wysiłkiem odkleił plecy od pancerza i rozglądając się, ruszył powoli poboczem, mijając tarasujące drogę wraki.

Kolejny stryker tkwił przodem w rowie, zadzierając tył z wciąż zamkniętymi włączami. Z tego - nikt nie wyszedł, doszedł do wniosku Frodo, widząc przestrzelmy, w burcie, gdzie podkalibrowe pociski przebiły dodatkowy kompozytowy pancerz. Tkwią tam dalej w środku, pomyślał obojętnie. Nie bał się umarłych, dawno spłonęli, rozsypali się w proch.

Obawiał się żywych.

Jeszcze raz spojrzął na niewielkie przestrzelmy, na rozerwaną wybuchem amunicji wieżyczkę, I nagle zrozumiał.

Te wozy płonęły. Kiedy samoloty zrzucały swój ładunek, było już po wszystkim, To śmigłowce zatrzymały marsz, na odsłoniętym odcinku drogi zaskoczyły kolumnę, która pędziła na złamanie karku, by dotrzeć do Ostrowi, zyskać oparcie w ruinach miasta. Kolumna wbrew wszelkim zasadom nie utrzymywała wystarczającej odległości między pojazdami, byle tylko jak najszybciej opuścić las, który wbrew optymistycznym przewidywaniom dowódców stał się śmiertelną pułapką. To nie były Ardeny, pogoda nie stanowiła przeszkód dla helikopterów wyposażonych w termowizory i milimetrowe radary.

Wozy płonęły, kiedy śmigłowce odleciały, a w las zaczęły spadać bomby paliwowo-powietrzne, by zniszczyć piechotę, która zdążyła wyskoczyć z transporterów. Rosjanie chcieli mieć pewność, nie żalowali kontenerów, z których wysypywały się setki cylindrycznych pojemników. Podpociski wyrzucane z zasobników pod kadłubami uderzeniowych SU-35, deszcz koziołkujących cylindrów, które jeszcze w powietrzu uwalniały aerozol, białą mgłę spowijającą las, ciężką, spływającą w dół, by stworzyć cienką warstwę, która eksploduje, pokrywając cały las ognistą poduszką. Ale tam gdzie płonęły rozbite wozy, prądy konwekcyjne rozproszyły aerozol, zanim jeszcze wymieszany z powietrzem stworzył wybuchową mieszaninę. A temperatura powodowała zbijanie się drobinek paliwa w ciężkie, trudno palne krople. To dlatego las ocalał. Wybuch wyssał tlen, gasząc pożary.

Frodó szedł poboczem, starając się rozglądać, a nie gapić na rozbite pojazdy, splątane i powbijane w siebie jak w karambolu na autostradzie. Większość miała zamknięte włązy, desant nie zdążył wyskoczyć. Kolumna zdawała się nie mieć końca.

Śnieg jak na złość przechodził. Rozjaśniało się coraz bardziej. Płatki spadające na ziemię topniały w oczach.

Ostatni stryker w kolumnie stał nieuszkodzony na grubych, nietkniętych ogniem oponach, z lekkimi tylko zaciekami rdzy na pokrytych kamuflażem burtach. Ocalały nawet worki, zetlałe teraz i spłowiałe w ażurowym koszu za wieżą - osobiste rzeczy załogi, spiwory, koce, wszystko to, co zawadzało w ciasnym wnętrzu transportera. Widok był tak nieoczekiwany, że Frodo zatrzymał się na chwilę. Wśród rudych od rdzy wraków ten wóz wyglądał jak przeniesiony w czasie, zupełnie nie na miejscu w tym martwym lesie, wypełnionym stalą i kompozytami. Zdawało się, że za chwilę z rur wydechowych pluną niebieskie spaliny diesla, że wóz zawróci, kiedy kierowca spostrzeże, iż dalszą drogę zawalają wraki. Ze odjedzie w nicość, z której przyjechał.

Szkoło połyskiwało niebieskawą warstwą achromatyczną spod na wpół uniesionej osłony peryskopu kierowcy, jak spod opadłej powieki. Długie bicze anten na wieży kołysały się od lekkiego wiatru. Frodo się wzdygnął. Upiór wozu dowodzenia, przeniesiony w czasie, przyglądał mu się spod uchylonej pancерnej osłony, Frodo pomyślał o pustych oczodołach śledzących każdy jego ruch.

Tak zapewne było. Włazy zamknięte na głucho, Załoga tego strykeru nie spłonęła. Prawdopodobnie kierowca zdążył zahamować, próbował zawrócić, kiedy dokoła eksplodowały płomienie. Skręcone koła wyraźnie o tym świadczyły. Ale wybuch aerozolu, ognista kula wznosząca się nad lasem, wessał powietrze, wytworzył chwilową próżnię. Najpierw zgasł silnik, a potem nadeszło kilka sekund, podczas których zamkniętym w pudle transportera ludziom pękały od dekompresji gałki oczne, zachlapując od wewnątrz szkła peryskopów i monitory pulpity dowodzenia, kiedy zapadały się płuca. Bezgłośny krzyk w nieprzewodzącej dźwięku próżni.

Kiedy mijał oliwkową burtę z namalowanym przez szablon napisem, czuł zimny dreszcz pełznący wzdłuż kręgosłupa, Coś było w tym wozie stojącym na środku drogi, coś, co czuł wyraźnie, jak spojrzenie na plecach. Uwięziony w blaszanym pudle bezgłośny krzyk. Przyspieszył kroku, nasłuchując mimo woli, bojąc się odwrócić, by nie zobaczyć... Czego} Trudno powiedzieć.

Wiedział, że to wszystko bzdura. Oni nie żyją od dwóch lat. Tkwią tam wyschnięci i zmumifikowani w swych świeżutkich kombinezonach z niezniszczalnego nomeksu, którego nie ruszą czas i bakterie. Będą tam tkwić, aż ciężar lodowca zmiążdży wszystko, sprasuje i przemiele. Nikt nie otworzy wjazdu, nie spojrzy pustymi oczodołami, nie pokiwa wyschniętym kościstym palcem.

Ale przyspieszył bezwiednie kroku, wciąż czując, jak włosy na karku jeżą się, jak bezgłośny, zamknięty pod pancierzem krzyk... Grozi?

Przyzywa?

Jego, intruza w martwym, pełnym popiołów lesie.

Stukają buty na asfalcie, płatki śniegu wirują przed twarzą. Skrapla się para oddechu, tak głośnego w przejmującej ciszy.

Cichną głosy pod czaszką. Już nie brzmią jak groźba, raczej jak ostrzeżenie, Jak jękliwy sygnał radiowy z pierwszej części „Obcego”. Zatrzymał się, ciężko oddychając, opadł na kolana. Z suchej trawy zgarnął garść niestopniałego jeszcze śniegu, wtarł go w twarz, zostawiając na niej brudne zacieki, Potrząsnął głową. Wariujesz, dupku, pomyślał ze złością. Głupiejesz ze strachu. Całą siłą woli nakazał sobie spojrzeć na stojący transporter. Martwy i cichy, z wzniesioną lufą działka, wciąż grożącą wrogom, którzy już dawno odlecieli.

Podnosił się wolno, mrużąc pod nosem przekleństwa, Ocierał mokre dłonie o spodnie, obiecując sobie wziąć się w garść, ruszyć dalej, strzec się prawdziwych, nie wymagowanych niebezpieczeństw. Popatrzył jeszcze raz na transporter.

- Pierdolony Jankes - mruknął, tłumacząc dosłownie wymalowany na burcie napis, nazwę własną transportera, - Pierdolony Jankes! - powtórzył głośno, bojąc się, że za chwilę wybuchnie histerycznym śmiechem. Głosy, kurwa, głosy. Głosy i objawienia... Może jeszcze...

Uważaj! Okrzyk wybuchnął pod czaszką. Zanim jeszcze zobaczył rykoszetujący o asfalt pocisk, zanim dobiegł trzask wystrzału, już podrzucał karabinek, już odwracał się, jednocześnie padając w stronę rowu. Za wolno. Następny pocisk trafił tuż powyżej kostki, noga załamała się. Stoczył się po krawędzi rowu, nie wypuszczając karabinka.

Następna seria poszła górą, słyszał trzask pocisków, głośny stukot, gdy wcinały się w pnie drzew po drugiej stronie szosy. Nie czuł jeszcze bólu, tylko odrętwienie, od kostki aż do kolana. Miał wrażenie, że noga jest czymś obcym, martwym, nieczułym ciężarem nie wiedzieć czemu przyczepionym do reszty ciała. Wciąż dźwięczał mu pod czaszką ostrzegawczy okrzyk. Uważaj. A raczej look out.

Cisza. Już mijał pierwszy szok, odważył się nawet spojrzeć na nogę, na wykręconą stopę. Nie zobaczył wiele, trochę krwi rozmazanej z ziemią. Spróbował poruszyć stopą, potem tylko palcami. Nawet nie poczuł, że próbował.

Zaczął myśleć dziwnie jasno. Zniknął towarzyszący od początku lęk. Lęk, którego istnienie uświadomił sobie dopiero teraz, kiedy zniknął.

- No, przyjacielu, teraz to naprawdę masz przejebane - mruknął półgłosem. Sięgnął za pazuchę, dotknął małego, płaskiego pakietu, Wyszczrzył zęby w złośliwym uśmiechu. Nie będzie śniadanka, pomyślał. Chyba że lubicie mielone...

Pięćset gramów semteksu. Dobrego, jeszcze czechosłowackiego, ze starych zapasów. Wystarczy. Ale jeszcze nie teraz, Wykręcił głowę, usiłując się rozejrzeć, Strzelali z daleka, z granicy zasięgu, stąd taka mała celność, Teraz podchodzą, ostrożnie, a nuż mięsko jeszcze żywe. Spotniałymi palcami wyłuskał z taśmy nabój do granatnika. Szczęknięt zamek, Wycelował trochę na oślep, mniej więcej w kierunku, skąd strzelano. Już miał nacisnąć spust, kiedy spojrzął na chwilę wzdłuż biegnącego obok szosy rowu.

Dwadzieścia metrów, może dwadzieścia pięć... Uniósł się na rękach, przesunął, W porządku, nadal nie boli, tylko krwi coraz więcej. Nagle zaczął się spieszyć. Zerwał z szyi chustę, zacisnął mocno pod kolanem, dokręcając węzeł kawałkiem patyka. Wiedział, że za mocno, że niedługo trzeba będzie rozluźnić, ale się nie przejmował. Nie sądził, żeby ta noga miała się jeszcze kiedykolwiek do czegoś przydać. Wyjął kolejne naboje, ułożył na kolanach, żeby nie zabrudzić piaskiem, żeby nie było kłopotów z ładowaniem. Oddychał przez chwilę głęboko, wpatrując się w szare niebo, odgarnął z czoła spotniałe kosmyki włosów. Uniósł broń i nacisnął spust.

Zanim jeszcze wybuchnął pierwszy pocisk, zamek szczęknięt i wyrzucił na dno rowu dymiącą łuskę, Za chwilę drugi, nieco w lewo, trzeci i czwarty. Wystarczy, by ich przycisnąć, to przecież nie są żołnierze, przypadną do ziemi, nie rzucą się do przodu, by wyjść spod ostrzału.

Zaczął się czołgać z przerażającą, jak mu się wydawało, powolnością, wlokąc za sobą zranioną nogę jak nieczuły pień drewna. Z lasu dobiegło wściekłe wycie, zagrzmiała bezładna strzelanina. Kurwa mać, pomyślał, co najmniej dwa kałachy.

Trzymany za pas karabinek zawadzał. Nie wypuścił jednak z ręki parcianego pasa, wiedział, że broń się przyda, jeśli nie do strzelania, to jako laska, na której będzie można się oprzeć.

Do trzasku kałachów dołączył się głębszy, głośniejszy huk. Gładkolufowa strzelba.

To już tutaj? Złamany pień brzozy, miał nadzieję, że dobrze zapamiętał. Pot zalewał oczy, kiedy ostatnim wysiłkiem rzucił się w górę, na krawędź rowu, usiłując wstać. Zdrowa noga też się ugiwała, jakby poraził ją bezwład drugiej. Mieszając przekleństwa z łzami wściekłości, przyklęknął na jedno kolano z wysiłkiem, od którego pociemniało w oczach. Wstał, podpierając się abakanem, Przynajmniej dobrze trafiłem, tłukło mu się w głowie, gdy zobaczył tuż przed sobą wielką oponę, nad nią zieloną, prawie czarną w

szarym świetle burtę z białym napisem Fuckin Yankee. Kilkoma niezdarnymi podskokami zbliżył się do niej, z rozmachem oparł rękoma. W nodze obudził się ból. Miało to dobrą stronę, ból otrzeźwił go, pozwolił jaśniej myśleć.

Trzy podskoki wzdłuż burty. Seria poszła wysoko, ścinając gałęzie ocalałych sosen, następna już niżej. Trzecia będzie całkiem nisko, pomyślał, mocując się ze skoblem, Nie puszczał. Pamiętał skądś, że w amerykańskich wozach każdy właz można otworzyć ręcznie, nawet jeśli waży kilkaset kilogramów, służą do tego wspomagające sprężyny. Czy może wałki skrętne. Ale na co sprężyny, jeśli rygiel nie daje się obrócić.

Cisnął karabinek na asfalt, balansował na jednej nodze, próbując oburącz obrócić oporny rygiel. Gdy trzecia seria zadzwoniła po pancerzu, krzesząc iskry, szarpnął jeszcze raz, rozpaczliwie. Rygiel przeskoczył, Frodo zaczął ciągnąć, by pokonać opór zaschniętej plastikowej uszczelki, Z wysiłku znów pociemniało mu w oczach, nie pomagał rwący ból zranionej kostki. Ledwie dostrzegł, jak pocisk skrzeszał iskry na pancerzu tuż koło głowy, ledwie zwrócił uwagę, gdy zapiekł policzek, trafiony odłamkiem fragmentującego rdzenia..Nagle coś pchnęło; gdy padał na ziemię, zrozumiał, że to właśnie te sprężyny, które miały otworzyć ciężki, pokryty pancerzem warstwowym właz..

Leżał chwilę, zanim wróciła zdolność widzenia i myślenia. Upadek uratował mu życie, kałachy po ostatniej serii zachłyśnięty się, widocznie zmieniali magazynki. Zebrał się w sobie, nie bacząc na ból, zerwał się, chwycił krawędź włazu. Gdy zniknął w ciemnej, cuchnącej czeluści, jak przez mgłę słyszał wściekłe wycie.

Pociski tępo stukały w pancerz, odgłos był stłumiony, jakby grad padał na drewniany dach. Jeszcze jedna seria. Dwa pojedyncze stuknięcia. I cisza.Frodo nie pamiętał, jak ryglował właz. Leżał teraz na plecach, na podłodze pustego przedziału desantowego, i ciężko oddychał. Już nie czuł trupiego smrodu, który omal nie zadusił go z początku.

Wzrok przyzwyczajął się do ciemności. Wnętrze transportera pomalowano białą, lekko fluoryzującą farbą. Dostrzegł puste siedzenia przy pulpitach, przed wygasłymi ekranami. Jęknął z bólu, obrócił się na bok, uniósł na łokciu. Niezdarnie rozpiął kurtkę, sięgnął w zanadrze, wyjął małą paluszkową latarkę MagLite.Snop światła rozjaśnił wnętrze. Z przodu, w przedziale kierowania dostrzegł hełm kierowcy. Jakby spał z głową na piersi, przytrzymywany pasami, W wycięciu kosza wieży widać było tylko but i kawałek nogawki kombinezону. Coś czarnego plamiło biały kosz, czarne w świetle latarki, wyschnięte zacieki.

Latarka drżała, nawet ten wysiłek spowodował, że noga zapulsowała bólem, od kostki aż po pachwinę. Zgasił światło, znów opadł na podłogę.

Dzięki, stary, pomyślał, wpatrując się w półmrok. Który to z was? Nieważne, I nieważne, że odrobinę za późno. Nic go nie dziwiło. Tak już się porobiło w tym pierdolonym świecie. Martwy las, w którym krążą kanibale. Pierdolone białe zimno. I martwi towarzysze broni, jedyni, na których można liczyć. Towarzysze broni, choć walczyli w różnych armiach, po przeciwnych stronach.

Pierdolony świat, w którym można polegać tylko na umarłych. Pozostało jeszcze jedno do zrobienia. W kieszonce kurtki namacał strzykawkę z białym kapturkiem. Wbił igłę przez nogawkę, nie zawracając sobie głowy żadną antyseptyką, śmiejąc się wręcz z nagłej wolności. On, który zawsze dbał o higienę, zawsze unikał możliwości zakażenia, starał się prowadzić życie zdrowe i bezpieczne. Teraz już nie musiał, dlatego chichotał z historyczną radością, naciskając tłoczek.

Sięgnął po następną strzykawkę, jednak się powstrzymał. Jeszcze nie.

Jeszcze nadejdzie czas.

Bang! Pocisk odbił się od pancerza, zrykoszetował, odlatując z gwizdem, słyszalnym nawet we wnętrzu transportera. Teraz już nie strzelali seriami, dawali tylko znać, że są i czuwają. Że będą tam, kiedy zechce wyjść, Bo przecież kiedyś musi.

Rozciągnął wargi w uśmiechu. Takiego wała...

Lekkie pulsowanie przybierało na sile, stawało się coraz dotkliwsze. Poruszył się i przeszył go ból.

Przestaje działać. Zupełnie stracił poczucie czasu, odmierzanego tylko przez regularne stukanie pocisków w pancerz. Zegarek został gdzieś na zewnątrz, plastikowy pasek pękł, pewnie wtedy kiedy szamotał się z włazem. Czas odmierzał pulsujący ból w nodze, który odzywał się, gdy mijało działanie morfiny..Bang. Cholera, pomyślał, zdejmując kapturek z następnej strzykawki, mają tej amunicji... Ciekawe, dlaczego nie podchodzą...

Nie poczuł ukłucia igły. Naciskał tłoczek, starając się robić to powoli, według instrukcji. Ciekawe, zastanawiał się dalej, dlaczego z granatnika nie przypieprzą. Pewnie nie mają, to ludożercy, a granatnik nie nadaje się do polowania. Będą tak czekać, aż tu zdechnę. Takiego wała, powtórzył mściwie, pamiętając o semteksie.

Zastanawiał się mgliście, dlaczego w zasadzie już teraz nie naciśnie wyzwalacza, dlaczego jeszcze czeka w tym cuchnącym, wypełnionym śmiercią pudle. I na co czeka.

Bang! Trafienie doszło stłumione, myśli rozpraszają się, gdy odpływał po kolejnej dawce narkotyku.

Zachrobotał rygiel włazu. Ktoś mocował się z nim, stukał w pancerz. Frodo poderwał się, wpatrując otwartymi oczyma w ciemność. W lewo, kurwa, chciał krzyknąć, w lewo i

do siebie! Cmoknięcie uszczelki, jasna szczelina, słońce na twarzy... Słońce? Skąd tu słońce? Kędzior, to ty?

Ukłucie bólu, nagłe uderzenie, zostawiające po sobie bolesne pulsowanie, rozbłysk czerwonego światła. I półmrok.

Bang!

Zebrał się w sobie, potrząsając głową. Nie sięgnął po następną ampułkę. Ignorując ból, uniósł się, przyklęknął na jedno kolano, Namacał latarkę.

Posyukując, powlókł się w stronę wieży, chwycił krawędź wycięcia w koszu, Poświecił trzymaną w zębach latarką, Kiedy puścił zimną blachę i usiadł z rozmachem na podłodze, poczuł potworną eksplozję bólu. Wciąż nic nie widział. Jeszcze czerwone płatki migotały mu przed oczyma. Ale pod powiekami miał obraz pustych oczodołów spoglądających spod hełmu, wyschniętej, zmumifikowanej twarzy, na której czarnymi soplami zasechł śluz popękanych gałek ocznych. Wreszcie tępe uderzenia, powtarzające się w rytm bicia serca, przeszły w pulsowanie, Otworzył oczy.- Frodo, ty idioto - powiedział w półmrok, - Czego ty, kurwa, chcesz? Czego się, kurwa, boisz?

Już nie warto się bać, Już niedługo będę razem z nim.

Zacisnął zęby i nie zwracając uwagi na ból, począł wspinać się do wieży.

Najtrudniej było z nogą. Gdy już usiadł na siedzisku działonowego, musiał pomóc sobie rękoma, by wsunąć do środka ten martwy kloc, Nie mógł zostawić go na zewnątrz.

Poszło nawet łatwiej, niż się spodziewał. Nogę można było zgiąć, ustawić w odpowiedniej pozycji. Byle nie patrzeć w dół, nie denerwować się bezwładną stopą, która za nic nie chciała się ustawić prawidłowo, palcami do przodu. Ze stawu musi być mielonka, pomyślał, nie przejmując się tym zanadto. Na razie cieszył się, że ból stępsiał, jakby spowszedniał.

Bez kolejnej dawki morfiny myślał trzeźwiej. Dotknął czołem chłodnego plastiku osłony peryskopu. Ciemno. A czego się spodziewałeś, pomyślał. W nocy jest ciemno. Zacisnął dłoń na rękojeści sterowania wieżyczką. Zamachał nią w obie strony. Nic.

Brak zasilania. Nie to, co w pocziwym BWP, gdzie były takie fajne pokrętła. Tu wyższa, technika, wszystko na prąd. A prądu nie ma... Nawet strzelać nie można, amunicja ma zapłon elektryczny.

Stuknął z niechęcią w zamek działka Bushmaster. Gównno, Morfinka i lulu. Najlepiej cała na raz, Tak, Frodo, chuj bombki strzelił...

Bang. Nie śpią, skurwysyny. Nie zimno im czasem?

Zaczął grzebać w kieszonce na piersiach. Zamarł na chwilę. Obejrzał się w stronę swojego milczącego sąsiada, przypiętego pasami do fotela dowódcy.- I czego się, kurwa, gapisz? - prychnął prosto w puste oczodoły, - Idę do ciebie, dupku.

Głos uwiązał mu w gardle, Popatrzył na rękę, na wyschniętą, szponiastą dłoń. Na kościste palce zaciśnięte na czerwonym wyłączniku.

Czerwonym wyłączniku z napisem MAIN.

Stryker A3, Zmodyfikowana piranha IV, produkowana w Kanadzie. Wersje - AIFV, kołowy wóz bojowy piechoty, pod nazwą Grizzly, wóz dowodzenia Kodiak... Uzbrojenie - armata 25 mm Bushmaster II.

Nie, to nie to... Zapamiętany gdzieś opis, jakaś strona www. Napęd - silnik wielopaliwowy Perkins... Też nie to...

Zasilanie - w wersji wozu dowodzenia ogniwa paliwowe...

Ogniwa paliwowe...

Ostrożnie ujął wyschnięty nadgarstek nieboszczyka, rozprostował palce zaciśnięte na wyłączniku, zaciskając zęby, gdy jeden z palców pękł z głuchym trzaskiem jak spróchniały patyk. Spojrzał przepaszająco na milczącego sąsiada, zatrzymał wzrok na naszywce z nazwiskiem. Ramirez.- Wybacz, stary - szepnął, - Jak ci na imię? Nie powiesz? Trzask drugiego palca.

- Sorry... Wiesz, będę ci mówił Juan, pasuje do ciebie... A może wolisz Pablo?

Ujął chłodną dźwigienkę.

- Nie? To niech będzie Juan...

Zacisnął zęby, wstrzymał oddech. Przez kilka nieskończenie długich sekund wsłuchiwał się w bicie własnego serca, potem zamknął oczy i nacisnął dźwigienkę.

Gdzieś z przodu jęknęła przetwornica.

Gdy otworzył oczy i spojrzał na milczącego towarzysza, wydawało mu się, że w czerwonym blasku bojowego oświetlenia Juan Ramirez uśmiecha się porozumiewawczo. Plastik osłony celownika chłodził rozpalone czoło. Frodo nie zwracał na to uwagi, nie zaprzętał sobie głowy trawiącą go gorączką, W polu widzenia miał zielono świecącą siatkę, rozwijalne menu po lewej.

TURRET. Ruszył ręką, skierował podobny do znaczka < kursor na SIGHT, Nacisnął kciukiem przycisk. TURRET zbladło, napis SIGHT migotał przez chwilę.

Nie chciał, by obracała się cała wieżyczka, nie zamierzał spłoszyć czających się w lesie kanibali, nie o to chodziło, Pragnął zabijać, Miał nadzieję, że nie zauważą ruchu cylindrycznej głowicy wizjera na stropie wieży.

Nagły, zielony rozbłysk w wizjerze, ciemniejący szybko, gdy elektronika dostosowała się do poziomu oświetlenia. Ognisko, Zmarzły sukinsynom dupy. RANGE - 150 yards. Rozbłysk. I za chwilę dźwięk uderzającego pocisku.

Bang!

Kursor na SEARCH/MARK. Obraz ciemnieje, rysują się niekształtne sylwetki, jaśniejsze plamy twarzy, ledwie widoczne, ledwie rozróżnialne, jakby wyrastały z bezgłowych postaci. Ramki kolejno obejmują wszystkie, migają przez chwilę, aż zaświeci się LOCK.

Sześciu. Mam was. Mam was wszystkich.

Rękojeść ślizga się w spothiałej dłoni, kciuk nie może trafić w przycisk. Ramki w polu widzenia poruszają się, tylko dwie tkwią nieruchomo. Miga kursor przy ikonce AMMO. I mały znak zapytania.

Błysk przypomnienia. Pierścień programatora na lufie. Inteligentna amunicja z opcją penetracji i działania odłamkowego. Pomiar odległości, wybuch programowany po dokonaniu przez pocisk określonej liczby obrotów, znacznie dokładniejszy od zapalników czasowych. Dokładność do jednego metra.

Miga AP, Armour Piercing, Trzeba zmienić na High Explosive. Najazd kursorem, już coraz łatwiej, Frodo już pojął zasady. Teraz programowanie, DISTANCE, Czy aby na pewno? Chyba tak. Nie DELAYED, to z penetracją, wybuch po uderzeniu, i nie WINDOW. Na pewno tak.

Cały świat zamknął się w ramce celownika. Co teraz? Kursor na MODĘ, kliknięcie przyciskiem, rozwija się menu, AUTO, jak nie jesteś pewien, to zawsze...

Wieżyczka szarpnęła, obróciła się, Czerwony rozbłysk w oczach, gdy wykręcona stopa zawadziła o brzeg kosza. Gdzieś z daleka, stłumione w rozbłysku bólu szczekanie działka. Jęk serwomechanizmów.

Sześć pocisków.

I cisza.

Dogasające błyski w okularze celownika, już nie tak jaskrawozielone. Ciemniejące, stygnące sylwetki, niektóre jakby mniejsze, na tyle, na ile można dostrzec w niewyraźnym obrazie.

To już wszystko? Nic, kurwa, nie widziałem, tłucze się w głowie jedna myśl. Nic ciekawego...

Rozrzucone wybuchem, dogasające głównie ogniska. Pojękiwanie serwomechanizmu celownika znów pracującego w trybie śledzenia, omiatającego otoczenie, jakby komputer poirytowany był brakiem celów do zniszczenia.

Frodo popatrzył na milczącego dowódcę.

- Wygraliśmy, Juan... - powiedział. - Venceremos, amigo...

- To nie twoja wina, stary...

Puste oczodoły spoglądały przepaszająco. Nawet Ramirez, wyszkolony w obsłudze kodiaka, nie mógł nic poradzić.

Na ciekłokrystalicznym ekranie widnieje schemat transportera, jarzący się czerwono układ przeniesienia napędu. Może olej zgęstniał i wysechł, może pękł któryś z przewodów.- Nie martw się, stary, ty też nic nie poradzisz. Spróbujemy inaczej. Ale za chwilę..Nieposłuszne palce mocują się z białym kapturkiem, Za chwilę nacisnę tłoczek. Za chwilę odpłynę.

Ile czasu trzeba, by zobaczyć rozbłyski na ciemnym niebie? Smugowe serie, eksplozje na granicy zasięgu?

Kędzior, ile jeszcze mam czekać, kiedy przyjdiesz, zabierzesz mnie stąd? Ja muszę... Podłączysz mnie, a potem muszę jeszcze raz. Ja muszę wiedzieć...

Szklą peryskopów jaśnieją. Już dzień, Nic nie boli, widzisz, Kędzior, wyliżę się, twardy jestem, Trzeba wyłączyć to oświetlenie, po co prąd marnować, Ręka nie chce się podnieść.

To nic, odpocznę chwilę i wyłączę. Prawda, Juan? Za chwilę, nie uśmiechaj się tak...

* * *

Trzask rygła. Światło wpada do ciemnego wnętrza.

- Hej, kurdupłu!

Powieki takie ciężkie, ale trzeba je podnieść. Czyjeś dłonie chwytają krawędź włazu do kosza wieży.

Kędzior, kochany sukinsynu! Jak dobrze zobaczyć twoją łysinę, perlącą się kropelkami potu, twoją szpanerską panterkę. Przyszedłeś po mnie, nie zapomniałeś...

Poczekaj, nie dam rady tak od razu, słaby jestem. No, czego się tak śmiejesz...

Miło widzieć twoją paskudną mordę, gładką, bez tych liszajów i blizn.

Kędzior, zaczekaj, ubrudziłeś się. Cała ta twoja panterka czymś pochlapana, i tu, na twarzy, na skroni...

- Chodź ze mną... Kędzior. Ty...

- Nie, nigdzie nie pójde. Ty nie żyjesz, skurwysynu!

Krzyk obija się o ściany metalowego pudła, Mętne, czerwonawe światło, wyschnięty trup na fotelu obok. Nic więcej.

Łzy złości. Czy na pewno tylko złości? Zostawiłeś mnie, poszedłeś na łatwiznę. Olałeś, A teraz chcesz mnie zabrać. Ja jeszcze nie mogę. Ja przecież muszę. Przecież muszę dojść. Muszę wiedzieć.

Przecież już wiesz.

Palec zginał się płynnie na spuście, Za chwilę pokona ostatni opór, zwolniona iglica uderzy w spłonkę. Pocisk poszybuje i trafi w cel. Jak zwykle.

Jak zwykle, myślał Frodo, patrząc z ukosa na Wagnera, który leżał obok na izolacyjnej płachcie. Na siwe, prawie białe włosy ściągnięte na czole zieloną opaską. Wagner nie używał dwójnoga, nie tym razem. Frodo popatrzył na skupioną twarz, spokojne, niemrugające oko wpatrzone w okular celownika. Jak zwykle przegapił moment ściągnięcia spustu.

Strzał. I za chwilę doskonale słyszalne uderzenie kuli.

Wagner podniósł się niespiesznie, jak zwykle nie patrzył na unieszkodliwiony cel, Powoli, metodycznie począł zwijać stanowisko.

Frodo spojrzał na cel, na rudawą kupkę futra, która jeszcze przed chwilą była psem dingo. Spojrzał dalej, na czerwony masyw Ayers Rock, największego kamienia na świecie.

- Nieźle - mruknął. - Trzysta metrów... Wagner roześmiał się.

- Nie pieprz, Frodo... Jeszcze się taki nie urodził, który by mi... Urwał, spoważniał.

- Zwijamy się, czas na nas... Kędzior już pewnie piwo schłodził, dobre, w Sydney takiego nie... Frodo, co ci jest?

Niziołek przetarł twarz.

- Nic... nic...

- Tak się zmieniłeś na gębie...

Wagner zastygł, trzymając w ręce odłączoną od łoża lufę.

- Bo powiedziałeś... Wagner, powiedziałeś... Przecież on. Wiedźmin pokręcił głową.- Coś ci się pieprzy w tym głupim łbie... Poczekaj, idzie Mariszka, ona ci... Ech...

Wzruszył ramionami, chowając lufę do pokrowca.

Frodo opadł na kolana. Bał się obejrzeć, by przypadkiem to, co chciał zobaczyć, nie okazało się tylko złudzeniem, Wolno położył się na wznak na płachcie izolacyjnej, przymknął oczy.

Szelest. I dotyk dłoni na czole. Uchylił powieki. Po błękitnym australijskim niebie płynęły cumulusy. Czy w Australii są cumulusy? Pewnie są. Tylko niebo, I dotyk rąk na skroniach.- Chodź do nas... Czekamy na ciebie...

Zamknął oczy. Chciał wstać, ale nie mógł. Lekki wiatr na twarzy, dotyk palców gładzących skronie, zapach włosów.- Ja zaraz. Zaraz... Tak chce mi się spać... Dotyk palców, I szept.

- Śpij, kochany, śpij...

Jesienią przyszły huragany. Nagie pnie w zetlałym lesie waliły się na ziemię, kryształki lodu niesione wiatrem szlifowały burty transportera, zacierając najpierw napis Fuckin Yankee, potem zdzierając oliwkową farbę, aż wyrzała spod: niej brązowa powierzchnia kompozytowego pancerza. Potem zima nakryła wszystko warstwą śniegu.

Gdy dni stały się dłuższe, śnieg nie stopniał. Podtapiany tylko z wierzchu zamieniał się w lód, spływający zastygłymi jezorami, czerwonymi od rdzy.

Jeszcze widać było wieżę. Następnej wiosny tylko wzniesioną lufę z pierścieniem programatora u wylotu. Potem już nic.